

Ewa Grocholska

Paryska pokojówka

Czy pamiętasz, jak zarywałyśmy noce w czasie sesji? Pokój zasypany był skrawkami papieru, a Twoja babcia wpadała co rusz z nowymi kanapkami? Do dziś czuję ich smak. Nawet nazwałam je wiele lat później kanapkami babci Ewki. Były przepyszne, choć sklecone ze wszystkiego, co w tamtych czasach udało się zdobyć w sklepach. Pamiętam Twoją babcie doskonale: starszą panią z pięknie zaczesanym siwym kokiem, mimicznymi zmarszczkami wokół mądrych jasnych oczu, wiecznie nas pouczającą. Była naszym dobrym duszkiem kiedy panikowałyśmy przed zaliczeniami kolejnych egzaminów. Wpadała bez pukania i natychmiast nakazywała pozamiatać „ten cały bajzel z podłogi”. A my śmiałyśmy się i przekonywałyśmy ją, że to nasza twórczość i pod żadnym pozorem nie wolno tego wyrzucać do śmieci...

Tak... To były piękne czasy. Słuchałyśmy muzyki z winylowych płyt, które rok wcześniej przywiozłyśmy ze szwedzkich saksów. Pamiętam, że w kółko puszczałaś swoją ulubioną płytę: muzykę filmową z „Ojca chrzestnego”. Którejś kolejnej zarwanej przez nas nocki wpadł do nas Twój brat i kazał nam natychmiast wyłączyć tę płytę. A ty zapytałaś: Dlaczego? Przecież to cudowna muzyka! A on na to: Owszem, jest cudowna, ale jak mi się coś podoba, to słucham tego rzadko, żeby mi się nie znudziło.

Ale Ty miałaś swoje zdanie. Jak coś Ci się spodobało, wałkowałaś to do upadłego. Ja też. I dlatego tak fajnie nam się razem nie dosypiało w tych majowych dniach, kiedy szłyśmy spać, gdy za oknem robiło się widno.

Któregoś dnia powiedziałaś: co, już gwizdzą te pierdołki? Miałaś na myśli ptaszki, które za oknem zaczynały swoje poranne trele, kiedy my, blade i niewyspane do bólu, kończyłyśmy projekty na zaliczenie geometrii wykreslonej.

Bywało też i tak, że dla relaksu wywoływałyśmy duchy... No cóż, nie było wtedy Internetu i Pudelka.

Raz nawet, kiedy jeszcze były z nami dwie koleżanki, wywołałyśmy ducha, który wskazał nam naszych przyszłych mężów! Zginął nad Ebro w Hiszpanii i sprawił, że świeczka na stoliku, po którym krążył talerzyk, zgasła. Wtedy ogarnęło nas prawdziwe przerażenie i już nigdy więcej nie wywoływałyśmy duchów.

No, może jeszcze czasami na zajęciach z PO (przysposobienie obronne), które były o siódmej rano i przyprawiały o ziewanie. Pan pułkownik, który je prowadził, przejawiał specyficzne poczucie humoru już w samym tytule zajęć, który kreślił na tablicy. Obie wtedy szybko zaprowadziłyśmy wspólny kajet pod nazwą: „Złote myśli wojska”.

I znalazły się w nim, między innymi, takie kwiatki: jak uchronić stóg siana przed pyłem promieniotwórczym albo: na wypadek pokoju lub w czasie wojny. I wiele innych genialnych myśli w tym stylu.

Pamiętasz, Ewo, jaki miałyśmy z tego ubaw? A jak pan pułkownik opowiadał o broni bakteriologicznej? To było rewelacyjne! Powiedział: takie różne skaczące bakterie, jak pchły i pluskwy. A wtedy obie przestałyśmy na chwilę studiować zdobyty w Peweksie magazyn mody, bo zaintrygowało nas słowo: skaczące. I poderwałam się nagle z zapytaniem: dlaczego skaczące, panie pułkowniku? A on odparł: bo mogą być też pełzające, jak ameby.

Tego samego dnia przy obowiązkowej wuzetce w barze mlecznym przy placu Młodej Gwardii omal nam brzuchy nie popękały od śmiechu.

A nasz kajet ze „złotymi myślami wojska” zapełniał się każdego kolejnego tygodnia nowymi genialnymi odkryciami pana pułkownika...

W końcu i wojsko zaliczyłyśmy, choć ja osobiście pamiętam to jako wielką porażkę, bo rozlałam cały pakiet IPP

(indywidualny pakiet przeciwichemiczny) na nowiutki mundur pana pułkownika.

Niekiedy pamięć jest dobrodziejstwem, niekiedy zmorą. Myślę, że jednak dobrodziejstwem jest o wiele częściej. Te czasy były naszymi czasami, były jedyne i niepowtarzalne. Byłyśmy młode i pełne nowatorskich pomysłów, miałyśmy wiele inwencji i energia nas rozsadzała. To nie nasza wina, że urodziłyśmy się w czasach, które nas ograniczały. Miałyśmy te same idee, te same marzenia i oczekiwania od życia, które mają dziś nasze dzieci. Ty, Ewko, zostawiłaś ich troje. Zdolnych i przebojowych. Zostawiłaś je w Ameryce, bo dla Twoich zdolności i przedsiębiorczości nie było miejsca w naszym kraju.

Wyjechałaś tuż po dyplomie. Ja zostałam i robiłam projekty kalendarzy dla Cepelii. Ty zbudowałaś swoje życie tam. I jako zdolna projektantka osiągnęłaś sukces. Twoje projekty aranżacji wewnątrz trafiały do najwybredniejszej klienteli. Zostałaś umieszczona w katalogu najlepszych designerów Stanów Zjednoczonych. Miałaś oddanego męża i trójkę zdolnych dzieci. I od czasu do czasu odwiedzałaś nasz szary kraj, który już nie był aż tak szary.

W Paryżu byłaś ostatni raz na swoje czterdzieste urodziny. Twój mąż zafundował Ci ten wyjazd. Pisałaś, że mam przyjechać, że spotkamy się przed „głównym wejściem do Luwru”, ale ja wtedy nie mogłam się wyrwać, a poza tym uznałam, że nie powinnam przeszkadzać Wam w tak cudownych chwilach. Potem ja byłam ze dwa razy w Paryżu. A potem...

Zadzwoił Twój brat i głos miał złamany, jakby przecięty ostrzem noża...

To było 13 września 1997 roku.

Czas zatrzymał się w miejscu, serce zamarło, ucichły „pierdołki”...

Ucichło moje serce, bo straciłam Ciebie.

Ewko... Gdziekolwiek jesteś teraz, chcę, abyś wiedziała, że dałabym wiele, aby znowu móc Cię zaspaną szturchnąć w naszym mieszkanku na rue des Trois Freres w Paryżu i wysłać w trybie ekspresowym po bagietkę...

Tę książkę dedykuję Tobie...

Wybrukowane uliczki starego miasta parowały wiosną. Wszędzie unosił się zapach marcowej odwilży, nawet wyziewy z pobliskiego baru mlecznego były jakieś inne, miłe dla nosa. Biegłam, nie zważając na nierówności chodnika, prosto do celu. Do siedziby SZSP (dla niewtajemniczonych: Socjalistycznego Związku Studentów Polskich). Ten dziwny twór mieścił się w samym centrum miasta, w jednej ze starych zabytkowych kamienic. Biegłam, aby otrzymać dobrą wiadomość. A były to czasy, kiedy dobre wiadomości zdarzały się raczej rzadko.

Czy dostanę promesę, czy nie?

Promesa była przepustką do lepszego świata. Promesa była w istocie pieczętą zezwalającą na legalne wykupienie stu trzydziestu dolarów, a co za tym idzie, na wyjazd poza granice komunistycznej Polski. Był rok siedemdziesiąty siódmy, mój czwarty rok studiów na artystycznej, socjalistycznej uczelni.

Schody do siedziby SZSP wyłożone były linoleum, ściany pomalowane olejną farbą w kolorze nijakim, podobnie jak inne wnętrza w tamtych czasach. Już choćby z powodu tej farby człowiek miał ochotę na jakąś zmianę.

Wbiegłam na drugie piętro i podeszłam do okienka takiego samego jak w barze mlecznym, który dopiero co mijałam. Najgrzeczniej jak potrafiłam, zapytałam, czy jest już decyzja w sprawie mojej promesy. O dziwo, była. I o jeszcze większe dziwo: pozytywna!

Odebrałam papier i od razu wypełniłam kolejny formularz o wystawienie mi legitymacji studenckiej na wyjazd zagraniczny. Zdjęcie z febrą na ustach, jedyne jakie miałam, dałam od razu, aby nie tracić czasu. Z febrą czy nie, musiałam działać szybko, żeby przez przypadek nie zmienili zdania. Imię matki, ojca, adres, stan cywilny, stosunek do służby

wojskowej itd. Wypełniłam, podpisałam. Teraz tylko znowu czekać. Wyszłam na ulicę pełna dobrych fluidów, a nierówny chodnik zdawał się czerwonym dywanem rozłożonym na moją cześć. Nigdy wcześniej marcową chlapa nie była tak piękna.

W przypiływie dobrego humoru ustawiłam się w kolejce po papier toaletowy, który nagle rzucono do sklepu rowerowego vis a vis mojej uczelni. Do dziś nie rozumiem, dlaczego papier toaletowy sprzedawano w sklepie rowerowym, ale za to pamiętam radość matki, kiedy z naręczem' szarych rolek zjawiłam się w domu.

- O rany, jak ci się to udało? - krzyknęła, otwierając mi drzwi.

- Cuda się jednak zdarzają - odparłam.

Tego dnia były na obiad rzucane kluski z jajkiem, danie mało wykwintne, ale za to pyszne. Moja mama umiała zrobić coś z niczego. Do dziś zachowała tę umiejętność, czego jej zazdroszczę. Kiedy oznajmiłam jej podczas spożywania tych cudownych kluseczek, że mam upragnioną promesę, zapytała:

- A po co ci, córeczko, ten wyjazd za granicę?

Jak to, po co? Przecież tak trzeba. Każdy normalny człowiek wyjeżdża i zarabia za granicą. Koleżanka załatwiła legalną pracę. Mam siedzieć całe lato w mieście i stać w kolejkach po cukier czy masło? O nie, już postanowiłam i nie zmienię swoich planów.

- Mamo, to moja szansa - powiedziałam.

- Dobrze, ale obiecaj, że będziesz dzwonić.

Miesiąc później odebrałam z SZSP zieloną międzynarodową kartę studenta. Trochę szpeciło ją moje zdjęcie z febrą na ustach, ale miałam tę legitymację w garści. Teraz tylko wykupić zielone i w drogę!

Spotkałyśmy się u Ewy, aby omówić detale naszej wyprawy. Ewka mieszkała w pięknym, choć zapuszczonym, jak wszystko w komunie, domu, w jednej z lepszych dzielnic

miasta. Dom był pomalowany różową farbą, która wyblakła z biegiem lat, miał dwie kolumny przy wejściu i stare, skrzypiące drewniane podłogi we wnętrzu. Babcia Ewki, wiekowa dama z siwym kokiem, mówiła na mój widok:

- Witaj, Agnieszko!

A potem obowiązkowo częstowała nas wszystkim, co udało się kupić w pustych polskich sklepach. Niejedną noc przeżyłam z Ewką dzięki jej troskliwości. Babcia Ewki przychodziła o drugiej w nocy z tacą pełną ułożonych w piramidkę kanapek i wpadała prosto na naszą artystyczną działalność rozrzuconą po podłodze.

- A co to jest, do diabła? Czy nie mogłybyście tego posprzątać?

- To nasza twórczość, babciu - wyjaśniała Ewka.

- To ma być twórczość? Ja tu widzę same śmieci! Na szczęście tylko raz zmiotła do kosza nasze prace na zaliczenie. Potem już wiedziała, że żadnego, nawet najbardziej dziwnego, skrawka papieru nie należy wyrzucać. A my z wdzięcznością przyjmowałyśmy jej stosy kanapek o każdej porze nocy.

Czasami myślę, że dzięki babci Ewki skończyłyśmy studia.

Zbliżała się sesja, egzaminy, zaliczenia, a my pakowałyśmy plecaki. Koleżanki Ewki, dwie siostry, miały jechać razem z nami. W sumie to one załatwiły ten wyjazd i pracę, więc od tej pory byłyśmy jak czterej pancerni bez psa. Sesja, pomimo nieprzespanych nocy, poszła gładko, w ekstremalnym momencie babcia Ewki przynosiła kanapki nawet o czwartej nad ranem, ale zaliczyłyśmy czwarty rok i teraz został tylko ostatni, magisterski. W czerwcu byłyśmy już spakowane do wyjazdu, sto trzydzieści dolarów wykupione, dokumenty gotowe. Mój plecak, z dorobionymi przez brata kółkami, wyglądał jak czerwony namiot na stoku Mount

Everestu. Wpakowałam do niego tyle puszek z komunistyczną mięsną konserwą turystyczną i paprykarzem szczecińskim, ile włąło. Wszystkie puszki owinęłam w ciuchy i bieliznę, do torby podręcznej włożyłam rozmówki francusko - polskie. Francuski znałyśmy jako tako, ale byłam przekonana (i słusznie), że nasza wiedza okaże się zbyt skąpa w zderzeniu z rzeczywistością.

Jak już raz udało się człowiekowi wyrwać poza granice PRL - u, to chciał się tym nacieszyć do woli. Długotrwały niedosyt dobrobytu robi swoje. Więc zamiast jechać prosto do Paryża, gdzie miałyśmy załatwioną pracę, postanowiłyśmy trochę pokręcić się po Europie. Jak cztery mrówki z plecakami większymi od nas przekroczyłyśmy granicę NRD i pociągiem wschodnioniemieckim pojechałyśmy sobie najpierw do Danii. Troszkę było to nie po drodze do Paryża, ale my miałyśmy ściśle ustalony plan. Otóż wiadomo było powszechnie, że w Danii można dobrze sprzedać polskie plakaty, dzieła naszych wspaniałych grafików, takich jak Sawka, Starowieyski i inni. Wiele tygodni przed wyprawą zakupiłyśmy ich cały rulon (bardzo trudno go było dźwigać w ogromnym tubusie z kartonu) w warszawskim CDT. Tam zresztą po raz pierwszy w życiu natknęłam się na ruchome schody, był to na owe czasy najnowocześniejszy gmach handlowy. Na drugim piętrze sprzedawano plakaty. Teatralne, filmowe, satyryczne. Wydałyśmy na to wszystkie oszczędności, ale miała to być nasza najlepsza inwestycja w podróż na Zachód. Przynajmniej tak nam się wtedy wydawało.

W Danii zamierzałyśmy je sprzedać za prawdziwe, znaczy: zachodnie, pieniądze i wzbogacone o dodatkową gotówkę ruszyć stamtąd do naszego docelowego Paryża.

Pierwszy raz w życiu płynęłam promem i z wrażenia nawet zapomniałam, że boli mnie brzuch, bo akurat w dzień wyjazdu dostałam okres. Czulałam się wolna jak ptak, a ból brzucha był gdzieś poza mną, jakby to nie chodziło o mnie. Rozwalone w enerdowskim przedziale drugiej klasy podziwiałymy oddalający się brzeg tej części Europy, która była jej gorszą częścią. My zmierzałyśmy do tej lepszej.

Kopenhaga wyglądała niczym miasto z bajki. Portowe nabrzeże lśniło w słońcu, był wczesny ranek, krzykliwe mewy

krażyły nad portem i w powietrzu czułam zapach kapitalizmu. Pierwsze, co zauważyłam, to czyste i równe chodniki. Nie musiałam co chwila patrzeć pod nogi, aby się o coś nie potknąć. Kamieniczki wyglądały jak kolorowe chatki z piernika. W powietrzu unosił się ten cudowny zapach zakazanej wolności, o jakiej my - studentki artystycznej uczelni - marzyłyśmy od dawna. No i zaraz zarobimy tu krocie, sprzedając piękne polskie plakaty.

Jedna z naszych koleżanek (z Ewką nazwałyśmy je Migułkami, co było zlepkiem imion: Miłka i Gunia, które z kolei były zdrobnieniem od ich prawdziwych imion, ale nie mam pojęcia jakich) wiedziała, dokąd należy się udać, aby je dobrze sprzedać. Był to plac, gdzie każdy mógł sprzedać co tylko chciał bez specjalnych pozwoleń, glejłów, zaświadczeń i innych podobnych bzdur. Po prostu wolny rynek, i już. Właśnie to było nam potrzebne.

Dźwigając opasłe bagaże, doszłyśmy w końcu do tego placu. Uff! Jakaż ulga po zdjęciu plecaka! Placyk był duży, starannie wybrukowany i kręciły się po nim całe tłumy turystów. Nic dziwnego, w końcu był początek lata. Chwilkę obadałyśmy teren, aż w końcu ustaliłyśmy, że to będzie dobre miejsce na handel. Wyciągnęłyśmy nasze piękne plakaty z tekturowego tubusu i rozwinęłyśmy kilka z nich na równiutkiej duńskiej kostce brukowej, aby przechodnie mogli nacieszyć nimi swoje oczy. Nie wiem, czy artyści byliby zachwyceni, że ich sztuka sięgnęła... bruku. Z drugiej strony powinni nam być wdzięczni za szerzenie rodzimej kultury poza granicami PRL - u.

Już kilka minut po rozłożeniu ekspozycji zebrał się spory tłumek przechodniów. Oglądali, coś mówili, głównie po duńsku, ale czasami też w innych językach, generalnie chyba bardzo im się spodobały nasze plakaty. Zainteresowanie przerosło najśmielsze oczekiwania. Nigdy wcześniej nie

sprzedawałam niczego tak wprost na glebie, a do tego za granicą, więc wyobraźcie sobie, jak bardzo podskoczyła mi adrenalina! Brzucha nie czułam, że boli, głodu nie czułam, choć byłam głodna, za to liczyłam już te setki koron, które za chwilę zarobimy.

Ktoś wskazał palcem na plakat Sawki zrobiony do przedstawienia Teatru Stu (moje najlepsze chwile spędzone w teatrze to te na przedstawieniach Teatru Stu) i spytał: How much? Migułka Młodsza już ustalała cenę, a ja z Ewką wydłubywałyśmy z tubusu resztę plakatów. Interes świetnie się rozkręcał, na niebie były śliczne białe obłoczki, nad kanałem skrzeczały duńskie mewy.

- Jest super - wyszeptała mi do ucha Ewka, wyciągając kolejny piękny plakat Franciszka Starowieyskiego. - Zaraz wszystkie pójdą jak ciepłe bułeczki - zapewniła mnie.

Podniosłam głowę ciut ponad poziom bruku i zobaczyłam efektowne spodnie z naszytymi lampasami. Ohoho! Nawet wojskowi się naszą sztuką zainteresowali! Ale ten wojskowy miał bardzo srogą minę i o czymś z Migułką Młodszą dyskutował. Po duńsku, więc Migułka Młodsza niczego nie rozumiała. Na to wstała z bruku Ewka i po angielsku (z nas czterech ona była w angielskim najlepsza) spytała, który plakat facetowi w spodniach z lampasami najbardziej się podoba. Na to on grzecznie odparł, że nie jest kupcem, tylko policjantem. I że musimy natychmiast opuścić to miejsce, bo nie wolno tu handlować we wtorki, jedynie w czwartki. A był to wtorek, nic ująć, nic dodać.

I jeśli się nie zwiniemy z całym tym majdanem natychmiast, to będzie zmuszony nas... aresztować!

Aresztować! Za co? Za rozpowszechnianie sztuki? I to ma być wolność? Nie mogłyśmy w to uwierzyć, zwłaszcza że za panem w lampasach stał tłum gapiów zainteresowanych plakatami. Tłum naszych potencjalnych klientów z koronami

duńskimi w kieszeniach! Tłum wielbicieli polskiej sztuki użytkowej, tłum spragniony polskiej kultury!

Ewka spytała delikatnie, czy nie można by zamienić czwartku na wtorek, tak wyjątkowo, bo jesteśmy w drodze do Paryża i nie bardzo nam pasuje ten czwartek, bo w czwartek to my już mamy inne plany i tak dalej. Ale wysoki pan w spodniach z lampasami nie miał ani odrobiny poczucia humoru. Od razu widać, że nie dorastał w komunizmie, gdzie poczucie humoru było podstawą codziennego przetrwania. Dla niego czwartek był czwartkiem, a wtorek wtorkiem. Zero polotu czy fantazji! Stał nad nami jak kat nad dobrą duszą i czekał, aż spakujemy ten piękny wycinek polskiej twórczości z powrotem do tubusu i oddalimy się z miejsca, które, jak zapewniały Migułki, jest jedynym miejscem w Danii, a może nawet w całej Europie, gdzie każdy i o każdej porze może sprzedać co tylko chce.

Na pocieszenie pozostały nam jedynie zawiedzione twarze zainteresowanych turystów, ktoś nawet zaklął pod nosem, że zwijamy ten kramik. Nie pozostało nam nic innego, jak przeznaczyć kilka godzin do powrotu promem na zwiedzanie Kopenhagi. Szkoda, że z całym tym ciężkim zwojem plakatów na plecach. Ale warto było zobaczyć urokliwe kamieniczki nad kanałem, małe sklepiki kuszące pamiątkami i knajpki nęcące smakowitymi zapachami. Nie miałyśmy koron na uciechy, w końcu przyjechałyśmy tu zarobić, a nie wydawać, więc musiałyśmy się zadowolić kanapkami z plecaków, trochę już udeptanymi i miękkimi. Ale co tam, odbijemy to sobie w Paryżu.

Wracałyśmy tym samym promem z naszym eksportowym towarem do enerdówka.

Byłyśmy zmęczone, głodne, a mnie znowu zaczął boleć brzuch. W dodatku wyprawa do Kopenhagi, poza ładnymi widokami, nic nam nie dała. Nic w sensie materialnym, a o to najbardziej chodziło.

Nie miałyśmy ani biletów, ani siły, by jeszcze tego samego dnia jechać dalej. Na szczęście w Berlinie Wschodnim - wtedy były jeszcze dwa Berliny: Wschodni i Zachodni, oddzielone słynnym murem - mieszkał i studiował brat Migulek. Kiedy zobaczył nas z przeogromnymi bagażami przed wejściem do swojego skromnego mieszkania, omal nie zasłabł. Cztery baby objuczone plecakami! Dwie jego siostry i jeszcze dwie koleżanki niemające gdzie spędzić nocy!

- Włażcie - rzekł, bo co mógł innego powiedzieć. Przynajmniej było gdzie się umyć i przespać na czym

popadło. Braciszek Migulek, aby się nas jak najprędzej pozbyć, załatwił nam w trybie ekspresowym tanie bilety do Paryża na następny dzień. Nie wiem, jak on to zrobił, ale bilety były z Berlina Zachodniego, bo tańsze. W podziękę za gościnę zostawiłyśmy mu nasz tubus z ponad setką plakatów.

- Na pewno je sprzedasz, a jak nie, to rozdaj znajomym - powiedziały Migulki jednym głosem. Braciszek raczej nie był zachwycony, ale życzył nam szczęśliwej podróży.

A potem jakoś nas przemycił z Berlina Wschodniego do Zachodniego, nie było to chyba nawet bardzo podejrzone, bo miałyśmy przecież paszporty i wizy stosowne do naszej wyprawy, ale w tamtych czasach niczego człowiek nie mógł być do końca pewny. Nigdy nie było wiadomo, co wolno wywieźć, a co przywieźć, w jakich ilościach i co w razie wpadki prowadziło prosto na komendę milicji (obecnie: policji).

Były to czasy, kiedy człowiek absolutnie niewinny czuł się przestępcą.

Z różnych powodów. Na przykład dlatego, że w plecaku miał o jedną puszkę z konserwą turystyczną więcej, niż przewidywały normy. Albo miał ciut inaczej przystrzyżone włosy na zdjęciu w paszporcie niż teraz. Albo zmienił fryzurę przed wyjazdem, albo był bez okularów, a na zdjęciu miał je na nosie. Były to czasy, kiedy czapki gorzały nie tylko na złodziejach, wtedy na zwykłych, uczciwych obywatelach gorzało całe ciało.

Na dworcu w Berlinie Zachodnim czułam się tak, jakbym była postacią z filmu o drugiej wojnie światowej. Sam dworzec budził grozę. Ogromne łukowate sklepienie oświetlone od góry miało galeryjkę biegnącą naokoło.

Kiedy spojrzałam w górę, ujrzałam na niej jakieś czarne postacie ludzkie ustawione w równych odstępach jak pionki na szachownicy. W dodatku wyposażone w... karabiny! Tak, uwierzcie mi, to były karabiny! Stali tam faceci w lekkim rozkroku z kałachami w pogotowiu.

Koło pociągu stojącego przy peronie biegały czarne owczarki niemieckie, a za nimi inni na czarno ubrani faceci. Stałyśmy z duszą na ramieniu. Zastanawiałam się, czy te psy szukają mojej nadprogramowej butelki z wódką, którą usiłowałam przemycić, czy może są nastawione raczej na konserwy, których też wiozłam trochę więcej, niż pozwalały przepisy. A może moja twarz była podobna do innej, ściganej listem gończym? I za chwilę, zamiast w Paryżu, znajdę się w zachodniemieckim pokoju przesłuchań?

Nie powiem, jak bardzo mi ulżyło, kiedy podjechał nasz pociąg i znalazłam się w przedziale. Nie powiem, jak bardzo jeszcze się bałam, zanim pociąg ruszył. Ale wyznam, że bałam się okrutnie. Czułam się jak przestępca i mimo woli już widziałam siebie na tamtejszym komisariacie.

I kiedy pociąg ruszył, kiedy wszystkie cztery znalazłyśmy się wreszcie w jednym przedziale w drodze do Paryża, kiedy Berlin Zachodni został za nami i nikt nie przyszedł nas aresztować, wtedy pojęłam, jak musi się czuć skazaniec cudem ocalony od egzekucji.

Nawet brzuch zaczął mnie normalnie boleć, poczułam zwyczajny skręt kiszek z głodu i niewysłowioną radość, że oto właśnie udało nam się przekroczyć mur berliński bez przykrych niespodzianek. Byłyśmy poza murem! Jechałyśmy pociągiem prosto do Paryża! Za oknem śmigały równiutkie zielone pola i schludne niemieckie wioski, było lato i miałyśmy po dwadzieścia parę lat. Czy można być bardziej szczęśliwym?

Jakieś trzysta kilometrów dalej Młodsza Migułka wyjęła rozmówki francuskie i sprowadziła nas z obłoków na ziemię. Wszystkie cztery zaczęłyśmy w tempie ekspresowym pogłębiać znajomość tego języka.

W końcu za niecałą dobę miałyśmy podjąć pierwszą w naszym życiu pracę pokojówek w czterogwiazdkowym paryskim hotelu.

W hotelu Sheraton.

Na gare de l'Est wyczołgałyśmy się z pociągu w stanie przypominającym mocno zużyte kapcie. Zmęczone, głodne, pragnące jedynie snu i świętego spokoju. Od nauki francuskiego rozboleła mnie głowa. Miałam w niej kompletny mętlik, myliło mi się wszystko, czego się przez kilka lat nauczyłam. Najlepiej trzymała się Migułka Młodsza. Kiedy więc poległyśmy z bagażami na posadzce Dworca Wschodniego, żadna z nas nie miała dość siły, aby - choć to był już Paryż - wiwatować na jego cześć. Ja miałam tylko jedno pragnienie: ciepły kąpiel do spania, woda do umycia i jakaś przekąska na dobranoc. Byle szybko, bo brzuch nie dawał mi spokoju.

Migułka Młodsza poszła do automatu telefonować, a po powrocie oświadczyła, że nasze zarezerwowane wcześniej lokum jest z jakichś powodów nieaktualne. Więc co dalej? Będziemy spać na dworcu?

Poszła teraz do jakiejś informacji, chwilę coś tam omawiała z młodą kobietą w uniformie, po czym wróciła do nas i oznajmiła:

- Jedziemy na rue des Batignolles.
- A co tam jest? - spytała sennym głosem Ewka.
- Nasze tymczasowe lokum. No dalej, zabieramy się stąd.

Do dziś zagadką jest, skąd Migułka Młodsza wytrzasnęła ten hotel. Ale dzięki temu jakoś przetrwałyśmy nasze pierwsze dni w Paryżu, do podziwiania uroków tego miasta nie miałyśmy ani sił, ani ochoty.

Hotel na rue des Batignolles był malutkim lokalem wciśniętym w ciasną zabudowę kamienic niedaleko Place de Clichy. Właściciel mówił po polsku, co nam bardzo pasowało na początek, bo żadna nie miała dość siły, aby wykrzesać choć jedno poprawne zdanie po francusku. Nam potrzebne były woda, szampon, świeża pościel i dwadzieścia godzin snu.

Dostałyśmy dwa pokoje, jeden dla Migulek, drugi dla mnie i Ewki.

Kiedy wciągnęłam swój plecak po krętych i wąskich schodach na górę, było mi naprawdę wszystko jedno, co tam zastanę. Pokój wyglądał jak pudełko do prezentów przewrócone na lewą stronę. Był malutki i wytapetowany w kwiatki, z jednym łóżem w takie same kwiatki. Do pokoju przylegała łazienka, więc, spragniona kąpeli, natychmiast poszłam ją obadać. Łazienka była wyposażona w dwie rzeczy: umywalkę i... bidet.

Nie było wanny ani prysznic!

Czy ktoś wie, że w bidecie można się wykapać? Ano, można. Można też umyć głowę i nawet opłukać! Bogate w te odkrycia poszłyśmy spać z Ewką w jednym wielkim kwiecistym łóżu, na szczęście łóżka mają w tym Paryżu opasłe, nieważne, czy hotel jest tani, czy drogi. Każda z nas znalazła więc własny kąt i po raz pierwszy od paru dni zasnęłam w prawdziwym łóżku. Przed zaśnięciem pomyślałam o jutrzejszym dniu. O tym, że musimy być w hotelu Sheraton przed ósmą rano. Ale ze zmęczenia zapomniałam nastawić budzik.

Łóżko było miękkie, poduszki pachniały świeżością, brzuch powoli przestawał mi dokuczać.

No to jestem w Paryżu, pomyślałam i zasnęłam snem głębokim, jak nigdy wcześniej.

- Zaspałyśmy! Aga, pobudka!

Nasz pierwszy dzień w Paryżu przypominał wyścig formuły jeden na torze w Monzie. Nawet nie zdążyłam pomalować oczu, a już zaspane stałyśmy na stacji metra. Jeszcze śniłam o duńskich facetach z lampasami na spodniach, kiedy podjechał pociąg i z gwizdem otworzyły się jego drzwi. Pełno ludzi od samego ranka! Nie było na czym usiąść, aby spokojnie śnić dalej. Chwyciłam jakiś pionowy drążek, żeby nie stracić równowagi. Ewka stała obok z niewyraźną miną, a za nami obie Migułki. Wyglądały na wyjątkowo wypoczęte. Jak one to robią? Powoli, jak podczas wybudzania z narkozy, docierały do mnie kolejne komunikaty. A więc: że oto jestem naprawdę w Paryżu, że już nie marzę o tym wyjeździe, lecz stał się on faktem, a na koniec najgorszy komunikat: za chwilę zacznę pracę w hotelu Sheraton, choć dałabym konia z rzędem za jeszcze jedną godzinę snu.

Wagon był pełen zaspanych ludzi. Przy oknie siedziała młoda Mulatka z małym dzieckiem na kolanach. Obok niej jakiś Latynos z dreadami i słuchawkami na uszach. Dalej dwóch facetów pochłoniętych czytaniem „Le Monde”. Czyżby francuscy biznesmeni też korzystali z metra? Pociąg zasuwał sto na godzinę i przy każdym skręcie mocniej zaciskałam rękę na metalowym drążku. Ile jeszcze stacji? Nie miałam pojęcia. Od tego obie z Ewką miałyśmy Migułki.

Aby nie usnąć na stojąco, musiałam znaleźć sobie jakieś zajęcie. Przypatrywałam się więc młodej, ślicznej Mulatce z dzieckiem. Bobas zaczął płakać. Miał piękne, czarne kręcone włoski. Mulatka, jak gdyby nigdy nic, rozpięła bluzkę i przystawiła malucha do piersi. Dla mnie był to szok, rozejrzałam się dookoła, ale nikt się tym nie przejął. Faceci nadal czytali „Le Monde”, Latynos nadal słuchał muzyki, podczas gdy młoda mama karmiła nagą piersią swoje

niemowlę. I chyba wtedy właśnie się obudziłam na dobre. O rany! Jestem w zupełnie innym świecie! W Polsce nigdy nie widziałam karmiącej matki na ulicy czy w tramwaju. A tu działało się to na moich zaspanych oczach, i działało się naprawdę!

Wysiadłyśmy na stacji Montparnasse, a raczej zostałyśmy wypchnięte z pociągu przez cały tłum, który właśnie na tej stacji wysiadał. Tak jakby wszyscy pracowali w tej dzielnicy. Nagle znalazłam się na ruchomych schodach, a potem na ruchomym chodniku! Ruchome schody, owszem, znałam, choćby z naszej stolicy. Ale ruchome chodniki? Jechałam po chodniku, a inni ludzie mijali mnie z podwójną prędkością. Ledwie wyhamowałam, kiedy ów trotuar się skończył i wypłuł nas na kolejne ruchome schody. Muszę przyznać, że ten cały galimatias ruchomych bieżni rozbudził mnie na dobre. Zaspanie na czymś takim groziło śmiercią lub kalectwem. Migułki wprawnie prowadziły nas prosto do celu.

Niewiele miałam czasu, aby podziwiać architekturę Montparnasse. W biegu spojrzałam na strzelistą wieżę całą ze szkła i stali. Gdybym była turystką i miała w kieszeni mnóstwo franków, pewnie pojechałabym na jej szczyt, aby podziwiać widoki Paryża. Jednak nie było czasu na sentymenty. Pędziłyśmy na skróty do naszego hotelu, aby zameldować się przed ósmą.

Hotel Sheraton okazał się nowoczesną wieżą wzbijającą się w błękitne niebo niczym ogromny miecz. Spojrzałam w górę i zakreśliło mi się w głowie. Czy lęk wysokości można mieć nawet z dołu?

- Tu się przebieracie, to wasze chariot (wózki), to podpiszcie. I za pięć minut macie być na czternastym piętrze - powiedziała nasza szefowa, ładna Mulatka w białym uniformie.

Mówiłam wcześniej, że ten dzień był jak wyścig formuły jeden? Więc było tak: fartuszki w kolorze różowym, wózki z całym wyposażeniem, zero przyuczenia do zawodu pokojówki i od razu czternaste piętro. A na tym piętrze kilkanaście pokoi do posprzątania.

Super! Całe życie o tym marzyłam! Marzyłam właśnie o tym, żeby wylądować na czternastym piętrze czterogwiazdkowego hotelu w Paryżu i robić za pokojówkę w różowym fartuszku. Na szczęście byliśmy z Ewką razem. Migułka dostała na dzień dobry piętro siedemnaste.

I wiecie co? Na początek ogarnął mnie dziki śmiech! Bo kompletnie, absolutnie kompletnie nie miałam pojęcia, co ja tam robię i od czego powinnam zacząć pracę! Ewka chyba czuła to samo co ja.

Stałyśmy jak dwie sieroty pośrodku długiego na sto metrów korytarza wyłożonego ciemnoczerwonym dywanem i byłyśmy jak dwa koty wrzucone do wody. Ale pecunia non olet. Trzeba było podjąć wyzwanie.

Jakby na nasze życzenie na korytarzu pojawiła się nasza Premiere, czyli przełożona. Była nią Jugosłowianka, ładna młoda kobieta z pięknie upiętym kokiem ciemnych włosów. Bez słowa otworzyła specjalnym kluczem pierwszy pokój i pokazała nam, co mamy do roboty.

- Zaczynacie od odkurzania. Dywan, stoliki, szafki. Tu kładziecie gadzety, pocztówki, długopisy, zapalniczki. Potem ścielicie łóżko. Codziennie nowa pościel, nawet jeśli wam się wydaje, że stara nie była używana. Pamiętajcie, codziennie nowa pościel! Potem idziecie do łazienki. Tu wszystko musi lśnić! Umywalka, wanna, bidet. Armatury muszą błyszczeć, jakby były ze srebra. Żadnej plamki po wodzie, żadnego kłaczka! Tu jest lodówka, a w niej zawsze musi być pełen asortyment drinków i lodu. Aha! I musicie za każdym razem kłaść nowe czepki kąpielowe, ręczniki, szampony i mydła.

I, broń Boże, nigdy nie wchodźcie do pokoju, kiedy jest w nim gość! Tu macie klucze do pokojów i do lodówek, to są wasze chariot, a jakby co, to mnie szukajcie... No, to powodzenia!

I znikła równie szybko, jak się pojawiła.

Nic dodać, nic ująć. Wszystko było jasne. To znaczy nic.

Stałyśmy z Ewką przez parę minut, zastanawiając się, co my tu właściwie robimy ubrane w te śmieszne różowe fartuszki. Ale skoro mamy tu zarabiać na nasze utrzymanie, to w takim razie trzeba stanąć na wysokości zadania.

Pierwsze dwa pokoje zajęły nam tyle czasu, ile przewidziane było na całe piętro. Tego dnia nie zdołałyśmy nawet zrobić jednej czwartej normy. Odkurzałam, ścieliłam, zmagalam się z tymi ogromnymi francuskimi prześcieradłami, wpadałam w czarną rozpacz, kiedy czas mijał, a ja nawet nie doszłam do piątego pokoju. Tego dnia ominął nas lunch w kafeterii. Za wszelką cenę głodne i zmęczone starałyśmy się z Ewką posprzątać całe nasze czternaste piętro. Nie dałyśmy rady. Myślałam, że następnego dnia zostaniemy wylane na bruk, ale nie. Pozwolono nam eksperymentować dalej. Więc zrobiłyśmy sobie z Ewką małą naradę strategiczną. Przeanalizowałyśmy po kolei, co warto robić dokładnie, a z czego można trochę zrezygnować. I tak: czyszczenie odkurzaczem dywanów, które były na ogół czyściutkie, uznałyśmy za niepotrzebną stratę czasu. Po jednym dniu pracy polskie geny uruchomiły w nas awaryjny system przetrwania. Robić tylko tyle, ile trzeba, żeby było dobrze. Nie przemęczać się, nie świrować. Na przykład, jeśli w pokoju leżał na dywanie jeden mały paproch, to po cholere brać do ręki odkurzacz? Przyciągnięcie tego wielkiego cholerstwa zajmowało sporo czasu, a podniesienie małego paproszka tylko sekundę.

W ten sposób powoli, po kilku dniach, miałyśmy już opracowany własny system sprzątania, który się sprawdzał, a

przynajmniej nasza Premiere się nie czepiała. I nawet znalazłyśmy czas na przerwę w kafeterii.

Kafeteria była na poziomie minus jeden. Ta dla pracowników, rzecz jasna. Goście hotelowi mieli do wyboru luksusową restaurację i kilka barów. My w porze lunchu zjeżdżałyśmy windą do pracowniczej knajpki. Nie powiem, ta pracownicza knajpka wyglądała o niebo lepiej niż nasz rodzimy bar mleczny przy placu Młodej Gwardii, w którym podawano pierogi ruskie albo takie przysmaki jak podgardle czy cynaderki. Tu na tackach brałyśmy dowolnie wybrany lunch spośród trzech propozycji na dany dzień. Po raz pierwszy w życiu jadłam kuskus i inne śmieszne dania, ale fajne było to, że zawsze do tego przysługiwała mała butelka wina. Nikt nie brał wody czy soku, wszyscy brali te małe butelki wina.

Po takim posiłku chętniej jechało się na czternaste czy inne piętro, aby dalej rozwijać te grands draps (wielkie francuskie prześcieradła) i polerować i tak już lśniące armatury w łazienkach.

Po kilku dniach obie z Ewką już byłyśmy na tyle doświadczonymi femmes de chambre, że znajdowałyśmy pomiędzy sprzątaniem pokoiów chwilę wytchnienia na czytanie pozostawionych przez hotelowych gości książek albo na zwyczajne ploty.

Goście to osobny temat. W tak dużym hotelu można spotkać niemal wszystkie ich typy i wyspecjalizować się w sporządzaniu portretów psychologicznych. Wystarczy podpatrywać, w co się ubierają, co czytają, co wyrzucają do kosza. A także, i przede wszystkim, czy dają napiwki, czy nie.

Któregoś dnia sprzątałam jedynekę na osiemnastym piętrze. Pokój pachniał jak laboratorium Armaniego. W szafie wisiały równiutko same markowe ciuchy z najwyższej półki, a

łazienkę przyozdabiały najdroższe męskie kosmetyki. Zawołałam Ewkę, aby jej to pokazać.

Zostawiła na chwilę własne piętro, aby nacieszyć się moim odkryciem. Było to już po kilku dniach pracy w Sheratonie, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na nieco swobody.

- O rany! Same drogie szwedzkie kosmetyki! A zobacz to! Jedwabne krawaty! - Ewcia najwyraźniej była pod wrażeniem. Ja też. Obie doszłyśmy do wniosku, że ten pokój zajmuje jakiś superprzystojny wiking, który wydaje na ciuchy i kosmetyki więcej niż niejedna supermodelka. Pokój wypełniał delikatny zapach męskich perfum i choć nie miałyśmy pojęcia, jakiej były marki, to nosy podpowiadały nam, że drogiej.

Cudem udało nam się zbiec z tego pokoju, zanim wiking się pojawił.

Wieczorami chodziłyśmy sobie po okolicach Place de Clichy nieopodal naszego tymczasowego lokum, aby trochę poudawać, że jesteśmy w Paryżu turystkami. Ale byłyśmy tak totalnie niedospane, że te wycieczki nie trwały długo.

Zwykle wracałyśmy do hotelu przy rue des Batignolles przed dziesiątą i padałyśmy na łóżko jak kawki. Nie było nam dane zwiedzanie Paryża, nie miałyśmy zielonego pojęcia, co inni turyści robią o tak wczesnej, jak na Paryż, porze.

Spałyśmy kamiennym snem, aby następnego dnia wstać przed szóstą, w pośpiechu zaliczyć kawałek bagietki z białym serkiem gervais, zdążyć do metra i być przed ósmą w pokoju odpraw u naszej przełożonej. Paryż żył własnym życiem, a my zarabiałymy po sto franków dziennie za harówkę, która nie dawała nam ani chwili na wypoczynek. Ale przynajmniej było co jeść i coraz lepiej się sprawowałyśmy w tych różowych fartuszkach.

Któregoś dnia Ewka zawołała mnie, abym przyszła koniecznie do pokoju, który właśnie sprzątała. Zostawiłam swój chariot i pobiegłam zobaczyć, co to takiego. Akurat sprzątałyśmy to samo piętro, więc nie miałam daleko

Ewka stała na korytarzu z miną detektywa, który właśnie odkryła trupa.

- Ciii - przyłożyła palec do ust - wejdz i sama zobacz. Bałam się wejść do tego pokoju, ale weszłam. Ale nie znalazłam tam ani trupa, ani nawet śladów krwi.

- O co chodzi? - pytam Ewkę. A ona idzie za mną jak cień i wskazuje na łazienkę. Jezu, czy tam jest trup? Wchodzę więc do łazienki i nic. Żadnego trupa.

- Ale o co...

- Zobacz!

- Co?

- No tam, w wannie. - Ewka najwyraźniej jest w jakimś szoku. Boże, a może jednak trup? Odsuwam półprzejrzystą zasłonkę zadrukowaną w deseń logo hotelu, literę S otoczoną liśćmi, i boję się, co za chwilę zobaczę.

- Nic tu nie ma - mówię z ulgą.

- Nic, a to co? - Ewka pokazuje mi wannę. Rany! Co prawda nie ma tu niczych zwłok, ale jest mnóstwo czarnych kręconych kłaczków. Całą wannę oblepiają czarne kręcone włosy. I to z tego powodu Ewka mnie zawołała?

A ona prawie ryczy z rozpacz.

- Ewcia, o co chodzi? - pytam.

- Jak to o co? O te wstrętne czarne kędziorki! Ja tego za żadne skarby świata nie dotknę! Nie ma mowy! Brzydzą się i nie zrobię tego, choćby mi ktoś przystawił spluwę do skroni!

Myślałam, że zaraz padnę ze śmiechu. Przecież to były tylko kłaki na wannie! Jakiś palant, zapewne Arab, bo takie

czarne i kręcone wskazywały na Araba, zapomniał spłukać wannę. A Ewka odstawia mi tu farsę.

- Ewka - mówię do przyjaciółki - przecież to tylko włosy.
- Biorę prysznic i spłukuję całe to badziewie do kanalizy. Cud, że się nie zatkala, ale to w końcu nie mój problem. Ewa stoi z boku i jęczy. I sugeruje, że chce rzucić tę robotę.

Jak już wanna została oczyszczona z arabskiego owłosienia, Ewa się trochę uspokoiła i nawet przestała nalegać na odejście z Sheratona. I tak nie miałyśmy innej pracy, więc ulżyło mi, że po tym szoku zaczęła myśleć realnie. Usiadłyśmy na miękkim łożu w wolnej dwójce na trzynastym piętrze i dowiedziałam się wtedy, dlaczego tak bardzo nienawidzi czarnych kręconych włosków.

Ewka po prostu nienawidziła wszystkiego co czarne i kręcone, odkąd jakiś Arab próbował wejść przez okno do jej pokoju. A było to rok wcześniej, na saksach w Szwecji. Spała w tanim hotelu, a po sąsiedzku mieszkali Arabowie. Którejś nocy jeden taki, co ma czarne kręcone włosy, próbował po pijaku wleźć do jej pokoju przez uchylone okno. Ewka narobiła takiego rabanu, że cały hotel się obudził. Arab prysnął, ale Ewka odtąd miała już zawsze czarne sny i myśli związane z czarnymi włosami. I nienawidziła wszystkich Arabów. A było to wiele lat przed Osamą Bin Ladenem i jego wojownikami. Tak czy inaczej, Ewka miała prorocze wizje.

Siedziałam z nią w pokoju i pocieszałam. Nie każdy Arab to potencjalny gwałciciel, mówiłam. Choć sama nie miałam o tym zielonego pojęcia. Ale musiałam jakoś namówić Ewkę, aby nie zrezygnowała z pracy z powodu tej obrzydliwej czarnej wanny, bo skąd weźmiemy pieniądze na hotel i bagietki? Kiedy się już porządnie wypłakała, to poszłyśmy na lunch, wzięłyśmy po dwie butelki wina i jakoś wszystko się rozeszło po kościach.

Aż do następnego razu.

Nie wiem, jak to możliwe, ale Ewka zawsze trafiała na jakichś zboczeńców. Byłyśmy pokojówkami, chodziłyśmy ubrane w okropne różowe fartuszki i sprzątałyśmy pokoje czterogwiazdkowego hotelu. Codziennie inne piętro, w końcu nawet zauważyłam, że piętra różnią się wystrojem! Im wyżej, tym kolorystyka robiła się bardziej śmiała.

Na ostatnim piętrze były apartamenty zielono - granatowe.

Nieprędko nas tam wysłano. Dopiero po jakichś dwóch tygodniach harówki, i tylko dzięki temu, że dotąd nie popełniłyśmy żadnego poważnego błędu. Premiere cały czas dawała się nabierać na nasze sztuczki. Pytała, czy aspirateur był w robocie? Jasne, że był. A my odkurzacza nie używałyśmy prawie wcale, chyba że było to naprawdę konieczne.

Tego dnia Ewka pierwszy raz dostała apartament. Ja ścieliłam łóżka na szesnastym piętrze i wkurzałam się na syf, jaki tam zastałam. Gośćmi tego piętra byli Amerykanie, całe rodziniki z dziećmi, które wygrały zapewne podróż do Europy w jakimś durnym amerykańskim teleturnieju. Wszędzie wałały się puszki po coli (jak można pić colę w Paryżu?), na podłodze pełno było opakowań po chipsach i frytkach (jak można to zjeść w Paryżu?), a do łóżek, które normalnie musiałam pościelić, dostawione były jeszcze łóżka dla dzieci!

Koszmar z ulicy Wiązów! Jeden taki pokój do posprzątania był jak całe piętro Japończyków.

Ale wzywa mnie Ewka, więc pędzę na jej dwudzieste czwarte piętro, gdzie jeszcze nigdy nie byłam, bo są tam apartamenty dla szczególnie bogatych gości.

Może Ewka chce mi się pochwalić, że dostała takiego awansu?

Chyba nie. Zastaję ją z rozłożonymi rękami na korytarzu. Siedzi skulona, oparta o ścianę i za chwilę zacznie płakać.

Przynajmniej tak wygląda. Co się dzieje, pytam ją. A ona tylko siedzi, jęczy i kiwa głową jak autystyczne dziecko.

W końcu odzyskuje mowę.

- Ten gość wołał, żebym weszła, choć przecież nie wolno nam wchodzić do pokoju, jak są w nim goście? - Ewka szuka u mnie poparcia.

- No tak - mówię - w zasadzie tak. - To była zasada numer jeden, którą nasza Premiere piękna Jugosłowianka ze starannie upiętym kokiem, codziennie nam wbijała do głowy. Pokojówka ma być niewidzialna dla gości. Pokojówka ma być jak duch. Ma robić swoje, ale ma pozostać niewidzialna. Nad wszystkim czuwał specjalny system komputerowego monitoringu znajdujący się dwa piętra pod ziemią, gdzie stacjonowała nasza szefowa, Izabelle, śliczna i zadbana Mulatka. Tam na monitorach było zaznaczone wszystko. Który pokój jest akurat zajęty, który wolny, który sprzątnięty. Dostawałyśmy pozwolenie wejścia tylko do pokoi, w których akurat nie było gości, bo właśnie wyszli i trzeba było pościelić łóżka, albo goście wyjechali i pokój trzeba było przygotować od zera na przyjęcie nowych.

Ale, jak to bywa z systemami komputerowymi (w tamtych czasach była to supernowoczesna technologia, z którą w naszym kraju nie miałyśmy jeszcze do czynienia), czasami nawalają. I zapewne tym razem system nawalił, Ewka dostała zapewnienie, że apartament jest wolny i może wejść.

- Więc weszłam, choć nie powinnam - ciągnie Ewka. Aż bałam się ją spytać, czy gość miał kręcone czarne włosy. Ale chyba nie o to chodziło. Nie tym razem.

- A on siedział sobie na kibelku i czytał gazetę - mówi Ewka.

- Jaką?

- Co?

- Jaką gazetę?

- A skąd mam wiedzieć! - Ewka już prawie ryczy. - Ale był nagi! Kapujesz? Nagi! Siedział sobie na kibelku, drzwi otwarte, a ja wjeżdżam z tym całym chariot do pokoju! A on się uśmiecha lubieżnie i wcale mu nie przeszkadza, że właśnie robi klocka, kiedy ja stoję w przedpokoju z tym cały kramem. I mówi, bardzo proszę, proszę wejść! Czy ty rozumiesz, o czym mówię? Trafiłam na psychola. Zostawiłam chariot w środku uciekłam i teraz nie wiem co zrobić.

Faktycznie, miała problem.

Musiałam coś szybko wymyślić. Jeśli facet nadal siedzi w łaziencie na kibelku, to trzeba go jakoś ukarać za takie potraktowanie pokojówki. Ale jak? A jeśli to jakiś szejk arabski, od którego zależą dostawy ropy naftowej dla Francji na najbliższą dekadę? Może ten facet ma inne prawa niż pozostali goście? O nie, nie ma. Szybko obmyśliłam plan zemsty.

Ewce było chyba wszystko jedno, co zrobię, byleby wydostać z pokoju tego palanta jej wózek z akcesoriami, bo miała jeszcze mnóstwo roboty w innych pokojach na piętrze.

Zapukałam i weszłam do apartamentu. Facet faktycznie czytał sobie gazetę (zauważyłam, że było to „Le Figaro”), siedząc nago na sedesie przy otwartych drzwiach. Nie wyglądał na Araba, ale miał jakiś odrażający uśmieszek na twarzy. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że siedzi na tronie, a ktoś na to patrzy.

- Przepraszam pana, ale właśnie mamy alarm przeciwpożarowy - powiedziałam dość płynnie po francusku. Dziękowałam Migułce Młodszej, że wpoila mi to zdanie podczas podróży do Paryża. Wtedy się śmiałam. Alarm przeciwpożarowy! Po cholere się uczyć takich zdań! Ale teraz byłam w siódmym niebie. Facet poderwał się na równe nogi, nie mógł trafić w nogawki od spodni i cały się trząsł.

- Alarm? Co się dzieje? - krzyczał przerażony.

- Wszyscy goście muszą natychmiast opuścić hotel - rzuciłam stanowczym głosem. Zabrałam chariot Ewki i wycofałam się na korytarz. Potem już tylko obie patrzyłyśmy, jak facet ucieka z pokoju i kuśtyka do najbliższej windy, wlokąc po ziemi opuszczone spodnie.

Oczy Ewki z resztką łez poweselały.

Tego wieczoru po raz pierwszy poszłyśmy trochę zaszaleć. Migułki chodziły własnymi drogami, my naszymi. W końcu Paryża wystarczy dla miliona różnych dróg. Coś nas zawiodło na Montmartre. Wlazłyśmy na górę i zaparło nam dech w piersiach z wrażenia!

Pod nami rozpościerała się nocna panorama miasta. Miliony światełek wypełniały przestrzeń aż po sam horyzont, gdzie zlewały się z granatowym niebem usianym gwiazdami. Słysząc było cichy pomruk miasta, przytłumione klaksony aut, brzęczenie motocykli. Ogrom tej scenerii był zniewalający. Wieża Eiffla z tego miejsca była malutka jak zapalka, choć widoczna wyraźnie, bo wspaniale oświetlona. Dopiero stąd było widać, jak ogromnym miastem jest Paryż. I jak niezwykle pięknym po zmroku.

Stałyśmy, wchłaniając ten niezwykły widok w ciszy, bo żadne słowa nie były w stanie wyrazić naszych uczuć. Ten moment był naszym prawdziwym Bonjour, Paris!

Było już grubo po północy, a na Place du Tertre tętniło życie. Pełno tam było turystów, kelnerów i rysowników.

Zewsząd dochodziły nas takie zapachy, że w żołądku poczułam skurcz. Miliony lampek, mieszanka rozmów we wszystkich językach świata. Knajpki, jedna za drugą, oferowały swoje plat du jour. Nigdy w życiu nie byłam tak głodna.

Wylądowałyśmy w jednej z restauracji na placu, nie przejmując się kosztami. W końcu to jest Paryż i coś nam się od życia należy.

Kelner ubrany w śmieszne dzinsy na szelkach rzucił nam kartę na stół i spytał, co pijemy. Co pijemy? Czerwone wino, wytrawne. A nad resztą się zastanowimy. Zniknął w czeluściach restauracji, a my zaczęliśmy studiować kartę dań.

Zaszałałyśmy sobie tego wieczoru. Ewka zapomniała o czarnych kręconych kłaczkach i facecie z gazetą na kibelku. Od tej chwili Paryż należał do nas.

Po wypiciu kilku kieliszków wina, zjedzeniu wspaniałej sałatki paryskiej, a potem soupe a l'oignon i na koniec boeuf a bourguignon obie nie mogłyśmy się podnieść od stolika. Zresztą po co się było podnosić? Zdobyć stolika w tym miejscu o tej porze granoczyło z cudem, zatem należało się tym szczęściem nacieszyć jak najdłużej.

Wrąbałyśmy na deser pływające lody z czekoladą i owocami, zamówiłyśmy jeszcze jedną butelkę wina i przez lekko zamglone oczy obserwowałyśmy ludzi, śmiejąc się ze wszystkiego jak dwie idiotki. Takich wesołych, rozgadanych ludzi nie spotykałybyśmy w naszym kraju o takiej porze. W Polsce o tej porze wszyscy już dawno spali albo zastanawiali się, co ugotować jutro na obiad. Albo oglądali telewizję, w której nadawano propagandowe programy wychwalające nasz wspaniały system. Czasami trafił się jakiś teatr w telewizji, czasami jakaś impreza z udziałem gości przy kielichu wódki. Polacy nie wychodzili w nocy do knajpek, których stoliki stały pod lampionami, bo u nas knajpki zamykano o dwudziestej drugiej, czasami nieco później. Rzecz jasna, jak wszędzie, zdarzały się też wyjątki. Działo kilka klubów studenckich, w których można było zabawić się do północy, czasem nawet troszkę dłużej, jakieś nocne lokale, ale takich miejsc było niewiele. Przyszło mi na myśl, że to, co w naszym kraju było wyjątkiem, tu było zwyczajną codziennością.

Kelner zerkał na nas od czasu do czasu, może zastanawiał się, kiedy będzie nas musiał wyciągać spod stołu, ale my

dzielnie się trzymałyśmy i coraz chętniej zwracałyśmy się do niego po francusku. Wszelkie zahamowania zniknęły, chyba po tym winie. Pewnie palnęłyśmy całe mnóstwo błędów i może nawet gaf, ale było tak zabawnie! Jakiś czas po północy sympatyczny kelner spytał, czy dobrze się czujemy. O tak! Cudownie! Jakiś gość namawiał nas na portret, ale jeszcze nie byłyśmy na tyle pijane, aby się zgodzić. Ewka wciąż wspominała tę scenkę z hotelu, kiedy gość uciekał do drzwi przeciwpożarowych z opuszczonymi spodniami. Spłakałyśmy się ze śmiechu. I nagle Ewka, mokra od łez, stwierdza:

- Jutro nas wyleją za ten fałszywy alarm.

- No to wyleją, wisi mi to - odpowiadam i dolewam wina do kieliszka Ewki.

- A może nie wyleją? - sugeruje Ewka.

- Wyleją albo nie wyleją - podsumowuję. - Tak czy owak, jesteśmy w Paryżu. A tu nawet fajnie jest być wylanym.

I obie śmiejemy się z tego, choć to wcale nie było przecież śmieszne.

- O rany! - jęczy Ewka.

- Merde - odpowiadam.

Moja głowa jest jak obcy. Zupełnie nie moja. Do naszego pokoju wpadły Migułki, jak zwykle świeżutkie i rześkie, i oświadczyły, że nie zamierzają się przez naszą głupotę spóźnić do pracy. Po czym obie wyszły, trzaskając drzwiami, co spowodowało, że mojej głowie jeszcze się pogorszyło.

- Aga?

- Co?

- Musimy chyba wstać i iść do roboty - jęczała Ewka słabym głosem.

- A po co? I tak nas wyleją.

- A może nie wyleją? Może jakoś da się wytłumaczyć ten alarm? Potrzebna nam ta praca przecież. Masz lepszy pomysł?

- W tej chwili nie nadaję się do myślenia.

- No właśnie.
- Co, no właśnie? A ty się nadajesz? - Nie.
- To proponuję, abyśmy się chociaż wyspały.
- Nie, wstańmy i jedźmy do Sheratona. - I tak już nie zdążymy na ósmą.

- To się spóźnimy. Powiemy, że metro się zepsuło, albo coś...

- Metro! Zepsuło się! Dziewczyno, paryskie metro się nie psuje.

Ewka najwyraźniej nie miała innego pomysłu. Leżałyśmy tak jeszcze jakiś kwadrans, kiedy mnie nagle olśniło.

- Wstajemy.

- Co?

- Wstajemy, no już. Ty pierwsza do bidetu, ja po tobie. Powiemy, że nas zgwałcono.

- Oszalałaś? Nas? Obie naraz?

- A czemu nie?

Nieważne. Ważne, że już byłyśmy na równych nogach i pędem szykowałyśmy się do wyjścia. Po drodze coś wymyślimy. W głowie mi się przelewało, jakby mózg nagle zmienił swój stan ze stałego w płynny, ale przynajmniej myślenie powróciło.

Na stacji metra omal nie wpadłyśmy pod nadjeżdżający pociąg. Nie miałam pojęcia, jak w takim stanie przetrwamy całą dniówkę w hotelu, ale może niepotrzebnie się tym martwiłam, bo byłam przekonana, że nas wyleją już na samym wejściu. A wtedy wrócimy do hotelu i odeśpiemy sobie wczorajsze szaleństwo.

W pokoju odpraw zameldowałyśmy się kwadrans po dziewiątej. Migułki zapewne już od godziny zasuwwały na entym piętrze tego szklanego giganta, pucowały armatury i ścieliły wielkie francuskie łóżka. Szefowa, piękna Isabelle koloru kawy z mlekiem, kazała nam usiąść.

Wymówienie, jak nic. Obie z Ewką zapomniałyśmy nawet słowa przepraszam po francusku. Siedziałyśmy niczym dwie uczennice przyłapano na ściąganiu podczas klasówki.

Izabelle spojrzała na nas z politowaniem.

- Mon Dieu - zaczęła, a my już wiedziałyśmy, co dalej nastąpi. Ale ona się jakoś dziwnie uśmiechała.

- Wyglądacie na zmęczone. No tak, dwa tygodnie bez przerwy. Tu mam wykaz waszych dyżurów. Błąd. To nasza wina. Każdemu należy się odpoczynek. Maksimum dziesięć dni i musicie mieć co najmniej dwa dni na wypoczynek. Inaczej związki zawodowe nas pozwą do sądu. Ale, mam nadzieję, zależy wam na tej pracy? Jeśli tak, to będę wdzięczna, jeśli to zostanie między nami. Czy się rozumiemy? Macie trzy dni na wypoczynek, widzimy się w poniedziałek i wszystko zostanie po staremu? Okej?

Ewka i ja powoli przetwarzamy w skacowanych głowach tę wiadomość. Więc nas nie wylewają? I jeszcze dają urlop? Co tu jest grane? Nasze twarze nasze nie wyrażają żadnej reakcji z powodu wciąż aktualnego kaca.

- No dobrze - ciągnie Izabelle, teraz już troszkę zmieszana - daję wam cztery płatne dni urlopu i widzimy się we wtorek. Tylko proszę, nic nie piszcie, nie komplikujcie, po co się od razu tak denerwować? Rozumiem, że nie tylko pracą człowiek żyje. A jesteście dobrymi pokojówkami i bardzo mi zależy na dalszej współpracy. To co, może być?

Nas oczywiście zatkało. Nie dość, że nas nie wylała, to jeszcze przeprasza. A ten fałszywy alarm pożarowy? Z tego wszystkiego w mojej głowie, wciąż pełnej toksycznych substancji, zaświtało jedno tylko wyjaśnienie. Oni się boją, że nas stracą. Pewnie nie ma zbyt wielu takich frajerek jak my, które by ścieliły czterdzieści łóżek dziennie za taką stawkę, jaką nam dawali. Więc powiedziałam tylko:

- Oui. Tak, zgadzamy się.

Izabelle odetchnęła z ulgą. Życzyła nam dobrego wypoczynku, dała nawet adres fajnej knajpki na lewym brzegu Sekwany, coś jeszcze wspomniała o małej podwyżce od następnego tygodnia pracy, po czym zniknęła za szklanymi drzwiami, zostawiając za sobą ledwo wyczuwalny powiew Chanel nr 5. Wyszliśmy z hotelu lekko zakręcone. Co się tu działo? Może, kiedy ochłoniemy, dowiemy się, o co w tym chodzi.

Te cztery dni były jak z bajki. Podczas kiedy Migułki zasuwwały w hotelu od świtu do nocy, my z Ewką zwiedzałyśmy Montmartre na koszt firmy. Codziennie przemierzałyśmy tę samą drogę. Od Place de Clichy w górę, aż na Place du Tertre. Znajomy kelner pytał, czy z nami wszystko w porządku, a my zapewnialiśmy go, że w najlepszym. Od tej chwili nawet nas ostrzegał, czego nie warto zamawiać. Więc zdałyśmy się na niego i naprawdę nie żałowałyśmy. Przynosił nam najlepsze dania dnia, zawsze uśmiechnięty i wesoły. Kręcił się pomiędzy stolikami jak małe tornado, trzymając tacę ponad głowami gości, co moim zdaniem było swojego rodzaju mistrzostwem. Do tego cały czas pod nosem coś gadał albo śpiewał, Bóg raczy wiedzieć co. Dla nas miał zawsze coś ekstra prawie za friko.

Odkryłyśmy też inną knajpkę w jednej z bocznych uliczek odchodzących od naszego placu. Podawali tam świetną sangrię, grała fajna muza i w ogóle klimat był wspaniały. Siadałyśmy przy ladzie i sączyłyśmy drinka. Przysiadali się do nas faceci różnej maści, ale my zawsze ich odprawiałyśmy z kwitkiem. Byłyśmy wystarczająco szczęśliwe, nie trzeba nam było jeszcze do tego jakichś facetów.

Ale dwie dziewczyny w Paryżu, które nie szukają faceta, to od razu jakaś przesłanka, aby posadzić je o... No właśnie! Tylko tego nam brakowało! Po kilku dniach miałyśmy już etykietkę lesbijek!

W komunistycznej Polsce nawet takie słowo wtedy nie istniało! Obie jak najbardziej byłyśmy heteroseksualne. A tu nagle dwie dziewczyny, które razem piją sangrię przy ladzie, które odstawiają facetów na bok, stają się automatycznie lesbijkami! Początkowo raziło nas, że taką łątkę nam przyklejali, czułyśmy się dziwnie czemuś winne, choć nie było powodu. Kiedy jednak zauważyłyśmy, że nie kryło się za

tym nic złośliwego, a nawet przeciwnie: niektórzy traktowali nas z wyjątkowym szacunkiem, grzecznie przyjmując ten nieprawdziwy komunikat do wiadomości, wtedy pojęłyśmy z Ewką, o co chodzi. I jak to coś się zowie.

Otóż zowie się: tolerancja.

Paryż był od dawna niczym jeden wielki mikser, do którego ktoś (ciekawe kto?) wrzucił wiele różnych składników kulturowych, wyznaniowych, rasowych, składników o rozmaitej ideologii i orientacji. Potem ten tajemniczy „ktoś” włączył mikser i postanowił zbadać, czy po wymieszaniu wszystkich składników powstanie coś, co nie wybuchnie i przyjmie się jako produkt końcowy. Z pewnością nie obyło się bez tarć i należało mocno trzymać przykrywkę miksera, żeby nie wysadziło jej ciśnienie. Ale w końcu składniki się poddały, przemieszały i postanowiły jakoś się nawzajem tolerować. Może nie pokochały się szaleńczą miłością, ale skazane na wspólną egzystencję zdecydowały się nawzajem uszanować.

Wyobraziłam sobie taki ogromny mikser w naszym rodzimym kraju. U nas nigdy nie doszłoby do porozumienia tych odmiennych składników. W Polsce strach było nie pójść na pierwszomajową manifestację, a cóż dopiero powiedzieć głośno, że ma się inną orientację seksualną!

W Paryżu nikt z tego nie robił problemu. Każdy miał kawałek miasta dla siebie. Paryskie ulice pełne były przeróżnych przebierańców, transwestytów, dziwaków i oszołomów. I nikt ich nie oceniał, nie poddawał analizie. Dopóki nikomu nie szkodzili, mogli sobie robić, co chcieli. Wszyscy oddychali tym samym powietrzem i zapewne płacili podatki, choć w kwestii podatków nie byłabym taka pewna.

Wieczorem w naszym skromnym hoteliku przy rue des Batignolles postanowiłyśmy z Ewką, że niech sobie tak o nas myślą. Przynajmniej przestaną nas nękać faceci, co do których mamy wiele zastrzeżeń. Zyskamy święty spokój.

Ale kiedy po raz pierwszy zobaczyłam JEGO, wszystkie moje postanowienia, że będę udawała lesbijkę, wzięły w łeb.

Był wysoki i miał długie ciemne włosy. Stał w tłumie gapiów, rysując na stojąco jakąś uśmiechniętą od ucha do ucha dziewczynę. Przedarłam się przez tłumek, żeby podpatrzeć, jak rysuje. Kurczę, był naprawdę dobry! Czarno - biały rysunek, żywa kreska, rozmazana gdzie trzeba palcem, patrzyłam, jak pojawia się portret tej dziewczyny na szarym papierze. Chciałabym tak umieć rysować, pomyślałam. W dodatku w takim miejscu! Pośród tłumu przyglądających się turystów.

Stałam, patrzyłam zauroczona i czekałam, aż skończy. Kiedy oddał rysunek dziewczynie i skasował należność, rozejrzał się wokoło i zapytał:

- Kto następny?

I nagle jego wzrok spotkał się z moim. Poczułam w sercu skurcz.

- A może ty, panienko? - Te słowa wypowiedziane po francusku były jak całkiem miła dla ucha muzyka. A ja, panienko, miałam ochotę uciec! On jednak na to nie pozwolił. Podszedł do mnie i ponowił propozycję zrobienia mi portretu. Niczym głupia geś wydukałam po francusku, że nie jestem chętna. Boże, jaki on był piękny! Wyglądał jak młody rewolucjonista z czasów Robespierre'a. Na szyi miał czerwoną apaszkę, włosy rozwiane, długie palce brudne od czarnej kredki. Jego szmaragdowe oczy przeszywały mnie niczym laser.

- Nie? A może jednak?

- Nie, nie chcę portretu - powtórzyłam cicho. Po zabojadzku, rzecz jasna.

A wtedy on się zaśmiał:

- Dobra, nie wysilaj się z tym językiem. Możemy rozmawiać po polsku.

No i poszliśmy na sangrię. Ewka w tym czasie dała się porwać jakiemuś młodemu Walińczykowi, chyba na tyle interesującemu, że zdążyła jedynie krzyknąć w moją stronę coś w rodzaju: spotkamy się w domu, po czym zniknęła w tłumie razem z tym elegancikiem ubranym w białą koszulę i spodnie khaki.

Mój towarzysz nie przypominał w niczym elegancika rodem z Walii. Przewijał się przez tłum turystów, ciągnąc mnie za rękę, jakby porywał mnie Tarzan w środku dżungli. Nic o nim nie wiedziałam, poza tym, że był piękny i mówił po polsku. Te dwie cechy razem dawały mu prawo zawładnięcia mną na resztę wieczoru.

Zaciągnął mnie do pełnej wrzawy knajpki przy rue Lepic, niedaleko Sacre Coeur, i posadził na wysokim taborecie przy ladzie. Kelner najwidoczniej go znał, bo z uśmiechem natychmiast postawił przed nami dwa kolorowe drinki.

A oddalając się, mrugnął do niego okiem. No tak. Nie jestem chyba tu pierwsza, pomyślałam. Ale co tam! Przecież jestem w Paryżu, a nie w cukierni Hajduczek, typowo peerelowskiej kawiarni, gdzie podawano kawę w szklance bez ucha i pączka bez marmolady. Te wszechobecne szklanki bez ucha i kawa czarna, ale bez zapachu, wciąż stały pomiędzy mną a paryskimi małymi filiżankami z uszkiem i aromatem prawdziwej kawy. Cały czas przestawiałam się na nową rzeczywistość. Huczało mi w głowie od wrażeń, ale ten zamęt był cudownie nowy i podniecający.

Kiedy już usiedliśmy na wysokich stołkach przy barze, mój Tarzan powiedział, że ma na imię Marco i jest tutejszym rysownikiem. Marco. Tak jakby po włosku. Może nie powinnam być zwyczajną Agnieszką, tylko jakąś Agnes albo kimś takim? Ale zaryzykowałam i z prostotą wyznałam swoje imię.

Nie wyglądał na zawiedzionego. Czułam się w jego towarzystwie onieśmielona.

Nie mogłam pojąć, dlaczego właśnie mnie wybrał z tłumu turystek i zaprosił na drinka. Może nie wierzyłam w swoje atuty? Może wciąż żyłam zakompleksiona w komunistycznej Polsce? Może jeszcze nie zauważyłam, że jestem atrakcyjną i w końcu dość wykształconą dziewczyną, której takie sytuacje nie powinny dziwić? Dwadzieścia parę lat życia w komunistycznej rzeczywistości może sprawić, że nawet wartościowy człowiek czuje się jak coś gorszego. Polacy żyli od lat z poczuciem niższości. Czuliśmy się gorsi tylko dlatego, że hodowani byliśmy w gorszym sosie. Sosie upichconym przez ustawiczne poczucie strachu, niepewności i niedostatku. A przecież nie byliśmy w niczym gorsi od innych! Ani brzydsi, ani głupszy, ani gorzej ubrani. Ja tego dnia miałam na sobie najlepsze dzwony kupione w Peweksie i własnego autorstwa kaszkiet uszyty ze starych džinsów.

Marco opowiadał mi o sobie, śmiał się, żartował. Od siedmiu lat rysował na placu. Od pięciu legalnie. Zdobył carte de sejour (kartę pobytu) i pozwolenie na stałą pracę.

Wynajmował maleńkie studio niedaleko stąd i żył skromnie (w jego pojęciu), ale czuł się wolnym człowiekiem. Jedyłą jego pasją był motocykl, podrasowana honda, którą uwielbiał jeździć po zatłoczonych ulicach Paryża.

- Nawet nie wiesz, jaka to frajda, przedzierać się pomiędzy stojącymi w korkach autami - opowiadał przy trzeciej sangrii. Kręciło mi się w głowie, ale jakoś tak cudownie, że nie miałam ochoty zamieniać tego stołka przy barze na jakiegokolwiek inne miejsce we wszechświecie.

- Mój chłopak jest kierowcą doświadczalnym - wyznałam.

- Masz chłopaka? - Marco zrobił się czujny.

- Jasne, ale ostatnio...

- Nie spodobał mu się twój wyjazd do Paryża?
- Tak jakbyś zgadł.
- A na czym jeździ? - Widać faceci jednak wolą tematy samochodowe.
- Uśmiejesz się...
- Nie, no coś ty! - Marco sącył sangrię i chyba całkiem dobrze się bawił, wysłuchując najświeższych doniesień z komunistycznej ojczyzny.
- No dobra. Jeździ fiatem 125 P i testuje opony.
- Poważnie? - Marco chyba nie wiedział, że fiat 125 P był w tamtych czasach najbardziej pożądanym autem w Polsce.
- Poważnie. Jeździ też na wyścigach. I jest wicemistrzem Polski w swojej klasie. A byłby mistrzem, gdyby nie defekt silnika...
- No to masz fajnego chłopaka - podsumował Marco. - Lubię wyścigi i moc silników pod maską. Ale od jakiegoś czasu wolę motocykle. Wiesz, tu motory są znacznie bardziej przydatne niż samochody.
- Zauważyłam. - Widziałam niejedną taką scenkę z ulic Paryża: samochody stały w korkach, a motocykle się przedzierały.
- No właśnie... A masz ochotę się przejechać?
- Teraz?
- Nie. Ale w ogóle?
- Jasne, czemu nie?
- To zabiorę cię na przejażdżkę po Paryżu. Zobaczysz, to frajda, jakiej nie zapomnisz nigdy.
I tak sobie gadaliśmy o motorach, autach i oponach, a potem nawet o portrecistach z Montmartre. Marco stwierdził, że mogłybyśmy spróbować naszych sił jako portrecistki. Uznałam to za głupi pomysł, ale... może Marco ma rację. Obiecał też, że nam pomoże w zakupie niezbędnych materiałów i podpowie, jak zdobyć klientów.

Kilka razy pogładził moją dłoń, ale kiedy naprawdę zaszumiało mi w głowie, poprosiłam, aby mnie odprowadził do domu. Przywołał kelnera kiwnięciem ręki, zapłacił rachunek i wyszliśmy na świeże powietrze.

Na pożegnanie delikatnie musnął mnie w policzek na dobranoc. Powiedział, że jakby co, to wiem, gdzie go szukać. Ale jakby co? W głowie mi się kręciło, bo najprzystojniejszy facet z Montmartre odprowadził mnie do domu. W dodatku był Polakiem! Przyjechał do Paryża kilka lat temu, udało mu się zdobyć *carte de sejour* i mógł normalnie i legalnie pracować jako artysta. A mnie następnego dnia czekały wielkie francuskie prześcieradła, chariot pełne pościeli do wymiany i przełożona wiecznie czepiająca się mojej pracy.

Kiedy znalazłam się w domu, Ewka już spała. Weszłam cichutko pod kołdrę, aby jej nie zbudzić. Zanim zasnęłam, wyobrażałam sobie, jak pędzę z Markiem ulicami Paryża na tylnym siedzeniu jego hondy. I jak mnie całuje na dobranoc. Jeszcze raz i jeszcze raz... I tak bez końca.

We wtorek o ósmej rano obie z Ewką ubrane w różowe fartuszki dostałyśmy swoje zadania. Ewka piętro dwudzieste pierwsze, ja szesnaste. Zegnaj, Montmartre, żegnajcie marzenia, znowu jestem paryską pokojówką.

Przynajmniej w porze lunchu można się było najeść za darmo. A nasze fundusze mocno się skurczyły po tym przymusowym odpoczynku. Sprzątanie szło mi tego dnia wyjątkowo sprawnie, pokoje były czyste i niewiele miałam na swoim piętrze do roboty. A to dzięki gościom. Byli nimi Japończycy, cała wielka wycieczka, która trafiła akurat na moje piętro. Nigdy jeszcze nie widziałam tak czystych pomieszczeń pozostawionych po gościach! W dodatku pod każdą poduszką znajdowałam napiwek. Kiedy wyciągałam monety spod poduszki, nagle do pokoju weszła Premiere. Zamarłam ze strachu. Te dodatkowe franki chyba nie należą

do mnie, lecz do niej, pomyślałam. Ale ona podeszła, wskazała na napiwek w mojej dłoni i powiedziała:

- To są twoje dodatkowe pieniądze. Nie pozwól, aby inna femme de chambre ci je zabrała. - I wyszła z pokoju.

Tego dnia z napiwków miałam praktycznie drugą pensję i błogosławiłam Japończyków. Tylko w jednym pokoju niczego nie znalazłam pod poduszką. Nawet się trochę zaniepokoiłam, pomyślałam, że to jakiś zbuntowany Japończyk albo może jakiś członek yakuzy? Ale i tak sporo zarobiłam.

Ponieważ całe piętro z japońskimi gośćmi zrobiłam w połowie czasu, bo było czyste jak pupcia niemowlaka, dostałam jako premię jeszcze inne pięterko do pracy. Sprzątałam właśnie pokój ogromnie zaśmiecony przez amerykańskich turystów, kiedy w drzwiach stanął jakiś człowiek o skośnych oczach. O Boże, to ten z yakuzy!

- Przepraszam, ale nie miałem drobnych, musiałem iść do banku rozmienić - mówi ten gość po angielsku. A ja patrzę na niego jak sroka w gnat. Co nieco rozumiem po angielsku, ale o co mu właściwie chodzi?

- Miałem dać pani napiwek - wyjaśnia.

- Ale nie trzeba - mówię - to moja praca.

- Trzeba - odpowiada - to nasz honor. - I wręcza mi trzykrotny napiwek tytułem przeprosin za zwłokę. Skoro chodzi tu o honor, to nie mam prawa z tym polemizować. Przyjmuję napiwek i od tej chwili mam całkiem nowe wyobrażenie o honorze. Dla nich to honor, a dla mnie kasa na kolejną kolację na Montmartre. Japończyk oddalał się w lekkim ukłonie zadowolony, że nie będą go dręczyły wyrzuty sumienia. Boże, spraw, żeby do Paryża przyjeżdżali tylko Japończycy!

A biedna Ewka tego dnia sprzątała piętro po Amerykanach. Totalnie zaśmiecone pokoje, pełno opakowań po fast foodach i zero napiwków!

Wieczorem i tak przeżarliśmy moje napiwki na Place du Tertre. Tym razem nasz kelner polecił nam choucroutte, specjał z kapusty i mięsa, francuski odpowiednik polskiego bigosu. Pycha!

Ale Marco nie było nigdzie i zastanawiałam się, czy mi się jedynie przyśnił tamtego wieczoru.

Któregoś dnia rano jechałyśmy z chariot na górę windą. Miałyśmy to samo piętro, więc było wesoło. Na korytarzu, który rozchodził się w trzy strony świata, podzieliliśmy się pokojami. Ewka w prawo, ja w lewo. Jak się uwiniemy przed czasem, to sobie gdzieś w kąciku przycupniemy i pogadamy o pierdołach. I nagle na korytarzu pojawił się ten gość. Był czarny jak heban, ale ubrany w biały garnitur. Kapelusz i aktówka też były białe. Szedł środkiem korytarza, coś sobie pod nosem pogwizdując. I palił cygaro. Brakowało mu jedynie rolls - royce'a, ale ten zapewne czekał na niego w podziemnym garażu.

Mijając nas, dwie pokojówki w różowych fartuszkach, zawołał:

- Hallo, girls!

A następnie rzucił niedopałek cygara prosto do naszego kosza na brudną pościel i zniknął w głębi korytarza. Ewka natychmiast wyciągnęła tłący się kawałek cygara, zapobiegając prawdziwemu, a nie wymyślonemu pożarowi w hotelu Sheraton. Zgasiła niedopałek i trzymając go w rękę, wycedziła przez zęby:

- Nienawidzę kapitalizmu.

I tak mijały nam kolejne dni w hotelu. Wstawałyśmy o szóstej rano, wracałyśmy o osiemnastej, czasami jeszcze wykrzesaliśmy trochę sił na jakiś wypad w głąb Paryża. Na bagietki z białym serkiem starczało, ale mieszkanie w hotelu było zbyt drogie. Jakby na nasze życzenie poznałyśmy w tamtym czasie pewnego artystę, który wycinał z czarnego

papieru profile na Place du Tertre. Najpierw wyciął mój profil, oprawił go w stosowną ramkę z papieru i sprzedał mi za dwadzieścia franków.

Potem zaczął gadać po polsku, aż w końcu zaprosił nas na wino. Facet mógłby być naszym ojcem, więc nabrałyśmy do niego zaufania.

Przedstawił się jako Marian, opowiedział nam swoją drogę z Gdańska do Paryża, jest tu już od ponad dwudziestu lat. Żyje z pracy na Montmartre, ma żonę i córkę, mieszka niedaleko. Zaprosił nas na obiad następnego dnia. I tak to się zaczęło. Marian stał się naszym opiekunem, naprawdę troskliwym jak ojciec. Kiedy usłyszał, że prawie wszystko, co zarabiamy, wydajemy na hotel i jedzenie, zaproponował nam swoje studio na Montmartre. I dodał, że nic nie chce w zamian, bo mieszkanie i tak stoi puste, więc możemy się przeprowadzić choćby natychmiast.

Pojechałyśmy zobaczyć to lokum jeszcze tego samego dnia. Mieściło się na czwartym piętrze jednej z kamienic przy rue des Trois Freres, malowniczej uliczce schodzącej łukiem z góry na dół po wzgórzu Montmartre. Stąd było tak blisko do naszej ulubionej knajpki i do... Marca. Lokalizacja idealna.

Zdyszane (czwarte piętro w starym budownictwie to jak szóste w nowym) otworzyłyśmy pomalowane na brązowo drzwi naszego nowego mieszkania. Marian zostawił nam klucze i pojechał do domu. Powiedział, że mamy się spokojnie rozejrzeć, zastanowić i przeprowadzić albo oddać mu klucze następnego dnia. Jeszcze nikt nigdy tak nam nie zaufał.

Za drzwiami był mały przedpokój, a dalej kuchnia i pokój z wnęką wypełnioną wielkim łóżkiem. Okna wychodziły na ulicę, skąd dobiegał typowy dla Paryża gwar z otwartych do późna kafejek. Ale w sumie było tu cicho i przytulnie. Były też drzwi do łazienki, i tutaj zaskoczenie: jest natrysk! I pralka! A w kuchni mała dwupalnikowa kuchenka i lodówka!

Inaczej mówiąc, było to mieszkanie, a nie hotel. Tu można sobie podgrzać obiad, można się wykapać, umyć włosy pod prysznicem, a nie na klęczkach w bidecie.

Ewka chyba nie wierzyła w nasz fart. Ja też. A może coś się za tym kryje? Może Marian to jakiś zboczeniec? Przecież nie ma nic za darmo!

Ale nie myślałyśmy w ten sposób. Chciałyśmy po pierwsze: uciec od Migulek, bo zaczynały nas irytować, po drugie: być blisko Montmartre, bo tam byłyśmy najszcześniejsze, po trzecie: zaoszczędzić kasy ile się da, bo wtedy zostanie nam co nieco na inne uciechy. Więc propozycja Mariana była wymarzonym rozwiązaniem wszystkich naszych problemów.

Następnego dnia odszukałyśmy naszego dobroczyńcę na placu, kiedy wycinał profil jakiejś turystki w kolorowej bluzeczce, rozbawionej nie wiadomo czym. Dał nam znak ręką, żebyśmy chwilę zaczekały, aż skończy. Po chwili pokazał dziewczynie swoje dzieło, wyglądała na zadowoloną, odebrał należność i podszedł do nas.

- I co, dziewczyny, przeprowadzacie się?
- Kusząca propozycja, ale...
- Coś wam się nie podoba? Wiem, trzeba naprawić kran w kuchni, bo trochę cieknie, i dzwonek do drzwi nie działa, ale...
- Nie - mówię w imieniu własnym i Ewki, która stoi obok i kiwa głową.

- To w czym problem? - Marian się uśmiecha.
- No w niczym, ale... nas na to mieszkanie nie stać. - Zdobywam się w końcu na szczerość, a Ewka potakuje. Rysy Mariana miękną w jednej chwili.

- Ale ja nic nie chcę! Chcę tylko wam pomóc, w końcu jesteśmy rodakami. Przed wami już pomogłem kilku osobom i też nic nie chciałem w zamian. Jeśli już koniecznie chcecie się zrewanżować, to zaprowadźcie w tym mieszkaniu jakiś

porządek, bo ostatni lokator raczej się nie spisał. No i czasami mnie tu odwiedzajcie, bo ileż można gadać po francusku? A w ogóle to zapraszam was na kolację do mnie, żona chce was koniecznie poznać, a i moja córka też. Ona jest w waszym wieku i chętnie się z wami spotka, pogadacie o tym, co u nas w kraju i w ogóle... No, do licha, czy nikt nigdy nie pomógł wam bezinteresownie?

Stałyśmy jak zamurowane. Nie, chyba nie.

- Tak, no zdarzało się - dukam - ale nie żeby nam ktoś dawał mieszkać za darmo...

Marian unosi rękę, w której nadal trzyma swoje nożyczki do wycinania profili, i pokazuje nam Place du Tertre.

- Widzicie ten tłum ludzi? To turyści. Amerykanie, Japończycy, Anglicy, Holendrzy i inni... Przyjeżdżają na kilka dni do Paryża, żeby w ekspresowym tempie zaliczyć Luwr, katedrę Notre Dame, przejść się po Champs Elysees i wjechać na wieżę Eiffla po trzygodzinnym staniu w kolejce po bilet. Oni nawet nie mają pojęcia, czym jest Paryż. Wyjadą stąd i zostaną im tylko zdjęcia robione przez innych turystów, jak się szczerzą na tle Łuku Triumfalnego albo obrazu Mony Lizy. Nikt z tych ludzi nie biega rano po bagietkę do piekarni, nie wie, jak to jest jechać metrem do pracy o siódmej. Oni się zjawiają i znikają. I nic tu po nich nie zostaje poza paroma śmieciami. - Marian na chwilę zamilkł, żeby zaczerpnąć powietrza. Ewka i ja milczałyśmy. Wyglądał teraz nie jak nasz ojciec, ale jak nasz duchowy guru, przewodnik, ksiądz albo doradca finansowy.

- Są też inni ludzie w tym mieście. Tacy jak wy albo ja. Ja tu przyjechałem, szukając pracy. I w końcu jakoś mi się powiodło. Nie zarabiam wiele, ale na życie wystarcza. Lubię tu żyć, choć tęsknię za Polską. Czasami mam ochotę wracać, ale... nie mam do czego. Więc jeśli mam okazję pomóc swoim ziomkom, to pomagam. I nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to,

że czuję się dzięki temu bliżej Polski, bliżej Gdańska, którego już bym pewnie nie poznał po tylu latach. Rozmowa z wami jest dla mnie wielką frajdą. Jesteście jak paczka z Polski, prezent przysłany mi po to, abym nie zapomniał, skąd przybyłem. A poza tym wszystkim jesteście po prostu bardzo miłymi dziewczynami. Więc dlaczego miałbym wam nie pomóc?

Trochę trwało, zanim odzyskałyśmy głos. Wyřęczyła mnie Ewka.

- W takim razie, panie Marianie, posprzątamy pana mansardę tak, że będzie lśniła, jakby była ze srebra!

Migułki powiedziały, że zwariowałyśmy. Ten facet nas chce wykorzystać, zgwałcić i zamordować. Taka była ich wersja. Poza tym jak my sobie bez nich poradzimy? Kto nas będzie rano budził i przypominał o pracy? I tak dalej. Pakowałyśmy swoje rzeczy do plecaków, a one stały w drzwiach i przytaczały coraz to więcej powodów, dla których nie powinnyśmy się wynosić z hotelu przy rue des Batignolles. A ponieważ nie przerywałyśmy zbierania skarpetek i szamponów, reagowały coraz ostrzej. W końcu Migułka Starsza, która zwykle nic nie mówiła, przepowiedziała czekającą nas wersję wydarzeń.

- Facet was nie zabije, ale wyrzuci z tego mieszkania, jak nie dacie mu tego, na co liczy. Bez dachu nad głową zostaniecie kloszardami. Z pracy was wyleją, bo będziecie śmierdziały jak bezdomni. Nie będzie was stać na powrót do kraju i w końcu staniecie na Pigalle jako dziwki. Czy tego chcecie?

- Może tak, może nie. A na razie zmywamy się stąd - oznajmiłam Migułkom i po chwili obie z Ewką byłyśmy już na schodach.

Życie bez odrobiny ryzyka jest jak rycerz bez miecza.

Tego samego wieczoru zamieszkałyśmy w malutkiej mansardzie na czwartym piętrze przy rue des Trois Freres nic nas nie obchodziły przepowiednie Migułek. Marian wydał się nam człowiekiem zwyczajnym i prawdopodobnym, w jakiś przedziwny sposób budzącym zaufanie.

Wykąpałyśmy się po raz pierwszy od trzech tygodni pod prawdziwym prysznicem, zapakowałyśmy do lodówki trochę zapasów, pościeliłyśmy wielkie łóżko we wnęce pokoju (akurat to potrafiłyśmy już robić perfekcyjnie) i otworzyłyśmy sobie na dobranoc butelkę bordeaux kupioną w pobliskim sklepie za niecałe dziesięć franków.

Popijałyśmy wino, susząc włosy, przegryzając bagietkę z twarożkiem gervais i napawając się miękkim materacem. Widok za oknem był przepiękny! Mnóstwo światełek nad Paryżem, atramentowe niebo i gwiazdy. Mamy wreszcie nasze własne mieszkanie!

- I co, Ewka, skończymy jako dziwki?

- Coś ty - wybełkotała z pełną buzią. - Zrobimy tu karierę. Przecież też mogłybyśmy robić turystom portrety? A za jeden portret mamy tyle samo, co za całą dniówkę w Sheratonie.

Nigdy wcześniej nie podejrzewałam Ewki o tak materialistyczne podejście do tematu.

Następnego dnia zbudziłyśmy się w wielkim łóżu, które chyba miało jakąś magiczną moc, bo śnił mi się Marco i jego honda. Przyjechał po mnie i wsadził na motor, a potem wjechaliśmy tym motocyklem na schody pod Sacre Coeur i nawet nie czułam, że coś trzęsie. I siedząc na tym jego motorze, oglądałam wschód słońca nad Paryżem, bo było już rano. A Marco miał na sobie czarny skórzany skafander i wyglądał jak marzenie każdej dwudziestoletniej dziewczyny. Czułam jego dotyk, jego uśmiech, jego pasję... A potem pojawił się jakiś inny facet ubrany na czarno i kazał nam opuścić te schody, bo tu nie wolno wjeżdżać motorem. I Marco odjechał, a ja spadłam i zostałam sama na zimnym stopniu schodów. A potem mnie wzięli na komisariat i musiałam się spowiadać z tego, kim jestem, co robię w Paryżu, i zrobiło się strasznie. Wsadzono mnie do jakiegoś lochu, gdzie zgrzytały klucze w zamkach zardzewiałych drzwi i szczękały łańcuchy...

Te szczękające łańcuchy to był dźwięk budzika.

Jednak przebudzenie tego ranka okazało się całkiem miłe. Ostre światło przebijało się przez drewniane żaluzje, tworząc w pomieszczeniu przyjemny, domowy nastrój. Był cudowny sierpniowy dzień, piękny dzień na spacer po Paryżu. Ale na

takie luksusy nas na razie nie było stać. Trwałam jeszcze częściowo we śnie i dopiero po chwili odkryłam, że w drugim końcu tego przepastnego łoża leży Ewka. Żadna z nas nie miała ochoty wstać pierwsza. Trąciłam Ewkę łokciem.

- Idź przynajmniej po bagietkę - wymruczałam zaspana. Ewka analizowała przez chwilę moje polecenie, ale potem wstała, ubrała się i naprawdę wyszła do sklepu! A ja cieszyłam się jeszcze kwadransiem błógiego wspomnienia Marca, który okazał się tchórzem. Ale to był przecież tylko głupi sen.

Kiedy wróciła i walnęła siatkę z zakupami na stół, nie była już taka ugodowa.

- Co miało znaczyć to: „przynajmniej”?

- Co mówisz? - Nie wiedziałam, o co jej chodzi.

- No, to, co powiedziałaś: idź „przynajmniej” po bagietkę! To tak, jakbym ci wczoraj zrobiła jakąś krzywdę i teraz dałaś mi szansę ją odpokutować!

- Ewka, o czym ty...

- Okej, nieważne. Jutro ty zasuwasz po bagietkę, a ja sobie dłużej pośpię.

- Jasne, no pewnie, że pójdę.

- A teraz wstawaj i musimy się sprężyć. Przecież jeszcze nie wiemy, jakim metrem stąd najprędzej będzie na Montparnasse.

O rany, Ewka miała rację! Stąd jest inna droga, trzeba sprawdzić na rozkładzie jazdy.

W pośpiechu wypiliśmy kawę i zjadliśmy cudownie chrupiącą bagietkę z serkiem gervais, po czym zbiegliśmy po ciemnych schodach naszej nowej kamienicy na ulicę. Ewka w biegu studiowała plan metra, okej, trzeba biec na stację Abbesses. Stacja ta jest położona na wzgórzu Montmartre, a ponieważ metro raczej jeździ na tym samym poziomie, więc trzeba było zjechać windą kilka pięter niżej, aby wsiąść do pociągu.

Izabelle przywitała nas z umiarkowanym uśmiechem, bo pomimo paru dni urlopu spóźniłyśmy się ponad kwadrans. Od razu przydzieliła nam za karę najbardziej zabałaganione piętra zajmowane przez kogo? No, zgadnijcie? Właśnie. Amerykanów! Nie żebym miała coś do tych ludzi, nie mam nic przeciwko Amerykanom, poza hotelem to naprawdę fajni turyści, chętnie robią zdjęcia innym turystom, są weseli i uwielbiają wycieczki do Europy, ale jak się jest pokojówką w hotelu, to troszkę inaczej się ich postrzega. Bo mają te swoje amerykańskie nawyki, od których robi się niedobrze. Przynoszą do pokoju tanie żarcie w kartonikach (takie też można niestety kupować w Paryżu) i zostawiają plamy po keczupie, resztki frytek, kawałki pizzy na dywanie albo na pościeli, albo na wszystkim. A najgorsze są całe amerykańskie rodziny z trójką rozbrykanych bachorów. Te małe, złośliwe turyściątka potrafią przylepić gumę do zucia w najmniej oczekiwanym miejscu. Na przykład do drzwi od łazienki albo do aparatu telefonicznego. A potem biedna femme de chambre męczy się, żeby to cholerstwo usunąć, i przepada jej zasłużona chwilka przerwy na kawę! Gdyby wszystkie kobiety świata były pokojówkami i gdyby widziały, jak mogą im dokuczyć dzieci, to pewnie ludzkość by wyginęła. Bo same nigdy, przenigdy nie sprawiłyby sobie dziecka!

Ewka też narzekała tego dnia na wyjątkowo parszywą pracę. Odkurzacz był niezbędny, bo paprochy na dywanach panoszyły się jak zaraza, łazienki wyglądały tak jak po amerykańskich dzieciach (a nie mówiłam?) i w ogóle całe jej piętro było tak zapaskudzone, że musiała pracować jak wół przez dziewięć godzin bez przerwy na lunch. A i tak wszystkiego nie doczyściła, bo nie było szans. Ja też. Więc jak w końcu wydostałyśmy się z tego szamba na świeże powietrze, głodne i zmęczone jak dwie juczne szkapy, poszłyśmy do pobliskiej knajpki, żeby odreagować dzień.

Siedziałyśmy na dworze przy stoliku z widokiem na wieżę Montparnasse i czekałyśmy na zamówione danie. W oddali lśnił w słońcu nasz hotel. Jeszcze wciąż miałam przed oczami brudne łazienki, poplamione ręczniki i rozmazaną na lustrze pastę do zębów. Do licha, przecież zaraz będę miała dyplom PWSSP! A tu jakiś Murzyn w białym garniturze rzuca niedopałek cygara do mojego chariot i jeszcze złośliwie się uśmiecha!

Ewka pewnie miała podobne myśli, choć milczała. Czekałyśmy na jedzenie, byłyśmy strasznie głodne. Kiedy w końcu nadszedł kelner z tacą pełną wspaniałego żarcia, rzuciłyśmy się na nasze dania jak sępy.

A potem Ewka wytarła usta serwetką i podjęła ważną decyzję:

- Walić ten cały Sheraton! Przecież umiemy rysować!

Marian ucieszył się ogromnie na nasz widok. Stał w swoim stałym kącie na Place du Tertre i wycinał z czarnego papieru profile. Aż dziw, że turyści to kupowali, bo moim zdaniem każdy profil był prawie taki sam jak poprzedni. Ale od tego są przecież turyści. Chcą mieć jakąś unikatową pamiątkę robioną specjalnie dla nich. Ważne, że ją mieli, mniej ważne było, czy jest choćby krztyna podobieństwa w tym małym portrecie. A Marian jakoś dzięki temu żył, mieszkał w atelier na poddaszu (poddasza w Paryżu nie są tanie) i utrzymywał z tego rodzinę. A do pracy potrzebował jedynie kartki czarnego papieru i nożyczek. Tyle że był chyba jedynym wycinaczem portretów, bo jakoś nie widziałam konkurencji. Inni malowali portrety albo je rysowali, albo malowali katedrę Notre Dame z pamięci ze wszystkimi detalami. Stałam kiedyś za takim artystą, który nic innego nie malował, jak właśnie katedrę Notre Dame. Robił to doskonale, wszystkie elementy katedry były na swoim miejscu: wielka rozeta, maskarony, łuki przyporowe,

wszystko. A za nim tłum gapiów przyglądał się jego pracy. Nagle ktoś zaczął się rozglądać w poszukiwaniu katedry, którą malował. Ale katedry stąd nie było widać, no bo jak? Artysta malował ją już od tak dawna, że pamiętał wszystkie szczegóły. Wspecjalizował się w katedrze Notre Dame. Malował ją z pamięci. Czy to można nazwać sztuką? Sama nie byłam tego pewna, ale... On robił to tak doskonale, że chyba jednak tak.

Kiedy w końcu Marian miał chwilę przerwy, pogadaliśmy. Ucieszył się, że dobrze nam się mieszka w jego mansardzie. Pytał, czy może nam jeszcze w czymś pomóc, może naprawić ten dzwonek albo kran? A my, że nie, dzwonek nam niepotrzebny, a kran właściwie to tylko kapie, a nie cieknie, więc nie ma problemu. Ale zauważył, że coś nas gnębi. Miałyśmy to wypisane na twarzach.

- Zrobię sobie przerwę - zdecydował. - Tuż za rogiem jest moja ulubiona knajpka. Zapraszam.

Nie protestowałyśmy.

- Więc macie dość tego wyzysku?

- Tak jakby - jęknęłam. Ewka popijała drinka z mnóstwem egzotycznych owoców, jakich w komunie nie widziała na oczy, i na chwilę się wyłączyła z rozmowy.

Patrząc na Ewkę wchłaniającą ten kolorowy napój, mimowolnie przypominałam sobie kolejki po cytryny w naszym pięknym kraju. Albo po gruboskórne kubańskie pomarańcze. Rzucali je tuż przed Bożym Narodzeniem, aby Polakom umilić święta. Efekt był taki, że zamiast czuć jakąkolwiek przyjemność ze zbliżających się świąt, wszyscy walczyli ze sobą w kolejkach po te suche, blade i pełne pestek namiastki owoców południowych. A tu było ich pełno, były pomarańcze, ananasy, nawet kiwi, które pocięte na kawałki trafiały do drinków niczym normalny, zwykły składnik, tak samo dostępny jak lód.

Hmmm... Coś było nie tak z tą naszą komuną...

W lokalu było tłoczno, barman dwoił się i troił, na ścianach wisiały piękne lustra w stylu art deco. Siedzieliśmy przy kontuarze z ciemnego drewna. Głośna muzyka trochę nam przeszkadzała w konwersacji, ale uczucie odprężenia po całym tym parszywym dniu sprawiało, że czułam się lekko.

- I chcecie spróbować jako portrecistki?

- A możemy?

- Nie macie carte de sejour.

- A na czarno?

- Jasne, że da się, ale...

- Ale co?

- Jak was fliki złapią, to nie będzie miło. - Marian skinął na barmana, żeby mu dał jeszcze raz to samo.

- A może nie złapią? Tu jest przecież taki tłum! Jak dotąd nie widziałam tu żadnych glin! Czy możemy przynajmniej spróbować?

- Mnie tam już wszystko jedno - odezwała się nagle Ewka wydłubując kawałek ananasa z drinka. - Mam dość hotelu Sheraton. Nie będę więcej myyc wanny po Araabach ani innych dupppkach! - Trochę się jej już plątał język, ale przesłanie chyba dotarło do Mariana.

- W takim razie dam wam spis tego, co trzeba kupić.

Z knajpki wyszliśmy z kartką, na której Marian zapisał nam niezbędne akcesoria i adres sklepiku zaopatrującego artystów malarzy.

Następnego dnia po raz ostatni (tak nam się wtedy wydawało) pojechałyśmy do pracy w hotelu. Pracowałyśmy ospale i źle, było to czymś w rodzaju strajku polegającego na leniwie wykonywanej pracy. Pewnie to my już wtedy wymyśliłyśmy tak zwany strajk włoski, choć nie przeszedł do historii jako nasz pomysł.

Niedomyte wanny, brak zapasowych czepków kąpielowych, tu i ówdzie zostawione paprochy na dywanie. I

co? Nikt nas z pracy nie wylał! Nikt nawet nie zauważył, że strajkujemy! Widocznie paryżanie tak bardzo są przyzwyczajeni do różnych strajków, że nasz malutki strajk pozostał niezauważony i był totalnie nieskuteczny.

Na odchodnym Isabelle z szerokim uśmiechem życzyła nam miłego wieczoru i nic nie wspomniała o naszych niedociągnięciach. Z tej pracy po prostu nie da się zostać wylanym!

Więc wylałyśmy się same.

Następnego dnia, zamiast pędzić o siódmej rano do metra na stacji Abbesses, notabene przyozdobionej pięknym graffiti, pospałyśmy sobie dwie godzinki dłużej.

Potem Ewka wyskoczyła do piekarni po ciepłą bagietkę, bo znowu była jej kolej, i bez pośpiechu zjadłyśmy sobie śniadanie w naszej małej kuchni, a następnie wybrałyśmy się na rue Norvins do sklepiku dla malarzy. W tym samym czasie w hotelu Sheraton Isabelle zapewne szalała i gorączkowo szukała zastępstwa dwóch pokojówek, które nie stawily się do pracy.

Nas to zupełnie nie obchodziło. Sklepik z akcesoriami dla artystów malarzy okazał się istnym rajem. Czego tu nie było! Najlepsze holenderskie akwarele, o jakich w komunistycznej Polsce nawet nie śniłam, pędzle wszelakiej maści i kalibru, węgle, ołówki, czerpane papiery, komplety farb w drewnianych kasetkach, oleje, tempery, gwasze... Jak tylko weszłyśmy z Ewką do tego sklepiku, to wyjść nam się z niego nie chciało. Nigdy w życiu nie widziałam tylu wspaniałości naraz!

Przypomniałam sobie nasz rodzimy sklep z farbami na Starym Mieście. Owszem, mieli tam jakieś farby, pędzle, papiery i inne akcesoria, ale żeby je kupić, musiałyśmy mieć zaświadczenie, że jesteśmy studentkami PWSSP. Wszystko było strasznie drogie i brakowało zwykle tego, czego

potrzebowałyśmy. Na przykład bieli cynkowej albo pędzli z włosia naturalnego określonego rozmiaru. A tutaj było wszystko, czego dusza artysty mogłaby zapragnąć! Chodziłyśmy po tym uroczym sklepiku w tę i z powrotem, dotykając, sprawdzając i podziwiając jego skarby. Od dobrobytu zakręciło nam się w głowach.

W końcu całe dwie dniówki z Sheratona wydałyśmy na materiały niezbędne do robienia portretów, na razie czarno - białych. Na kolorowe musiałybyśmy wydać zarobek z całego tygodnia albo dwóch.

W tłumie na placu znalazłyśmy Mariana i pochwaliłyśmy się zakupami. Zaakceptował nasz wybór i ostrzegł przed złośliwą konkurencją. Na Place du Tertre każdy artysta ma swoje starannie strzeżone miejsce. Jak komuś nadepnemy na odcisk, to możemy mieć kłopoty. Ale my nie miałyśmy zamiaru nikomu robić konkurencji. Chciałyśmy tylko spróbować naszych sił.

I wtedy nagle kątem oka zobaczyłam czerwoną apaszkę. Serce podeszło mi do gardła. Marco. Stał w tłumie podeksycytowanych dziewczyn i rysował portret jednej z nich. W pierwszej chwili miałam ochotę do niego podbiec, ale coś mi podpowiadało, że tylko się ośmieszę. Jednak nie mogłam się oprzeć pokusie, aby nie zerkać, jak się uśmiecha, jak flirtuje z portretowaną dziewczyną, jaki ma piękny profil. Powinien go „wyciąć” Marian z tego swojego czarnego papieru.

Marco powiedział: wiesz, gdzie mnie szukać. Czy to znaczyło, że mogłabym teraz do niego podejść, jak gdybyśmy byli umówieni? A te dziewczyny, które go okalały wianuszkami, czy też nagle by się rozeszły? Nie. On tylko tak powiedział na odchodne, żeby mi nie robić zbędnych nadziei. Nie wyglądał na faceta, który tęskni za jakąś dziewczyną.

Moje serce biło szybciej na jego widok. Ale resztki rozumu podpowiadały: uważaj.

Ewka wyciągnęła mnie z tłumu i wróciłyśmy do domu, po drodze jeszcze zahaczając o sklep. Przy wyborze wina i serów zdałam się na nią, bo moje myśli wciąż były tam, na placu, blisko Marca.

- To jak? Jesteśmy gotowe na podbój Paryża? - spytała mnie po drugim kieliszku wina. Oczy jej błyszczały jak dwie cyrkonie. Myślałam o Marcu i o tym, czy podołam jako portrecistka. Nigdy wcześniej nie czułam aż takiej tremy.

- Nie wiem... Ewka, ja chyba nie dam rady... Boję się.

- Ja też się, merde, boję. Ale co, wolisz wracać do Sheratona?

- Nie.

- Więc jutro wyjdziemy na plac i zarobimy kupę kasy, rysując portrety turystom. Aaaa... Pamiętaj, że jutro ty biegniesz po bagietkę.

Wyjście na Place du Tertre w szczycie sezonu turystycznego z blokiem rysunkowym pod pachą i brakiem pozwolenia na pracę było jak dobrowolne wdepnięcie na pole minowe w Afganistanie. Ale już postanowiłyśmy, już zrobiłyśmy z siebie idiotki, prosząc Mariana o poradę, więc raczej nie było odwrotu.

Około południa wmieszałyśmy się w tłum na placu, tyle że tym razem nie jako turystki, ale artystki oferujące portrety.

Ubrane byłyśmy w sprane dzinsy i nasze nowatorskie kaszkiety uszyte ze starych spodni. Wizualnie prezentowałyśmy się nieźle, ale trema była tak ogromna, że czułam suchość w gardle.

Ustawiliśmy się na skraju placu, aby nie wchodzić w drogę innym artystom, niedaleko stromych schodów prowadzących z Montmartre na dół. W razie czego będzie któreś uciekać przed flikami.

Nie wiem dlaczego ani jak to się stało, ale już po chwili miałam pierwszego klienta! Była nim amerykańska rodzinka z małym dzieckiem w wózku. Młodzi rodzice chcieli, aby sportretować dzidziusia.

Gorzej nie mogłam trafić. Dzidzius się wiercił i kompletnie nie wiedziałam, jak podejść do tematu. W końcu przypomniało mi się, że takie małe dzieci są przecież wszystkie do siebie podobne. Pucółowata buźka, duże oczy, ładne włoski. Namalowałam takiego radosnego, uśmiechniętego dzieciaka w dwadzieścia minut. Prawie nie musiałam patrzeć na wiercęcego się bobasa.

Pokazałam rysunek rodzicom i byli zachwyceni. Bez oporów zapłacili czterdzieści franków i pojechali z wózkiem dalej. Czterdzieści franków! Prawie połowa dniówki w Sheratonie. Ewka miała podobne zlecenie, też dziecko, tyle że starsze. Zarobiła pięćdziesiąt franków w ciągu kwadransa.

Tego dnia wykonałyśmy jeszcze kilka takich portretów, cały czas oglądając się za siebie, czy nie śledzi nas policja. Ale nikt nas nie śledził, a wieczorem w naszej ulubionej knajpce przy kielichu sangrii podliczałyśmy zarobioną kasę. Wyszło nam, że zarobiłyśmy w jeden dzień tyle, ile w Sheratonie przez tydzień.

Niech więc Migułki dalej ścielą te wielkie łóżka. My od tej pory pracujemy jako portrecistki na Montmartre.

Życie jest jednak piękne!

Kolejne dni upływały nam jak w bajce. Wstawałyśmy w południe, robiłyśmy sobie dobre śniadanie w mansardzie Mariana, a potem wyruszałyśmy na podbój Montmartre. Nie robiłyśmy nikomu krzywdy, ulokowane z boku placu, gdzie nie stacjonował żaden ze stałych malarzy i portrecistów, zadowalałyśmy się resztkami turystów, którzy kręcili się po okolicy. I nikogo nie zmuszałyśmy do pozowania, nie byłyśmy nachalne jak niektórzy artyści, my sobie grzecznie stałyśmy, udając, że rysujemy widoki Paryża, a jak ktoś nas zaczepił i zapytał o portret, to oczywiście nie odmawiałyśmy. Nie byłyśmy nastawione na grubą kasę, wystarczało wykonać kilka szybkich portretów dziennie, a i tak nasze zarobki okazały się nieporównywalne do tych z hotelu Sheraton. A ponieważ mieszkanie nic nas nie kosztowało, więc wszystkie zarobione pieniądze mogłyśmy przeznaczyć na przyjemności. Czasami żal mi było Migulek, kiedy wyobrażałam je sobie na pięterku pełnym amerykańskich dzieciaków.

Praca na Place du Tertre była dla nas też wspaniałą szkołą rysowania i... przetrwania. Bo nie dość, że rysowałyśmy na stojąco, w jednej ręce trzymając podkład z przypiętą kartką czerpanego papieru, a w drugiej węgiel, to jeszcze musiałyśmy uchwycić podobieństwo osoby portretowanej i cały czas mieć oczy z tyłu głowy na wypadek nalotu policji.

I w tych ekstremalnych warunkach obie z Ewką pracowałyśmy już od kilku dni. Każdemu portretowanemu turyście mówiłyśmy, że jak się portret nie spodoba, to może go nie kupić. Więc pozwali, bo co mieli do stracenia?

Nic, poza kwadranssem stania w jednej pozycji pośród tłumu gapiów spoglądających na przemian na nasze szkicowniki i na obiekt portretowany. I wiecie co? Nikt nie powiedział nie. Wszystkie nasze rysunki szły jak ciepłe bagietki na rogu rue des Trois Freres.

Marian był z nas dumny, jakbyśmy były jego córkami. Chyba Migułki źle go oceniły. Był zwyczajnym starszym panem, który tęsknił za Polską i w jakiś niepojęty sposób nas zaadoptował. Zaprosiłyśmy go któregoś dnia na kawę w jego własnym mieszkanku, aby zobaczył, że się staramy utrzymać je w należyтым porządku. Przedtem, po raz pierwszy, dokładnie wysprzątałyśmy pokój, kuchnię i łazienkę.

Był zachwycony, że tak dbamy o jego mansardę. Nawet jakiś kwiatek niepodlewany od niepamiętnych czasów, a przez nas podlany tylko raz, rozkwitł ku jego radości. Marian nie posiadał się z zachwyty na jego widok.

- Jesteście jak dwa dobre duszki - powiedział.

I w rewanżu zaprosił nas na wycieczkę do paryskiego... zoo.

Zabrał nas swoim wysłużonym renaultem w niedzielny ranek. Trochę się z tego po cichu śmiałyśmy, bo jak na razie niczego jeszcze nie zwiedziłyśmy w Paryżu, a tu wyprawa do zoo! Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie zaczyna zwiedzania Paryża od wizyty w zoo! Ale Marianowi nie wypadło odmówić.

Ale kiedy już znalazłyśmy się w tym zoo, byłyśmy mu naprawdę wdzięczne. Pierwszy raz widziałam pandy na żywo, zajadające liście bambusa, były też niesamowicie brzydkie i odrażające małpy z czerwonymi tyłkami i wiele innych

ciekawych zwierzaków. Zwierzaki miały ładnie zaprojektowane wybiegi, niezbyt wielkie (w końcu metr kwadratowy Paryża to najdroższy metr na świecie, co widać dotyczyło także zwierząt), ale i tak o wiele bardziej humanitarne niż wybieg słonia w naszym rodzinnym mieście. Tam biedny słoń mógł jedynie tupać nogami, bo na spacer nie było miejsca. Marian kupił nam lody i cieszył się jak dziecko, kiedy leniwie przemierzaliśmy się od jednej zagrody do drugiej.

Po południu odwiózł nas do domu, którym było jego mieszkanie, i życzył nam miłego wieczoru. Ale zanim odjechał, jeszcze spytał, czy przyjdziemy jutro do niego na kolację. Jego żona koniecznie chce nas poznać, dodał.

Jasne, przyjdziemy, przecież nie mogłyśmy odmówić.

I tu Migułki zapewne by nas ostrzegły po raz kolejny. Ten facet coś knuje, chce nas najpierw oswoić, abyśmy mu zaufały, a potem nas wykorzysta albo zamorduje. Zainwestował w nas już tyle, że pora na spłatę długu.

Marian mieszkał przy jednej z ulic schodzących w dół od wzgórza Montmartre. Kamienica z zewnątrz wyglądała tak jak wszystkie w tym rejonie Paryża, biała elewacja z drewnianymi okiennicami. Jego atelier mieściło się na ostatnim, szóstym piętrze. Po wejściu na górę serce waliło mi sto dwadzieścia na minutę.

Marian otworzył drzwi z szerokim uśmiechem na twarzy. Weszłyśmy do przedpokoju i podążyłyśmy za gospodarzem.

O rany! Myślałam, że to będzie zwykłe mieszkanie na poddaszu, tymczasem znalazłyśmy się z Ewką we wspaniałym dwupoziomowym apartamencie pełnym obrazów, dywanów, roślin i okien wychodzących wprost na przepięknie podświetloną o tej porze kopułę Sacre Coeur. Widok zapierał dech w piersiach. Stałyśmy obie jak porażone i nie wiedziałyśmy, co powiedzieć.

Wtedy podeszła do nas zadbana kobieta w średnim wieku z pięknie upiętym kokiem rudych włosów, ubrana w małą czarną od Chanel i kolczyki od Cartiera.

- Poznajcie się, to Sabine, moja żona, a to Ewa i Agnieszka, dziewczyny, o których ci opowiadałem. - Marian był wyjątkowo dobrze ubrany, elegancki, zupełnie inny niż na placu podczas wycinania profili. Miał na sobie białą koszulę i czarny blezer. Ewka i ja chyba nie pasowałyśmy do tego domu w swoich dzinsach i spłowiałych podkoszulkach.

Skłoniłyśmy się jak dwie pensjonarki całkowicie onieśmiałe towarzystwem tak wytwornej damy.

- Miło mi was poznać - powiedziała po francusku. - Marian wiele o was opowiadał.

- Pani mąż bardzo nam pomógł - udało mi się wydukać w jej języku.

- Wiem, wiem... On taki już jest. Ale cieszy mnie to, bo w końcu komu miałby pomagać, jak nie Polakom? On tęskni za Polską i tym swoim Gdańskiem. A wy skąd jesteście?

- My? My z Poznania.

- To na wschodzie czy na zachodzie Polski? - Na zachodzie.

- A tak, oczywiście, na zachodzie! - Uśmiechnęła się, ukazując rząd nieskazitelnych zębów. No, skoro już mapę Polski udało się jakoś naszkicować, pani domu zaprosiła nas do stołu.

Ogromny stół z grubego matowego szkła stał w salonie wypełniony mnóstwem potraw, o jakich nigdy nawet nam się nie śniło. Trudno nam było przełamać treść i poczuć się swobodnie w tej nierealnej dla nas sytuacji. Takiego stołu w naszej ojczyźnie nie widziałam nigdy. W końcu jednak odważyłyśmy się na degustację, bo przecież dla nas to zostało przygotowane.

Wszystko było pyszne i świeże, a najbardziej smakowały nam przystawki foie gras (gęsie wątróbki) i sałatki. Do tego pani domu co chwila strofowała Mariana, aby dolewał nam wina, kilkuletniego Chateauneuf - du Pape, a że nasze głowy raczej do takich świąt nie przywykły, więc prędko poczułyśmy się lekko wstawione.

Ale za to konwersacja szła nam niemal biegle. Wystarczy dobre francuskie wino, a wszystkie lekcje francuskiego natychmiast zostają w mózgu odświeżone.

Sabine była Francuzką z krwi i kości. Poznała Mariana, kiedy przyjechał do Paryża wiele lat temu, i po jakimś czasie zostali małżeństwem. Pracowała jako redaktorka działu mody w jednym z paryskich czasopism i nieźle zarabiała. Marian dorabiał do tego jako artysta na Montmartre, jedyny spec od profili. Mają córkę, Nicole, która studiuje we Włoszech coś też związanego z modą. Nicole jest w naszym wieku i jak wróci, to na pewno chętnie nas pozna.

Ewka i ja nie miałyśmy pojęcia, że nasz paryski „tatuś” jest w istocie tak świetnie ustawionym facetem. Ma piękną żonę, która chyba płaci większość rachunków za to bajeczne mieszkanie z widokiem na Sacre Coeur, ma córkę, która studiuje w Mediolanie, kiedy on wycina te swoje profile, ma więc rodzinę, o jakiej każdy może tylko pomarzyć. Nie znałyśmy Mariana od tej strony. Ale jeśli faktycznie jest tak dobrze sytuowany, to nasze wyrzuty sumienia, że tymczasowo zajmujemy jego malutką kawalerkę na rue des Trois Freres, przestały nas tak bardzo dołować.

- Chcecie zobaczyć coś wyjątkowego? - spytał nas Marian, kiedy już ledwie mogliśmy podnieść się od stołu. Sabine wyszła na chwilę do łazienki, zapewne poprawić nieskazitelny makijaż.

- Jasne, że chcemy - rzekła Ewka.

Poprowadził nas do okna z widokiem na bazylikę. Było już po północy, niebo nad Paryżem było granatowe, ale iskrzyło się milionem gwiazd.

- Popatrzcie...

Nad Sacre Coeur zawisł księżyc, oświetlając kopułę bazyliki cudownie niezemskim światłem. Za taki widok można się dać pokrajać albo nawet umrzeć. Marian miał to w swoim mieszkaniu na co dzień.

- Cudowne... - wyszeptałam.

- Magnifique - powtórzyła jak echo Ewka.

Kiedy wracałyśmy do siebie, Ewka była podpiita i chwiała się na nogach. Człapiąc na czwarte piętro, narobiłyśmy sporo niepotrzebnego hałasu, aż wyszedł jakiś nieogolony facet w podkoszulku na trzecim piętrze i nas zbeształ, że jesteśmy za głośno. Przeprosiliśmy go i nadal rechotałyśmy nie wiadomo z czego. Potem klucz nie chciał się zmieścić w zamku, a potem ległyśmy w naszym wielkim łóżu i jeszcze chwilę przed zaśnięciem wspominałyśmy widok z okna Mariana. Powiedzenie mówi, że Paryż jest wart mszy. To nieprawda! Paryż jest wart każdej ceny!

Gdy już prawie o nim zapomniałam, na Place du Tertre znowu pojawił się Marco. Zaszedł mnie od tyłu, kiedy rysowałam portret ślicznej młodej Japonki.

- Hej, jak się masz? - Spojrzałam za siebie i omal nie upuściłam ołówka.

Wyglądał cudnie. Jak ze snu. Rozwiane ciemne włosy, zielone błyszczące oczy i ten figlarny uśmiech.

- E... dobrze - wyjąkałam. Szukałam wzrokiem Ewki w tłumie, żeby mi przyszła z odsieczą, ale nigdzie jej nie było. Marco stał tak przeraźliwie blisko, że czułam bijące od niego ciepło.

- Fajnie rysujesz. - Uśmiechnął się. Moja modelka natychmiast wlepiała w niego swe japońskie, śliczne, skośne

oczęta. - Ale sorry, nie przeszkadzam. Chciałem ci tylko powiedzieć, że masz talent. A jakbyś znalazła wolną chwilę, to jestem tam, na rogu przy Sacre Coeur i moglibyśmy wyskoczyć na drinka do tej miłej knajpki obok... W każdym razie ja tam jeszcze trochę postoję. No to na razie.

Odwrócił się, ale po chwili przystanął.

- A! Byłbym zapomniał! Pamiętasz o mojej propozycji przejażdżki?

- Twoim motorem? - udawałam, że nie pamiętam, a nawet o niej śniłam przecież.

- No, a jakiej? Cały czas jest aktualna. Może dziś?

I zniknął w tłumie równie nagle, jak się pojawił. Marco. Moje marzenie płci męskiej, odkąd mieszkam w Paryżu. Jedyne miejsce, które sprawiało, że zaczynałam panikować. Co on miał w sobie takiego? Nie wiedziałam, ale to „coś” musiało być, bo inaczej przecież nie byłabym tak podekscytowana spotkaniem. Namalowałam portret Japonki, dziewczyna chyba była zadowolona, choć trochę poszłam na skróty w tym portrecie z uwagi na myśli skierowane gdzie indziej. Zapłaciła i coś tam powiedziała na do widzenia, nieważne co.

Miałam poważny dylemat. Czy iść na spotkanie z Markiem natychmiast, czy poczekać na Ewkę? Nigdzie jej nie było. A potrzebowałam jej jak nigdy dotąd! Zaczęłam krążyć w tłumie i szukać przyjaciółki. No i w końcu ją znalazłam. W najlepsze flirtowała sobie z tym samym Walijczykiem, który chodził za nią od paru dni. Wyraźnie ucieszyła się na mój widok.

- Aguś, poznaj mojego przyjaciela z Walii. - Wskazała na faceta stojącego obok. Wysoki, w okularach, pod pachą ścisnął przewodnik po Paryżu, a na kraciastej koszuli wisiał aparat fotograficzny.

- Miło mi - powiedziałam.

- Henry jest fotografikiem. Pracuje dla agencji reklamowej w Brighton - uzupełniła Ewka. Widać było, że już wiele o sobie wiedzą. Świadczyła o tym mina Ewki. Podczas kiedy ja rysowałam Japonkę, ona zapewne zajmowała się czymś innym.

- Super! - Uśmiechnęłam się w stronę nowego przyjaciela mojej przyjaciółki. - A nie macie może ochoty na drinka? Bo mnie właśnie zaprosił nasz kolega po fachu, znaczy portrecista. I idę na małą przerwę do knajpki na rogu placu. Może się przyłączycie? Ewka otworzyła szeroko oczy.

- Jasne. To gdzie on jest? - spytała.

Marco naprawdę tam stał i na mnie czekał. Troszkę się zdziwił, kiedy przyszedłam w towarzystwie dwóch osób, ale i tak już po chwili siedzieliśmy przy kontuarze uroczej knajpki, zatłoczonej i bardzo głośnej. Kelner od razu przyjął zamówienie i podał kolorowe drinki.

- Widzę, że świetnie sobie radzicie - powiedział Marco, pociągając spory łyk.

- Na razie tylko próbujemy swoich sił - sprostowałam.

- Plac to istna dżungla - kontynuował Marco. - Jak za dobrze zarabiasz, to inni cię znienawidzą.

- Mówisz to, bo chcesz nas ostrzec? - odezwała się Ewka. Henry sącył drinka powoli, ostrożnie analizując jego zawartość, i nie wtrącał się do rozmowy.

- Nie. Ja tylko mówię, że tak jest. Każdy walczy o dobre miejsce na placu, o dobrych klientów. Ale fajnie, że się zdecydowałyście. Ja też tak zaczynałem siedem lat temu...

- Siedem lat? My nie mamy aż tyle czasu. - Ewka się zaśmiała. Ja też, choć co innego chodziło mi po głowie. Marco siedział niebezpiecznie blisko i pachniał mieszaniną farb i jakiejś męskiej wody toaletowej o delikatnej nucie. Z pewnością nie była to Przemysławka, siermiężna woda

kolońska wszechobecna w peerelowskich kioskach, ale coś droższego i bardziej wyrafinowanego.

Nagle spojrzał mi prosto w oczy, a mnie przeszył miły dreszcz.

- Za wyjątkowe dziewczyny w kaszkietach. - Podniósł drinka do góry i stuknął nim w mój kieliszek. - Za nasze spotkanie.

Po czwartym drinku byłam już tak totalnie w Marcu zakochana, że zapomniałam nawet o Ewce. Nie wiem jak i kiedy Marco zaprowadził nas do swojego atelier na rue Norvins tuż przy Place du Tertre. Mieszkanko było małe jak pudełko zapalek, ale przytulne. Ewka i Walijczyk usiedli na miękkiej kanapce i słuchali muzyki, którą Marco puścił. O czymś non stop gadali po angielsku, Ewka znała angielski lepiej niż ja, zresztą nie podsłuchiwałam. Marco pokazał mi swoje obrazy i rysunki. Były doskonałe. Zazdrościłam mu talentu i tego, że ma w Paryżu stałą pracę. Ale w sumie nie o to chodziło. Marzyłam, aby mnie objął, pocałował, abym została jego żoną.

I stało się. Objął mnie, gładził moje włosy, przytulał i w końcu zaciągnął pod prysznic. W kamienicach takich jak ta prysznic to rzadkość. Byłam lekko podpita, nie wiedziałam, jaki jest dzień i godzina, wszystko przestało być ważne. Marco był tak oszałamiająco piękny! Potem chwycił mnie za rękę i delikatnie poprowadził w stronę wnęki wypełnionej ogromnym łóżem pokrytym kolorową narzutą. Widocznie na Montmartre wszystkie łóżka są wielkie i zajmują wnęki. Byłam kompletnie zaślepiona urodą Marca, nawet nie przeszkadzało mi to, że obok w pokoju jest Ewka. W pomieszczeniu było ciemno, nie licząc odbłasku neonów za oknem, z magnetofonu leciała jakaś nastrojowa muzyka jazzowa, a ja straciłam wszelkie hamulce. Marco zabawiał się moimi włosami, ustami, gładził mnie po szyi, po plecach, a ja

czułam jego oddech na sobie i chciałam więcej... więcej! I nagle przestał. Odsunął mnie i spojrzał mi w oczy. Co się stało? Pytam go. A on mi mówi, że chyba nie jestem gotowa, że czuje, iż to tylko gra. Moja gra.

Patrzę na niego z niemym pytaniem.

- Aguś, jesteś piękną i naprawdę sexy dziewczyną. Ale wydaje mi się, że nie jesteś sobą.

- Jak to nie jestem?

- Nie chcesz mnie przecież. Chcesz po prostu zaszaleć w Paryżu, prawda? Chcesz się ze mną przespać, choć wcale się nie znamy. A ja myślałam, że jesteś fajną dziewczyną, która ma zasady. Może za dużo wina, nie wiem, ale czułbym się źle, gdybyśmy... No wiesz...

- Nie wiem. Ale skoro tak, to po co mnie tu ciągnąłeś?

- Może właśnie po to? Żeby się przekonać, jaka jesteś?

Czułam się podle, wychodząc z mieszkania Marca, jakbym była dziwką, która się rzuca na każdego! A przecież zakochałam się w tym draniu od pierwszego wejrzenia! Ale nie powinnam się tak łatwo zgodzić na wizytę w jego mieszkaniu. Do głowy mi nie przyszło, że to jakiś test!

Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę i zamiast zdobyć punkty u Marca, zarobiłam jedną wielką krechę.

Mimo wszystko na do widzenia przytulił mnie i delikatnie pocałował w usta. Byłam już w bramie, zrezygnowana i załamana, kiedy usłyszałam:

- To może teraz? - Odwróciłam się zdezorientowana. Marco stał na ulicy oświetlonej małą latarenką w stylu secesyjnym. Nie wyglądał, jakby właśnie odstawiał do domu dziewczynę. Patrzył na mnie jakoś czule, inaczej.

- Co teraz? - spytałam, nie nadążając.

- Przejedziemy się?

- Teraz?

- A czemu nie?

No, na przykład, bo piłeś, kolego. Albo, bo mnie nie lubisz. Albo, bo muszę iść się wyspać kiedyś wreszcie.

- Naprawdę?

- Oui, mademoiselle! - Marco wyglądał na pewnego, że to dobry pomysł. A ja tak bardzo chciałam go zatrzymać tej nocy. Choćby na jedną sekundę dłużej, choćby na kilka drogocennych minut.

- To gdzie masz ten motor? - spytałam.

Marco wyprowadził hondę z podwórza niedaleko kamienicy, w której miał swoje studio. Była druga w nocy, ale na Montmartre noc jeszcze się nie skończyła. Motor był piękny, niepodobny w niczym do skutera, którym woził mnie mój chłopak na wycieczki. Kiedyś pojechałam z nim za miasto i jego lambretta nagle odmówiła posłuszeństwa. Siedziałam w rowie dwie godziny, zanim ją naprawił. Mimo wszystko były to fajne chwile. A teraz miałam wsiąść na prawdziwą hondę.

Motor Marca różnił się od skutera mojego polskiego chłopaka tym, czym się różnił Paryż od Poznania, Zachód od Wschodu, kapitalizm od komunizmu. Skórzane wykończenia kontrastowały z chromowanymi rurami. Nawet nie zadawałam sobie pytania, która jest od czego.

Bałam się wsiąść na tego potwora, ale chęć przyklepienia się do Marca była ponad to. Kazał mi włożyć kask na głowę, włożyłam. Kazał mi usiąść za nim, usiadłam. Kazał mi się objąć w pasie i pod żadnym pozorem nie puszczać, objęłam go.

A potem sama nie wiem, co się działo. Usłyszałam ryk silnika i omal nie wylądowałam na bruku, kiedy Marco odpalił. Chwyciłam się mocniej jego pasa, tak jak mi polecił. Pomknęliśmy w dół Montmartre, uliczkami, które dotąd znałam jedynie jako piesza turystka. Teraz bruk śmigał mi przed oczami, jak na szybko przewijanej taśmie filmu.

Wyjechaliśmy na szersze ulice. Zauważyłam, że śmigamy przez Place de Clichy i mijamy Moulin Rouge. Ujrzałam pięknie oświetlony wiatrak. Marco przemykał się między autami i po chwili byliśmy już na Place de la Concorde i jechaliśmy już aleją Pól Elizejskich w stronę Łuku Triumfalnego.

Czułam wiatr na twarzy, byłam wolna, zapomniałam o Ewce, Sheratonie, o placu, o rodzinie, o lambrecie mojego chłopaka i o nim też. Zapomniałam o wszystkim, bo liczyła się tylko ta chwila. Mijaliśmy samochody, czasami prawie się o nie ocierałam, kiedy Marco wyprzedzał wszystko jak leci.

Boże! To było niczym lot na własnych skrzydłach, niczym totalne wyzwolenie! Byłam królową świata!

Kiedy mnie w końcu wysadził pod domem, nogi mi się trzęsły z wrażenia. Marco zdjął mi kask i poprawił rozwiane włosy.

- I co? - zapytał wyraźnie z siebie zadowolony.

- Rany, to było jak...

- Odlot?

- Jak odlot. Niesamowite uczucie... Dzięki...

- A nie mówiłem, że ci się spodoba?

- Miałaś rację - przyznałam. Czułam, jak cała drzę od nadmiaru wrażeń. Marco zapewne widział to już nie raz. Przecież nie mnie pierwszej zafundował taką atrakcję. - Muszę już iść, jest bardzo późno. - Znowu stapałam po ziemi.

- Wiem, ale...

- Ale co?

- To, co wcześniej mówiłem...

- Że mnie źle oceniłeś? Pewnie miałaś rację. Byłam głupia i chciałam się zabawić. I myślałam, że...

- Że musisz udawać światową dziewczynę? - Skurczyłam się w sobie na to wspomnienie. Rzeczywiście, udawałam światową dziewczynę. Udawałam, że takie randki to dla mnie

bułka z masłem. A naprawdę bałam się jak diabli, żeby nie popsuć tej wyjątkowej chwili. I popsułam, bo byłam kimś, kim nie jestem.

- Coś w tym stylu...

- Aguś... - Marco wziął mnie za rękę i patrzył mi prosto w oczy. - Nikogo nigdy więcej nie udawaj, bądź sobą. okej?

- Okej.

- Bo jesteś wyjątkową dziewczyną. I zostań nią.

Cóż miałam mu odpowiedzieć? Nic. Skoro jestem wyjątkową dziewczyną, to super. Tylko ilu dziewczynom wmawiał to samo?

- Muszę już iść - powiedziałam. Padałam z nóg, a poza tym nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem o mojej przejażdżce hondą Ewce.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć? - zapytał Marco.

- Podobnie jak ty wiesz, gdzie można znaleźć mnie - odparłam i zniknęłam w bramie, zanim zdążył to skomentować.

Następnego dnia rano obie unikałyśmy tematu naszych randek. Ewka miała swoje tajemnice, ja swoje. Wypiłyśmy kawę, zjadłyśmy śniadanie, nie wspominając tej szalonej nocy. Być może każda z nas w jakiś sposób się przeliczyła. Ale nieważne. Po śniadaniu obie wyruszyłyśmy do pracy. Turyści przecież tylko czekali na nasze portrety.

Sierpień w Paryżu to czas piękny i wyjątkowy. Turyści oblegają Montmartre, jest cudownie ciepło, noce też są gorące, a w kawiarenkach trudno znaleźć wolne miejsce. Dla nas były to wspaniałe tygodnie pracy na Place du Tertre, zarabialiśmy na portretach i wszystko przepijałyśmy, nie myśląc o jutrze.

Któregoś dnia poznałyśmy Kemala, świetnego portrecistę, oraz jego brata Ammana. Obaj byli muzułmanami, ale od lat żyli i pracowali w Paryżu, ich rodziny tu mieszkały. Kemal był sympatyczny, wesoły i chętny, by nam pomagać w trudnym okresie adaptacji na placu. Dawał nam wskazówki, jak zdobywać klientów, jak rysować, i opowiadał ciekawe historyjki ze swojego doświadczenia jako artysty. Amman był młodszą kopią brata, ale nie rysował. Nie miał talentu. Za to znakomicie sprawdzał się jako osoba do towarzystwa. Umiał nas zabawić rozmową, zawsze był na luzie i starał się pomagać bratu. Nie wnikałyśmy w szczegóły, czym się zajmował. Obaj bracia byli dla nas bardzo mili i jak tylko dopadała nas chandra, zawsze potrafili znaleźć na nią sposób.

W końcu poszłyśmy z nimi na drinka. Tacy to byli muzułmanie! Prawdziwi muzułmanie nie piją alkoholu. Ci byli już bardziej żabojadami. Kilkanaście lat w Paryżu jest w stanie zmienić nawet zasady religijne. Wieczór był naprawdę miły i wesoły w ich towarzystwie. Nawet przez chwilę zapomniałam o Marcu, co było dziwne, bo myśli o nim mnie nie opuszczały. Czułam jego obecność w każdym miejscu i o każdej porze. Jeśli więc na chwilę o nim zapomniałam, znaczyło to, że chwila była tego warta.

Kemal i Amman byli taką chwilą. Potrzebowałyśmy z Ewką nowych wrażeń, zabawy i śmiechu. Oni nam tego dostarczali. Oceniali nasz francuski, twierdzili, że jest z każdym dniem lepszy.

- Kiedy chcesz, mówisz pięknie po francusku - wyszeptał Kemal pewnego wieczoru. Ewka śmiała się obok, nie słysząc go, bo zabawiał ją Amman, od pierwszego dnia wpatrujący się w Ewkę jak w obrazek.

W ciemnych oczach Kemala dostrzegłam jakieś błyski.

Może nie powinnyśmy spędzać z nimi tyle czasu, ale na placu roiło się od artystów różnych narodowości, a my chłonełyśmy każdą nową znajomość, co na pewno było efektem ubocznym braku takich wrażeń w naszym kraju. W Polsce jedynym obcokrajowcem, jakiego poznałyśmy, był student z Mongolii, który projektował przenośne krzesła dla koczowniczego plemienia nomadów na naszej artystycznej uczelni. Nawet nieźle się spisywał, choć po polsku mówił niewiele. Na pewno zarówno Ewka, jak i ja byłyśmy bardzo ciekawe innych kultur, innych ludzi, nie tylko pospolitych rodaków wiecznie narzekających, choć nie bez powodu, na swój los. A tu, w Paryżu, ludzie byli kolorowi, uśmiechnięci i tacy różni! Pewnie dlatego zafascynowali nas Kemal i jego brat. Wprowadzili nas w inny świat, opowiadali o innej kulturze, i do tego płacili rachunki w knajpach.

Był to czas, kiedy prawdziwe uczucia dojrzewały w moim sercu niczym w inkubatorze. Siedzieliśmy we czworo w miłej knajpce na Place de Clichy, Amman zabawiał nas rozmową, Kemal dolewał wina, a ja patrzyłam w okno w poszukiwaniu znajomej sylwetki. Wiesz, gdzie mnie szukać, powiedział. Tylko że go tam nie było. Od dawna.

Któregoś dnia muzułmańscy bracia zaprosili nas na kolację. Ale nie w knajpce, tylko w ich rodzinnym domu.

Czemu nie, poszłyśmy. Jak ktoś nam stawiał kolację w Paryżu, zwykle nie odmawiałyśmy.

Mieszkali u podnóża Montmartre w domu niezbyt okazałym, ale przytulnym. W progu przywitała nas starsza kobieta ubrana w długą suknię. Wyciągnęła do nas ręce,

mówiąc coś po arabsku i ciągnąc nas do środka. We wnętrzu pachniało cudownym jedzeniem, a przy stole siedziało mnóstwo ludzi mówiących wyłącznie po arabsku. Nic z tego nie rozumiałyśmy, ale skoro bracia zaprosili nas na kolację, to starałyśmy się uśmiechać i nie komplikować. Zjadłyśmy przepyszne danie, jakieś duszone mięso w pomidorach i innych warzywach z dodatkiem nieznanym nam przypraw.

Kemal wyglądał na zadowolonego, Amman też. Cieszyłyśmy się, że mogłyśmy poznać tak otwartych i gościnnych ludzi. Nie rozumiałyśmy tylko, dlaczego przy pożegnaniu Kemal zaczął mówić do mnie „żono”, podobnie jak Amman do Ewki. Strasznie nas to rozbawiło.

Aż do następnego dnia, kiedy Kemal i jego brat przyjechali na motorach (oni też woleli jednoślady) upomnieć się o swoje. To znaczy o nas. Bo w ich mniemaniu po tej wspólnie spożytej kolacji stałyśmy się ich... żonami!

Żonami!!! Oj, chyba się niechcący wpakowałyśmy w niezłe szambo!

Od tego dnia unikałyśmy Kemala i jego brata. Nie dość, że musiałyśmy mieć oko na policję, to jeszcze na tych dwóch muzułmanów, którzy uparcie twierdzili, że jesteśmy ich żonami. Place du Tertre odtąd stał się dla nas miejscem nie tylko pracy, ale także ciągłej obserwacji. Wtapiałyśmy się w tłum, robiłyśmy portrety, ale nie przestawałyśmy się rozglądać. Kemal i Amman byli przekonani, że do nich należymy.

I wtedy z pomocą przyszedł nam Marian. Powiedział, że mamy się nie przejmować, że ci faceci są w sumie niegroźni. Dodał nam trochę otuchy i zaprosił do nowej knajpki na wspaniałą ucztę. Pytał, jak nam się mieszka w jego atelier, czy czego nam nie trzeba i w ogóle był niczym ojciec albo nawet lepiej. Przestałyśmy się martwić muzułmanami. Miałyśmy nasz płac, turystów i ważną misję do wypełnienia.

Musiałymy przecież udowodnić Migułkom, że dokonałyśmy właściwego wyboru.

W tym samym czasie w hotelu Sheraton Migułki sprzątały pokoje na siedemnastym piętrze. Jakiś gość wrzucił niedopałek papierosa do ich chariot. Po chwili wózek zaczął się palić, a za chwilę całe piętro. Hotel Sheraton stanął w płomieniach.

Dwa dni później zapukały do naszego mieszkania. Ucieszyłyśmy się na ich widok. Ale już od progu widać było, że musiało się wydarzyć coś złego. Kiedy usiadły i dostały kawę, zaczęły opowiadać.

Pożar był naprawdę wielki. Paliło się całe piętro siedemnaste. Migułka Młodsza próbowała zadzwonić do dyżurki, ale zapomniała, jak jest „pożar” po francusku. Najlepiej z nas wszystkich знаła ten język i nagle zapomniała tego słowa! Ale po chwili sobie przypomniała słowo: ogień, po francusku, rzecz jasna. Natychmiast pojawili się Sapeurs Pompiers (saperzy pompierzy, moim zdaniem nikt na świecie nie wymyślił lepszej nazwy dla strażaków) i ugasili pożar na siedemnastym piętrze. Na szczęście nikt z gości nie ucierpiał. Ale obsługa hotelu od tej chwili zaczęła sprawdzać skuteczność tak zwanych drzwi przeciwpożarowych i innych zabezpieczeń. Okazało się, że nic nie działa. Nie działał żaden system przeciwpożarowy, nie włączały się czujniki dymu, nie zamykały się porte coup feu (drzwi odcinające ogień), nie działało nic, i tyle. Akurat w takich kwestiach Francuzi wydawali się nam bardzo podobni do Polaków. U nas też nic zwykle nie działało.

Więc od tej chwili żabojady sprawdzały po kolei każde piętro hotelu. Robili sztuczny dym i sprawdzali, czy czujniki zadziałają. I tak piętro po piętrze.

Migułki zostały okrzyknięte bohaterkami, bo gdyby nie one, to pewnie spłonąłby cały hotel. Siedziały teraz w naszym

małym mieszkanku, jednocześnie dumne i przerażone. Bo co by było, gdyby nie zadzwoniły z odciętego przez pożar pietra do dyżurki i nie przypomniały sobie słowa: ogień? Mogłyby tam spłonąć razem z innymi ludźmi! Zrobiło mi się ich naprawdę żal. Biedne dziewczyny, znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Teraz popijały u nas kawę, choć widać było, że wciąż nie mogą się po tym zdarzeniu otrząsnąć.

- Ej, jesteście bohaterkami! - podsumowała Ewka.

- Szkoda, że nie umiemy rysować, tak jak wy - ze smutkiem skostatowała Migułka Starsza.

W sumie miło było się z nimi spotkać na naszym gruncie. Sheraton się częściowo spalił, ale przecież wrócą tam do pracy, w dodatku pewnie dostaną premię za bohaterską postawę.

Tego wieczoru zabrałyśmy Migułki na nasz plac. Biedactwa dotąd nie wiedziały, jak wygląda nocne życie Paryża, w kółko tylko wstawały o świcie i zasuwały do tego kieratu. Siostry szły za nami, podziwiając obrazy artystów i wzdychając: o, jakież to piękne, albo: ile to kosztuje? A my z Ewką czułyśmy się jak przewodniczki po własnym domu. O, tu jest Jean Pierre, najlepszy rysownik w naszym pojęciu, a tam siedzi Jacques, który fantastycznie maluje pejzaże. Dziewczynom oczy błyszczały w świetle neonów i lampek. Wpadłyśmy w końcu na Mariana zajętego wycinaniem czarnych profili.

- Oh! Bonsoir! - zawołał, widząc nas w towarzystwie dwóch koleżanek.

- Chcecie profil? - zapytał. Zwykle to pytanie samo z niego wypływało, kiedy w zasięgu ręki pojawiła się potencjalna ofiara. O dziwo, obie Migułki były chętne, więc Marian zabrał się do roboty. Podobnie jak wszystkie profile, i

te upiększył, więc obie były w siódmym niebie. W dodatku dał im te profile gratis, jako że to nasze przyjaciółki.

A potem poszłyśmy na kolację do jednego z ogródków na placu i po raz pierwszy Migułki zjadły coś innego niż kuskus albo inne badziewie, które serwują w hotelowej kafeterii Sheratona.

- Rany, ale tu pięknie! - stwierdziła Migułka Młodsza w połowie sałatki nicejskiej.

- Fajnie się urządziłyście - dodała jej siostra. Co fakt, to fakt. Było nam tu naprawdę dobrze. Interes się kręcił, miałyśmy dach nad głową i kasę na uciechy.

Reszta wieczoru upłynęła nam na obmawianiu zimnej i wyrachowanej Isabelle, naszej szefowej Mulatki, na plotkach, co się wydarzyło w hotelu (poza pożarem, rzecz jasna), oraz na obżeraniu się i piciu wina. Po jedenastej dwie podpite, a więc nie do poznania odmienione Migułki zataszczyłyśmy na stację Abbesses i wsadziłyśmy do ostatniego pociągu, powtarzając kilka razy, gdzie mają wysiąść. Obiecałyśmy sobie, że musimy znaleźć trochę czasu na wspólne uciechy, ale jak na razie one musiały się nazajutrz rano stawić w hotelu.

A my mogłyśmy sobie pospać do południa.

Na jednej z pobliskich uliczek była piekarnia, w której co rano kupowałyśmy chrupiącą bagietkę. Już nawet zapomniałyśmy, jak smakuje polski chleb, stałyśmy się bagietkożernymi istotami. Najlepsze były bagietki z wypustkami przypominające kaktusy. Odłamywało się te przypieczone wypustki i maczało z maśle i serku! Pychota!

Ponieważ nasze życie polegało na przebywaniu w tłumie, zatem siłą rzeczy poznawałyśmy mnóstwo nowych ludzi. Któregoś dnia podszedł do nas starszy pan z brzuszkiem i łysiną i zagadał po francusku. Przedstawił się jako Emil Grasset i dał nam swoją wizytówkę. Mówił, że ma polskie korzenie, że mieszka w Boulogne i jest mecenasem sztuki. I

ma w domu mnóstwo polskiej muzyki, uwielbia Chopina i bardzo chciałby nas zaprosić na obiad do restauracji.

Obiad w knajpce na jego koszt? Czemu nie? Zgodziłyśmy się, jak to my. Wtedy byłyśmy po prostu tak chętne do nawiązywania nowych znajomości, że nie widziałyśmy w nikim złych intencji.

Następnego dnia wieczorem, po zrobieniu kilku portretów, ubrałyśmy się w nasze najlepsze dżinsy i zaufałyśmy Emilowi. Zaprowadził nas nie do zwykłej knajpki, ale do prawdziwej restauracji. Na stolikach leżały białe obrusy, stały świece, a sala pełna była elegancko ubranych gości. Troszkę się głupio poczułam w dżinsach, ale obie z Ewką nadrabiałymy młodością. Emil musiał już wcześniej zarezerwować stolik, bo kelner poprowadził nas do kącika, gdzie widniała na stole tabliczka: reserve.

Nie wiem, czy Ewkę też, ale mnie dopadły jakieś złe przeczucia. Dlaczego ktoś miałby nas zapraszać do takiej restauracji bez żadnych ukrytych celów?

Ale jesteśmy we dwie, a to tylko jeden starszy pan. W najgorszym wypadku najemy się na jego koszt i czmychniemy, jak ustaliłyśmy wcześniej. Cudowne było to, że mogłyśmy sobie po polsku gadać co chcemy, uśmiechać się i udawać, że właśnie mówimy coś miłego o nim. Mogłyśmy nawet przeklinać w ramach testu, czy nas facet rozumie, czy nie. Bo może te jego polskie korzenie są bardziej polskie, niż myślimy? Ale kiedy nie zareagował na Ewki stwierdzenie, że jest „starym łysolem”, które wypowiedziała z urzekającym uśmiechem, patrząc prosto na niego, upewniłyśmy się, że jednak chyba nie zna polskiego ani trochę. Albo, o zgrozo, okłamał nas co do tych polskich korzeni.

Emil, lustrując kartę dań, spytał, na co mamy ochotę. Wzdrygnęłam ramionami, Ewka coś mruknęła pod nosem.

- Okej, w takim razie ja zaproponuję wam coś ekstra. - Emil najwyraźniej właśnie tego potrzebował. Popisać się przed dwiema młodymi dziewczynami swoją znajomością francuskiej kuchni. Innych atutów nie posiadał, przynajmniej nie w naszym pojęciu.

Przyszedł kelner i przyjął zamówienie. Zawsze mnie to dziwiło, jak ci francuscy kelnerzy mogą zapamiętać taką litanię? A potem wszystko wyrecytować przed gościem i zniknąć w czeluściach kuchni, by po chwili powrócić dokładnie z tym, co było zamawiane.

Emil odłożył menu i rozpoczął konwersację. Od czasu pracy na Montmartre nasz żabjadzki był całkiem, całkiem, więc szło nie najgorzej. Pytał, skąd jesteśmy i jak nam się podoba Paryż. Kiedy już wyciągnął z nas to i tamto (obie z Ewką byłyśmy raczej ostrożne w wypowiedziach na temat naszego kraju, w końcu tam nadal szalała komuna, a może ten facet to jakiś agent), zaczął opowiadać o sobie.

Kelner postawił butelkę Chatenauneuf - du - Pape, o którego cenie nie miałyśmy wtedy pojęcia. Emil opowiadał o swojej babce Polce, o sentymencie do Polaków i uwielbieniu muzyki Chopina. Mówił, że zna wielu polskich studentów i czasami ich zaprasza na fondue w swoim mieszkaniu. Słuchają muzyki, wymieniają się wiedzą o naszych krajach. Mówił, że uwielbia młodych ludzi, bo czuje się przy nich młodszy.

Na stole pojawiła się przystawka. Żaby i ślimaki. Emil dał nam do wyboru. Która chce żaby? A która ślimaki? Najgorsze, że nie było trzeciej opcji. Tyle w tę kolację zainwestował, że nie wypadało stchórzyć. Ewka zgodziła się na ślimaki i byłam jej za to wdzięczna, bo żabie udka wydały mi się mniej odrażające.

- Alors! Bon appetit! - Emil podniósł kolejny toast za nasze spotkanie.

Do odważnych świat należy. W końcu wyszliśmy na Place du Tertre ze szkicownikami i odważyliśmy się na portretowanie turystów. Teraz stoimy przed kolejną próbą. Żaby i ślimaki!

Spojrzałam na elegancki półmisek z żabimi udkami. Było ich sześć i wszystkie wyglądały, jakby właśnie wyjęto je z formaliny. Kątem oka zerknęłam na półmisek Ewki. Było na nim sześć muszelek. I specjalny widelczyk do wydłubania z nich ich... mieszkańców! Martwych co prawda, ale kiedyś przecież pełzały sobie po trawce, może nawet po naszej polskiej trawce, w końcu wiadomo powszechnie, że Polska była od dawna jednym z głównych eksporterów ślimaków winniczków do Francji. Ewka minę miała nietęgą, ale przecież obie profilaktycznie głodziłyśmy się od rana przed tą kolacją. Głód czyni cuda. Poczułam się jak kobieta w wiktoriańskiej Anglii, która w noc poślubną miała zamknąć oczy i myśleć o kraju. No cóż, my właśnie byłyśmy takimi „dziewicami” w sensie gastronomicznym. Należy zamknąć oczy i myśleć o... no właśnie? O Francji czy o Polsce? Którego kraju honoru miałyśmy bronić?

Żabie udka smakowały jak niedoprawiony kurczak. Popijane dużą ilością wina nadawały się do strawienia. Nie byłam zachwycona, ale też nie zbierało mi się na mdłości. Za to Ewka po łyknięciu pierwszego ślimaka wyglądała na uszczęśliwioną.

- I co? Smakuje wam? - spytał Emil.

- Magnifique! - Ewka chyba nie udawała. Ja też musiałam przyznać, że żaby nie były wcale takie złe. Ale Ewka tak rozsmakowała się w ślimakach, że wchłonęła wszystkie sześć sztuk w kilka minut i była zawiedziona widząc pusty półmisek. Emil zamówił więc dla niej jeszcze jedną porcję ekstra.

Wino lało się non stop, Emil zabawiał nas całkiem miłą rozmową, Ewka wchłonęła tuzin ślimaków, ja uporałam się z sześcioma parami żabich nóg i przyszła pora na danie zasadnicze. Okazał się nim królik duszony w sosie, którego recepturę znają tylko francuscy specjaliści od kuchni. Królik był pyszny i byłam już tak objedzona, że dzinsy piły mnie w tali. Ale nie wypadało ich rozpiąć, nie w tej restauracji.

Po kolacji Emil odwiózł nas do domu swoim wypasionym Citroënem, wręczył nam wizytówkę i zaprosił na kolejną ucztę u niego, w Boulogne, jak tylko będziemy miały ochotę na spotkanie z innymi studentami, których on zaprasza. Ewka była jakaś sina na twarzy i bardzo jej się spieszyło na górę do naszego lokum, więc podziękowałam w naszym imieniu za wspaniały wieczór i obiecałam, że się jeszcze spotkamy.

Jak tylko Emil odjechał, zaczął się prawdziwy horror. Ledwie zdążyłam Ewkę zaprowadzić na nasze czwarte piętro, a już pędziła na kibel. Potem leżała na łóżku i jęczała. Brzuch miała twardy jak beton, mówiła, że ją coś rozsadza. To te ślimaki pieczone w maśle. Zjadła ich dwanaście, a potem jeszcze ten ciężkostrawny królik! Nie przywykłyśmy do takiego jedzenia. Zaparzyłam Ewce filiżankę czarnej gorzkiej herbaty, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Wlewałam w nią gorący napar, aż troszkę się uspokoiła i zasnęła.

Następnego dnia nie była w stanie iść rysować. Nadal trawiła ślimaki, jak azjatycki pyton połkniętą w całości kozę.

Z trudem, ale musiałam ją zostawić i poszłam sama zarabiać na nasze utrzymanie. Kiedy wróciłam z plikiem franków, Ewka popijała kolejną herbatkę.

- Rany - powiedziała - jeszcze nigdy nie jadłam niczego tak pysznego!

I to by było na tyle, jeśli chodzi o ślimaki.

Sierpniowe noce w Paryżu to dobro samo w sobie. Nic więcej nie trzeba do szczęścia. Pewnej nocy na Montmartre poznałyśmy Napoleona. Nie, to nie były efekty halucynacji po zjedzeniu żab i ślimaków. Napoleon był kloszardem. Chodził po Montmartre w starych łachach z butelką taniego wina pod pachą i cały czas coś mrucał po nosem. Był niewysoki, stąd pewnie ta ksywa. Trudno było odgadnąć, ile miał lat, ale nawet jeśli miał tylko czterdzieści, to nam i tak wydawał się stary. Towarzyszyli mu inni kloszardzi, ale Napoleon cieszył się największą sławą.

Miał swoją ulubioną ławkę i wielu fanów, mył się pod bieżącą wodą z pobliskiej fontanny. Opowiadał niesamowite historie, jeśli ktoś miał dość odwagi, aby się do niego przysiąść.

My miałyśmy.

Napoleon był równie ważny dla wzgórza Montmartre, jak Joanna d'Arc dla historii Francji. Kiedy zaczynał swoje opowieści, nie można było przestać ich słuchać. Niby to pijaczek taki jak inni, a jednak nie. Kloszardzi to często ludzie z wykształceniem i swoistą klasą. To, że wybrali taki styl życia, to już inna sprawa. Napoleon miał charyzmę! Któregoś wieczoru siedziałyśmy z nim na ławeczce w rogu placu, a on opowiadał nam o francuskiej rewolucji. Fakty, o których nie miałyśmy zielonego pojęcia. Powiedział nam, że koniecznie powinnyśmy zwiedzić Cour de Rohan, miejsce gdzie mieszkał Guillotin, twórca „humanitarnej” maszyny do zabijania. W przewodnikach raczej się o tym nie pisze, ale idźcie i zobaczcie koniecznie to miejsce, mówił.

Opowiadał o lochach ukrytych pod ziemią w Conciergerie i innych tajemniczych miejscach, do których nie docierają zwyczajni turyści. Słuchałyśmy Napoleona, stawiając mu kolejne wina, bo bez napędu tracił wątek.

Potem ktoś nam powiedział, że na takie opowieści nabierał już niejednego, bo chodziło mu jedynie o darmowe wino. Ale my i tak wierzyłyśmy w opowieści Napoleona.

Wieczorem, kiedy w końcu zmęczone padałyśmy w naszym wielkim łóżku, długo jeszcze przetrawiałyśmy wszystkie jego historie. I, co dziwo, większość z nich okazała się prawdziwa.

Jak mówiłam, po miesiącu pracy na Montmartre i konieczności radzenia sobie z językiem gospodarzy nasz francuski był całkiem niezły. Mnie zawsze hamowała nieśmiałość, niechęć do zrobienia z siebie idiotki, więc początkowo byłam ostrożna w wypowiedziach. Stopniowo jednak się oswajałam i było coraz lepiej. A najlepiej obie z Ewką gadałyśmy po francusku po kilku kieliszkach wina. Jakoś wtedy umiałyśmy się z żabojadami dogadać.

Opowieści Napoleona tak podziały na naszą wyobraźnię, że któregoś dnia wybrałyśmy się na lewy brzeg Sekwany w poszukiwaniu Cour de Rohan. Łaziłyśmy uliczkami w tę i z powrotem, według mapy teoretycznie byłyśmy we właściwym miejscu, ale nigdzie nie znalazłyśmy tabliczki z takim napisem. Nie było innej rady, jak zapytać przechodniów. Zaczepiłyśmy młodą paryżankę w małej czarnej i szpileczkach, którymi wystukiwała uroczo paryskie klik, klik na brukowanym chodniku. Dźwigała siatkę z bagietką i owocami. I to nas urzekło: zadbana, elegancka, nawet podczas zakupów. My po bagietki biegałyśmy w zdeptanych adidasach i wytartych dzinsach, a ona wyglądała, jakby właśnie zeszła z wybiegu dla modelek w salonie Diora. Mimo woli ujrzałam kolejkę polskich kobiet u rzeźnika. Z pewnością nie wyglądały na damy.

Kobiela zatrzymała się na naszą prośbę, wyjęłyśmy mapę i spytałyśmy o ten tajemniczy zakątek.

- Cour de Rohan? - W jej ustach brzmiało to inaczej niż w naszym zapytaniu, no cóż, akcentu jeszcze sobie nie wyrobiłyśmy. - Chętnie was zaprowadzę!

I zanim zdążyłyśmy zaprotestować, w końcu była obciążona siatką, już przebijała się pomiędzy tłumem turystów jak auto jadące pod prąd. Taka drobna, a ledwo za nią nadałyśmy. Po chwili zatrzymała się przy jakiejś bramie, czekając, aż do niej dołączymy.

- To tutaj. - Wskazała na maleńkie podwórze ukryte za tą bramą. - To miłe, że chcecie zwiedzić to miejsce, jest wspaniałe, a wielu turystów nawet o nim nie wie - dodała. Miała jasną twarz i usta mocno podkreślone czerwoną szminką.

Podziękowałyśmy jej serdecznie i patrzyłyśmy, jak się oddala. Klik, klik. Jak one to robią?

Zanurzyłyśmy się w zaułku, o którym opowiadał Napoleon. Tabliczka faktycznie wskazywała, że jest to Cour de Rohan. Przechodziłyśmy ze trzy razy obok tej bramy i jej nie widziałyśmy! Gdyby nie ta miła paryżanka, to pewnie byśmy nie trafiły. Podwórze było wybrukowane kostką, która musiała pamiętać czasy wielkiej rewolucji. Nagle Ewka krzyknęła przerażona. Nadepnęła na martwego szczura! Na szczęście był dzień, w nocy pewnie obie dostałybyśmy zawału. Ale i tak wrażenie było jak z horroru. Wąska brukowana ścieżka zaprowadziła nas w kolejne podwórze, tu rosło wielkie drzewo i był mur z jakimiś dziwacznymi schodami. Drzwi zamknięte, okna zamurowane. I jedynie mała tabliczka dla zainteresowanych głosiła, że w tym oto domu słynny francuski profesor Guillotin tworzył projekt „humanitarnej maszyny do zabijania”. A więc Napoleon nie kłamał! To tu, za tym murem powstała gilotyna! Przez chwilę wchłoneła nas historia tego niezwykłego miasta. Dlaczego gilotynę uważano za humanitarną? Może była mniej straszna

niż miecz? Wcześniej ścinano głowy mieczem, a ten mógł się katowi czasami nieco z rąk wyślizgnąć i może trzeba było ponawiać próbę? A gilotyna była szybka, skuteczna i zawsze dobrze ustawiona. Brr... Od tych rozmyślań zrobiło mi się zimno, choć panował straszny upał, jak to w sierpniu.

Przysiadliśmy na chwilę na murku, może ten murek też był częścią historii, może profesor Guillotin też na nim siadał, kiedy obmyślał maszynę, i zadumałyśmy się nad tą całą Francją. Taki piękny kraj, cudowna kultura, wspaniali ludzie i żarcie najlepsze na świecie... a dokonywały się tu najstraszniejsze mordy! Na Place de la Concorde stracono publicznie rodzinę królewską, w dodatku nie oszczędzono dzieci. Ileż krwi spłynęło w tych wszechobecnych paryskich rynsztokach... A my sobie dziś po nich depczemy, jakby nic się takiego nigdy nie wydarzyło. Podziwiamy stare zaułki, malownicze domy, szukamy w nich jedynie piękna. A tu na każdym kroku kryje się jakaś tajemnica, pod każdym kamieniem jest czyjaś krew.

Dziwny wydał nam się gwar ludzi pędzących trotuarem, kiedy wyszliśmy z zaułka Cour de Rohan. Wmieszaliśmy się w tłum niczego nierozumiejących turystów zmierzających do licznych knajpek na lewym brzegu. Może ich największym problemem było, czy znajdą dobry stolik? Albo co zamówić, jak już go znajdą?

Kompletnie straciłam apetyt. Ewka pewnie też, bo obie szłyśmy bulwarem Saint - Germain niechętnie do rozmowy, zamyślane i jakieś inne. Coś się w nas zmieniło, ale co? Może przestałyśmy się czuć w Paryżu jak dwie młode turystki szukające jedynie rozrywek? Trochę bardziej rozumiałyśmy to miasto, trochę bardziej stałyśmy się jego częścią, a nie tylko chwilowym kaprysem.

Przeszłyśmy przez nasz ulubiony Pont des Arts, piękny drewniany most nad Sekwaną, i skwerem Luwru poszłyśmy

dalej w kierunku Place de la Concorde. Piesze spacery po Paryżu są jedynym mądrym sposobem zwiedzenia tego miasta. Place de la Concorde, jak zwykle majestatyczny i ogromny, przywitał nas hałasem pojazdów krążących naokoło i widokiem na Łuk Triumfalny. Spacer po Champs Elysees? A czemu nie? Musiałyśmy jakoś odreagować te smutne myśli.

Mijałyśmy najdroższe salony samochodowe, butiki z ciuchami, perfumerie, hotele. Z każdej mijanej po drodze restauracji dochodziły cudowne zapachy. A te w końcu zrobiły swoje. Zaburczało nam w brzuchach tak mocno, że wspomnienie Cour de Rohan zeszło do podziemia. Po lewej stronie alei jasno rozświetlona restauracja Foucet, ta słynna restauracja paryska, zapraszała w sposób jednoznaczny: swą nazwą. Okazałyśmy się snobkami, bo czekałyśmy ponad pół godziny, aż zwolni się jakiś stolik. Cuda się zdarzają, bo w końcu usiadłyśmy sobie u Fouceta na dworze przy malutkim okrągłym stoliczku na dwóch wiklinowych krzeselkach w porze lunchu z widokiem na turystów maszerujących Polami Elizejskimi. Trochę snobizmu chyba nas nie zepsuje?

Kelner rzucił nam menu i firmowe zapalki, widząc, jak bezskutecznie szukam w torebce zapalniczki, i pobiegł do innego stolika.

Ewka przejrzała kartę dań i po chwili zarządziła ucieczkę. Ja myślałam podobnie. Ale gdzie nasz honor? Jak już zajęłyśmy po tak długim oczekiwaniu miejsce, to chyba warto się poświęcić dla honoru. Zamówiłyśmy dwie sałatki paryskie i pinakoladę. Kelner pytał, czy coś jeszcze, ale Ewa z udawaną ekstrawagancją powiedziała, że się jeszcze zastanowimy.

Jasne! Znikniemy, a nie zastanowimy! Ceny były tu jak na Marsie. Za te pieniądze, które wydamy na dwie sałatki i dwa drinki, mogłybyśmy się żywić na naszym poczciwym Montmartre przez trzy dni, a w naszym mieszkaniu przez miesiąc.

Salatka była boska, a pinakolada sprawiła, że po tym jednym kolorowym drinku wszyscy przechodnie mieli jakieś komiczne cechy. Zaczęłyśmy się bawić w opisywanie przechodniów.

- O, zobacz! Ten gość z gazetą. Wygląda jakby szedł na randkę z własną sekretarką. - Ewka wskazała na pana pod czterdziestkę z włosami przerzedzonymi na czole.

- A czemu tak myślisz? - spytałam, sącząc przez słomkę słodki drink.

- Bo się rozgląda na boki, jakby go śledziła żona. - Ewka rechocze. Ja też.

- A zobacz tego! Rany, zobacz, cały w tatuażach! O, a tam idzie kobieta biznesu.

- Gdzie?

- Tam. - Ewka wskazuje na damę ubraną w kostium od Diora, niosącą aktówkę z czarnej skóry pod pachą.

- Pewnie wyszła z biura na lunch - odgaduję niczym prywatny detektyw.

- I pędzi, bo ma mało czasu - dodaje Ewka.

- O, nie, zobacz... Wchodzi do hotelu.

- Faktycznie. Czyli to nie lunch, ale spotkanie z kochankiem.

- Możliwe.

- To co, zamawiamy deser?

Do domu szłyśmy okreśną drogą, bo było fajnie i wesoło, bo wcale nie chciałyśmy wracać do naszego skromnego mieszkanka na czwartym piętrze przy rue des Trois Freres. Godzina była jeszcze wczesna, powinnyśmy wybrać się na plac popracować co nieco, choćby po to, aby odrobić franki stracone u Fouceta, ale nam jakoś tego dnia do pracy się nie paliło. Dostałyśmy obie małego rozumu, nie wiem, może do tej pinakolady coś dodają, ale efekt był taki, że śmiałyśmy się niemal z wszystkiego, co napotkały nasze oczy. Może była to

reakcja obronna po tych traumatycznych myślach w Cour de Rohan?

Wysiadłyśmy z metra Abbesses i z trudem wspinałyśmy się pod górkę do naszego domu. Bruk był tego dnia wyjątkowo koślawy.

Nagle podjechał jakiś samochód, drzwi się otworzyły i ktoś chwycił Ewkę za rękę. Zanim skojarzyłam, o co chodzi, Ewka już była jedną nogą w aucie. Ale szybko otrzeźwiałam i złapałam Ewkę za drugą rękę, próbując wyciągnąć ją z pojazdu. Ona, kompletnie nieświadoma zagrożenia, śmiała się w najlepsze! To mnie dane było wytrzeźwieć w trzy sekundy. W aucie dostrzegłam dwóch facetów, jednym z nich chyba był Amman, a drugim? Nie, nie Kemal, ale też jakiś taki ciemnej karnacji z czarnymi kręconymi włosami. Rany, przecież Ewkę właśnie ktoś porywa! I tylko ja mogę ją uratować! Ciągnęłam ją za rękę tak mocno, że zaczęła krzyczeć. Ten gość w aucie też. Ewka została poddana średniowiecznej torturze: łamaniu kołem. Na szczęście moja ręka okazała się silniejsza (może była to zasługa pinakolady), faceci odjechali, zostawiając nas na chodniku.

Ewka nie wiedziała, co się stało. Bolało ją całe ramię. Zaprowadziłam ją do domu, zaparzyłam herbatę i namówiłam, żeby przed snem zdjęła buty. Komentowanie tego zdarzenia zostawiłam na jutro.

A więc Arabowie nie odpuścili. Wczoraj był zamach na Ewkę, co prawda nieudany, ale na pewno ponowią próbę. Jutro może być zamach na mnie. Ubzdurali sobie, że jesteśmy ich... żonami! Tylko dlatego, że głodne zjadłyśmy z nimi kolację w ich domu i zostałyśmy przedstawione ich matkom! To jakiś horror! Przecież z nikim nie podpisywałyśmy żadnych papierów!

Ale oni myśleli po ichniemu. Czyli jak muzułmanie. Niewiele w tamtych czasach studentki z Polski wiedziały o muzułmańskich obyczajach.

Z kim mogłyśmy o tym pogadać?

Najpierw się z nas śmiał, że takie naiwne jesteśmy. Ewka siedziała lekko naburmuszona, widząc ironiczne spojrzenie Mariana. Ale zaraz dodał, że to nie nasza wina. Muzułmanie mają własne wyobrażenia o związku mężczyzny z kobietą. Wspólny posiłek w ich domu, poznanie matki mężczyzny to jakby zgoda na małżeństwo.

Słuchałyśmy tego oniemiałe. Czy nie można zjeść z nimi kolacji, tak jak z innymi ludźmi? Bez żadnych dalszych reperkusji?

A wydawali się tacy szczerzy i sympatyczni! I Kemal, i jego młodszy braciszek. Wyszło na to, że nic nie wiemy o islamie.

Marian obiecał nam pomóc i pogadać z nimi, wyjaśnić nieporozumienie, i tylko Allah raczył wiedzieć, czy to się uda.

Od tego dnia zawsze z Ewką rozglądałyśmy się na boki i do tyłu, czy ktoś nas nie śledzi. Tak bardzo szukałyśmy w naszym peryferyjnym polu widzenia zamaskowanych Arabów, że straciłyśmy czujność na zwykłych, paryskich... policjantów.

No i stało się!

Pewnego dnia, kiedy w piękny słoneczny dzień portretowałam amerykańską turystkę, młodą blondynkę z Teksasu, a jej chłopak stał obok i wpatrywał się w każdy ruch mojej ręki, porównując moje dzieło z dziełem samego Boga, który tę dziewczynę powołał do życia, nagle za moimi plecami pojawił się prawdziwy francuski policjant.

Przez chwilę patrzył, jak rysuję, zaczekał, aż skończę i skasuję sześćdziesiąt franków (nasze ceny nieco wzrosły od czasu, kiedy zaczynałyśmy), a kiedy już amerykańscy

narzeczeni odeszli ze zwiniętym w rulon portretem, przedstawił się, a jakże, bardzo elegancko.

Pokazał odznakę i powiedział, że jestem zatrzymana. W tym samym czasie inny policjant zrobił to samo Ewce, która portretowała śliczne japońskie dziecko kilka metrów dalej.

Kwadrans później obie siedziałyśmy na twardej ławce w pokoju przesłuchań w komisariacie osiemnastej dzielnicy Paryża. Jakiś łysy policjant wystukiwał nasze dane z paszportu na maszynie do pisania pamiętającej czasy rewolucji francuskiej. Robił to tak powoli, że między jednym a drugim słowem mogłybyśmy wyjść na lunch. Jeśli chodzi o wystrój i wyposażenie komisariatu, to porównanie do naszej rodzimej rzeczywistości wypadło na remis. Nagle obie z Ewką znalazłyśmy się z powrotem w Polsce. Ściany były pomalowane na szaro, tu i ówdzie podrapane, nad głową paliła się jakaś licha świetlówka, a biurko zavalone było stosem papierów.

W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze kilku policjantów zajętych konwersacją o ostatnio poderwanych panienkach. Ten, który spisywał nasze dane, był spocony od nawału pracy. Co my tu robimy? To jakiś żart, czy co?

Ale żabojadzka policja to coś więcej niż dobry żart. To tragifarsa, którą zapamiętamy z Ewką na zawsze!

Najpierw spisali moje dane. Potem mnie pytali, co robiłyśmy na placu. Odpowiedziałam, że rysowałyśmy sobie, i tyle.

Rysowałyście? A co? No, widoki Paryża. A co, nie wolno rysować? Policjant wszystko wklepywał na tej zabytkowej maszynie do pisania. Poczulałam, że chce mi się siusiu. A macie pozwolenie na pracę? Jakie pozwolenie? No, carte de sejour? No, nie.

No to macie przerąbane, mrucał, jakby to było czymś na porządku dziennym.

Ewka się uśmiechała, jakby nie docierała do niej powaga sytuacji. Ja raczej miałam złe przeczucia.

Potem spisali Ewkę. To samo. Rysowałyśmy sobie widoki Paryża, mówi Ewka. Nasze zeznania zostały zaprotokołowane. Byłam zmęczona, głodna i chciało mi się siku. Ale musiałyśmy siedzieć na tej twardej ławce na korytarzu i czekać, aż te durne fliki oddadzą nam paszporty. I wtedy, nagle, jakby na nasze życzenie albo w odpowiedzi na nasze modlitwy, coś się zdarzyło.

W całym komisariacie rozszedł się w powietrzu gaz łzawiący. Cała policja zaczęła płakać. My też. Jakiś znudzony beczynnością flik bawił się pojemnikiem z gazem i otworzył go. Zapewne niechcący. Ale efekt był taki, że wszyscy obecni nagle zaczęli płakać. Otworzono okna i drzwi, żeby przewietrzyć posterunek. Nas wypchnięto na dwór. Super! Mogłyśmy uciekać i nikt by nas nie znalazł.

- Ewka, zwijamy się - mówię jej, kiedy wszyscy funkcjonariusze wycierali oczy chusteczkami.

- A paszporty? - Tym razem Ewka okazała się przytomna. Fakt. Nasze paszporty zostały na biurku wewnątrz komisariatu wypełnionego gazem łzawiącym. Bez nich nie uciekniemy, zawsze będą wiedzieli, kim jesteśmy. Pozostało nam więc cierpliwie czekać na rozwój wydarzeń.

Kiedy opary gazu troszkę opadły, kiedy paryskie fliki z komisariatu dzielnicy osiemnastej otarły swoje załzawione oczy, ktoś zdecydował, że nie można nas dalej przesłuchiwać w tych warunkach. Zostałyśmy zapakowane do zakratowanej furgonetki i dalsze nasze przesłuchanie miało się odbyć w... Prefekturze Generalnej!

Jechałyśmy na sygnale (nie wiadomo, skąd ten pośpiech?) furgonetką z zakratowanymi oknami do Prefektury Generalnej policji w Paryżu. Oj, chyba to poważna sprawa, pomyślałam, ale jakoś to do mnie nie docierało. Naprzeciwno nas siedziało

troje kloszardów, którym też nagły atak gazu łzawiącego pokrzyżował plany na wieczór. Jechał z nami policjant ubrany w typowy francuski uniform. Miał nawet taką śmieszoną czapkę z daszkiem. Droga była długa, korki na ulicach, w żołądkach nam burczało i chciało mi się siusiu. Flik, który nas pilnował, miał wesołą i beztroską minę.

- Lubicie Gilberta Becaud? - spytał.

- Nie wiemy, czy lubimy - wycodziła Ewka przez zaciśnięte zęby.

- Okej, to posłuchajcie... - I zaczął nam umilać podróż śpiewaniem. Miał całkiem dobry głos, jeśli mam być szczerą. Korki były wyjątkowe tego popołudnia, więc z nudów wyjęłam szkicownik.

Siedzący naprzeciw kloszard spytał, czy nie mamy szluga. Wyjęłam z kieszeni paczkę gitane'ów i go poczęstowałam. Flik, który nas pilnował, obruszył się na ten widok.

- Nie, przecież to kloszard! Nie częstuj go!

- A dlaczego nie? - spytałam.

- No, bo... to kloszard... - Na przekór flikowi dałam kloszardowi papierosa.

Kloszard chciał mnie pocałować w rękę, ale ją cofnęłam.

- Narysuję panu portret - zaproponowałam policjantowi. Nie powiedział: nie.

I całą drogę, nawet kiedy zakratowana suka na zakrętach trochę się chwiała, rysowałam tego zabawnego flika w mundurze. Jak mogłabym przepuścić taką okazję? Zanim dojechaliśmy do Prefektury Generalnej, portret był gotowy.

- Wspaniały! - krzyknął nasz stróż. - Jest pani naprawdę artystką.

- To co, wypuści nas pan?

- Szczerze? Tak, chętnie bym to zrobił, ale nie mogę. Merde, mam w ręku wasze paszporty. Ale nie mogę,

zrozumie, dziewczyny... Muszę was zaprowadzić do prefekta, bo inaczej mnie wyleją.

- No to wreszcie będzie pan mógł śpiewać - powiedziała z filuternym uśmiechem Ewka.

- No niby tak, ale...

No i znalazłyśmy się „piętro wyżej” w hierarchii paryskiego wymiaru sprawiedliwości. To już nie był posterunek osiemnastej dzielnicy, to była Prefektura Generalna i gabinet zastępcy samego prefekta! Oto, do czego doprowadziło nas przypadkowe odpalenie gazu łzawiącego w małym komisariacie. Nasza sprawa robiła się coraz bardziej poważna, a muzycznie utalentowany flik zniknął, zostawiając nas na pastwę francuskiej inkwizycji.

Za biurkiem, na którym leżał stos papierów przyduszonych polnym kamieniem, zasiadł facet kompletnie pozbawiony humoru. Miał szarą twarz i rzadkie włosy. Ubrany był w tani szary garnitur z łatami na rękawach. Przedstawił się jako zastępca prefekta, czyli chyba był kimś ważnym w tym budynku. Przejrzał dostarczony dokument na temat naszego przestępstwa i od razu z grubej rury wypalił:

- Pracujecie na czarno. Czy tak?

Milczymy. Na wszelki wypadek zapomnialiśmy języka francuskiego.

- Uprawiacie nielegalny proceder na Place du Tertre?

Milczymy. Jaki proceder? Czy on ma nas za dziwki?

- Nie rozumiecie? Nie.

- No to zaraz będzie tu tłumaczka.

I wyszedł, zostawiając nas w niepewności. Jaki proceder? Co oni nam wmawiają? Wtedy jeszcze nikt nie słyszał o matriksie, ale gdyby słyszał, to my właśnie znalazłyśmy się w takim nierealnym świecie. Kiedy facet na chwilę zostawił nas same w tym okropnym pokoju z biurkiem pełnym akt przywalonych polnym kamieniem, obie z Ewką

postanowiłyśmy się nie poddawać. To jakaś pomyłka, żart, przecież nikogo nie zabiłyśmy, nikomu nie zrobiłyśmy krzywdy, nawet nie weszłyśmy na pasy przy czerwonym świetle, choć inni robią to na okrągło.

Nie damy się zastraszyć.

Przyszła tłumaczka. Młoda i ładna. Usiadła obok nas na podsuniętym przez gburę krześle. Ponownie zadał nam to samo pytanie.

- Uprawiacie nielegalny proceder na Place du Tertre? Nasza tłumaczka zdławiła śmiech. O co tu chodzi, do jasnego merde?

- On was pyta, czy nie uprawiacie nielegalnego procedera? - usiłuje tłumaczyć. Jest Rosjanką i zna francuski. My znamy rosyjski, a francuskiego w tej sytuacji wolimy unikać. Sytuacja robi się zabawna. Obie z Ewką się śmiejemy.

- Nie śmiejtes', bo on budiet sierditsia na was - ostrzega nas tłumaczka.

Dziewczyna chyba jest po naszej stronie. Zastępca prefekta jest purpurowy ze złości. A ona nas ostrzega w języku dla niego nieznanym, że będzie na nas zły. Dlaczego?

Tłumaczymy więc naszej nowej bratniej duszy, młodej Rosjance, która zarabia tłumaczeniami dla paryskiej policji, że żadnego nielegalnego procederu nie uprawiamy. Ona to powtarza po żabojadzku facetowi w szarym garniturze.

- A te rysunki? Co to jest? - krzyczy.

- To nasze prywatne rysunki, jesteśmy turystkami, a rysować chyba wolno.

Każde nasze zdanie tłumaczy ta młoda kobieta, coraz bardziej rozbawiona sytuacją.

Zastępca prefekta zawziął się na nas najwyraźniej. Pewnie miał zły dzień, może żona go zdradzała i na kimś się musiał odegrać. A może pogryzł go własny pies? Albo dowiedział się, że nie jest ojcem własnego dziecka? W każdym razie coś

musiało go trapić, bo skąd by się znalazło tyle jadu w jednym szarym człowieczku?

Przesłuchanie kompletnie nie wyjaśniło sprawy naszego przestępstwa. Na każde pytanie miałyśmy sensowną odpowiedź. A nasza Rosjanka robiła z tłumaczeniem co tylko mogła, aby nas wybronić.

- Merde! - wrzasnął zastępca prefekta. - I co ja mam z wami zrobić?

My „nie wiedzieć co”, mruzczałyśmy pod nosem.

Chyba miał faktycznie kiepski dzień, bo nam nie odpuścił. Nasze paszporty zostały na jego biurku. Kazał nam wybrać się na gare de l'Est (Dworzec Wschodni) i przebukować bilety powrotne do Polski na najbliższy możliwy dzień. Z tymi biletami mamy wrócić po paszporty, które on do tego czasu zatrzyma. Inaczej mówiąc, właśnie nas deportował z Francji. Rosjanka patrzyła na swojego szefa z niemym pytaniem, o co tu biega? A potem na nas ze współczuciem. Na odchodnym szepnęła nam po rosyjsku:

- Nie przejmujcie się tym dupkiem. Idźcie do polskiego konsula.

Kiedy pozbawione paszportów wyszłyśmy z budynku Prefektury Generalnej, znalazłyśmy się naprzeciw katedry Notre Dame. Obie z Ewką byłyśmy nadal w szoku. Ten gad zabrał nam paszporty i żąda, abyśmy opuściły Paryż? A my przecież dopiero zaczęłyśmy to wspaniałe miasto zwiedzać!

Usiadłyśmy na ławeczce naprzeciwko katedry, aby pozbierać myśli.

- Ona miała rację - wspomniałam ostatnie słowa Rosjanki.

- Że co, że ten świr to dupek?

- To też, ale... że powinnyśmy iść do konsula. - I co mu powiemy?

- Nie wiem, ale coś wymyślimy. A co, chcesz teraz jechać na dworzec i likwidować ważność biletów? Mamy jeszcze wizę na cały miesiąc! Mamy z tego zrezygnować?

- Nie wiem...

- Ewka, przecież nie zrobiłyśmy nic złego! Ja nie odpuszczę. Pójdziemy dziś spytać Mariana, gdzie jest polski konsulat. On na pewno będzie wiedział.

- Dobrze, skoro wierzysz, że to coś da... - Ewka nie była chyba przekonana, ale przynajmniej nie oponowała.

A potem weszłyśmy do katedry Notre Dame i wszelkie wątpliwości zniknęły. Nie można rezygnować z Paryża w połowie wizy. Nie, kiedy nad głową ma się najpiękniejsze gotyckie sklepienie wszech czasów! Nie, kiedy maszkarony śmieją się z nas, a nastrój we wnętrzu katedry napawa siłą nadprzyrodzoną.

Wnętrze katedry było ciemne i ciche. Obeszłyśmy powoli boczne nawy, przyklękłyśmy przed prezbiterium, usiadłyśmy na chwilę w jednej z ław, aby się pomodlić za nasze ocalenie. Zapaliłyśmy świeczkę za dziesięć franków, aby konsul nam pomógł. Było to egoistyczne życzenie, ale szczere. Pan Bóg powinien nas zrozumieć.

Więc zamiast spełnić żądanie zastępcy prefekta i jechać na dworzec, pojechałyśmy na zaprzyjaźniony Montmartre, gdzie szybko odnalazłyśmy Mariana. Opowiedziałyśmy mu o naszym aresztowaniu, aż zagwizdał w odpowiedzi na tę nowinę, a potem podał nam adres polskiego konsulatu.

- Moim zdaniem to dobry pomysł - przyznał na koniec.

Tego wieczoru nie byłyśmy w stanie niczego narysować. Snułyśmy się po placu jak dwa bękarty. Czy nasza przygoda z Paryżem miała się tak przedwcześnie zakończyć? Czy już nie zdążę spotkać Marca? Nie wyobrażałam sobie wyjazdu z tego miasta w takiej chwili. Tyle jeszcze planów miałam, tyle jeszcze chciałam łyknąć cudownego paryskiego powietrza!

Łaziłyśmy z Ewką po naszym placu smutne i przygaszone myślą, że trzeba będzie to miejsce opuścić. Jean Pierre malował, jakby nic się nie wydarzyło, inni artyści albo pracowali albo coś jedli. Życie na placu toczyło się tak samo bez nas, jak z nami. Oni tu byli od zawsze. My od paru tygodni. Nikt nie zauważy naszego zniknięcia.

Kiedy ta smutna prawda do nas dotarła, skierowałyśmy się do domu, aby się wypaść przed jutrzejszą wyprawą do konsulatu. I wtedy nagle pojawił się Marco.

- Aga! Jak miło cię widzieć! - zawołał. - A już myślałem, że wyjechałaś.

Ewka ciągnęła mnie za rękę. Nie miała ochoty na jakiegokolwiek spotkania. Zatrzymałam ją. Nie rób mi tego, Ewka, pomyślałam. Nie teraz.

- Nie, ale zanoszą się na nasz szybki wyjazd - wyjaśniłam. Marco zauważył chyba nasze smętne miny.

- Co się stało?

- Jak chcesz, to mu opowiedz - odezwała się Ewka. - Ja idę do domu.

- Zaczekaj - próbowałam ją zatrzymać.

- Pogadajcie sobie. Ja idę spać. - I zniknęła w tłumie. Zostałam więc sama z problemem i Marco, który raczej nie mógł mi w niczym pomóc. Ale był! Znowu się pojawił w moim paryskim życiu!

- Chodź, usiądźmy tam i wszystko mi opowiedz. - Wskazał ławkę pod ogromnym kasztanem na skraju placu.

Opowiedziałam. O aresztowaniu, o przesłuchaniu, o tym, że chcemy iść do konsula. Przytaknął, że to dobry pomysł. A potem mnie objął i siedziałam z nim na tej ławce, po raz pierwszy płacząc. Nie odszedł, nie uciekł. Zaczekał, aż się uspokoję, pogładził mnie po policzku i jeszcze raz przytulił.

- Oj, Aguś! Nie dajcie się tym durnym flikom! Nie chcę, żebyś wyjechała. A przynajmniej obiecaj mi, że nie wyjedziesz bez pożegnania...

- Obiecuję - wyszeptałam, wchłaniając coraz bardziej bliski mi jego zapach.

A potem mnie odprowadził pod same drzwi.

- Musisz się dobrze wyspać przed spotkaniem z konsulem - radził.

- Wiem.

- I nie dajcie się w żaden sposób zmanipulować.

- Okej.

- Aga. Nie zróbiłyście niczego złego. Pamiętaj o tym i tego się trzymaj.

- Wiem.

Konsulat mieścił się przy Avenue Kleber, niedaleko Łuku Triumfalnego. Zanim do niego doszłyśmy, minęłyśmy kilka drogich sklepów i salon firmowy Ferrari. Za szybą kręciło się na platformie czerwone auto, a obok widniały liczne gadzety dla klubu miłośników tej marki. Był szalik Ferrari, perfumy Ferrari, teczka ze skóry z logo Ferrari i nawet wieczne pióro Ferrari. Omal nie przegapiłyśmy małej tabliczki z napisem: Le Consulat de Pologne.

Weszłyśmy do budynku i po schodach na górę. Chyba to tu. Młoda panienka ubrana w czarną elegancką garsonkę spytała, co nas sprowadza.

- Chcemy się zobaczyć z konsulem - odparłam.

- Jesteście umówione? - Zrobiła dziwną minę na widok naszych wytartych dzinsów.

- Nie, ale to ważna sprawa i konsul na pewno nas przyjmie - odparowałam. I zanim zdążyła zaprotestować, jakiś starszy elegancki pan właśnie otworzył drzwi.

- Te damy do mnie? - spytał z miłym uśmiechem.

- Tak, ale... - Panienska nie zdążyła dokończyć, bo już szeroko otwierał przed nami drzwi.

Weszliśmy więc do gabinetu konsula polskiego w Paryżu. Jeszcze parę dni wcześniej na myśl by mi nie przyszło, że odwiedzę takie miejsce. Ale należało się zachować godnie i z powagą, więc obie z Ewką zapomniałyśmy o żartach.

Konsul miał sympatyczny wyraz twarzy i jedną, ale za to ogromną zaletę: mówił do nas po polsku! Kazał nam spocząć i powiedzieć, co nas do niego sprowadza.

- Mamy problem, panie konsulu - zaczęła Ewka.

- No tak, mamy poważny problem - westchnęłam. Konsul usiadł za swoim mahoniowym biurkiem.

Popatrzył na nas i chyba się leciutko uśmiechnął.

- Ale jaki problem? Powiedzcie coś więcej, to może będę mógł wam pomóc?

- Ty mów - zdecydowała Ewka, patrząc na mnie.

- Nie, lepiej ty - zwróciłam się do przyjaciółki.

- Nie, ty.

No to padło na mnie. Opowiedziałam konsulowi o naszym aresztowaniu, o przesłuchaniu, o tym, że zatrzymali nasze paszporty i oskarżają nas o „uprawianie nielegalnego procederu na Place du Tertre”. A my tylko sobie rysowałyśmy! No, może parę portretów przy okazji, ale czy to takie przestępstwo? Opowiedziałam konsulowi nawet to, czego nie było. Że fliki nas aresztowały, że nas próbowały uwieść (trochę to zmyśliłam, ale konsul chyba to łyknął), no i w ogóle, czy pan wie, panie konsulu, jacy są Francuzi?

- Ano wiem - rzekł z miną wcale nie zabawną. - Jeśli was molestowali, to musicie złożyć oficjalną skargę na policji.

- Na policji? Przecież to policjanci nas molestowali! Nikt nas nawet nie wysłucha! - brnęłam w to kłamstwo jak w zaparte, a Ewka patrzyła na mnie ze zgrozą. Kompletnie nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Ale okazało się

skuteczne. Konsul naprawdę się nami przejął i postanowił, że zajmie się naszą sprawą. Obiecał, że osobiście zadzwoni do prefektury i postara się wycofać oskarżenie nas o uprawienie nielegalnego procederu. A co do molestowania, to nic nie może zrobić, dopóki same nie wniesiemy oficjalnego zawiadomienia o przestępstwie. Powiedziałam, że zapomnimy o molestowaniu i nie wniesiemy skargi, jeśli oddadzą nam paszporty i będziemy mogły zostać w Paryżu, dopóki nasza wiza się nie skończy.

Konsul odprowadził nas do drzwi, obiecał, że wszystko wyjaśni, i kazał zadzwonić za trzy dni.

Te trzy dni były naszymi najgorszymi w tym mieście. Nie dość, że bałyśmy się narażać, pracując na Montmartre, że byłyśmy przez trzy dni bezrobotne, to jeszcze zgubiłam portfel w sklepie Tatu.

Poszłyśmy tam na tanie zakupy, żeby odreagować stres. Sklep Tatu mieścił się przy boulevard de Rochechouard i był w tamtych latach sławny jako wielki i tani sklep z wyprzedażą markowych towarów. Kiedy znalazłyśmy się w pobliżu, zauważyłyśmy wszechobecne siatki w różowo - białą kratkę.

W sklepie był tłum jak na odpuście. W wielkich koszach leżały przecenione majtki, cienie do powiek i tusze do rzes. Za takie majtki i cienie do oczu w Polsce dałybyśmy się pokrajać. W naszej ojczyźnie ładnych majtek nie było. Chyba że w Peweksie. Pewex był jedynym sklepem, gdzie można było kupić coś eleganckiego. Ale trzeba było wcześniej wymienić złotówki na dolary u cinkciarza. Cinkciarz był nielegalnym ulicznym handlarzem, który wymieniał polską walutę na dolary. Kilka razy kupowałam w Peweksie to, czego nie było w zwykłych sklepach. Na przykład ołówki z grafitami zero pięć milimetra. Był mi potrzebny do projektów. Potem musiałam dokupywać do niego te cieniutkie graficiki też w Peweksie, bo gdzie indziej nie było. A kosztowały tyle samo

co cały ołówek z wkładem. Innym razem zafundowałam sobie tusz do rzes w spirali. Nasze polskie tusze były wciąż w kamieniu, a do nich dołączona była szczoteczka przypominająca miotłę do zamiatania podłóg.

A tu takie towary leżały w koszach, przecenione i na wyciągnięcie ręki.

Próbowałyśmy się z Ewką dostać do jednego z tych wielkich koszy, ale tłuszcza nas przygniotła i wylądowałyśmy w długiej kolejce. W końcu dotarłyśmy do kosza z tanimi kosmetykami, wzięłyśmy po dwa opakowania cieni i tuszu, potem zgarnęłyśmy kilka par majtek i ruszyłyśmy do kasy.

Do kasy też była długa kolejka, ale posuwała się dość szybko. Zapłaciłyśmy za zakupy i poszłyśmy z powrotem na Montmartre. W mieszkaniu wysypałyśmy z siatek swoje zdobycze, troszkę się odświeżyłyśmy, umalowałyśmy nowymi cieniami i pobiegłyśmy na plac, gdzie już nie dane nam było pracować, przynajmniej do czasu, aż konsul załatwi sprawę.

Cóż więc miałyśmy lepszego do roboty, jak snuć się po placu i podziwiać pracę naszych kumpli? Marian stał w swoim stałym rogu i jak zwykle krzyczał: la - bas, la - bas, odpędzając turystów, którzy jak natrętne muchy włązili mu w pole działania.

Życie na placu toczyło się tak samo bez nas, jak z nami. Miałyśmy zakaz rysowania w tym miejscu. Tego wieczoru przyszłyśmy tu bez szkicowników, dziwnie się czując z wolnymi rękoma. Postanowiłyśmy zająć jakiś stolik i troszkę się zrelaksować.

Udało nam się znaleźć fajne miejsce niedaleko rewiru Mariana, tak że miałyśmy go cały czas na oku. Miał spore wzięcie tego wieczoru, więc nie należało mu przeszkadzać. Zamówiłyśmy plat du jour i butelkę vin de pays.

Nie warto przepłacać, kiedy przyszłość jest tak niepewna. Po dwóch kieliszkach życie na powrót wydało nam się piękne.

Konsul na pewno załatwi nasze sprawy, bardzo wierzyliśmy w jego siłę, ten potwór z prefektury zwróci nam paszporty i wszystko wróci do normy. To znaczy: wrócimy na plac i znowu będziemy rysować portrety.

Kolacja była jak zawsze wyborna, zasiedziałyśmy się do późnej nocy. Sięgnęłam do torebki po portfel, bo dziś była moja kolej, a... portfela nie było! Wywaliłam całą zawartość torebki na stół i nic! Brak portfela!

Zapłaciła Ewka. Zaraz po wyjściu z restauracji zaczęłyśmy się mocno głowić nad tym, gdzie może być mój portfel. I wtedy sobie przypomniałam kolejkę w sklepie Tatu do kasy, tłum i całe to zamieszanie. Tylko tam mogłam zgubić portfel! A z nim, oprócz niewielu franków, pozostałe dokumenty, a wśród nich kartę studenta, bez której mój zniżkowy bilet powrotny do Polski był nieważny!

Odnalezienie portfela w sklepie znanym z licznych kradzieży wydawało nam się graniczące z cudem. Pobieglyśmy jednak do sklepu Tatu następnego dnia z samego rana. Z trudem rozpoznałyśmy tę samą kasę. Stała przy niej już całkiem inna pani. Mimo to, najlepiej, jak umiałam, wyjaśniłam jej, że zgubiłam portfel. Słuchała mnie i kiwała głową. Chyba wzięła mnie za wariatkę. W tym sklepie kradzieże to rzecz na porządku dziennym, a ja chcę odzyskać portfel! Mimo to poszła na zaplecze i po chwili przyszła inna, starsza sprzedawczyni. Zapytała, jak wyglądał mój portfel i co w nim było.

Cholera, było w nim moje „być albo nie być w Paryżu”. Ale grzecznie opisałam jego zawartość, choć nie łudziłam się, że cud się wydarzy.

No i wydarzył się! Dziewczyna przyniosła z zaplecza portfel i do tego wszystko w nim było nietknięte! Dodała, że ktoś, kto stał za nami w kolejce do kasy, znalazł go na ladzie i

oddał. Nie mogłam w to uwierzyć. Znaczy, że trafiłam na uczciwego znalazcę?

Nie wiem, jak opisać moje szczęście z tamtej chwili. Wyszłam ze sklepu Tatu, wierząc w człowieka uczciwego, w ludzką dobroć, w zezowate szczęście, które było moim udziałem. Cały czas ktoś nad nami czuwał. To zezowate szczęście zawdzięczałyśmy chyba samemu Bogu.

W portfelu było niewiele kasy, jedynie jakieś trzydzieści franków, ale poszłam do najbliższej kwiaciarni i kupiłam za nie bukiet pięknych róż. Z tymi różami pobiegłam z powrotem do sklepu, odszukałam kasjerkę, która oddała mi mój bezcenny portfel, i na oczach całego tłumu gapiów wręczyłam jej te kwiaty.

- Ale za co to? - pytała zdezorientowana dziewczyna.

- Za to, że dzięki pani znowu mogę wierzyć w ludzi! - powiedziałam z radością i uciekłam przed zdziwionymi spojrzeniami gapiów.

Trzeciego dnia zadzwoniłyśmy do konsula.

- Przyjedźcie, mam dla was wiadomości, ale wolałbym osobiście - powiedział pan konsul tajemniczym tonem. No to pojechałyśmy metrem do Place du Trocadero, a stamtąd poszłyśmy na Avenue Kleber i znowu podziwiałymy czerwone ferrari kręcące się na wystawie salonu.

Konsul już na nas czekał w swoim gabinecie. Weszłyśmy niepewne i mocno zdenerwowane. Stał przy oknie, ale na nasz widok odwrócił się z uśmiechem.

- Witajcie moje drogie... - Miał dystyngowany uśmiech i szczere spojrzenie.

Stałyśmy jak wryte.

- Dzień dobry - skinęłyśmy głowami.

- Siadajcie. - Wskazał nam krzesła naprzeciwko pięknego mahoniowego biurka.

Usiadłyśmy.

- Jak się miewacie? Mam nadzieję, że nie rysujecie już tych portretów?

- Nie, skądże - odparłam. - My już nie...

- To dobrze. Bo mam dla was chyba dobre wiadomości...

Obie zamieniłyśmy się w słuch.

- Rozmawiałem z prefektem osobiście i obiecał wycofać wasze oskarżenie... - Uff! Jaka ulga! - Ale, pod warunkiem... - Nie, jakieś warunki? - Pod warunkiem, że już nigdy, przenigdy nie pojawicie się z kartką papieru i ołówkiem na Montmartre! Czy to jasne?

- Nawet z kredką do brwi? - wypaliła Ewka. Na szczęście pan konsul miał poczucie humoru. Roześmiał się, my też.

- A, ho i jutro z rana macie być w prefekturze po odbiór paszportów.

- Ale czy oni...

- Będą wiedzieć, ale jakby nadal były tam jakieś problemy, to dzwońcie do mnie.

- Oczywiście. Dziękujemy panu bardzo. - Uśmiechnęłyśmy się z wdzięcznością.

Po wyjściu na ulicę byłyśmy znowu lekkie jak dwa papierowe samolociki. Ale zakaz rysowania? To jak będziemy zarabiać na życie? Zostałyśmy w Paryżu skazane na artystyczną banicję!

- Możemy rysować kredką do brwi - mruknęła Ewka.

- A zamiast papieru używać własnego ciała - dodałam i w końcu obie zaczęłyśmy się z tego wszystkiego śmiać.

Następnego dnia około południa z mieszanymi uczuciami zameldowałyśmy się u wartownika przed wejściem głównym na dziedziniec prefektury. Czekaliśmy, aż puciołowaty policjant zadzwoni i potwierdzi, że możemy wejść. Pomyślałam, że chyba łatwo można się tu dostać. Wystarczy zagadać strażnika, a druga z nas przeszłaby pod barierką niezauważona. Tylko po cholere tam w ogóle wchodzić? Żeby

zostać zatrzymana za niewłaściwie zawiązane buty? Albo za lekceważący stosunek do francuskiej władzy? Bo jeśli rysować tu nie wolno, to co to za wolność?

Bramka się otworzyła i poszliśmy szerokimi schodami na górę, tym razem dobrowolnie, mając szczerą nadzieję, że możemy ufać słowom konsula. Gabinet zastępcy prefekta znajdował się na pierwszym piętrze i miał uchylone drzwi. Zawahałyśmy się, czy wejść od razu, czy poczekać na zaproszenie. Dyskutował z kimś właśnie przez telefon, krzycząc i złorzecząc, trudno było zrozumieć, o co chodzi, ale chyba nie trafiłyśmy na jego dobry dzień, bo co drugim słowem było: merde.

- Zaczekajmy, aż skończy. - Ewka zatrzymała mnie gestem ręki. Okej, chyba Ewka ma rację, jeśli teraz tam wejdziemy, to poszarpie nasze paszporty na strzępy.

- A panienki tu czego szukają? - Za naszymi plecami stała tęga policjantka i przyglądała się nam podejrzliwie.

- My... do pana zastępcy prefekta... - wyjaśniam.

- No to proszę, wchodźcie, bo blokujecie wejście. - Po czym wepchnęła nas swoim wielkim cielskiem do środka, prosto przed oblicze czerwonego ze złości urzędnika paryskiej policji. A ten, nadal krzycząc do telefonu, obdarzył nas spojrzeniem dalekim od przyjaznego. Bałyśmy się usiąść na twardych, odrapanych i dobrze nam już znanych krzesłach. Szkoda, że nie było w pobliżu naszej sojuszniczki, tłumaczki Rosjanki. Jakież to wszystko dziwne: uciekłyśmy z komunistycznej Polski opanowanej przez sowiecką dyktaturę do wolnego kraju, jakim wydawała nam się Francja, a teraz, stojąc przed francuskim urzędnikiem, marzymy o wsparciu Rosjanki! Ten świat jest kompletnie porąbany.

Kiedy zastępca prefekta odłożył słuchawkę, cały się trząsł ze złości, nie wiadomo, czy z powodu tej rozmowy, czy na nasz widok. Ale zapewne z obu tych przyczyn. Kazał nam

spocząć. A jednak. Krzeselka te nie kojarzyły nam się z wygodą i dobrymi nowinami. Usiadłyśmy.

- Hmmm - zaczął. - Co my tu mamy? Dwie studentki zatrzymane za nielegalny proceder na Place du Tertre - mówił do nas, czy do siebie? Cały czas grzebał w jakimś notatniku, przewracając poszarpane kartki. - No tak, to wy. - Przeszył nas oczami pełnymi obrzydzenia.

- Rysowałyście sobie portrety, zaczepiałyście turystów, zarabialiście na czarno...

- Nic nie mów - ostrzegłam Ewkę po polsku.

- Słucham? - wrzasnął zastępca prefekta.

- Pardon, ja tylko...

- Jak ja mówię, to nie wolno przerywać! - Facet krążył po pokoju i kontynuował swój wywód. - Gdyby to tylko ode mnie zależało, to zamknąłbym was w Conciergerie na resztę waszego pobytu. Hehehe, to byłaby dla was dobra nauczka! - Wyglądał na zadowolonego z własnego dowcipu, bo chyba to był dowcip? - No, ale są pewne okoliczności... hmmm... łagodzące. To znaczy, nie łagodzące, ale przemawiające na waszą korzyść.

Nadzieja. Piękne uczucie.

- Rozmawiałem z waszym konsulem i osobiście za was poręczył. Obiecał, że nigdy więcej nie będziecie uprawiać, tego, hmmm, procederu.

Kiwamy głowami, że to prawda.

- I, choć prawdę mówiąc, mam w gdzieś, co on powiedział, ale nie mam wyjścia, muszę was wypuścić. Nie chcemy zatargu z konsulem ani jakichś zmyślonych oskarżeń ze strony dwóch studentek pod adresem naszych policjantów. Osobiście nie wierzę w te wasze kłamstwa - przeszył nas wzrokiem jak laserem, aż cała zeszytniałam - ale dla świętego spokoju muszę wam zwrócić papiery.

Wyjął z szuflady nasze paszporty i rzucił je na biurko, jakby były skażone jakąś zarazą. Potem jeszcze podsunął nam pod nos kartkę.

- Tu podpiszcie. - Wskazał palcem rubrykę.

Bałyśmy się spytać, co to jest, takie byłyśmy zastraszone. Może zgoda na naszą egzekucję? Na humanitarne ścięcie głowy na Place de la Concorde? Albo w głębokich lochach Conciergerie?

- To tylko pokwitowanie odbioru paszportów - wyjaśnił, jakby czytał w naszych myślach. Zerknęłam na dokument, faktycznie, wyglądał jak pokwitowanie. Ewka nie była w stanie się poruszyć.

- Chyba jest w porządku - mówię do koleżanki. - Podpiszmy.

- No, to macie te swoje paszporty. Ale jeśli zobaczę was na Place du Tertre z kartką i ołówkiem, to osobiście się wami zajmę. Czy to jasne?

- A kredka do brwi może być? - wyjąkała Ewka po polsku, a ja omal nie parsknęłam śmiechem.

Facet nie zrozumiał, ale pewnie uznał jej odpowiedź za potwierdzenie.

- A teraz wynocha stąd! - Wskazał nam drzwi. Nie musiał dwa razy powtarzać, bo już za nimi byłyśmy, ściskając paszporty w rękach, niczym odbite od kidnapera własne dzieci.

Pędziłyśmy kamiennymi schodami do wyjścia w tempie olimpijskim, żeby przez przypadek facet się nie rozmyślił i nie zatrzymał nas, zanim wyjdziemy z budynku. Dopiero na ulicy odetchnęłyśmy z ulgą. Spojrzałam na fasadę prefektury, gdzie nad wejściem widniał wykuty w kamieniu piękny napis: Liberte - Egalite - Fraternite. Obym już nigdy nie musiała odwiedzać tego budynku!

Weszliśmy do stojącej naprzeciwko Notre Dame pomodlić się za nasze ocalenie. O tej godzinie było tu pełno turystów, ale w jednej z ławek znalazłyśmy odrobinę ciszy i odosobnienia. Dziękowałyśmy za to, że jakiś anioł nas ochraniał, że zawsze kiedy wpadałyśmy w tarapaty w tym mieście, to lądowałyśmy na czterech łapach. Zezowate szczęście dwóch wariatek.

Tego wieczoru na naszym ukochanym placu wiele się wydarzyło. Zanim zaczęłyśmy się zastanawiać, jak teraz będziemy się utrzymywać, poszłyśmy coś przekąsić w ulubionej knajpce, gdzie kelner już nas traktował jak swoje stałe klientki, a nie jak turystki, a co za tym idzie, dawał normalną kawę, a nie lurę, wybierał dobre kawałki wołowiny i nie pluł do zupy.

Ewka ze szczęścia postanowiła, że dziś ona stawia, choć jakie to miało znaczenie, skoro za parę dni i tak obie przyłączymy się do kloszardów. Zamówiłyśmy boeuf bourguignon i tanie wino. Ewka położyła na stoliku swój paszport, aby mieć go cały czas na oku.

Zrobiłam to samo.

- Rany, gdyby nie konsul... - westchnęłam.

- Powinniśmy mu jakoś podziękować - zaproponowała Ewka.

- Święta racja, ale jak? Facet dystyngowany, pewnie ma żonę i dzieci, nie wypada go zaprosić na kolację, zresztą nie stać nas, bo sam nam zabronił zarabiać.

- E, coś ty... Nie o kolacji myślałam, ale... Może by mu kwiaty zanieść?

- Kwiaty? Facetowi?

- A czemu nie? Zresztą, nawet na kwiaty nas nie stać...

- Nie, zaczekaj. Na kwiaty to jeszcze nas stać. I wiesz co? Kupmy je jutro i jedźmy do niego. Bo pojutrze już nie będziemy miały ich za co kupić. Więc kupmy te kwiaty jutro i zawieźmy mu. Trzeba zostawić po sobie dobre wrażenie, bo jak znowu coś przeszkobiemy...

- Masz w planie napad na sklep Cartiera?

- Hmm... dobry pomysł. Kurczę, najtańszy pierścionelek z tej wystawy pozwoliłby nam żyć w luksusach przez resztę pobytu...

- Jasne, ale poważnie, to co, odwiedzimy go jutro z kwiatami?

- Jestem za, nawet jeśli potem będziemy musiały iść na wykład pod tytułem: „Jak przeżyć w Paryżu bez pracy” do samego Napoleona!

- Zobacz - Ewka klepie swój paszport - gdyby nie wsparcie konsula, już byśmy wracały deportowane karnie do kraju! A przecież mamy jeszcze wizę na ponad pięć tygodni. Należą mu się podziękowania.

- No to kupujemy jutro dwanaście róż i jedziemy na Avenue Kleber.

I wtedy Ewka krzyknęła z przerażenia. Ręce jej drżały, ścisnęła w nich swój paszport otwarty na ostatniej stronie. Omal nie udławiłam się kawałkiem duszonej wołowiny.

- Spójrz!

Patrzę na jej paszport i nie widzę nic podejrzanego. - Tu! U góry! W lewym górnym rogu.

O rany! Wielka okrągła pieczęć z napisem: Prefektura Generalna Paryża. Nic więcej, tylko ten stempel. I dzisiejsza data w środku tej pieczęci. Co to znaczy? Przecież oddali nam paszporty, przecież konsul wszystko odkręcił?

A może wcale nie? Wyjęłam swój portfel z torebki i sprawdziłam. To samo. Taka sama wielka okrągła pieczęć z tym samym napisem i datą.

Kelner spytał, czy chcemy drugą butelkę wina.

- Oui, oczywiście, poprosimy. - Oddalając się, patrzył na nas niepewnym wzrokiem.

- Może to nic nie znaczy, może...

- A ja myślę, że znaczy to, że jesteśmy już notowane. I do Paryża nas już nigdy nie wpuszczą!

- Skąd to wiesz?

- Nie wiem.

- To nie panikuj. Jutro spytamy o to konsula.

- Jasne, damy mu kwiatki i spytamy, czy na nie zasłużył?

- Kwiaty i tak mu się należą. A ta pieczętka... może to nic takiego?

Reszta wieczoru zapowiadała się nam mniej fajnie, odkąd Ewka odkryła tę pieczętka. Czy nie mogła jej odkryć dopiero po powrocie do Polski? Ale stało się i już. Troszkę nam to popsuło humor i przy kolejnym kieliszku wina wznosiłyśmy toast za to, aby stał się cud i pieczętka zniknęły. Ale nie zniknęły. Za to przy stoliku obok pojawili się dwaj młodzi mężczyźni, którzy najwyraźniej chcieli nas poderwać. Jeden z nich podszedł do naszego stolika i spytał, czy go poznajemy. Poznajemy? Niby skąd miałyśmy go znać? I wtedy mnie olśniło. Inaczej wyglądał, bo nie był w mundurze, ale to był ten sam flik, który mnie zgarnął. A za nim stał drugi flik, najwyraźniej ten, który zgarnął Ewkę. Byli młodszy, niż nam się zdawało, chyba nawet smarkaci. Ale, co trzeba było im przyznać, dwa przystojniaki.

- Więc to wy jesteście tymi flikami? - Spojrzałam na nich z dezaprobatą.

- Tak. To my. Ale bez obawy. Dziś mamy wolne i nikogo nie zwijamy. - Roześmiał się z własnego dowcipu. Miał ładny uśmiech, troszkę niepasujący do francuskiego gliniarza. Czy za ileś lat stanie się takim gburem jak ten z prefektury? Ale na razie wyglądał na zwykłego chłopaka, który ma czyste intencje. - Czy możemy się z kolegą do was przyłączyć?

- Nie - warknęła Ewka.

- Szkoda... bo chcemy was przeprosić za tę akcję, no wiecie...

- Aż za dobrze - stwierdziłam.

- Ej, dziewczyny... My nie mieliśmy wyboru, polecenie szefa, i tyle. Poza tym, kto mógł przewidzieć, że na posterunku rozleje się pojemnik z gazem i was zabiorą na

Cite? Normalnie skończyłoby się na upomnieniu i nadal byście tu sobie rysowały. Nam nic do tego.

Na upomnieniu, myślę sobie. I nadal byśmy rysowały. Czyli wszystko przez jeden pojemniczek z gazem łzawiącym, który rozlał wtedy jakiś nieudacznik!

- To co, możemy się przysiąc i coś dla was zamówić? - Ewka i ja byłyśmy nieco zdezorientowane, ale chłopaki wydawały się szczerze i sympatyczne. W końcu poznamy osobiście dwóch przedstawicieli prawa, co kiedyś może się przydać, jak znowu coś przeszkobiemy. Spojrzałam na Ewkę i widzę, że powoli kruszeje.

- Dobrze, siadajcie - mruknęłam. Chłopak uśmiechnął się szeroko i już obaj zbierali swoje szklanki z piwem i przenosili się do naszego stolika.

- Jestem Alain - przedstawił się ten, który mnie aresztował.

- A ja Vincent - uśmiechnął się ten drugi, odpowiedzialny za zwiniecie Ewki.

- Ewa - wysepleniła Ewka, wciąż niezbyt przekonana do takiego bratania się z wrogiem.

- Agnieszka. - Mnie już było wszystko jedno. Bez mundurów wydawali się niegroźni.

No i zaczęli nam opowiadać, jak to jest ze zwijaniem takich jak my. Że to ich rewir, że pracują w policji dopiero od roku i właśnie im powierza się takie zadania. Bo to w końcu nie są prawdziwe przestępstwa, za takie rysowanie bez pozwolenia nic się nie robi, jedynie upomnienie i takie tam. A my miałyśmy pecha. I co teraz, co będziemy robić, pytają. Vincent zerka co chwila na Ewkę. A ta sączy wino i ma coraz lepszy humor. Chłopaki są naprawdę sympatyczne i umieją nas zabawić rozmową.

Przypomniałam sobie naszych polskich stróżów prawa i podobna sytuacja w Polsce wydała mi się nierealna. Milicja

była milicją, nawet po pracy. Nie zaufałam nikomu od nich. Na widok milicjanta każdy czuł się niepewnie, nawet całkiem niewinny obywatel. Co prawda nigdy nie byłam o nic oskarżona ani za coś aresztowana, ale zbyt wiele nieciekawych historii się słyszało od innych ludzi. Zdecydowanie nigdy nie zaprosiłabym milicjanta do stolika, A może tu też nie powinniśmy się z nimi bratać?

Alain spytał, czy nie mamy ochoty pójść z nimi jutro do kina. To w Paryżu mają kina? Zupełnie o takiej możliwości nie myślałyśmy. Oni stawiają, rzecz jasna. Albo, jeśli nie kino, to kolacja? Znają fajną knajpkę na lewym brzegu. W końcu, po naprawdę komicznych wysiłkach z ich strony, abyśmy się zgodziły, umawiamy się z flikami na następny dzień. Przynajmniej jeszcze jeden dzień darmowego żarcia. Alain i Vincent odprowadzili nas do domu, strzegąc przed zaczepkami podpitych przechodniów. W sumie to była miła odmiana, zamiast wtrącać za kratki, teraz nas ochraniali.

Kiedy zasypiałam tej nocy, nawet nie pomyślałam o Marcu. Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że już nie był taki ważny. Obie byłyśmy tak zmęczone, że padłyśmy w naszej wnęce jak dwa trupy. Tylko Ewka jeszcze przez zaśnięciem odezwała się słabym głosem:

- Jutro twoja kolej po bagietkę.

Cholera.

No to wstałam, gdy tylko zadzwonił nasz budzik kupiony na pchlim targu, i poszłam po bagietkę. W głowie mi jeszcze trochę szumiało, ale paryskie ranki mają magiczną moc uzdrawiającą. Kramiki i knajpki się otwierają, wszędzie pachnie kawą i świeżym pieczywem. Kolejka po bagietki była długa, ale szybko się posuwała do przodu. Wracając do naszego studio, zjadłam połowę bułki na sucho. Ewka nadal chrapała, dopiero jak poczuła zapach bagietki, zamruczała i otworzyła ślepią.

- Wstawaj! Dziś przed nami wielki dzień - mówię już całkiem rozbudzona tym pięknym sierpniowym rankiem.

- Chcę spać - wymamrotała Ewka i obróciła się na bok.

- Hej, nie ma czasu na spanie. Jedziemy dziś do konsula, nie pamiętasz? A wieczorem mamy randkę z flikami.

Ewka usiadła przestraszona.

- Co, aresztują nas? Znowu?

Przy kawie i chrupiącej bagietce z konfiturą odżyła i przypomniała sobie o naszym wczorajszym wieczorze z tymi dwoma facetami.

Potem się ubrałyśmy w najlepsze ciuchy, to znaczy te jeszcze w miarę czyste, zrobiłyśmy sobie ładny, delikatny makijaż, żeby odwrócić uwagę od plam na spodniach, i poszłyśmy szukać najbliższej kwiaciarni.

Kwiaty kosztowały w Paryżu tyle co diamenty, ale za resztę kasy kupiłyśmy dwanaście długich czerwonych róż zebranych w piękny bukiet. Troszkę głupio wyglądałyśmy z nim w metrze, jakoś nie pasował do naszych strojów. Z takim bukietem powinnyśmy być ubrane w markowe ciuchy od Armaniego albo Diora.

Konsul chyba się nas nie spodziewał, bo na nasz widok troszkę się speszył. Wtargnęłyśmy do jego gabinetu jak dwa małe czołgi, a kwiaty, które ujrzała jego sekretarka, były naszą przepustką.

- Chcemy panu bardzo serdecznie podziękować - mówię.

- Za to, co pan dla nas zrobił - dodaje Ewka i wręcza mu kwiaty.

- Ale kwiaty? Dla mężczyzny? Ja nigdy kwiatów nie dostaję - mówi z uśmiechem,

- Więc proszę dać je żonie. - Obrączkę nosi, to pewnie żonę ma. - My nie wiedziałyśmy, jak się odwdziaczyć...

- Bardzo dziękuję, ale nie musiałyście...

- Dla nas to zaszczyt, panie konsulu - dyplomatycznie przemówiła Ewka.

- W takim razie jeszcze raz dziękuję i życzę wam miłego pobytu w Paryżu. Oczywiście wasza wiza jest nadal aktualna. I obiecacie mi, że nie wpakujecie się w kolejne kłopoty, dobrze?

- Nic podobnego, panie konsulu. Będziemy grzeczne i wyjedziemy zgodnie z planem - obiecała w naszym imieniu Ewka.

Kiedy już byliśmy na chodniku przed budynkiem konsulatu, przypomniało nam się, że z nerwów zapomnieliśmy spytać konsula o pieczętkę. To wracamy czy nie? Ale w końcu ustaliliśmy, że nie, bo to byłoby chyba nieeleganckie. Wiza jest ważna, a paszport pewnie za jakiś czas i tak trzeba będzie wymienić. Po cholere się tym teraz stresować.

Jeden rozdział został zamknięty. Prefektura i konsulat. Teraz powinniśmy się zastanowić, co dalej? Bo na kolacyjkach fundowanych przez flików daleko nie zajdziemy.

Musiałymy znaleźć jakąś pracę, i to od zaraz. Czyli: od jutra, bo ten wieczór już mamy zaklepany.

Fliki przyjechały po nas ciemnogrnatowym służbowym, nieoznakowanym autem marki Alfa Romeo. Szok. Dla nas do tej pory najlepszym pędzidłem były fiaty 125 P. O alfie nawet nie śniłyśmy. Alain siedział za kierownicą ubrany w białą koszulę i džinsy. Wyglądał jak Alain... Delon! Vincent pomagał nam się usadowić na tylnym siedzeniu i też prezentował się nieźle. No to zostałyśmy porwane przez francuską policję! Chyba nam rozum odebrało, ale chęć przygody była silniejsza niż zdrowy rozsądek. Zwłaszcza że nasze fliki chyba były od nas ciut młodsze.

Pomknęliśmy przez paryskie ulice jak burza. Alain zapewniał nas, że jedzie z dozwoloną prędkością, czemu

przeczył jego zawadiacki uśmieszek. No tak, przecież nie zapłaci mandatu, jak go zatrzyma kumpel. Pewne rzeczy są stałe niezależnie od systemu.

Mknęliśmy tunelem pod Sekwaną na drugi brzeg, potem ulicami w stronę centrum. Zrobili nam przejażdżkę, żeby zaimponować. Zatrzymaliśmy się przed jakimś supermarketem w miejscu z zakazem zatrzymywania.

- Moment - zwrócił się do nas Alain - zaraz wracam. I pobiegł do sklepu, podczas gdy Vincent pilnował, żebyśmy nie uciekły. Nie musiał, bo byłyśmy strasznie głodne, a fliki obiecały nam przecież dobrą kolację. Więc, dopóki w żołądkach nam burczy, nie uciekniemy.

Po kwadransie Alain wrzucił do bagażnika torbę pełną zakupów. Dziwne, po co robić zakupy, jeśli się idzie do restauracji?

- Połędwica wołowa! - krzyknął uradowany, zasiadając ponownie za kierownicą. - Zrobimy wspaniałe befsztyki.

Co? Czy on po pracy w policji jest kucharzem w jakiejś knajpcie? Zaczęłam się niepokoić, o co tu chodzi?

Ale nadal nie wyskakiwałam z alfy. Ewka też czekała na to wspaniałe jedzenie, a im dłużej to trwało, tym bardziej było nam obojętne, czy będzie podane w restauracji, czy na trawniku, czy na ławce z kloszardami. Głód to poważny argument.

I tak, może trochę niepewne, ale dałyśmy się zaprosić do mieszkania Alaina na którymś tam piętrze, w jakimś tam bloku, w niewiadomej dzielnicy Paryża, bo tak krążyli tą alfą, że już na koniec nie wiedziałyśmy, dokąd nas wiozą.

Mieszkanko było małe, ale nowoczesnie urządzone. Białe kanapy, stół ze szkła, w rogu wielki telewizor, dwa głośniki i całe mnóstwo płyt z muzyką.

Kiedy Alain szedł do kuchni z torbą zakupów, Vincent nastawił jakiś jazz.

- Za pół godzinki będziemy jeść, a na razie posłuchajcie dobrej muzyki - powiedział i zniknął w kuchni, żeby pomóc kumpłowi przy garach. Usiadłyśmy na miękkiej kanapce i szeptem zaczęłyśmy obmyślać plan ucieczki. Nie wiem, po co szeptałyśmy, przecież fliki nie znały ani słowa po polsku, więc mogłyśmy ten plan ucieczki omawiać głośno. Ale muzyka była naprawdę fajna, a z kuchni po chwili doszły nas tak boskie zapachy, że ucieczkę odłożyłyśmy na po jedzeniu.

Alain wszedł do salonu, który był chyba także sypialnią, i nalał nam wina. Dobrze było. Owszem. Chłopaki tutejsze, to wiedzą, co i gdzie kupić. A po winie nasze żołądki jeszcze bardziej zaczęły nam dokazywać.

Z kuchni rozchodził się cudowny zapach pieczonego mięska, czosnku i innych tajemniczych przypraw.

Co chwila któryś z flików wpadał do salonu, aby się upewnić, że nadal tam jesteśmy.

W końcu Alain przyniósł swoje dzieło, które okazało się przepyszne. Zjedliśmy, popiliśmy, a potem fliki puściły bardziej dyskotekową muzykę i zaprosili nas do tańca. Było nawet całkiem przyjemnie aż do chwili, kiedy ich ręce zaczęły nas przyciągać do siebie zbyt śmiało. Wtedy otrzeźwiałyśmy. Trochę nam było przykro, że zainwestowali w połędwicę wołową, pewnie wydali na to sporą część pensji początkującego policjanta, ale my z Ewką pięknie podziękowałyśmy im za wspaniałą kolację i stanowczo poprosiłyśmy, aby nas odwieźli do domu. Przez moment bałam się, że mogą się naprawdę na nas wkurzyć i skujać nas kajdankami, a potem wykorzystają, zamordują i wrzucą do Sekwany.

I co zrobili? Nie, nie rzucili się na nas, nie zatrzymywali siłą, nie okazali się gburami. Co prawda posmutnieli bardzo, że wieczór tak szybko się skończył, ale zawieźli nas pod sam

dom, dali po buziaku na dobranoc i zapytali, czy możemy się jeszcze kiedyś spotkać.

Czemu nie? Już chciałam spytać, co ugotują, ale się ugryzłam w język. Obiecałyśmy im z Ewką spotkanie za trzy dni, bo teraz, co powinni zrozumieć, ponieważ sami nas do tego doprowadzili, musimy poszukać nowej pracy. No tak, trochę to ich zasmuciło, że tak nas urządzili swoją służbową gorliwością.

Życzyli nam powodzenia, jeszcze raz dali po buziaku i odjechali z piskiem opon.

A my, syte jak dwa pytony, ledwie wczółgałyśmy się na czwarte piętro.

Do drzwi była przyklepiona kartka. To Marian pro - ' sił nas koniecznie o pilne spotkanie. Pilne spotkanie? Nie miałyśmy pojęcia, o co może chodzić. Było już po drugiej w nocy, więc sprawy pilne musiały poczekać do jutra.

- Może ma dla nas jakąś pracę? - krzyczała Ewka z łazienki, myjąc zęby.

- Nie wiem... Może - odezwałam się z sypialni. Coś mi jednak podpowiadało, że ta kartka to nic dobrego.

- Wiesz, te fliki to nawet w porządku, nie? - ciągnęła Ewka przy wtórze spuszczonej wody.

- Gdyby nas nie zwinęli, nie byłybyśmy teraz bezrobotne - dodałam z ironią.

- Vincent świetnie tańczy. - Czy ta Ewka się w nim zabujała, czy co?

- A Alain świetnie gotuje - uzupełniłam - ale to nie powód, abyśmy planowały z nimi dzieci.

- Co mówisz? Że mam wynieść śmieci? Jutro rano wyniosę! - krzyczy Ewka.

I to były ostatnie śmieci, jakie Ewka wyniosła z naszego przytulnego gniazdko na czwartym piętrze przy rue des Trois Freres. W południe spotkałyśmy się Marianem. Oznajmił, że

jego córka przyjeżdża na resztę lata do Paryża i nasze studio jest potrzebne dla niej. Ale nie zostawi nas na bruku, o nie! zaproponował nam lokum zastępcze, oczywiście gratis, jednak już nie o tak dobrej lokalizacji jak obecne. Przepraszał chyba ze sto razy, sam był zaskoczony nagłym przyjazdem córki. Zapewniłyśmy go, że nie ma powodu nas przepraszać, przecież to jego mieszkanie i jesteśmy mu bardzo wdzięczne, że mogliśmy w nim mieszkać prawie dwa tygodnie.

Najgorsze jednak było to, że musiałyśmy się przeprowadzić jeszcze tego samego dnia. Marian obiecał nas przewieźć swoim autem i umówiliśmy się za parę godzin. Do tego czasu wszystko spakujemy, posprzątamy i wywietrzymy.

Kiedy zamykałyśmy za sobą drzwi od „naszego” atelier, było nam naprawdę smutno. Gdzie my teraz będziemy kupować bagietki? A fliki? Już nas nie znajdą, bo znają jedynie ten adres, a my nawet nie wiemy, gdzie ich szukać! Nie były to czasy telefonów komórkowych, wtedy były jedynie budki telefoniczne na ulicach. Ale żadna z nas nie miała zwyczaju zapisywać numeru telefonu naszych znajomych, bo dotąd to oni za nami łazili i zawsze nas znajdowali. Chociaż, jeśli chodzi o Kemala i jego braciszka Ammana, to w tym jednym przypadku przeprowadzka była nam na rękę. No to teraz nas już nie znajdą! Rysować na placu mamy zakaz, więc właściwie wcale nie musimy mieszkać tak blisko.

Postanowiłyśmy cieszyć się z przeprowadzki, czymkolwiek się ona okaże.

Marian jechał i jechał. Strasznie oddaliłyśmy się od naszego ukochanego Montmartre. Jechaliśmy rue de Belleville na wschód miasta. Okolica była nam całkiem nieznaną. Przypomniałam sobie przepowiednie Migulek i trochę się przestraszyłam, może jednak miały rację? Może Marian czekał na dogodną chwilę i teraz wywozi nas w jakieś odludne

miejsce, żeby nas zamknąć w starym garażu i więzić? Uśmiełam się natychmiast! Marian to najbardziej uczciwy i życzliwy człowiek, jakiego spotkałyśmy w Paryżu. Po co miałyby sobie zadawać tyle trudu, zapraszać nas na kolację czy do zoo?

Głupie myśli to domena Migulek. My z Ewką myślałyśmy pozytywnie o napotkanych ludziach i jak na razie nikt, no, może poza muzułmanami, nas nie zawiódł.

Około ósmej wieczorem Marian zatrzymał auto na jednej z ulic w dość biednie wyglądającej dzielnicy.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył. Ewka rozglądała się z obawą po okolicy. Prawdę mówiąc, ja też. Otaczały nas domy dwu - , trzypiętrowe, budowane chyba dla biedniejszej części społeczności paryskiej. Zaniedbane, nieotynkowane, z odpadającymi kawałkami muru. Z niektórych okien, zamiast kolorowych firanek, biła w oczy ciemna czeluść. Mimo woli przypominałam sobie biedniejsze dzielnice naszego rodzinnego miasta, gdzie nadal straszyły nie otynkowane od czasów wojny kamienice albo tymczasowe baraki Hitlera postawione na czas wojny, do dziś służące ludziom za mieszkania.

- Wiem, że to nie Hilton - rzekł Marian, odgadując nasze myśli - ale nic lepszego nie mogę wam zaproponować. Przynajmniej na razie.

Nie mogłyśmy się zdobyć na aplauz, ale grzecznie pomaszerowałyśmy za Marianem. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Weszłyśmy do kamienicy, taszcząc plecaki. Już na ulicy bacznie śledziła nas grupka czarnoskórych małolatów, a teraz, na schodach, napotkałyśmy kilku osobników tej samej karnacji, mocno zdziwionych na nasz widok.

W nozdrza uderzyła nas dziwna woń będąca mieszaniną tutejszych zapachów. Wyłowiłam dwa dominujące: pasty do

podłóg i czosnku. Już na pierwszym piętrze zrobiło mi się mdło. Ewka była blada, ale całkowicie spokojna, więc bałam się, że sfiksowała, ponieważ zachowywała się, jakby wchodziła po miękkim dywanie do hotelu Ritz.

Na drugim piętrze Marian przystanął, żeby wyłować z kieszeni właściwy klucz. W duchu modliłam się, żeby go nie znalazł i odwiózł nas z powrotem na Montmartre, a tam poszłybyśmy do Napoleona po poradę, gdzie mieszkają w Paryżu bezdomni. Ale Marian nie dość, że klucz z kieszeni wydobył, to jeszcze otworzył nim brudne i odrapane drzwi naszego nowego mieszkania.

Powinnyśmy od tego zacząć nasz pobyt w Paryżu, kiedy było nam wszystko jedno, a potem przenieść się do kwatery na Montmartre, bo zawsze lepiej zaczynać od gorszego lokum i powoli awansować. Ujrzałyśmy bowiem szarą norę, malutką i niewietrzoną od stuleci. Stary przypalony czajnik stał na zardzewiałej fajercie, w kącie majaczyło jakieś łóżko pokryte starą narzutą, łazienki całkowity brak, jedynie mały kącik za zasłonką z umywalką, do której z zardzewiałego kranu kapiała zimna woda.

Nasze plecaki poległy na zdartych klepkach podłogowych pastowanych w odległych czasach na czerwono, ale dziś przypominających wiejskie klepisko. Marian przeproszał, tłumacząc, że to tylko na jakiś czas, aż jego córka nie wyjedzie, że jakoś sobie damy radę, a on jeszcze dziś zadzwoni do elektrowni, żeby włączyli tu prąd. Co? To nie ma tu prądu?

Ale będzie, został wyłączony, bo nikt tu nie mieszka od ponad roku. Jedną noc jakoś przeżyjecie przy świeczkach, a jutro od rana przyjdą z elektrowni i prąd na nowo podłączą.

- Nie macie do mnie żalu? - spytał na koniec. Było mu spieszno na plac, gdzie omijały go cenne godziny pracy i zarobku.

- Nie, skądże - wyjąkałam. - Gdyby nie ty, to byłibyśmy bezdomne.

- A przy świeczkach będzie romantycznie - dodała Ewka głosem jakby pochodzącym z zaświatów. Może jednak nie sfiksowała.

- Jakbyście czegoś potrzebowały, to dajcie znać, okej?

- Jasne.

I Marian pojechał, a my zostałyśmy. Usiadłyśmy na tym strasznym łóżku, zastanawiając się, czy w ogóle warto się rozpakowywać. Nie miałyśmy nawet gdzie powiesić ubrań. Nie było szafy, jedynie jakaś wnęka bez wieszaków. Na szczęście jeszcze było na tyle widno, aby móc się po naszym nowym apartamencie rozejrzeć. Widok z okna wychodził na ulicę pełną czarnoskórych dzieciaków grających w kosza. Z tym że koszem było jedno z okien domu naprzeciwko. Samochody stały odrapane i poobijane. Za ścianą słychać było jakieś wrzaski, a zewsząd dochodził ten sam paskudny zapach pasty do podłóg i czosnku oraz smażonych ryb.

- Przynajmniej mamy dach nad głową - powiedziała Ewka, usiłując się uśmiechnąć.

- Cholera! - wykrzyknęłam. I po raz pierwszy odkąd byłyśmy w Paryżu, wpadłam w czarną rozpacz.

Tego wieczoru nie mogłyśmy sobie nawet zaparzyć herbaty. Na plastikowym stoliku paliła się świeczka, jadłyśmy zimne kanapki kupione jeszcze na Montmartre i popijałyśmy wodą mineralną z butelki. Nasza przyszłość w tym mieście stała pod ogromnym znakiem zapytania. Jeśli nie zaczniemy pracować, przepadniemy. Była jeszcze inna możliwość: wpakować się do pociągu następnego dnia i wracać do Polski, Bilety powrotne miałyśmy opłacone. Ale to byłoby jawnym przyznaniem się do porażki, Migułki śmiałyby się z naszej głupoty i przez następne parę lat wspólni znajomi mieliby o czym opowiadać na imprezach. Poza tym miałyśmy jeszcze

ponad miesiąc ważną wizę, z takim trudem uzyskaną. Nie mogłyśmy teraz stąd uciekać! Jeszcze tyle było do zwiedzenia, choćby Luwr, choćby Musee d'Orsay, Pere - Lachaise i wiele innych miejsc. O nie, nie wyjedziemy, coś trzeba wymyślić, aby dotrzeć do końca wizy.

Następnego dnia rano, w okropnym zatechłym łóżku naszego nowego mieszkania (jedno było stałe w tych paryskich mieszkaniach: byłyśmy skazane z Ewką na wspólne spanie w jednym łóżu), Ewka zamruczała nieprzebudzona jeszcze do końca:

- Leć po bagietkę. Dziś twoja kolej. - I dalej sobie chrapała. Faktycznie, była kolej na mnie, ale dokąd mam iść?

Wstałam i w półmroku poszukałam skarpetek. Ubrałam się i wyszłam z domu. Dzielnica może była trochę inna od poprzedniej, ale bagietki chyba tu gdzieś sprzedają.

Na ulicy od razu zaczepił mnie jakiś czarny gość. Coś pod nosem mamrotał, nie rozumiałam. Powiedziałam po francusku coś w rodzaju naszego rodzimego: spadaj i na szczęście odszedł. Zobaczyłam miło wyglądającą kobietę z małym dzieckiem w wózku.

- Przepraszam panią, czy jest tu gdzieś piekarnia? - spytałam z grzecznym uśmiechem.

- Tak, ale daleko stąd - odparła. - Musi pani pojechać metrem do następnej stacji.

- Pojechać metrem? - pytam zdziwiona. Przecież w Paryżu piekarnie są na każdym rogu. Rany, gdzie nas ten Marian wywiózł!

- Ale tam, za rogiem, jest sklep spożywczy - dodała Mulatka.

- Dziękuję bardzo. - Uśmiechnęłam się i pobiegłam do tego sklepu.

Pachnących i chrupiących bagietek nie mieli, ale coś z pieczywa kupiłam, jakiś serek i sok. Przecież nie pojedę

metrem po zakupy! Ewka na pewno się zmartwi, bo nasz rytuał jedzenia co rano świeżej bagietki był jedyną stałą w Paryżu. Trudno! Teraz będzie chleb razowy, zimny sok i kawałek sera.

- A gdzie bagietka! - wrzasnęła na mnie zła, kiedy ujrzała na stole to, co udało mi się zdobyć.

- Zapomnij o bagietce. Od dziś jesteśmy skazane na to badziewie. - Po czym wyjaśniłam jej, gdzie aktualnie mieszkamy i na co możemy liczyć w tej okolicy. Teraz już dobrze zrozumiałam, dlaczego w Ameryce handlarze nieruchomościami mówią, że przy zakupie domu najważniejsze są trzy rzeczy: po pierwsze: lokalizacja, po drugie: lokalizacja, i po trzecie: lokalizacja.

Nasz nowy dom był najwyraźniej źle zlokalizowany.

Ewka z trudem przełknęła śniadanie, które jej zafundowałam. A kiedy przejrzałyśmy portfele i okazało się, że wystarczy nam jeszcze co najwyżej na trzy dni takiego żywota, wpadła w czarną rozpacz.

- Musimy znaleźć pracę - odkryła Amerykę! - Natychmiast!

Nie czekając na cuda ani nawet na gościa z elektrowni, wsiadliśmy do najbliższego metra i studiując jego plan, w biegu wyznaczyliśmy nową trasę. Stąd na Montparnasse należało jechać zupełnie inaczej niż z Montmartre, ale po to wymyślono metro w Paryżu, żeby z każdego punktu A do każdego punktu B dało się dojechać możliwie szybko.

Baliśmy się jak diabli. Na pewno odbijemy się jak piłeczki pingpongowe, ale nie szkodziło sprawdzić. Następna życiowa rada, jaka w tym czasie przyszła mi do głowy, to nie palić za sobą mostów. Nigdy!

Widok hotelu Sheraton sprawił, że poczułam się jak dziwka, która wraca do swojego alfonsa i przeprasza go, że była niegrzeczna. Ale nie miałyśmy wyboru. Gdyby te cholerne fliki nas nie zwinęły, nadal mogłybyśmy zarabiać na portretowaniu. A my jeszcze poszłyśmy z nimi na randkę! Ale z nas głupie dziewczuchy. A teraz wracamy do Sheratona prosić, aby nas znowu przyjęto do pracy. Oczywiście, marne były na to szanse, zważywszy na sposób, w jaki odeszłyśmy z pracy. Czyli bez konkretnego wypowiedzenia. Ale musiałyśmy choćby spróbować.

Ulice pełne były turystów, szczyt sezonu. Wieża Montparnasse, najwyższy widokowy punkt Paryża (poza wieżą Eiffla, rzecz jasna), odbijała sierpniowe słońce. Dzień był słoneczny i gorący, idealny dla bogatych Amerykanów i uzbrojonych w aparaty fotograficzne Japończyków, aby mogli robić piękne zdjęcia z Paryża. Z trudem przebiłyśmy się przez wycieczkę rozradowanych obcokrajowców na chodniku, minęłyśmy mima udającego Statuę Wolności, aż w końcu odnalazłyśmy „nasz” hotel. Przed wejściem bocznym, tym dla pracowników, zatrzymałyśmy się na ostatnią naradę.

- Musimy wyglądać na pewne siebie - mówię do Ewki.

- Jasne, i udawać, że nie zależy nam na tej pracy, ale jeśli bardzo im brak pokojówek, to możemy trochę jeszcze popracować...

- No tak, bo jak zobaczą, że nam bardzo zależy, to dadzą nam do sprzątnia same kible.

- Albo nic nie dadzą - wieszczy Ewka.

- Dadzą nam czy nie dadzą, idziemy. I tak nie mamy nic do stracenia.

Izabelle na nasz widok omal nie dostała zawału. Znaczą, że nas zapamiętała. Po chwili szoku usiadła za biurkiem i nam też wskazała krzesła.

- Chcecie wrócić do pracy? - zapytała krótko. Wyglądała na bardziej zmęczoną niż przed kilkoma tygodniami. Miała niezbyt staranny makijaż i nerwowe spojrzenie osoby przepracowanej albo mającej inne problemy.

- Właściwie to nie zależy nam tak bardzo, bo mamy propozycję z hotelu Ferrandi, ale tu już trochę znamy teren i w ogóle... - zażartowałam, a Ewka kopnęła mnie w kostkę. - Więc jakby co, to możemy sobie pójść...

- Nie, nie, zaczekajcie. - Izabelle przeglądała jakieś wydruki, coś sobie układała. Hotel Ferrandi? Skąd mi to przyszło do głowy? - Właściwie to przydałaby się nam pomoc. Czy w tym Ferrandi macie już coś ustalone?

- No tak, ale nic wiążącego. Jeśli pani nas nie potrzebuje, to... - dałam sygnał Ewce, żeby się podnieść z krzesła. Wstałyśmy i zrobiłyśmy ruch w stronę drzwi. Ewka chyba miała ochotę mnie zagryźć za tę desperacką i bardzo niepewną akcją. Ale Izabelle zatrzymała nas ruchem ręki.

- Usiądźcie. Oczywiście, wolimy personel już wyszkolony. Mamy dwa wakaty, jeśli was to interesuje. Ale wołałabym, żebyście się zdecydowały tu i teraz. Bo muszę wiedzieć, na czym stoję.

Przez chwilę udawałyśmy, że się wahamy. Rany, to było straszne! Ryzykowałyśmy tak wiele. Jak ona nas nie przyjmie, to dołączymy do grona paryskich kloszardów.

- No dobrze... Możemy się podjąć tej pracy, ale...

- Rozumiem, że na nowych, lepszych warunkach - dokończyła za mnie Isabelle. Czekaliśmy, co dalej powie. Przez chwilę milczała, udając, że sprawdza coś w notatniku.

- Okej, zatem mam dla was propozycję pracy od zaraz, czyli od jutra. Najwyższe piętra, apartamenty, ale z dodatkową funkcją podawania śniadań do pokoju. - Zawahała się, patrząc na nasze zdziwione twarze. - Nie, to nie jest dodatkowa praca. Inaczej. Będzie mniej pokoi do posprzątania, ale za to troszkę innych zadań typu przynoszenie śniadań, i za to proponuję podwójną stawkę. Więc nie sto, ale dwieście franków dziennie, plus, rzecz jasna, dodatkowe przywileje, jak obiad, płatny weekend i ewentualne premie za miesiąc dobrze wypełnionej pracy. Czy to was satysfakcjonuje? - Isabelle spojrzała nam w oczy i w tym momencie zrobiło mi się jej żal. Dotąd nie miałam pojęcia, w jakim stresie żyła i pracowała. Musiała mieć załogę, na której można było polegać. Hotel musiał być każdego dnia oporzędzony od najniższego, trzeciego piętra pod ziemią do ostatniego, trzydziestego na górze. Pokojówki przychodziły i odchodziły, tak jak my. Jedne były staranne, inne kompletnie nie nadawały się do tej pracy. A ją ktoś z tego rozliczał. Być może sama miała ochotę stąd uciec, ale nie miała dokąd? Może miała małe dziecko i była sama? Nic o niej w sumie nie wiedziałyśmy, ale teraz zrozumiałam, że nie można oceniać nikogo po pozorach czy po pierwszym wrażeniu.

- Spróbujemy pani nie zawieść - powiedziałam, a Ewka pokiwała głową na znak aprobaty.

Podpisałyśmy jakąś dziwną umowę na pracę sezonową, te umowy zawsze były jakieś podejrzane, ale liczyło się tylko jedno: znów mamy pracę!

I zaczynamy od jutra.

Izabelle uśmiechnęła się na do widzenia i prosiła, abyśmy się nie spóźniły. Znaczyło to, że będziemy musiały na nowo przeanalizować nasz plan dojazdu z tej strasznej nory do hotelu. Ale już niedługo w niej pozostaniemy.

Żeby zdążyć na ósmą do Sheratona, musiałyśmy wstać o szóstej. Elektryk nie przyszedł, w naszym lokum nadal panowały egipskie ciemności. Zimne napoje i przekąski przy świecy. Z Marianem pogadamy wieczorem.

Nie spóźniłyśmy się do pracy. Izabelle dała nam dwa ostatnie piętra i nowe fartuszki. Tym razem już nie różowe, ale czarno - białe. Byłyśmy teraz pokojówkami od tych górnych pięter. No i miałyśmy także podawać gościom śniadania do pokoju. Ewka się bała, czy znowu nie trafi na jakiegoś psychola ekshibicjonistę, ja się z tego śmiałam i cieszyłam, że mamy takie uprawnienia po tak niechlubnej przeszłości. I zastanawiałam się, co robią nasze przyjaciółki Migułki? Czy też dochrapały się górnych pięter, czy nadal zasuwiają na dolnych?

Nowa praca okazała się całkiem fajna. Apartamenty były zwykle czyste, grube ciemnozielone dywany niekoniecznie trzeba było traktować odkurzaczem, a śniadania przynoszone do pokoi wiązały się z dodatkowymi napiwkami. Generalną zasadą hotelu było, że im wyższe piętro, tym bogatsi goście, a im bogatsi goście, tym większe napiwki. <

Pierwszy dzień pracy upłynął nam bez żadnych niespodzianek, tylko raz Ewka (oczywiście, tylko jej to się mogło zdarzyć) trafiła na faceta, który koniecznie chciał ją namówić, aby zjadła z nim razem śniadanie w jego łóżku, ale

w porę uciekła i przez moment zawahała nad dalszym sensem tej pracy.

Zeszliśmy do kafeterii na lunch i przy całkiem dobrym posiłku na koszt Sheratona wymieniliśmy uwagi z całego dnia. Bilans okazał się oczywisty: dwieście franków dziennie to niezła sumka, nawet jeśli jakiś gość poklepie cię po tyłku. Trzeba być ponad to, mieć gdzieś własny honor, bo za honor nikt w Paryżu nie płaci. A nam są potrzebne pieniądze. Po prostu.

W metrze Montparnasse rozlegała się cudowna muzyka. Byliśmy zmęczone, ale nie aż tak, aby za nią nie pójść.

Dobiegała z jakiegoś sklepiku, których w podziemiach metra jest mnóstwo, i tak dotarliśmy, jak po nici Ariadny, do sklepiku muzycznego, gdzie kręciła się płyta Tangerine Dream. Była to płyta pod tytułem „Ricochet”. Ta niespokojna muzyka sączyła się z głośników metra każdego dnia. W końcu tak nam weszła w krwiobiegi, że postanowiłam ją sobie kupić.

Było to już po pierwszej wypłacie, po tygodniu spędzonym w czarno - białych fartuszkach. Już nie przepuszczaliśmy na bieżąco kasy w restauracjach i w tanich sklepach z ciuchami. Zapragnęliśmy kupić sobie coś trwałego, wyjątkowego i takiego, co nam przywoła wspomnienia, kiedy już wrócimy do kraju.

Zainwestowałyśmy w muzykę. Płyta „Ricochet” była moim pierwszym zakupem. Trafiliśmy do sklepu z muzyką, gdzie można było słuchać płyt przez słuchawki, a potem kupować. Kupiliśmy tam wiele wyjątkowych krążków, wtedy były to płyty winylowe. Pokusiłam się nawet o różową płytę: „Animals” Pink Floyd. Przeplaciłam trzykrotnie, aby się po wielu latach dowiedzieć, że kupiłam wtedy egzemplarz unikatowy, którego wydano zaledwie kilkaset sztuk.

Jednak, choć zarabialiśmy całkiem nieźle, nadal mieszkaliśmy w tym ciemnym i obskurnym mieszkaniu na

peryferiach miasta. Marian przeproszał nas za brak prądu, a nam nie wypadało mieć do niego pretensji. Ciepłe posiłki były więc możliwe tylko poza domem.

Po kilku dniach nowej pracy w Sheratonie wpadłyśmy w końcu na Migułki. Przydzielono je nam do pomocy na ostatnich piętrach, choć to one zasługiwały na awans, przynajmniej jeśli chodzi o staż pracy. Na widok naszych eleganckich czarno - białych uniformów omal nie dostały zawału.

- To wy? Co tu robicie? - nie dowierzały.

- Wróciłyśmy.

- A portrety? - pyta Migułka Młodsza.

- Hmmm, jak by to wam wyjaśnić. Znudziło nam się rysowanie. Tu przynajmniej wszystko jest uporządkowane, pieniądze może takie sobie, ale pewne. A może się stęskniłyśmy? - mrugnęła do Migulek Ewka.

Chyba Ewki wyjaśnienie ich nie przekonało, bo jakieś nadane stały w małej pakamerze z zapasową pościelą, ręcznikami, wózkami i innymi akcesoriami, gapiąc się na nas podejrzliwie. Migułka Młodsza pakowała na swój chariot zestawy kąpielowe, czepki jednorazowe z logo hotelu, mydełka, szamponiki, balsamy i inne takie. Robiła to z taką wprawą, jakby przepracowała tu już kilka lat.

- Ej, czy to ważne? Wróciłyśmy i już - podsumowałam.

- Musimy szybko uprzątnąć całe piętro, bo przyjeżdża dziś po południu jakaś ważna delegacja, czy coś. Premiere chyba wam o tym mówiła? A może wiecie, o kogo chodzi?

- Nie, a jeśli już by komuś coś więcej powiedziała, to raczej wam - z nutką zazdrości skonstatowała Migułka Starsza.

Ewka spojrzała na mnie zdziwiona nagłym tupetem tej dziewczyny. Zwykle trzymała buzię na kłódkę, a tu nagle taka uwaga.

- Będziemy tu stać i się kłócić czy bierzemy się do roboty? - przerwała ciszę Młodsza Migułka. - Mamy mało czasu i kilka apartamentów do wypucowania.

- To bierzmy się do roboty. - Spojrzałam na zegar.

- Wiemy, co mamy robić.

Każdy apartament miał inną kolorystykę. Jeden utrzymany był w ostrych kontrastach zieleni i granatu, inny w fioletach i różach. Był też jeden o stonowanych, pastelowych kolorach. Ale choć kolory były śmiałe, całość robiła wrażenie ogromnej prostoty i elegancji. Z okien rozpościerał się fantastyczny widok na Montparnasse z wieżą Eiffla widoczną w oddali. Okien nie dało się nawet uchylić, świeżym powietrzem zajmowała się wszechobecna klimatyzacja.

Na biurku stojącym zwykle w narożniku przy oknie obok telefonu, faksu i notesów oprawnych w skórę z firmowym znakiem hotelu kładłyśmy codziennie nowe gadzety: zapalniczki, kartki ze zdjęciami hotelu, długopisy. Wszystko dobrej marki i w dobrym guście.

Łóżka były ogromne i musiały wyglądać jak nietknięte. Codziennie świeża pościel, kilka ogromnych ręczników do łazienki, flakoniki z jednorazowymi płynami do kąpieli, zabawne mydełka w kształcie fasolki z wygrawerowanym logo hotelu, jednorazowe czepki kąpielowe. Każdy przedmiot musiał się znaleźć w określonym miejscu, a lustra i armatury nie miały prawa nosić choćby maleńkiego śladu po wodzie. Polerowałyśmy je ręcznikami, które potem wymienialiśmy na świeże.

Do czyszczenia sedesów służył najnowszy środek o nazwie Ajax. Wszędzie nam go wpychano. Półki w pakamerach na każdym piętrze wypełniały zapasy tego proszku. Nie miałam pojęcia, że ów Ajax stanie się za jakiś czas tak znany i popularny w całej Europie i że będę nim czyściła własne kible w Polsce.

Wtedy była to nowość, prawdziwy przewrót w dziedzinie chemii gospodarczej.

Trzeba przyznać, że doskonale się sprawdzał.

Wanny hotelu Sheraton po Ajaksie lśniły bielą rażącą w oczy.

I tak upływał nam kolejny roboczy dzień na dwudziestym ósmym piętrze. Ewka czyściła dywany, ścieliła łóżka i zmiatała niewidzialny kurz z mebli, ja szorowałam wanny, jako że od pamiętnej historii z czarnymi arabskimi kłaczkami Ewka miała lekką niechęć do sprzątania łazienek.

Właśnie szorowałam jedną z wanien nieocenionym Ajaxem, kiedy usłyszałam za sobą kobiecy głos.

- Zdażycie? - Nasza Premiere stała w drzwiach do łazienki i z niepokojem spoglądała na zegarek. Nadal w jej obecności czułam się tak, jakby mnie nakryła na jakimś przewinieniu. - Zależy mi, aby tym razem apartamenty lśniły jak nigdy - dodała. Tym razem? A niby wcześniej nie lśniły, pomyślałam oburzona jej uwagą.

- Oczywiście, że tak. Wszystko jest pod kontrolą - uspokoiliam ją, albo i nie. Zacisnęła usta w grymasie, który świadczył, że chyba jednak nie. Potem zajrzała do Ewki. Po chwili wypadła jak burza i pobiegła dalej.

- Co tu się dziś wyprawia? - Ewka pyta mnie w trakcie pakowania prześcieradeł do kosza w chariot. - Kto tu przyjeżdża, że taki popłoch?

- Nie mam pojęcia, ale to musi być ktoś naprawdę ważny.

W krótkiej przerwie wygospodarowanej na lunch w służbowej kafeterii nastawiłyśmy uszu. Wszyscy o czymś szeptali, jakby szykowała się jakaś wielka sprawa. Ewka ukryła się za swoim kuskusem i wyławiała z tłumu pojedyncze słowa. W sumie przewijało się wciąż jedno słowo: szejkwie.

Okolo szesnastej nasz wspaniały zespół wywiązał się z powierzonego zadania. To znaczy, miałyśmy taką nadzieję,

kiedy Premiere zrobiła obchód i po kolei sprawdzała każdy detal w kolejnych apartamentach. My dreptałyśmy za nią, czekając na zwolnienie w trybie natychmiastowym. Na szczęście, poza paroma drobiazgami, które natychmiast poprawiłyśmy, nie znalazła niczego niepokojącego. Pokoje pachniały świeżością, łazienki były w oczy blaskiem bieli wypolerowanej Ajaxem, armatury lśniły, jakby były ze srebra.

Po wyjściu z ostatniego apartamentu Premiere oświadczyła sucho:

- Dobrze się spisałyście. Możecie na dziś skończyć pracę. Ale jutro o ósmej każda z was ma być gotowa na skinienie, czy to jasne?

Kiwnęłyśmy, że tak, i szybko pobiegłyśmy do windy, żeby przypadkiem coś się jej nie przypomniało i nie kazała nam pracować do nocy.

Wspólna walka z apartamentami dla tajemniczych ważnych gości sprawiła, że nasze stosunki z Migułkami uległy kolejnemu ociepleniu. Nic tak nie jednoczy jak wspólny wróg. Poszłyśmy więc we cztery na kolację do pobliskiej knajpki z widokiem na wieżę Montparnasse. I tak obie z Ewką musiałyśmy zaliczyć jakiś ciepły posiłek przed powrotem do naszej nory bez prądu, gazu i wszelkich wygód, więc przyjemnie było usiąść teraz z Migułkami w miłym kąciku ogródka tej hałaśliwej restauracji.

Zamówiłyśmy wino i plat du jour. Po co się męczyć z odgadywaniem dań z karty. Danie dnia zwykle okazywało się super. Migułki przestały się chyba na nas boczyć, zaczęły na przemian opowiadać o swoich przeżyciach. Jak się okazało, nie tylko pracowały! Zwiedziły już Luwr i Musee d'Orsay, były na Pchlim Targu, na Pere - Lachaise i w wielu innych miejscach. Migułka Starsza kopnęła Młodszą, kiedy ta zaczęła opowiadać, jak poderwały dwóch fajnych Anglików przy okazji zwiedzania Luwru. Obie z Ewką słuchałyśmy jak

zaczarowane, bo wydawało nam się, że Migułki w Paryżu tylko pracują, pozbawione życia prywatnego. A tu bum! Takie rewelacje!

- A my widziałyśmy Cour de Rohan - powiedziałam z tajemniczą miną.

- A co to takiego? - spytały Migułki chórem.

- Nie wiecie? - I w skrócie opisałam to wyjątkowe miejsce, gdzie Guillotin konstruował swój wynalazek.

- O, musimy to zobaczyć - Migułka Starsza wyraźnie się zainteresowała.

- Nadal mieszkanie w tym ślicznym gniazdku na Montmartre? - spytała jej siostra. Ewka omal nie udławiła się grzybkami, które stanowiły główną atrakcję dzisiejszego dania dnia.

- Chwilowo nie, bo... Właściciel robi w nim remont, więc mieszkamy teraz w innym jego atelier - na to słowo Ewka zaczęła kaszleć - ale to tylko przejściowe. Niebawem wrócimy na Montmartre.

- I znowu będziecie rysować? - Młodsza Migułka chyba coś wyczuła.

- Może... Ale wiecie co? Może lepiej się zastanówmy, kto od jutra zawita w naszym hotelu? - I od tej pory już o niczym innym nie gadałyśmy, jak tylko o tym. Bo że coś się wielkiego szykowało, to było jasne.

W końcu zrobiło się późno i najedzone jak baki poszłyśmy do metra, skąd pojechałyśmy do domu. Migułki nadal mieszkały w hotelu na rue des Batignolles (podobno właściciel, Polak, dał im sporą zniżkę w zamian za tak długi pobyt), a Ewka i ja skierowałyśmy się w stronę naszej ciemnej nory w podejrzanym dzielnicy na peryferiach miasta.

Całe szczęście, że nie musiałam podawać Migułkom naszego adresu, bo chyba by nas skreśliły z listy znajomych.

Po kilku kieliszkach wina Ewka była wesolutka i wcale do niej nie docierało, że wracamy w to straszne miejsce. Od metra do naszego domu trzeba było iść jeszcze spory kawał ciemną ulicą pośród odrapanych kamienic. Zza zaułków wyłaniały się ciemne postacie w białych podkoszulkach, spocone i krzyczące pod naszym adresem jakieś sprośności. Droga od stacji metra do domu była traumatycznym przeżyciem. Dobrze, że kończyła się „przeżyciem”, bo jakiś czas później dowiedziałyśmy się, że w tej dzielnicy odnotowana jest największa przestępczość w Paryżu i nikt o zdrowych zmysłach nie wychodzi po zmroku na ulice poza bandziorami. A my, całkiem tego nieświadome, już od kilku dni chadzamy sobie, jak gdyby nigdy nic. Byłyśmy chyba jedynymi białymi mieszkankami tej okolicy, do tego młodymi dziewczynami, i miałyśmy stałą pracę, czyli zapewne jakieś pieniądze w portfelu. Inaczej mówiąc, już dawno powinniśmy zostać napadnięte, obrabowane i zabite. Ale my nie wiedziałyśmy nic o podobnym zagrożeniu, jak dwie idiotki uśmiechałyśmy się do czarnoskórych, muskularnych, wytatuowanych facetów, jakby byli naszymi dobrymi kumplami. Może wydawałyśmy się aż tak dziwaczne, że bali się nas zaczepić? Zwykle kończyło się na głupich uwagach i śmiechu, kiedy ich mijałyśmy, wracając zmęczone po pracy. A oni tryskali energią, jakby nie mieli pojęcia, co to praca.

Potem się dowiedziałyśmy, że większość mieszkańców tej dzielnicy żyje z zasiłku, i nie pali się bynajmniej do żadnej uczciwej roboty.

Tego wieczoru jednak nie było tak miło. Tuż przed domem, czyli naszą ciemną norą, podeszło do nas dwóch miejscowych. Cuchnęli mieszaniną alkoholu, smażonych frytek, męskiego potu i wszechobecnej pasty do podłóg. Od samego zapachu zrobiło mi się słabo. Zatrzymali nas tuż przed

koślawymi schodkami do domu i spytali, co my tu właściwie robimy.

Serce podeszło mi do gardła, Ewka pewnie czuła to samo. Ale, co nam w danej sytuacji mocno sprzyjało, obie byłyśmy na lekkim rauszu. A co za tym idzie, byłyśmy głupio odważne.

- Mieszkamy tu - mówiąc to, Ewka czknęła jak rasowy pijaczek.

Facetów troszkę to uspokoiło. Jeden już pchał się do nas z łapami, ale drugi go powstrzymał.

- Dwie białe laski TU mieszkają? - Chyba nam nie uwierzył.

- Uhm... - wyjąkałam.

- Nie, tu nie mieszkają białe laski. To dzielnica czarnych. Więc albo jesteście wtykami z narkotykowego, albo z imigracyjnego.

Co on mówi? My z policji?

Obie z Ewką zaczęłyśmy się śmiać jak dwie naćpane wariatki. Przecież same byłyśmy aresztowane! Co za heca! Czarnoskórzy faceci nie wiedzieli, czy nas zabić na miejscu, czy dać nam jeszcze szansę. A my dostałyśmy takiego napadu śmiechu jak po zażyciu gazu rozweselającego.

- Słuchaj, kolego - nie wiem skąd mi się wzięło to „kolego”, ale chyba to było trafne posunięcie - my właśnie wracamy z przesłuchania w prefekturze! Jesteśmy wyrzutkami, zabrali nam paszporty i oskarżyli o nielegalny proceder! - Ewka już prawie tarzała się po ziemi ze śmiechu. A oni stali i patrzyli na nas jak na dwie zjawy z innej planety.

- To wariatki - powiedział ten niższy. - Spadamy.

- Zaczekaj! Jeśli jesteście dziwkami, to spoko - zwrócił się do nas. - Nic wam tu nie grozi. Ale jak mnie okłamałyście i jesteście z policji, to radzę wam...

- Daj spokój stary, to dziwki!

- Obyś miał rację. Ale nie wyglądają...

- A czy muszą od razu wyglądać? - Troszkę się tym zaniepokoiłam, że tak nas widzą ci dwaj czarnoskórzy obywatele francuscy, ale w danej sytuacji schronić się pod płaszczkiem dziwki było dla nas najlepszą bronią.

- No właśnie, nie muszą - wybełkotała, jakby na życzenie, Ewka.

- Okej, puścimy was dziś do domciu, ale jakby co, to lepiej nam w drogę nie wchodźcie. - Ten wyższy chyba nie żartował.

- Mamy dość własnych problemów i nie obchodzą nas wasze - powiedziałam dość stanowczo. Cały czas podtrzymywałam Ewkę, aby nie runęła na chodnik.

- Okej, w takim razie my spadamy. I poszli sobie. Po prostu.

W naszej norze było ciemno, zimno i smutno. Sierpniowe noce już bywały chłodne. Wskoczyłyśmy z Ewką pod gruby koc, żeby się trochę rozgrzać. Postanowiłyśmy, że od jutra szukamy innego lokum.

Ale zanim pojechałyśmy na Montmartre powiedzieć Marianowi, że ani dnia dłużej nie będziemy mieszkać na tym zadupiu, musiałyśmy się stawić do pracy. Obudziło nas zimno poranka i z trudem wygrzebałyśmy się spod grubego koca. Zimne śniadanie, po raz ostatni, taką miałyśmy nadzieję, i pędem do metra, żeby zdążyć na ósmą do Sheratona.

Byłyśmy ciekawe, kto mieszka w naszych apartamentach.

Izabelle powiedziała, że mamy być wyjątkowo profesjonalne, uśmiechnięte i nawet, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło, kazała nam poprawić makijaż i włosy. A zaraz potem wyjaśniła szeptem, choć przecież nikt nas nie słyszał, bo byłyśmy dwa piętra pod ziemią w pokoju odpraw dla personelu, że przyjechała do naszego hotelu bardzo ważna delegacja z Arabii Saudyjskiej. A jednak! Szejkowie!

Nie wspomniała, że od wizyty tej delegacji ma zależeć zaopatrzenie Francji w ropę naftową przez najbliższe dwadzieścia lat. Ale tego dowiedziałyśmy się z gazety, którą kupiłyśmy zaraz po skończonym dyżurze. Na pierwszych stronach „Le Monde”, „Le Figaro” i wszystkich innych paryskich dzienników były wielkie nagłówki o szczycie energetycznym Francji, o niezwykle ważnych rokowaniach z arabskimi dyplomatami na temat dostaw ropy.

A więc to dla nich szorowałyśmy te toalety Ajaxem? A teraz Ewka będzie znajdowała czarne kręcone kłaczki na wannach?

Z niepokojem podjęłyśmy się naszej służby tego dnia. Bałam się o Ewkę, czy jej awersja do Arabów nie popsuje tego energetycznego szczytu. W windzie na dwudzieste ósme piętro odbyłyśmy krótką naradę/Powiedziałam Ewce, że jakby były gdzieś jakieś czarne kłaczki, to ma mi dać znać. Ma nie wpadać w popłoch, bo to ważni goście i od nich zależy, czy Francuzi będą mieli czym natankować swoje renówki i Citroeny oraz czy w ich domach będzie ciepło, kiedy zaskoczy ich zima. Ewka oznajmiła, że rozumie powagę sytuacji, i obiecała stanąć na wysokości zadania.

Apartamenty były puste, bo szejkowie byli na ważnych spotkaniach z francuskimi ministrami. My miałyśmy tylko posprzątać te pomieszczenia. Nigdy wcześniej nie czułam takiej tremy jako pokojówka, bałam się wejść do pokoju. Ale czasami trzeba przewyciężyć strach.

Pokoje były czyste, wymieniliśmy pościel, wypucowałyśmy łazienki. Tu i ówdzie zauważyłyśmy trochę dziwnych akcentów, jakieś foldery z arabskimi tekstami, jakieś nieeuropejskie ubrania, ale generalnie wszystko było jakby nietknięte obcą cywilizacją. Nie było nawet czarnych kłaczek na wannie, co bardzo ucieszyło Ewkę.

Zanim szejkowie wrócili do swych apartamentów, po naszej obecności nie było śladu. Isabelle na odchodnym powiedziała, że dobrze się spisałyśmy i jutro jeszcze jeden taki dzień, a potem goście wyjadą. A jak wszystko się dobrze skończy, to mamy dwa dni wolnego ekstra.

Super! Właśnie tego potrzebowałyśmy, choćby po to, aby poszukać nowego mieszkania.

I tak się stało. Szejkowie wyjechali, my znalazłyśmy pod poduszkami niezłe napiwki, Isabelle dała nam dwa dni płatnego wolnego, więc pojechałyśmy na Montmartre, bo dłużej na tym wygnaniu nie miałyśmy ochoty wegetować.

Marian na nasz widok przerwał wycinanie profilu brodatego turysty, podszedł do nas i przytulił jak ojciec.

- Dobrze się składa, że jesteście. Moja córka chce was poznać.

- To miło z jej strony... - No cóż, trudne tematy będą musiały poczekać.

- Jest tu gdzieś... o tam! Ta w czerwonej sukience. - Marian wskazał nam młodą dziewczynę siedzącą w pobliskiej knajpce, flirtującą z kelnerem. - Zaraz ją zawołam. Po czym pobiegł do niej, coś jej szepnął do ucha poprzez płótek oddzielający restaurację od ulicy. Dziewczyna spojrzała w naszym kierunku, oddała menu kelnerowi i podeszła do nas.

- Poznajcie się. - Marian wyglądał na szczęśliwego ojca. - To Nicole, moja córka, a to moje polskie przyjaciółki, Ewa i Agnieszka. - Nicole miała piękny uśmiech i burzę rudych włosów.

- Ojciec wiele o was opowiadał.

- O tobie też - wyręczyła mnie Ewka w małym kłamstewku, bo w istocie niewiele o niej mówił.

- To może usiądziemy i pogadamy? - zaproponowała Nicole. - Mój stolik jest wolny.

Usiadłyśmy z Nicole, która mogłaby być modelką Botticellego do obrazu „Narodziny Wenus”. Dziewczyna okazała się nie tylko piękna, ale także wesoła i otwarta. Nie było w niej ani odrobiny wyższości, jako że ona mieszka w Paryżu, studiuje we Włoszech i ma cudowne życie w przeciwieństwie do nas, które sprzątamy pokoje arabskich szejków i niedługo wrócimy do komunistycznej Polski. Pomyślałam, że szejkowie mogliby przyjechać do naszego kraju i pogadać o dostawach ropy. Paliwo u nas wciąż było towarem luksusowym, a kolejki na stacjach benzynowych konkurowały z tymi do rzeźnika i po papier toaletowy.

Nicole od pierwszej chwili dała się polubić.

Zamówiłyśmy coś z polecanych dań na ten dzień i oczywiście wino, i chyba znalazłyśmy wreszcie w Paryżu bratnią duszę, bo słowa popłynęły jak rwący potok. Nicole opowiadała o swoich studiach w Mediolanie. Zamierzała zostać projektantką mody albo, w najgorszym razie, redaktorką pisma o modzie. Podobnie jak jej matka była tym żywo zainteresowana. Ale, jak dodała, ma do tego wielki dystans, bo ten cały świat mody to jedna wielka banda idiotów. Potem zapytała o nasze cele, ambicje i plany. Powinna zostać dziennikarką, bo wyciągnęła z nas sekrety, których nie zdradzałyśmy nikomu. Opowiedziałyśmy o całym naszym pobycie w Paryżu, o aresztowaniu, o poznaniu jej ojca, który podał nam pomocną dłoń, aż wreszcie dotarłyśmy do tematu dnia (jakoś sam wypłynął w trakcie rozmowy), czyli naszego problemu związanego z mieszkaniem. Kiedy Nicole usłyszała, gdzie nas ulokował jej ojciec, mocno się zdenerwowała.

- Jak on mógł! - krzyknęła i na chwilę nas przeprosiła. Po chwili ciągnęła za rękaw Mariana i kazała kelnerowi przystawić jeszcze jedno krzesło.

- Jak mogłeś je ulokować w tej norze? - Patrzyła na ojca z wyrzutem, piękna i bestia w jednym.

- No a co miałem zrobić? - tłumaczył się. - Musiałem przecież zwolnić twoje studio!

- Tato - Nicole mówiła teraz wolno i wyraźnie - przecież ja mogę mieszkać u ciebie, czyż nie? A one w moim studio.

- No, tak, ale myślałem, że...

- Oj, tatau... Myślałeś, wiem, wiem... Ale nie co dzień spotykamy takie wspaniałe dziewczyny. Ja się mogę wyprowadzić nawet dzisiaj. Przecież mam u was własny pokój? No, chyba że mnie nie chcecie? - Zrobiła nadąsaną minę jak mała dziewczynka.

- Ale... - usiłowałam się wtrącić.

- Cicho - powiedziała Nicole. - To co, tatau, przygarniesz mnie? A ja naprawdę bym chciała, aby Ewka i Aga zamieszkały na lato w mojej dziupli.

- Naprawdę tego chcesz?

- No jasne!

- W takim razie jeszcze dziś pojedziemy po wasze rzeczy... - zaproponował Marian.

- Może jednak jutro? - próbowałam nieco złagodzić ten pośpiech. W tym samym momencie Ewka walnęła mnie pod stołem w kostkę.

- Zgoda. Jutro przyjadę po was w południe. Zgadza się?

- Czy my się zgadzamy? - Ewka, choć na mnie zła, przejęła pałeczkę. - Jasne, że tak! Nawet nie masz pojęcia, Nicole, jak bardzo doceniamy twój gest!

Dziewczyna, zamiast wygłaszać jakieś durne teksty, podeszła do Ewki i mocno ją objęła, a potem mnie. Od tej pory miałyśmy w Paryżu nową przyjaciółkę.

Tak więc nasz pobyt w czarnej dzielnicy trwał jakiś tydzień z okładem. Ewka nie mogła mi darować, że nie zgodziłam się na przeprowadzkę natychmiast po deklaracji Mariana, przez co jeszcze jedną noc musiała spędzić w tej norze bez prysznica i prądu, ale koniec końców przytaknęła mi, gdy oznajmiłam, że to tylko punkt dla nas w oczach Mariana i jego córki, bo przynajmniej mógł wieczorem normalnie popracować, a Nicole ze spokojem mogła się przenieść do rodziców.

Kiedy Marian podjechał po nas w południe, banda wyrostków grająca w kosza przerwała na chwilę grę, aby mu się dobrze przyjrzeć. Widziałam tę scenkę z niemytego od lat okna i trochę się bałam, czy młodzież nie wyrządzi Marianowi jakiejś krzywdy, ale nasz przyjaciel świetnie sobie radził w konwersacji z chłopakami, a nawet rzucił piłką w stronę kosza (czyli wybitego okna w domu naprzeciwko) i trafił! Widziałam zdumione twarze młodych, że taki staruch, jakim z pewnością był w ich mniemaniu, wykonał tak dobry rzut osobisty. Ktoś nawet zagwizdał z uznaniem.

- Spakowałaś się? - pogoniłam Ewkę.

- A co, pali się? - Ewka upychała swoje rzeczy w plecaku. Jak zwykle nic jej się nie mieściło.

- Nie, ale jak będziesz się tak guzdrać, to jeszcze Marian się tu na dobre zadomowi i stwierdzi, że to fajna dzielnica. - W tym momencie przybijał piątkę z najwyższym z koszykarzy.

- He, he... dobry dowcip, Aga. Ale już prawie... Jeszcze tylko jakoś to cholerstwo trzeba zamknąć.

Z plecaka Ewki wystawały rękawy swetra i pasiaste skarpetki. Pomogłam jej to upchnąć, zabrałam własny plecak, rozejrzałyśmy się po miejscu naszego zesłania, czy nic nie zostało w jakimś ciemnym kącie, a lepiej, żeby nie, bo na

samą myśl o powrocie tu robiło nam się słabo, ale nie, więc z radością zatrzasnęłyśmy za sobą odrapane drzwi.

Na dole Marian nadal grał z chłopakami w kosza. Rany, teraz będziemy czekać, aż skończy się mecz?

Ale widząc nas, podziękował za grę, oddał piłkę i otworzył bagażnik swojego renaulta.

- Sympatyczne chłopaki - powiedział nieco zdyszany.

- Jeszcze jak - mruknęła Ewka, pakując plecak do auta. Marian chyba nie wyczuł sarkazmu w jej głosie, a ja omal nie parsknęłam śmiechem.

Tak więc wróciłyśmy na rue des Trois Freres! Nicole już tam na nas czekała.

Pod naszą nieobecność zaopatrzyła nawet lodówkę we frykasy, jakich zwykle nie jadałyśmy. Było w niej chyba dwadzieścia różnych serków, kilka słoików z pasztetami, salami, dwa rodzaje sałaty, pomidory, pikle ogórkowe i puszki z anchois. Były też jajka, cytryny i mleko. A kiedy już się jako tako rozpakowałyśmy, spędziła z nami wieczór przy dobrym winie i bagietkach z pasztetem, po czym odmeldowała się i pobiegła do tatusia, zaledwie kilka przecznic stąd. Powiedziała, że od dawna z nikim tak szczerze i miło nie rozmawiała jak z nami. Obiecałyśmy się spotykać, jak często się da.

Nie miałam pojęcia, że córka Mariana tak odmieni nasz los w Paryżu. Marian był szczęśliwy, że Nicole mieszka w jego domu, my byłyśmy szczęśliwe z powrotu do elektryczności, a czarni faceci w tej strasznej dzielnicy mogli odetchnąć z ulgą, że żadne białe wtyki z narkotykowej albo imigracyjnej tam już nie węszą. Bo choć tego dnia dali nam spokój, jednak cały czas nie byli pewni, kim właściwie jesteśmy.

Paryż to, jak widać, miasto straszliwych kontrastów. Nie tylko rasowych.

Rano Ewka pobiegła po bagietkę do naszej dawnej piekarni, zaparzyłyśmy sobie herbatę i po raz pierwszy od tygodnia zjadłyśmy normalne śniadanie. Błogosławiłyśmy przy nim Nicole, dziewczynę, która zrezygnowała z własnego mieszkania, żeby nam żyło się lepiej. Może miała w tym jakiś własny ukryty cel? A może po prostu była właśnie taką dziewczyną, jaką się nam wydała przy pierwszym spotkaniu?

Ponowne zamieszkanie w studiu Mariana na Montmartre zbiegło się z połową naszego pobytu w Paryżu. Tego dnia usiadłyśmy z Ewką na ławeczce niedaleko placu pełnego gwaru turystów i różnych artystów i poważnie zastanowiłyśmy się nad dalszymi planami. Poważne myślenie nie było naszą mocną stroną podczas tych wakacji, ale trochę dostałyśmy po dupach w ostatnim czasie, zatem odrobina rozsądku była uzasadniona. Nie mogłyśmy w kółko żerować na Marianie i jego córce, powinnyśmy same o siebie zadbać. Ambitny plan, tylko jak go zrealizować?

Z Sheratona na razie nie zamierzałyśmy rezygnować, ale należało poszukać jeszcze innego zajęcia, aby jakieś pieniądze odłożyć, co w końcu było naszym pierwotnym planem. A my wszystko na bieżąco przepijałyśmy. Ponadto kiedyś trzeba w końcu zacząć zwiedzać Paryż! Nie byłyśmy jeszcze ani w Luwrze, ani w Musee d'Orsay, nie wjechałyśmy na wieżę Eiffla!

W końcu doszłyśmy do wniosku, że mamy niewiele czasu, aby te braki nadrobić. Ale jak, kiedy i za co?

- Musimy znaleźć dodatkową pracę - ze smutkiem oznajmiła Ewka.

- Jasne... Ale jaką? I gdzie?

- Może potrzebują kogoś do zamykania?

- Zważywszy, jak tu brudno, pewnie potrzebują. - Rozejrzałam się po zaśmieconych rynsztokach.

- Tylko jak widzisz nas dwie, sprząające uliczki Montmartre?

- Kiepsko to widzę - przyznałam. Jeszcze niedawno byłyśmy tu tak zwanymi artystkami, dopóki te dwa smarkate fliki nas nie zwinęły. Po moim trupie zobaczą mnie tu z miotłą.

- Czy nie powinnyśmy zadzwonić do domu i powiedzieć, że nadal żyjemy? - Nagle Ewce przypomniało się coś, o czym faktycznie zapomniałyśmy.

- Merde, Moja mama chyba się niepokoi. Ta kartka, którą wysłałam trzy tygodnie temu, to chyba za mało.

- No to zadzwońmy z jakiejś budki.

- Przy Sacre Coeur jest budka. - Przypomniałam sobie kolejkę ludzi zawsze ją oblegającą.

Ale zanim podniosłyśmy się z ławeczki, ktoś się do nas przysiadł i zagadał.

- Ca vo? - To był Napoleon! Jak dawno go nie widziałyśmy! Uwielbiałyśmy tego kloszarda. Był naszym duchowym przewodnikiem po Paryżu.

- Bonjour, monsieur Napoleon!

Wyglądał dziś jakoś niepewnie, przygarbiony, smutnawy. Zamiast butelczyny ścisnął w dłoni jakieś papiery.

- Oj, dziewczyny, coś mi się zdaje, że i wy nie najlepiej, mam rację?

Ten facet powinien siedzieć w wyłożonym najdroższą boazerią gabinecie i przyjmować pacjentów za grubą kasę. A tabliczka na jego drzwiach powinna głosić: Napoleon, specjalista psychoanalityk. Od dusz i wszelkiej traumy.

- Fakt, to nie najlepszy nasz dzień.

- Zastanawiacie się, co dalej?

- Skąd pan wie? - spytała Ewka.

- Ja wiem więcej, niż się komukolwiek zdaje. Jak człowiek nie ma nic innego do roboty niż przyglądanie się

innym ludziom, to wie więcej niż ksiądz w konfesjonale... Przecież macie wypisane troski na waszych młodych i ślicznych buziach. A ja już wiele takich buzi widziałem. I wiem, co znaczą. Ale, jeśli pozwolicie, mogę dać wam kilka dobrych rad.

Rady od samego Napoleona? Jasne, że przyjmujemy. To, za co psychologowie biorą kupę kasy, on rozdawał za darmo. No, prawie za darmo, jeśli nie liczyć stawianego mu wina.

Ewka już się podnosiła, żeby pobiec do sklepu, ale Napoleon zatrzymał ją swoją chudą ręką.

- Dziś nie piję - oświadczył uroczystym głosem. Oczy wyszły nam na wierzch. Skąd wiedział, że Ewka chce iść po wino dla niego, oraz, co ważniejsze i bardziej dziwne, dlaczego dziś nie pije? Jest chory, czy co?

Uśmiechnął się, czytając w naszych myślach.

- Dziś jest dla mnie ważna data i co roku tego dnia świętuję, nie pijąc - wyjaśnił. A właściwie to nic nie wyjaśnił, bo coraz bardziej nas tym intrygował.

- Nie rozumiem, ale... - wyrwało mi się.

- No cóż, wyjawię wam mój sekret. Znamy się nie od dziś, więc... - Zaczerpnął głęboko tchu, rozejrzał, czy nikt poza nami go nie podsłuchuje, i zaczął.

- Tego dnia, a było to czternaście lat temu, zginęła moja żona. Była piękna i młoda, jak wy. Miała na imię Sophie. Pracowała na uniwersytecie, podobnie jak ja. Ja byłem profesorem historii, ona dopiero zaczynała pisać pracę doktorską z historii sztuki. Byliśmy ze sobą już kilka lat, w każde wakacje jeździliśmy do Egiptu, bo uwielbiała tam jeździć, po trosze dla tamtejszych upałów, ale głównie dlatego, że pisała pracę o egipskiej kulturze starożytnej. Gromadziła materiały o odkryciach grobów królewskich, miała wielu znajomych tam, w Kairze, którzy też się tym zajmowali. To były piękne czasy - westchnął i przerwał. Obie z Ewką

siedziałyśmy na skraju ławeczki, czując, że nie wolno nam się teraz wtrącać. Jak coś powiemy, to on może zamilknąć. Napoleon pokazał nam papiery, które ścisnął w dłoni. To były zdjęcia.

- To ona. - Ujrzałyśmy czarno - białą fotografię młodej kobiety w jasnej sukience i słomkowym, nieco sfatygowanym kapeluszu, stojącą przed piramidą Cheopsa. - A ten facet obok to - zawahał się - ja.

O rany! Jaki przystojniak! Nie mogłam uwierzyć, że czas i samotność aż tak mogą zmienić człowieka. Ale nie ulegało wątpliwości, to był on. Jednak nadal unikałyśmy wścibskich pytań. Jak chce, niech opowiada dalej.

- Czternaście lat temu, po kolejnej wyprawie do Egiptu, wróciliśmy do Paryża, do naszego małego, ale bardzo miłego mieszkania w Saint - Germain - des - Pres. Sophie była szczęśliwa, opalona i tajemnicza. Poszliśmy na kolację do Les Deux Magots, jednej z najlepszych knajpek na lewym brzegu. Sophie była jakaś inna, jakby odmieniona. Czułem, że ma dla mnie nowinę. Długo ją podpytywałem, ale dopiero kiedy już kończyliśmy kolację, wyznała mi, że jest w ciąży. Szalałem z radości, bo, a o tym wam wcześniej zapomniałem powiedzieć, mieliśmy problem z tym... no, wiecie. Staraliśmy się o dziecko od dawna i nic z tego nie wychodziło. No i... stał się cud. Zapewne tam, w Egipcie, może za sprawą jakiegoś egipskiego bóstwa, a może naszego wyjątkowo dobrego nastroju... W każdym razie Sophie była w ciąży, a dla mnie był to najszczęśliwszy dzień w życiu.

Wyszliśmy z restauracji grubo po północy i postanowiliśmy się trochę przejść pieszo. Noc była cudownie ciepła, sierpniowa, zupełnie jak dziś... - Napoleon miał w oku małą łezkę, która połyskiwała w świetle pobliskiej latarenki, ale my siedziałyśmy jak trusie. Każdy by się domyślił, że doszło do jakiejś tragedii. Ale co się mogło stać?

- Wracaliśmy do domu bulwarem wzdłuż Sekwany. Sophie śmiała się, a ja byłem najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem. Nieważne, czy to będzie syn, czy córka. Liczyło się jedynie, że będę wreszcie ojcem. I szliśmy tak sobie przytuleni, i obmyślaliśmy, jak damy na imię naszemu dziecku. Sophie wołała córkę, a mnie było wszystko jedno. Czy to miała być córka, czy syn, byłem tak samo wdzięczny egipskim bogom, że dali nam takie szczęście.

Bo byłem wtedy pewien, że to zasługa egipskich bogów. I nagle rozległo się wycie syreny policyjnej. Patrol jechał bulwarem i wył tak głośno, że obudziłby martwego. Ścigali jakiś samochód, jak to często się zdarza w dużym mieście.

Napoleon zamilkł. Chyba domyślałyśmy się dalszego ciągu tej opowieści.

Siedziałyśmy przymurowane do ławki.

- Uderzył w nią! Oboje nas poturbował... Zawieźli nas do szpitala. Ja miałem złamaną nogę, ale Sophie była w ciężkim stanie. Po całej nocy usilnej walki o życie Sophie umarła. I nasze dziecko... Nawet nie pytałem, czy był to chłopiec, czy dziewczynka. Bo i po co? Straciłem wszystko tego dnia. Wszystko, co kochałem. A najstraszniejsze jest to, że ci, co ją zabili, nadal żyją i już, o ile wiem, wyszli z więzienia. I może mają własne żony i dzieci... Po dwóch miesiącach od tego zdarzenia - Napoleon otarł łzy brudnym rękawem flanelowej koszuli - zrezygnowałem z uczelni. Nie mogłem dalej tam pracować. Każdy korytarz, każdy stopień schodów mi ją przypominał. Nie pomagały porady terapeutów ani przyjaciół. Nic już nigdy nie było takie jak przedtem.

Wyniosłem się z naszego mieszkania, bo nie potrafiłem w nim żyć. Pieniądze ulokowałem na koncie, z którego korzystam tylko wtedy, kiedy nie mam innego wyjścia. Żyję na ulicach i obserwuję ludzi. Czasami udaje mi się kogoś ostrzec przed niebezpieczeństwem, czasami komuś dam dobrą

radę... Ale ona jest ze mną zawsze. I ja jestem z nią. I tylko to się liczy...

Nad Place du Tertre niebo było już granatowe, gwar nie milkł ani na chwilę, a my siedziałyśmy na ławce z Napoleonem, towarzysząc mu w tych bolesnych wspomnieniach. Obie miałyśmy w oczach łzy. Wzięłam naszego kloszarda za rękę i trzymałam ją. Nic więcej nie potrafiłam zrobić. Nie oponował, był chyba już zbyt zmęczony czternastoletnią żałobą. Nigdy bym nie przypuszczała, że ten człowiek mógł być kiedyś zwyczajnym, szczęśliwym przyszłym ojcem. Aż pewnego dnia jakiś pirat drogowy zamienił jego życie w wieczne piekło.

Objęłyśmy naszego przyjaciela i tak trwaliśmy w dziwnym uścisku jakiś czas. Może jego ból tego wieczoru troszkę zelżał dzięki nam? Nie wiem. Ale nie byłyśmy w stanie się podnieść z ławki, dopóki on nie wstanie pierwszy.

W końcu podniósł się z wysiłkiem i powiedział, że na niego już czas. Pytałyśmy, dokąd się spieszy, ale nie chciał nic więcej powiedzieć. Po prostu odszedł, pozostawiając nas w żałobie, w chwili solidarności i zamyślenia nad kruchym losem człowieka.

Tego wieczoru poszłyśmy do Sacre Coeur pomodlić się za nasze rodziny i naszych przyjaciół. Zapaliłyśmy też świeczkę za Napoleona. Przyjeżdżając do Paryża, nie miałam zielonego pojęcia, że możemy zaprzyjaźnić się z kloszardem. Tylko że ten kloszard był kiedyś profesorem historii na Sorbonie. Czy nie powinnam czuć się dumna z takiej znajomości?

Praca w hotelu była mało satysfakcjonująca, nudna i przewidywalna. Codziennie to samo. Pełne chariot pościeli na wymianę, pokoje bardziej lub mniej zapaskudzone obecnością gości, Premiere w złym albo bardziej złym humorze.

Któregoś dnia Ewka znowu miała problemy z jakimś zbrojeńcem, który proponował jej wspólną kąpiel! A mnie jakiś inny hotelowy pseudogość poklepał po tyłku. Ale musiałyśmy to znosić, bo franki były nam potrzebne, aby żyć.

Migulek nikt po tyłkach nie poklepywał, przynajmniej nic o tym nie wspominały. Praca w hotelu stała się dla nas już tak zwyczajna i przewidywalna, że nawet przestałyśmy się przejmować takimi drobiazgami. Za to na odtrutkę coraz częściej wybierałyśmy się na zwiedzanie albo na nowe rozrywki.

- Może pójdziemy do kina? - spytała pewnego dnia Ewka.

- Do kina? A po co? - zastanawiałam się, bo w końcu kina też w Polsce są.

- Grają właśnie superfilm - nalegała Ewka.

- A jaki? - spytałam w nadziei, że Ewka sobie odpuści.

- „O jeden most za daleko”.

- Co?

- No mówię. To tytuł. Podobno dobry. Wojenny.

- Jak wojenny film może być dobry? - pytam Ewkę.

- Nie wiem, ale to jakiś hit sezonu, tak słyszałam.

No to poszłyśmy. Jakby w Paryżu nie było innych atrakcji! Kupiłyśmy bilety i weszłyśmy do paryskiego kina, niedużej sali, mocno amfiteatralnej, miękkie fotele wyściełane czerwonym suknem i wielkie pudło z popcornem na kolanach. W Polsce nie sprzedawano popcornu przed wejściem do kina. Chyba nawet nikt jeszcze nie produkował popcornu. W Polsce jedzenie w kinach było zakazane, albo może i nie, ale nikt nie

wpadł na pomysł, że podczas oglądania filmu można coś jeść. Kupiliśmy więc popcorn, aby się poczuć jak na Zachodzie.

„O jeden most za daleko”, głośiły ogromne billboardy, neony i afisze. Więc poszliśmy zobaczyć hit sezonu, którym żył wtedy Paryż.

Film okazał się całkiem niezły, a najbardziej zaskoczył nas nagle pojawiający się w nim polski dialog. Była taka scena, kiedy żołnierze przeprawiali się przez rzekę, i nagle: dawać sznur, gdzie jest sznur? Polskie dialogi! Film był wielojęzyczny, a że Polacy byli w tym szalonym szturmie aliantów na niemieckie siły wroga jednym z większych bohaterów, zatem zachowano ich dialogi w formie ojczystej. Jak usłyszałyśmy prawdziwą polską mowę w żabojadzkim kinie, to nagle obie stałyśmy się patriotkami. Nie, nie chodzi o to, że przedtem nimi nie byłyśmy. Ale wtedy, kiedy Europa jeszcze była wschodnia i zachodnia, kiedy mur berliński nadal stał i dzielił ją na lepszą i gorszą połowę, wtedy takie polskie akcenty w zachodnim kinie naprawdę poruszały naszą duszę.

Wyszłyśmy z kina opchane popcornem i przekonane, że my, Polacy, jesteśmy narodem wybranym. Fajnie było zobaczyć polski akcent w filmie zachodniej produkcji w Paryżu.

Ruszyłyśmy pieszo przez miasto w stronę domu, ale powoli, bo wieczór był jeszcze młody. W końcu trafiłyśmy na najbardziej żywotny fragment Paryża po godzinie dziesiątej wieczór. Był nim Place de Clichy i okolice. Nie spieszyłyśmy się do domu, więc postanowiłyśmy trochę się powłóczyć.

Szłyśmy powoli, chłonąc nocne życie Paryża. Z bramy czasami wyłamał się jakiś wytatuowany facet i usiłował nas wciągnąć do erotycznego klubu. Na szczęście nie na siłę. Mijałyśmy rozmaite dziwolągi płci różnej, czasami trudnej do określenia. Spotykałyśmy urodziwe brunetki, które okazywały się transwestytami albo przebierańcami niewiadomej płci. Co

kawałek jakiś minibarek zachęcał do zjedzenia bagietki nadzianej serem, szynką i sałatą. Pachniało, huczało w głowie, życie kipiało, a my po prostu szłyśmy przed siebie wmieszane w tłum turystów z całego świata.

Przystanęłyśmy na Place Pigalle, zastanawiając się, którą ulicą iść dalej, gdy nagle usłyszałam pisk hamulców, ktoś wyskoczył na chodnik, wyciągnął rękę i zanim się zorientowałam, co się dzieje, połowa Ewki już była na tylnym siedzeniu. Złapałam ją w ostatniej chwili za rękę i szarpałam tak mocno, że wypadła na bruk. Auto odjechało, a ja nawet nie zauważyłam, kto w nim siedział. Merde! Znowu ktoś chciał ją porwać! I chyba wiem kto. Amman nie odpuszcza.

Otoczył nas tłumek gapiów. Ktoś pomógł Ewce wstać, ktoś inny oferował nam na pocieszenie darmowe bilety do kina erotycznego, ale ja wzięłam Ewkę pod rękę i zaprowadziłam do domu.

Już drugi zamach na moją przyjaciółkę! Trzeba coś z tym zrobić. Do głowy przyszli mi znajomi policjanci, ale gdzie ich szukać?

W domu zaparzyłam herbatę i położyłam Ewkę do łóżka. Pytałam, czy na pewno nic jej nie jest, ale poza małym szokiem i odrapanym kolanem chyba nic jej nie dolegało. Poszłam do kuchni i zapaliłam gitane'a. Francuzi wymyślili gitane'y, aby mogły zastąpić wszelkie inne używki. Jeden wypalony papieros daje takiego kopa mózgowi, że rozwiązania przychodzą same jak w narkotycznym zwidzie.

Po pierwsze: odnaleźć naszych młodocianych flików. Jeśli chcą z nami zjeść kolejną kolację, to niech najpierw coś zrobią z tymi muzułmanami! Po drugie (ale najpierw zajrzałam do Ewki i ucieszyłam się, że pochrapuje cicho): musimy się trzymać razem. Nie mogę Ewki zostawić nawet na minutę bez opieki. Po trzecie: musimy znaleźć nową pracę, aby trochę

kasy wreszcie odłożyć. Nie możemy wrócić do Polski z pustymi kieszeniami.

W końcu silniejsza w te postanowienia położyłam się spać obok nieświadomej zagrożeń Ewki. Od jutra zaczynamy nowy etap naszego pobytu w tym mieście. Nikt nas nie będzie próbował zastraszać ani porywać!

Rano poszłam do piekarni i odczekałam w kolejce po ciepłą bagietkę. Kiedy wróciłam, Ewka już nastawiała czajnik. Miała wesoły nastrój i kompletnie nie przejmowała się wydarzeniem z poprzedniego wieczoru.

- A nawet gdyby mnie porwali, to co? - spytała, delektując się świeżym pieczywem z jednym z wielu serów, których nieskończony zapas, dzięki Nicole, nadal miałyśmy w lodówce. Przypomniało mi się w tym momencie słynne powiedzenie de Gaulle'a: „Jak można rządzić krajem, który ma trzysta sześćdziesiąt pięć gatunków sera?”. No właśnie, jak można? Skoro w tej chwili moja przyjaciółka, delektując się smakiem jednego z tych trzystu sześćdziesięciu pięciu smaków, zupełnie zapomina o grożącym jej niebezpieczeństwie!

- Jak to co? - Patrzę na nią z niedowierzaniem. Połyka bagietkę z serem pleśniowym i nic nie wie o życiu. - Ewka - kontynuuję więc - Amman uważa, że jesteś jego żoną. Może cię porwać, wywieźć Bóg raczy wiedzieć dokąd, a potem będziesz już tylko jedną z wielu jego żon i będziesz musiała przejść na islam, kilka razy dziennie modlić się do Allaha, będziesz chodzić cała okryta jakimiś szmatami, nawet nie wolno ci będzie iść do lekarza bez zgody męża... - Wymieniałam wszystko to, co wiedziałam o żonach Arabów, a jak już mi się argumenty skończyły, czekałam, czy to wywrze jakieś wrażenie na Ewce.

- Hmm... A może to wcale nie jest aż takie złe? - mówi z pełnymi ustami.

- Ewka, czyś ty do reszty ogłupiała? Zostaw tę kanapkę! - wrzeszczę. I wydzieram jej kawałek bagietki z ust.

- Oddaj! - drze się Ewka.

- Nie!

- Bo co?

- Bo najpierw... oprzytomnij!

Ewka spojrzała na mnie jak na wroga. Przez chwilę myślałam, że naprawdę zbzikowała. Ale kiedy zaczęła rechotać, zrozumiałam, że tylko tak sobie żartowała.

- Ty wariatko! - darłam się na nią.

- A co, myślałaś, że chcę zostać żoną Araba? - śmiała się Ewka.

- Przestraszyłaś mnie i tyle.

- No dobra, sorry. A teraz oddaj mi moją kanapkę.

Po śniadaniu poszłyśmy poszukać budki telefonicznej. Najbliższa była obok Sacre Coeur. Czekaliśmy w kolejce do budki. Jak przyszła nasza kolej, miałam ogromną treść. Wysłać do rodziny kartki z widokiem wieży Eiffla to pryszcz w porównaniu z rozmową przez telefon. Co im powiemy? Nie miałam pojęcia. Ale przynajmniej dowiedzą się, że żyjemy, i będą mogli spać spokojnie.

Najpierw zadzwoniłyśmy do Ewki. Odebrała jej babcia, ta od najlepszych nocnych kanapek w czasie sesji, i ogromnie się ucieszyła, słysząc głos swojej wnuczki.

- Nie, babuniu, nie jesteśmy głodne - mrugała do mnie Ewka. Coś tam brzęczało w słuchawce, z miny przyjaciółki mogłam się domyślić, o czym jej babcia mówi.

- Ani chore. I nie mieszkamy pod mostem, babciu - krzyczała do słuchawki Ewka. - Jest wspaniale i zwiedzamy muzea. - Przewróciłam oczami, bo jak dotąd żadnego nie zwiedziłyśmy. - Wrzucić monetę. - Ewka szturcha mnie łokciem. W dłoni miałam przygotowany stosik jednofrankowych monet. - Nie, babciu, mówiłam do

Agnieszki, żeby dorzuciła monetę. A jest mama? - Chwila przerwy.

- No tak, znowu ma dyżur. A myślałam, że ją zastanę, bo jest niedziela. Powiedz jej, że dzwoniłam. Muszę już kończyć, babciu, kocham cię, pa!

Uff! Zadanie Ewki wykonane, teraz moja kolej. - I co, babunia się martwi o ciebie? - pytam Ewkę.

- Myśli, że przymieramy głodem i nie mamy gdzie mieszkać. Ale dzwoń, bo kolejka za nami. - Faktycznie, kilka osób się bardzo niecierpliwiło.

Rany, przecież to tylko telefon, więc skąd ta trema? Czy tak bardzo musiałam kłamać? Teraz ja wykręcałam długi numer zapisany na kartce, a Ewka trzymała stosik zapasowych monet. Automat co pół minuty przerywał, domagając się dodatkowego zasilania gotówką. Aby więc sprawnie i bezstresowo rozmawiać, fajnie było mieć kogoś do wrzucania monet.

Po trzecim sygnale usłyszałam znajomy głos.

- Mama! To ja! Dzwonię z budki przy Sacre Coeur!

- A ja tak się martwię, czy coś ci się nie stało! - Wyobrażam sobie mamę już sięgającą po chusteczkę. - Jesteś zdrowa? Macie co jeść i gdzie mieszkać w tym Paryżu?

- Jasne, mamó, wszystko jest okej. Mamy własne mieszkanie, pracujemy w hotelu... - Coś zaczęło trzeszczeć w słuchawce.

- A ja myślałam... Więc na pewno wszystko dobrze?

- Tak, a nawet lepiej. Rysowałyśmy portrety turystom!

- Co robiłyście? Nie zrozumiałam, bo coś trzeszczy.

- Zarabiałymy na placu ryso...

- Co? Na jakim placu? - Mama chyba mnie zrozumiała inaczej. - Córeczko, w co się wpakowałyście?

- W nic mamó, naprawdę w nic się nie wpakowałyśmy! Mówię tylko, że rysowałyśmy portrety!

- Aha, rozumiem, kotlety? Dobre były? - Coś w słuchawce trzeszczało coraz mocniej. - Bo jedzenie to podstawa. Musicie się dobrze odżywiać. - Teraz znowu słyszalność się poprawiła. Za to jakiś palant stojący w kolejce za nami zaczął nam pokazywać zegarek.

- Tak, wspaniałe. - Nie starałam się już prostować tych kotletów, to w końcu nie takie ważne. Ewka pokazała facetowi z kolejki znak lekko niecenzuralny i na dobitkę cały stosik monet, który dzierżyła w dłoni. - I w ogóle jest fajnie, zwiedzamy muzea - kontynuowałam, kątem oka rejestrując niemą Ewki potyczkę na gesty z tym gburem - mamy fajną pracę w hotelu. A co u was? Czy wszystko w porządku? - Facet za oknem zaczynał podburzać przeciwko nam resztę kolejki, na razie bez większych sukcesów, bo inni jakoś tak się nie spieszyli do automatu. Ewka przytrzymała szklane drzwi budki, żeby nas z niej nie wyciągnął siłą. Co za palant. A jeśli od jego telefonu zależy czyjeś życie?

- Cieszę się. Aha, nie zapominacie o moim kwiatku? Karmicie Papunię? (to była nasza papużka falista, którą wszyscy rozpieszczali, latała po całym domu, skrzecząc i puszczając z góry maleńkie miny). - No, to muszę kończyć, bo za mną jest ogromna kolejka, zupełnie jak po papier toaletowy.

- Co, tam też nie ma papieru? - pyta mama zdziwiona.

- Nie. Papier jest, to było porównanie tylko takie...

- Znowu coś zakłócało naszą rozmowę. - Nie martw się, napiszę kartkę, pa pa!

Rozłączyłam się.

Wychodząc z budki, omal nie zostałyśmy żywcem pożarte przez gościa w hawajskiej koszuli, ale najwidoczniej odwet na nas zostawił sobie na później, bo wpadł do budki, zanim z niej jeszcze całkiem wyszłyśmy, i nerwowo zaczął wybierać numer.

- Palant - mruknęła Ewka.
- A może jego żona rodzi i potrzebował karetki?
- E tam! Która kobieta chciałaby być żoną takiego typu? -
Cała Ewka. Roześmiałam się. Ale nagle coś mi się
przypomniało.

- Ej... Czy nie wydało ci się dziwne...
- Co? - pyta Ewka.
- Że podczas mojej rozmowy automat połknął tylko jedną
monetę?

Ewka nadal ścisnęła w garści monety.

- Faktycznie, a przecież gadałaś trzy razy dłużej niż ja.
- Może się zepsuł?

Dwa dni później znowu przechodziłyśmy tą drogą i
kolejka do automatu była trzykrotnie dłuższa. Zapytałyśmy z
czystej ciekawości jedną młodą dziewczynę, na oko
Amerykankę, bo miała na szyi tani aparat fotograficzny, a w
ręku przewodnik w języku angielskim, dlaczego stoi w tak
długiej kolejce, skoro są jeszcze inne budki na Montmartre.
Uśmiechnęła się znacząco, jakby miała nam za chwilę
wyjawić jakiś sekret.

- Bo ta budka jest za friko! Wystarczy jeden frank i
można gadać godzinami.

- Co? Jak to możliwe? - pyta Ewka, bo jest lepsza w
angielskim.

- No, widać możliwe - uśmiecha się dziewczyna. -
Podobno dwa dni temu jakieś dwie dziewczyny ją
zablokowały. He, he, he sama nie mam pojęcia, jak to zrobiły,
ale mój znajomy mówił, że chyba tę budkę zaczarowały, i tyle.
Fama się rozniosła po okolicy i same widzicie! Teraz można
stąd wydzwaniać za jednego franka i automat nie woła o
kolejne!

Te dziewczyny to chyba my, przemknęło mi przez głowę.
Zepsułyśmy francuską budkę telefoniczną! Ale czym?

Głędzeniem z babunią Ewki? Całe szczęście, że minęły już czasy inkwizycji, bo gdyby nas wtedy dorwano, to spłonęłybyśmy na stosie jako czarownice. Tylko że wtedy nie było jeszcze budek telefonicznych. No, ale znając nasze możliwości, pewnie popełniłybyśmy inne czary.

Może to był tylko przypadek, ale na pewno automat się zaciął podczas mojej rozmowy z mamą. Obie z Ewką miałyśmy z tego niezły ubaw.

Przez najbliższe kilkanaście dni nikt z żabojadzkiej telekomunikacji się nie połapał, nikomu nie wydały się dziwne długie kolejki do tej właśnie budki. Rozmowy międzymiastowe w tamtych czasach były drogie, nic więc dziwnego, że wkrótce telefon na Montmartre stał się sławny.

Same z niego zadzwoniłyśmy do naszych rodzin, gadając tym razem przez dwadzieścia minut, i faktycznie, wystarczył na to jeden frank. Tym razem nikt nas nie poganiał, bo ludzie stojący w kolejce wiedzieli, że to telefon darmowy, i każdy z nich miał zamiar sobie pogadać do woli.

Odtąd co drugi dzień dzwoniłyśmy nie tylko do domu, ale także do znajomych z Polski, żeby się pochwalić, jak fajnie nam się spędza czas w Paryżu. Niektórzy pytali z troską w głosie, czy nie za drogo nas kosztuje ta rozmowa, a my udawałyśmy, że to dla nas żaden wydatek.

Pewnego dnia, kiedy chciałam zadzwonić do swojego chłopaka, który był moim chłopakiem, jeszcze jak pakowałyśmy walizki, zauważyłyśmy, że do naszej ulubionej budki telefonicznej nikt nie czeka w kolejce, za to ekipa w żółtych kombinezonach coś naprawia. No cóż, w końcu się żabojadzi zorientowali i postanowili naprawić automat. Szkoda, pomyślałam, nie dowiem się, czy mój chłopak jest nadal moim chłopakiem, czy już mnie sobie odpuścił. Zresztą, kiedy ostatnio do niego stąd dzwoniłam, to nie wiedzieć czemu opowiedziałam mu o wspaniałej kolacji, na którą

zaprosili nas tutejsi gliniarze. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby w odwecie zaprosił na kolację jedną z naszych wspólnych znajomych albo kogoś innego. W końcu było lato, ja sobie szalałam w Paryżu, a on miał w tym czasie układać pasjansa? Paryż zaszumiał mi w głowie i zapomniałam, że poza nim życie nadal też istnieje i ma swoje prawa. Ale najdziwniejszym odkryciem było to, że wcale mnie nie bolało, co może robić teraz mój chłopak. Kompletnie za nim nie tęskniłam, więc może jednak nie była to znajomość warta kontynuacji?

Nie zadzwoniłam do niego, bo francuscy fachowcy popsuli naszą budkę. W ich pojęciu ją naprawili. Znowu łykała monety jak pyton żaby i już w żaden sposób nie dało się jej zaczarować ponownie.

Trudno. Wróciliśmy do pisania kartek ze standardowymi pozdrowieniami.

A poza tym, miałyśmy ważniejsze sprawy na głowie.

W Sheratonie pracowałyśmy od ósmej rano do szesnastej z godziną przerwą na lunch. Byłyśmy już tak zaprawionymi femmes de chambre, że w pracy znajdowałyśmy sporo czasu na relaks. Któregoś dnia Ewka znalazła w koszu gazetę z ogłoszeniami i z nudów zaczęłyśmy ją czytać.

Było tam między innymi ogłoszenie, że najnowszy biurowiec firmy Elf szuka kobiet do sprzątania.

- Dodatkowa praca - zasugerowała Ewka.

- Jasne, ale kiedy? Wieczorów szkoda.

- Nie wiem, ale co nam szkodzi pojechać, popytać?

Ciekawe, co w tym czasie robił Marco?

Czasami było mi tak jakoś smutno. Zdobywałam Paryż z Ewką i było to cudowne samo w sobie. Ale brakowało mi Marca i jego potwierdzenia, że jestem bezpieczna. Mój anioł stróż znowu był niedostępny.

Następnego dnia po pracy pojechałyśmy do tego Elfa. Wsiadłyśmy z metra w dzielnicy La Defense i oniemiałyśmy z wrażenia. To był całkiem inny Paryż! Wszystko tu było nowoczesne, sterylne, wieżowce przypominały świat nowego stulecia. Architektura wyprzedzała epokę. Chodniki były równiutkie, ażurowe, a pod nimi płynęła woda. Nie widać żywych istot ani samochodów. Była cisza, starannie przystrzyżone drzewka, co kawałek nowoczesne ławki, lampy, rzeźby i szklane, monumentalne biurowce.

- Czy to na pewno tutaj? - spytałam niepewna, czy przez przypadek nie trafiłyśmy na plan jakiegoś filmu science fiction.

- No chyba tak... - Ewka spoglądała w górę na budynki sięgające nieba i nawzajem odbijające swoje elewacje w lustrzanych oknach.

- Czy tu ktoś w ogóle mieszka?

- Chyba to jest raczej dzielnica biur i banków - sprostowała Ewka, która już co nieco o La Defense słyszała, w przeciwieństwie do mnie. Ja nie miałam pojęcia o tej stronie Paryża.

W tamtych czasach La Defense dopiero się budowało. Nie mogłyśmy przewidzieć, że za kilkanaście lat będzie to najnowocześniejsza dzielnica Paryża, a także miejsce rozrywki dla turystów szukających innych podniet niż tylko te dostępne w starym Paryżu. La Defense miało być w założeniu czymś odwrotnym do klasycznego miasta pełnego hałasu, ciasnoty i spływających rynsztokami śmieci. Ta nowa dzielnica została stworzona z żelazną konsekwencją architektoniczną. Jej projekt przewidywał kontynuację układu starego miasta, wszystkie linie były podporządkowane jednej, wytyczonej kilka stuleci temu przez Pola Elizejskie, Łuk Triumfalny, Place de la Concorde i Luwr. Jedna prosta kreska

wyznaczona dawno temu sprawiła, że Paryż stał się miastem kontrastów. Ta linia prowadziła od dziedzińca Luwru do całkiem nowego Paryża, gdzie wszystko było odwrotnością starego.

A wszystko po to, aby pokazać światu, a w tym takim malutkim turystkom jak my, że Paryż to nie tylko zaśmiecone uliczki i zapchane kawiarenki. Paryż to wielkie, zwariowane wyzwanie dla architektów i właśnie ta nowa dzielnica na zachodzie miasta miała być tego dowodem.

Szliśmy szerokim chodnikiem z całkiem nowej mieszanki betonu i gysu pomiędzy ogromnymi budynkami, z których każdy był dziełem innej, śmiałej architektury. Wszystko tu było uporządkowane, czyste i sterylne. Nawet roślinność zdawała się sztuczna, ale jednak to były prawdziwe drzewa i krzaki. Tylko jakoś tak uformowane, że wyglądały na rzeźby, a nie na żywe rośliny. W zasięgu wzroku nie było żadnej knajpki, sklepu czy parkingu. Potem się dowiedzieliśmy, że parkingi są tu schowane pod ziemią.

Kilkanaście minut temu wysiadaliśmy na ostatniej stacji metra jadącego w tym kierunku. A może stąd nie ma powrotu? Może ta dzielnica nam się tylko śni?

Byliśmy całkiem zdezorientowane tą nową rzeczywistością, nie byliśmy jej pewne tak do końca.

Dopiero kiedy zobaczyliśmy strzelisty budynek z wielkim napisem: Elf, uznaliśmy, że chyba to właściwy adres.

Gmach był piękny, jeśli miałabym jego urodę określać jako niedoszła jeszcze projektantka wewnątrz. Wielka architektura robi wrażenie na każdym, bez względu na osobiste sentymenty.

W biurowcu na dole, pośród ogromnego holu wypełnionego wspaniałymi okazami palm, znalazłyśmy recepcjonistkę siedzącą przy szklanym biurku. Przedstawiłyśmy się jako dziewczyny szukające pracy z

ogłoszenia. Młoda, ubrana w elegancki szary kostium kobieta pokazała nam drzwi do windy i kazała jechać na trzydzieste piętro i iść do pokoju numer 332.

Tak też zrobiliśmy. Winda porwała nas w górę z takim przyspieszeniem, że na chwilę zatkało mi uszy. Rany boskie, w co my się pakujemy?

Za późno było na odwrót. Wypadliśmy z windy prosto na elegancki chodnik na trzydziestym piętrze. Pokój 332 był tuż przed nami.

- Boję się - wypnęło mi się.

- A co mamy do stracenia? - Ewka była w swoim żywiole. Zawsze uwielbiała nowe wyzwania. Całe szczęście, że nie te dotyczące mariażu z Arabem.

- Okej, to idziemy. - Mnie też powoli zaczynało być wszystko jedno. Albo nas przyjmą do tej pracy, albo nie. Wszystko zależy od warunków. Cóż miałyśmy do stracenia?

Zapukałyśmy i weszłyśmy do środka. Wewnątrz za nowoczesnym biurkiem z czarnego drewna siedziała młoda kobieta i rozmawiała przez telefon. Wskazała nam ręką dwa krzesła, więc usiadłyśmy grzecznie. Zupełnie jak w prefekturze, pomyślałam i spojrzałam na Ewkę. Mogłabym przysiąc, że miała podobne skojarzenia. Tylko że tu byłyśmy z własnej woli, a to ogromna różnica.

Elegancka kobieta odłożyła słuchawkę i spojrzała na nas. Od razu zapytała, od kiedy możemy zacząć pracę. Chyba ta z recepcji już ją uprzedziła, że przyjdą takie dwie sieroty, co szukają pracy. Ale nie z nami takie numery! Zdażyłyśmy już trochę poznać francuski system zatrudnienia! Wiedziałyśmy, bo tego nas nauczono w Sheratonie, że nigdy, przenigdy, nie można wyglądać jak ktoś, komu na pracy bardzo zależy.

Więc na początek Ewka powiedziała:

- Nie wiemy jeszcze, czy nam się ta praca spodoba. Przyszłyśmy, aby się czegoś więcej dowiedzieć. Mamy pracę

w czterogwiazdkowym hotelu, więc jeśli miałybyśmy ją zamienić...

- Rozumiem - przerwała nam dama za biurkiem. - Oczywiście, wszystko chętnie wyjaśnię. - Nie miała zbyt radosnej miny, ale co tam. W razie czego wcale nie musimy tu pracować. - Potrzebujemy kobiet do sprzątania biur. Praca jest od piątej rano do ósmej. Zaledwie trzy godziny, ale nam zależy na tych właśnie godzinach, bo biura mają być czyste przed przyjściem do pracy naszych pracowników. Więc właściwie praca na ćwierć etatu, ale my proponujemy wynagrodzenie jak za pół, bo trzeba być tak wcześnie, no i zawsze punktualnie. Dotąd pracownice często się zmieniają, jakoś żadnej nie możemy zatrzymać na dłużej. - Nic dziwnego, pomyślałam. - Więc zależy nam na kimś solidnym. - Jasne, my z Ewką jesteśmy solidne jak diabli. Nawet budkę telefoniczną potrafimy zaczarować. Skończyła i spojrzała na nas z pytaniem (mnie wydało się ono błagalnym pytaniem), czy jesteśmy chętni podjąć się tej pracy. Zanim zdążyłam zapytać o wynagrodzenie, Ewka palnęła:

- Jesteśmy zdecydowane, ale o ósmej musimy być już u innego pracodawcy. Więc jeśli możliwa jest praca od piątej do siódmej trzydzieści, to się zgadzamy. - Myślałam, że ją zabiję! Bo właśnie szalona Ewka zabrała nam resztki wolnego czasu! Jeśli mamy pracować od piątej rano do czwartej po południu, to znaczy, że resztę doby spędzimy, odsypiając zaległości.

- W takim razie zgadzam się. Jeśli wykonacie swoją pracę do pół do ósmej, możemy na to pójść. Ale praca musi zostać wykonana. Czy możemy się umówić na jutro?

Miałam ochotę stamtąd uciec, ale Ewka zdecydowała za nas obie.

- Jasne. Jutro meldujemy się u pani o piątej.

- Tak, ale... mnie... mnie tu nie będzie o tak wczesnej porze. Recepcjonistka was pokieruje - powiedziała kobieta z

uśmiechem Mony Lizy. No jasne! Ona będzie zaspana przytulać się do swego narzeczonego, kiedy my będziemy zasuwać metrem do La Defense, żeby o piątej nad ranem sprzątać ich biura!

Po wyjściu z biurowca powiedziałam Ewce, co o niej myślę. Że jest nienormalna i chyba coś jej się we łbie poprzewracało. I jeszcze, że skoro nas skazała na tak katorżniczą pracę, to niech teraz sama rano zasuwa po bagietki! .

Okazało się, że o tak wczesnej porze nawet bagietki nie da się kupić!

Francuzi z zasady nie lubią wstawania o świcie. Dlatego potrzebni im są tacy idioci jak my. Pierwszego dnia, kiedy budzik zadzwonił o czwartej, Ewka przewracała się dopiero na drugi bok. Szturchnęłam ją łokciem i przypomniałam, w co nas obie wrobiła.

- No to wstaję - powiedziała półprzytomnie i spytała, dlaczego jeszcze nie przyniosłam świeżej bagietki.

- Bo zdecydowałam za nas obie, nie pytając mnie o zdanie, że będziemy pracować w nocy - odparłam wściekła. - A bagietki o tej porze nie uświadczysz!

W metrze obie leżałyśmy, śpiąc oparte o siebie jak dwa worki piasku. W biurowcu Elfa (wtedy jeszcze nie miałyśmy pojęcia, że to najpotężniejszy koncern naftowy Francji) od razu przejęła nas recepcjonistka i wskazała nam windę i trzecie piętro, ale pod ziemią. Tam wpadłyśmy na czarnoskórą pulchną kobietę w szarym fartuchu.

- To wy tu od dziś pracujecie? - spytała.

- Chyba tak - odparłam wciąż zaspana.

No i zaczęło się, podobnie jak w Sheratonie, tyle że tu nie było łóżek do ścielenia. Były za to biurka do polerowania, papiery do wynoszenia, szklane szafki do pucowania i wykładziny dywanowe do odkurzania. Nasza przełożona

miała na imię Rose i była podobna do dzisiejszej Whoopi Goldberg. Była sympatyczna, uśmiechnięta i strasznie szybko mówiła. Trajkotała jak najęta, biegnąc korytarzami biurowca Elf i pokazując, co mamy robić. Pokazała nam zestaw roboczy: wiaderko, odkurzacz, jednorazowe ścierki i... oczywiście, niezastąpiony w owym czasie w Paryżu proszek Ajax.

A potem poszła sobie pokimać, kiedy my, jeszcze nie do końca świadome, podjęłyśmy się pracy sprzątaczek w najnowocześniejszym biurowcu świata.

Posprzątałyśmy to, co nam powierzyła Rose, tak jak się dało, i około siódmej dwadzieścia nadal jeszcze mocno niedospane pobiegłyśmy do metra, żeby zdążyć na poranną odprawę w Sheratonie.

Cudem zdążyłyśmy.

Na szczęście tego dnia dostałyśmy górne, niewymagające wiele roboty piętra, bo inaczej chyba skończyłybyśmy, skacząc z dachu Sheratona na bruk.

Po całym dniu pracy byłyśmy zmęczone jak nigdy w życiu. Nawet nie miałyśmy ochoty na jedzenie. Poszłyśmy spać, żeby następnego ranka znowu zacząć ten bezsensowny pościg za zarobkiem.

Wytrzymałyśmy w Elfie dwa tygodnie. W ostatnim dniu naszej pracy zwinęłyśmy z tych ascetycznych biur po jednej taśmie Mirage na pamiątkę. Taśma Mirage była przejrzystą taśmą klejącą, ale ta ich Mirage była wyjątkowa. Matowa, świetnie się przyklejała i praktycznie była niewidoczna. Zapewne stąd wzięła się jej nazwa. Mirage to po francusku coś, co jest, a czego nie widać. I dokładnie taka była ta taśma. Można nią było sklejać rozdarty plan Paryża, a nie było widać, że jest sklejonny, można było tą taśmą naprawić cenną książkę. Po prostu cudo.

Jeszcze wiele lat po tym, jak obrobiłyśmy biura Elfu z dwóch rolek taśmy Mirage, nie było we wschodniej Europie czegoś równie dobrego. A my chyba nie powinnyśmy się czuć złodziejkami. W końcu tam, w biurowcach Elf zostawiłyśmy znacznie więcej, niż były warte te dwie rolki taśmy samoprzylepnej. Kiedy odchodziłyśmy, Rose narzekła, że nie znajdzie nikogo tak dobrego na nasze miejsce. Trudno, my się odmeldowujemy, bo nasze życie jest więcej warte niż te kilka franków więcej.

I tak pożegnałyśmy się z La Defense. Odespanie zaległości zajęło nam pół niedzieli, ale w końcu odzyskałyśmy siły. Zanim położyłyśmy się spać poprzedniej nocy, przyrzekłyśmy sobie, że już nigdy więcej nie będziemy tak tyrać. Nasza wiza kończy się za trzy tygodnie, a my jeszcze nie zwiedziłyśmy Paryża! Trudno, to co zarabiamy w Sheratonie, musi nam jakoś wystarczyć.

Gdybyśmy mogły znowu wejść na plac z szkicownikami! Ale strach przed ponownym aresztowaniem był tak silny, że ta możliwość nie wchodziła już w grę. Musiałyśmy więc zacisnąć pasa i żyć skromniej.

Ale na bilet do Luwru jeszcze nas było stać.

Muzeum jest tak ogromne, że można po nim chodzić cały tydzień i wszystkiego nie zobaczyć. Przyłączyłyśmy się do jednej z wycieczek zorganizowanych, którą prowadził przewodnik. Zawsze warto posłuchać przewodnika, choć zwykle klepie on ten sam zapamiętany tekst w kilku językach jak automatyczna sekretarka. Podążałyśmy za jedną z takich grup turystów. Panienska, która ją oprowadzała, mówiła po angielsku, ale z tak strasznym akcentem francuskim, że nawet ja się połapałam, że jest kiepska. Ewka rechotała, słysząc jej narrację. Mimo to podążałyśmy za watahą żadnych wrażeń zwiedzających, usiłując wyłowić z opowieści przewodniczki coś więcej, niż można było przeczytać w pierwszym lepszym

przewodniku. Ale już po minięciu Nike z Samotraki obie z Ewką byłyśmy przekonane, że na lekcjach z historii sztuki miałyśmy lepsze wykłady na ten temat. Minęłyśmy Nike i odłączyłyśmy się od tej śmiesznej grupy, która udawała, że słucha przewodniczki, a tak naprawdę to chciała muzeum tylko zaliczyć, porobić zdjęcia i pochwalić się nimi w domu.

My wołałyśmy zwiedzanie na własny użytek.

Luwr to niesamowite muzeum. Zawsze marzyłam, żeby znaleźć się w nim po zamknięciu, żeby połączyć po korytarzach w nocy i mieszać się z jego prawdziwą legendą. Muzea, podobnie jak kościoły, zawsze mnie najbardziej fascynowały, kiedy stawały się puste. Czym jest spotkanie z Giocondą, kiedy obok mnie stoi tłum ludzi z aparatami fotograficznymi? Jest czystą profanacją mojego spotkania z czymś tak niezwykłym!

Nie tak sobie wyobrażałam tę chwilę. Gioconda uwieczniona pod szybą, a w tej szybie odbicia tłumy zwiedzających. Chciałam tego obrazu dotknąć, a jeśli to niemożliwe, to chociaż usiąść naprzeciwko i pomedytować. Przez chwilę być tylko z dziełem Leonarda i zagłębić się w jego analizę. Wejść w głąb, zapomnieć o Sheratonie, Elfie, o Arabach i wszystkich płytkich aspektach naszego paryskiego żywota. Chciałam ten najważniejszy z portretów świata mieć przez chwilę tylko dla siebie. Miałam zamiar przeanalizować wszystko, co o nim wiedziałam z lekcji historii, oraz to, czego jeszcze mogłabym się dowiedzieć, obcując bezpośrednio z tym dziełem. Czy to legendarne sfumato Leonarda jest widoczne gołym okiem?

Zamiast jednak przeżywać ucztę dla duszy, stałam w tłumie gapiów, ktoś mnie potrącił, bo weszłam mu w pole widzenia, musiałam odejść na bok i cały urok tej chwili przysł jak nagle przerwany sen.

Ewka chyba też czuła podobny zawód. Obie z żalem pożegnałyśmy Monę Lizę i przeszłyśmy po dalszych salach

Luwru z mniejszym już entuzjazmem. Przebiegłyśmy przez wszystkie główne sale, zaliczyłyśmy mnóstwo wspaniałych dzieł sztuki, podziwiałymy piękne intarsjowane posadzki, sztukaterie i malarstwo iluzoryczne na sufitach, wspaniałą wystawę klejnotów królewskich, gdzie szafiry, brylanty i rubiny robiły wrażenie swą wielkością, zwiedziłyśmy obowiązkowo sektor poświęcony starożytnemu Egiptowi, aż w końcu zmęczone uznałyśmy, że na dziś nam Luwru wystarczy.

Wychodząc z muzeum, zastanawiałam się, co trzeba by zrobić, żeby się do niego zakraść po godzinach urzędowego otwarcia? Mogłyśmy się na przykład z Ewką schować za jakimś posągim i poczekać, aż muzeum zamkna. Ale zaraz sobie przypomnialam o okrągłej pieczęcie prefektury policji paryskiej na zawsze utrwalonej w naszych paszportach. Następną nielegalną akcją mogłaby się zakończyć uwięzieniem w lochach Conciergerie. Więc nic nie wspomnialam Ewce o moim szalonym pomysle, a po wyjściu na dziedziniec Luwru byłyśmy tak głodne, że szybko poszukałyśmy najbliższej knajpki.

Wiele razy próbowałam ująć w słowa magię paryskich nocy, ale nigdy nie byłam zadowolona z wyników. Może tego zwyczajnie nie da się opisać słowami? Może trzeba to poczuć na własnej skórze?

Sierpniowy wieczór w Paryżu jest jak marzenie zatrzymane w miejscu. Jest chwilą, którą warto sfotografować, uwiecznić, zapamiętać. Widok miasta z podnóża Sacre Coeur, kiedy siedzi się na szerokich schodach wypełnionych turystami, jest jedyny i niepowtarzalny. Miliony dachów Paryża u stóp, a nad nimi niebo przechodzące z błękitu w róż. W oddali szara sylwetka wieży Montparnasse i wieży Eiffla.

Siedzimy z Ewką na tych schodach i każda z nas ma własne myśli. Nie zamierzamy się nimi dzielić ani dziś, ani kiedykolwiek. Te nasze myśli są modlitwą wypowiedaną własnymi słowami, a więc o wiele cenniejszą niż każdy wyuczony na pamięć pacierz. Jesteśmy teraz i tu, na szczycie Montmartre, na wierzchołku świata, a tam gdzieś daleko na dole jest nasz dom, nasza rodzina, nasza przyszłość...

Nigdy w moim dalszym dorosłym życiu nie czułam się tak wolna jak wtedy. Wtedy. No właśnie! Wtedy byłam młoda, niezupełnie odpowiedzialna, trochę nawet szalona. Obie byłyśmy szalone. Za sto trzydzieści dolarów normalny człowiek, znaczy nie szalony, przeżyłby w Paryżu tydzień, w dodatku biednie. My już byłyśmy w tym mieście półtora miesiąca, więc w naszym szaleństwie musiała być jakaś metoda.

W najgorszym razie przyłączymy się do kloszardów, ale za nic w świecie nie wyjedziemy z Paryża przed końcem wizy. Owszem, tęskniłyśmy za wieloma rzeczami, które miałyśmy u siebie w Polsce, ja na przykład najbardziej tęskniłam za mojej mamy smalcem wytapianym ze słoninki i czarnym chlebem razowym oraz za jej wspaniałą pieczenią z pyzami. Tęskniłam,

ale już tylko trochę, za moim chłopakiem, który zawsze był dla mnie szarmancki i kupował mi białe tulipany w środku zimy. Tęskniłam też za ogródkiem dziadków i spokojnymi weekendami w towarzystwie przyjaciół. Pomimo wielu niewygód, których przyczyną była w naszym kraju komunistyczna władza, pomimo wielu niedostatków, tęskniłam za własnym domem. Ale ta tęsknota została tak mocno przyćmiona przez wrażenia, jakich codziennie dostarczał nam Paryż, że z trudem przebijała się przez uśpioną świadomość. Obie z Ewką byłyśmy nim odurzone jak opium, stałyśmy się już po kilku dniach totalnie od tego miasta uzależnione.

W Paryżu każdy dźwięk jest tylko paryski. Kiedy ulicami jadą samochody, słycać coś na kształt paryskiej symfonii ulicznej. Klaksony, pisk opon, często nawet krzyki kierowców nawzajem się obrzucających epitetami. Sygnały karetek też mają inny dźwięk alarmu niż nasze. Wystarczy stanąć na chodniku Champs Elysees, zamknąć oczy i tylko słuchać. Te dźwięki zapadają w pamięci na zawsze. Niesamowity koktajl silników harleyów, hond, suzuki czy kawasaki. Wspaniałe, błyszczące niklem motory śmigają na skrzyżowaniach, nie bacząc często na światła. Nieraz o mało nie wpadłyśmy pod taki rozpedzony motocykl. Kiedyś stanęłam na samym środku Pól Elizejskich, na malutkiej wysepce po to tylko, aby zobaczyć cały tabun przygotowany do startu na czerwonym świetle. Kiedy zapaliło się żółte, ruszyła do przodu, niczym do boju, kawaleria francuskich pojazdów, oślepiając mnie światłami i ogłuszając klaksonami. W Polsce w owym czasie na drogach jeździły głównie maluchy i polonezy. I nikt nie szalał, nie oślepiał, bo i czym?

Przechodzenie po pasach dla pieszych było dla nas fajną zabawą. Za każdym razem uciekałyśmy przed śmiercią. Francuscy kierowcy mają w głębokim poważaniu wszelkie

znaki drogowe, przepisy czy światła. Uciekałyśmy więc jak gazy przez watahą lwów.

Ale to było fajne, jeśli, oczywiście, ma się pociąg do hazardu.

W tamtych dniach skupiłyśmy się na nadrabianiu zaległości w zwiedzaniu. Marca nie widziałam od kilku dni, co bardzo mnie niepokoiło. Nie zwierzałam się Ewce, że myślę o nim non stop. Co powiedziałby Marco, gdyby wiedział, że nieświadomie zwiedza ze mną Paryż?

Pojechałyśmy zobaczyć wieżę Eiffla z bliska, ale na wjazd na sam szczyt nie miałam ochoty. Ewka nalegała, ale ja mam lęk wysokości. Ostatecznie przekonała ją stumetrowa kolejka po bilety. Wieżę podziwiałymy więc jedynie od dołu. A potem poszłyśmy na Trocadero i stamtąd znaną nam już z wcześniejszych wypadów do polskiego konsulatu Avenue Kleber prosto do Łuku Triumfalnego.

Na rondzie wokół Łuku jak zawsze szalały samochody usiłujące zmienić pas. Jeden taksówkarz na naszych oczach wrzucił peta przez otwarte okno innemu kierowcy, bo ten niby mu zajechał drogę. Usłyszałam kilka obelżywych francuskich epitetów z obu stron, kiedy z narażeniem życia usiłowałyśmy z Ewką przejść po pasach na drugą stronę ronda.

Przechodzenie po pasach dla pieszych w Paryżu to specyficzna odmiana paryskiej ruletki. Albo przeżyjesz, albo cię rozjedzie rozpedzony samochód lub motocykl. Zawsze kiedy pokonywałyśmy pasy, to biegłyśmy. Zupełnie jak Forrest Gump, choć wtedy nikt go jeszcze nie wymyślił. Ale tak to właśnie wyglądało. Nawet najbardziej zmęczone i obolałe od wiecznej pieszej wędrówki dostawałyśmy jakiegoś cudownego turbodoładowania na pasach dla pieszych. Francuscy kierowcy chyba zapomnieli, że pieszych należy szanować, bo przecież to oni wymyślili... samochody.

Jak już się przedarliśmy przez Place Charles - de - Gaulle, znowu czekała nas piesza wędrówka wzdłuż najdroższej ulicy Paryża.

Pola Elizejskie tak naprawdę są zwykłą dwupasmową aleją. Jednak jej szerokość robi wrażenie. Szerokie chodniki, pas zieleni, potem znowu kawał chodnika i jezdnia. A dalej to samo, tylko w lustrzanym odbiciu. W sumie to chyba ze sto metrów szerokości. Co kawałek ławeczka, co chwila jakaś elegancka restauracja, hotel czy salon wystawowy.

Wędrówka wzdłuż tej alei to przyjemność sama w sobie. Można zaobserwować, jak podjeżdża limuzyna pod wejście do hotelu George V, można podpatrzeć, jak wytworne paryżanki robią zakupy w salonie Diora, można zobaczyć czerwone ferrari kręcące się za szybą niczym świeżutka bagietka do sprzedania. U Fouceta zawsze są zapełnione stoliki, czerwone markizy już z daleka kuszą swoją marką.

W końcu dochodzi się do Place de la Concorde. I tu pojawia się problem: w którym kierunku iść dalej? Ten plac jest jak niepisane serce Paryża. Przynajmniej ja tak uważam. Stąd można zacząć wędrówkę. Stąd przewodniki powinny zaznaczać trasy.

Tego dnia skręciłyśmy w lewo, bo już nas trochę nogi bolały i szukałyśmy najbliższej stacji metra. Przeszłyśmy obok hotelu InterContinental, doszłyśmy do Place d'Opera i tam wsiadłyśmy do metra, które zawiozło nas na nasz przystanek Abbesses.

Stacja Abbesses jest najniżej położona pod ziemią w Paryżu: To znaczy jest na tym samym poziomie co inne stacje, ale ponieważ to jest wzgórze Montmartre, zatem, aby wyjechać na powierzchnię, trzeba albo wsiąść do ogromnej windy zabierającej sto osób naraz, albo iść pieszo krętymi schodami korytarzem ze ścianami wymalowanymi artystycznym graffiti.

Do windy tłoczył się taki tłum, że pomimo zmęczenia wybrałyśmy schody. Przy trzecim graffiti miałam już nogi wbite w kręgi lędźwiowe. Ewka też stękała, w końcu zrobiliśmy tego dnia niezły maraton po Paryżu. Jakoś się jednak doczłapałyśmy do wyjścia. Na malutkim placyku świeciło się kilka romantycznych latarenek, których światło oznajmiało, że jesteśmy już prawie w domu.

Ale „prawie” robi wielką różnicę.

Truchtałyśmy powoli w stronę naszego mieszkania, z trudem, bo pod górkę, kiedy nagle trzech facetów zastąpiło nam drogę. Było na tyle ciemno, że nie widziałam ich twarzy. Całe zdarzenie trwało kilka sekund. Wepchnęli Ewkę do starego rzecha marki Citroen i odjechali z piskiem opon. Zanim zdążyłam się połapać w sytuacji, zostałam sama na pustej ulicy, śmiertelnie przerażona i sparaliżowana.

O Boże! Porwali Ewkę! Co robić?

Nie byłam w stanie biec za tym autem. Pojechało w dół, i tyle. W dół. No jasne, że w dół, pod górę dalej już jechać nie mogło, bo dotarłoby do ślepego zaułka. Nawet nie zapamiętałam numerów rejestracyjnych! Gorączkowo myślałam, co robić? Jeszcze nie docierało do mnie to, co się przed chwilą stało. Musiałam szukać gdzieś ratunku. Ale gdzie i u kogo? Z podziemi metra wychodzili podróżni, ale nikt nawet nie zauważył zniknięcia mojej przyjaciółki. To trwało tak krótko, że Ewka nie zdążyła nawet pisnąć!

Pobiegłam więc na Place du Tertre, jakby to miejsce było lekiem na wszelkie zło, jakie nam się przytrafia w tym mieście, i odszukałam Mariana. Wycinał właśnie profil czarnowłosej Azjatki, zabawiając ją przy tym rozmową.

Ujrzał mnie przebijającą się przez tłum turystów i podniósł rękę na znak, żebym chwilkę zaczekała. Stałam więc z boku i czekałam, aż skończy swe dzieło. Każda sekunda była wiecznością. W końcu oderwał maślane oczy od

skośnookiej piękności, podszedł do mnie i spytał jak gdyby nigdy nic:

- Hej, Aga, coś taka nerwowa? Czy coś się stało?

- Ano, stało się.

- A co takiego? Znowu policja was dorwała? Ale chyba nie mieli powo...

- Nie - przerwałam mu w pół słowa - to nie policja. Ktoś porwał Ewkę.

- Co?

- To! Marian, pomóż, zrób coś, na Boga! Oni ją porwali!

Marian patrzy na mnie jak na wariatkę.

- Jacy oni? - pyta, jakby nie rozumiał, o czym mówię.

- No właśnie! - krzyczę. - Ewkę porwali! - Opowiadam Marianowi, jak to się stało. Chyba nadal mi nie wierzy, ale proponuje, abyśmy usiedli na ławce i spokojnie porozmawiali. Jak mam być spokojna?

Ale dobra, siadamy i jeszcze raz mówię mu, co zaszło. Nie ma Ewki, jacyś faceci ją porwali starym citroenem. Musimy szybko działać, zanim będzie za późno.

W końcu chyba Marian mi uwierzył.

- To trzeba zadzwonić na policję - powiedział.

- Dobrze. Ale pomożesz mi?

- No jasne, chodź. Ja będę mówił, w końcu lepiej znam francuski.

- Dzięki, właśnie na to liczę.

Biegłam za Marianem do jego domu, nie zważając na nierówności chodnika. Budka telefoniczna nie wchodziła w rachubę, za długie kolejki, a z jego domu mogliśmy zadzwonić bez czekania.

Sabine otworzyła nam drzwi ubrana w jedwabną podomkę. Wyglądała na zaskoczoną naszym nagłym wtargnięciem do mieszkania, zrobiła wielkie oczy na mój

widok, ale nie zadawała zbędnych pytań, kiedy Marian złapał telefon i wybrał numer policji.

- Coś się stało? Mon Dieu! - wołała przestraszona.

- Ciii! - wysyczał Marian, czekając na połączenie. Stałam z boku, nieśmiało spoglądając na Sabine, która nawet teraz, o późnej porze, wyglądała jakby właśnie zeszała z planu zdjęciowego do okładki „Vogue'a”. Po chwili za nią pojawiła się lekko zaspana Nicole.

- Hej, Aga! - zawołała na mój widok. Widząc jednak ojca przy telefonie i moją bladą twarz, załapała, że chyba coś się stało. Spojrzała na mnie jakby nagle obudzona z narkozy.

- Aga! Co się dzieje?

- Porwali Ewkę - wyjaśniam najkrócej, jak umiem.

- Merde!

Nic dodać, nic ująć!

Marian tłumaczy coś tak szybko, że nie nadążam za jego mową, ale widzę, że raczej nie jest zadowolony. Zaczyna nawet krzyczeć, a ja po raz pierwszy widzę go wściekłego. W końcu rzuca słuchawkę i macha ręką w geście bezsilności.

- Na razie nie uważają tego za porwanie. Mówią, że trzeba poczekać do jutra, a może nawet jeszcze jedną dobę. Twierdzą, że w Paryżu to zwykle jest samowolne oddalenie, a nie porwanie, i inne takie głupoty.

- Więc co mam robić? - pytam nie wiadomo kogo. Wszyscy troje, Marian, Sabine i Nicole, stoją bezradni.

- Nie wiem... - odpowiada chyba naprawdę zmartwiony Marian.

- Trzeba znaleźć tych waszych flików - odzywa się Nicole.

Patrzę na nią zdumiona. Być może ma rację. Młode fliki, które tak bardzo za nami przepadają... Może oni pomogą. Ale gdzie ich szukać?

- Nie wiem, gdzie ich szukać - mówię zrozpaczona. Rany, a może Ewka już pływa w Sekwanie? Albo ktoś ją wywozi do Turcji? Jestem przerażona, nagle Paryż przestał być zabawny.

- Gdzie mieszkają? - pyta przytomnie Nicole.

- Nie wiem, gdzieś w nowej dzielnicy. Chyba to było w... Nie mogę sobie przypomnieć. To na nic.

- A jak się nazywają? - drażni Nicole, przyszła kreatorka mody. Może powinna zostać sędzią śledczym.

- Alain i Vincent. Tyle wiem. Pracują w osiemnastej dzielnicy...

- To musi wystarczyć. Włożę tylko coś na siebie.

Po półgodzinie Nicole i ja usiłujemy na posterunku osiemnastej dzielnicy Paryża, czyli na Montmartre, dokładnie tam, gdzie nas kilka tygodni temu przesłuchiowano, odnaleźć dwóch funkcjonariuszy, których znamy jedynie imiona. Ponieważ ja nie za bardzo nadaję się na tego rodzaju rozmowy, Nicole używa wszelkich chwytów pięknej rudowłosej kobiety, aby z zaspanego dyżurnego o wyglądzie Misia Uszatka wydobyć jakieś informacje. Widzę, jak zmysłowo kładzie nogę na nogę, jak niby od niechcenia podwija spódniczkę. Miś Uszatek jest, cokolwiek by mówić, Francuzem.

W nagłym przyplywie hormonów na widok wdzięków Nicole posterunkowy podaje jej na kartce numer telefonu do Alaina. Zastrzeżony, dodaje niepewnie. Nicole uśmiecha się słodko, spódniczka opada z powrotem na kolana, podnosi się z krzesła, posyła frajerowi zdalnego całusa i wyciąga mnie z komisariatu.

- Szukaj najbliższej budki - zarządza.

Jest budka, ale stoi do niej kilka osób w kolejce. Nicole krzyczy, że właśnie jej siostra rodzi i musi natychmiast zadzwonić po karetkę. Ludzie ją przepuszczają, ja wpadam do

budki razem z nią i szybko wybieramy numer Alaina. Na szczęście jest w domu.

- Allo! - mówi Nicole. - Czy to Alain?

- Oui, c'est moi - odpowiada zaspany głos. Nicole trzyma słuchawkę nieco odsuniętą od ucha, żeby mogła podsłuchiwać.

- Jestem Nicole, przyjaciółka Ewki i Agi. - Z drugiej strony słycać jakieś och, czy coś takiego i dalej cisza. A może nas nie pamięta?, zastanawiam się. Alain, przecież wydałeś kupę kasy na południcę wołową, nie pamiętasz?

- Tych Polek z Montmartre? - pyta po namyśle. No tak, a ile takich jak my idiotek poderwali z kumplem, Bóg raczy wiedzieć! Nic dziwnego, że musi się upewnić, o kogo chodzi. Jednak w tej chwili mam gdzieś ich podryw, ważna jest tylko Ewka, a on zna dzielnicę i jest policjantem.

- Tak, to moje przyjaciółki - kontynuuje Nicole.

- A, to trzeba było od razu tak mówić... Macie ochotę na wspólny wypad? Bo musiałbym się trochę, hmmm, odświeżyć, ale godzina jeszcze młoda. więc...

Nicole już miała ochotę sprostować nasze zamiary, ale ją powstrzymałam. Okej, szepczę do niej, niech tak myśli, zgódź się... Byle go tylko wyciągnąć z domu. Zrozumiała.

- Hej, jesteś tam jeszcze Nicole? - pyta Alain.

- Tak, tak... Więc co, dasz się namówić na spotkanie? - Dziewczyna nagle zmieniła głos na mniej zatroskany, znowu musiała wcielić się w nową rolę.

- Oui! Avec plaisir! Ale muszę się troszkę ogarnąć, bo...

- Jasne, to czekamy na ciebie w Le Buffet na rue des Trois Freres - szybko zdecydowała Nicole. Bardzo dobrze, myślę.

- Wiem, gdzie to jest. Ale... skąd masz mój numer?

- Nieważne... Od przyjaciela z policji. - Nicole powinna zostać aktorką. Albo politykiem.

- Od Vincenta? - Kiwam jej głową, że nie.

- Nie, od innego, nie mogę teraz zdradzić - śmieje się Nicole - ale jakby Vincent też chciał przyjść, to byłoby fajnie.
- Nic dodać, nic ująć, ona czyta w moich myślach. Mając ich obu, łatwiej będzie rozpracować plan odzyskania Ewki.

- To zaraz do niego zadzwonię - odpowiada już całkiem obudzony Alain. Pewnie liczy na szybki numer z każdą z nas. Wtedy nie wyszło, ale może teraz. Niech sobie myśli, co chce. Jak już go dorwiemy, to wyjaśnimy, co ma robić.

- To super. Będziemy na was czekać w Le Buffet. Oby nie za długo! - dodała na koniec tak zmysłowym głosem, że już wyobraziłam sobie kolejny ciężki zawód naszych kolegów flików. Ale nie miałyśmy innego wyjścia, jak zastosować taki fortel.

Nicole była z siebie dumna. Właśnie wyciągnęła z łóżka policjanta, który za chwilę obudzi drugiego i za jakieś pół godziny obaj będą wykonywać nasze polecenia. Ja jednak miałam poważne obawy, czy na widok rudych włosów Nicole nie zostawią Ewki na pastwę losu. Ale i tak nie miałyśmy lepszego pomysłu. Nikt z posterunkowych oficjalnie nie zajmie się tą sprawą, jedynie ktoś taki jak oni. Prywatnie, niezgodnie z procedurą, po cichu.

Upłynęły trzy godziny od porwania Ewki. W tym czasie mogli już ją wsadzić do samolotu i zabrać do innego kraju. Ale, z drugiej strony, chyba nie mogli. Przecież musieliby kupić bilet na jej nazwisko? Rany! A jeśli oni naprawdę wierzą, że Ewka jest żoną Ammana? Może jakoś już spreparowali papiery, Ewkę odurzyli jakiś świństwem i już są na lotnisku albo, o mon Dieu, w samolocie?

Ciarki mi przeszły po plecach od tych strasznych myśli. Nie wiem dlaczego, ale wyobraziłam sobie lament jej babci, kiedy przez telefon będę musiała powiedzieć, że Ewka została uprowadzona! Nie, niech to będzie koszmarny sen!

Nicole nie przejmowała się tak jak ja, dla niej była to chyba świetna zabawa w detektywa. Kiedy jednak zobaczyła, że jestem blada i trzęsą mi się ręce, sama też przybrała poważny ton.

- Znajdziemy ją. - Ujęła moje dłonie. - Na pewno.

W Le Buffet nie było wolnego stolika, ale gospodarz pozwolił nam usiąść przy barze, w ciasnym kąciaku i widząc nasze niewyraźne oblicza, od razu postawił przed nami karafkę beczkowego wina na koszt firmy. Zaczekał z pytaniem, co ewentualnie jeszcze zamówimy, za co byłam mu wdzięczna, po czym oddalił się do kuchni.

W lokalu gwar był odwrotnie proporcjonalny do jego wielkości. Zaledwie kilka stolików, ale jakże tętniących życiem! Goście byli już chyba nieco wstawieni, obżarci i chętni do dalszego picia. Z kuchni sączyły się znakomite zapachy duszonej jagnięciny, steków i szaszłyków baranich. Byłam głodna jak wilczyca, ale mój żołądek nie byłby w stanie niczego przyjąć. Nicole sączyła wino, rozglądając się po ścianach restauracji obwieszonych plakatami i zdjęciami.

- Lubię tę knajpkę - powiedziała głośno, by przekrzyczeć cały ten zgiełk.

- My też - przyznałam. Parę razy byłyśmy tu z Ewką na lunchu.

- To co robimy? Czekamy, pijąc wino, czy może coś zjemy?

- Zjedz, jeśli możesz. Ja dziękuję.

- Aga... Ty też coś zamów. Głupio tak siedzieć przy barze i pić wino na koszt firmy. Coś wypada zamówić. - Fakt.

- Dobrze, to wybierz coś sama, bo ja nie mam do tego głowy.

- Może sałatkę nicejską? Albo crepes au chocolat? Jak myślisz?

- Obojętne.

Nicole zamówiła, prawdę mówiąc, nie zwracałam uwagi, co to było. Co chwila odwracałam się w stronę drzwi, wypatrując naszych młodocianych flików. Zamiast nich do knajpki weszła krępa kobieta z ogromnym koszem uwieszonym na szyi i od razu zaczepiła grupkę gości siedzącą najbliżej wejścia.

- Les cigarettes? - pytała takim tonem, jakby niepalenie w Paryżu było przestępstwem, i machała gościom przed nosem paczką papierosów. Miała pucołowatą twarz i małe wąskie usta wykrzywione w podkówkę jak u niezadowolonego dziecka. Z krótkiego nosa zwisały szkła grube niczym denka butelek, a jej głos przypominał krakanie wrony. Ubrana była w ogromne poncho z frędzlami, być może hit z najnowszej kolekcji tutejszych kloszardów. W koszu zawieszonym u szyi na grubym sznurze wystawały paczki gitane'ów i gauloise'ów.

- Kto to taki? - zaciekawiała mnie ta przedziwna istota.

- Nie wiesz? Oj, Aga... Jeszcze za krótko tu mieszkasz.

- Nicole się uśmiechnęła. - To Quasimodo.

- Kto?

- Tak ją nazywają. Quasimodo. Czy nie trafnie?

- Fakt. Bardzo trafnie. Kobięcina była bowiem brzydka jak upiór.

- Chodzi od knajpy do knajpy i sprzedaje papierosy. Nielegalnie, rzecz jasna. O tej porze wszystkie trafiki są już pozamykane. Ona zwyczajnie wypełnia lukę w paryskim handlu - śmieje się Nicole. Patrzę, jak Quasimodo usiłuje przekonać jednego z gości, żeby rzucił niepalenie, bo to niezdrowe. Wpycha mu paczkę gitane'ów i zachwala. I jeszcze zmusza, żeby przepłacił! Tylko w Paryżu możliwe są takie scenki.

Zanim kobieta dotarła do nas ze swoim miniaturowym kioskiem zawieszonym na szyi, kelner delikatnie ujął ją pod ramię i wyprowadził na ulicę, tłumacząc, że nie ma prawa

nagabywać jego gości. Quasimodo darła się, żeby trzymał łapy przy sobie, że go pozwie do sądu i inne takie. Na koniec wrzasnęła głośno: merde i splunęła na chodnik. Chwilę później już ją widziałam, jak wchodzi do knajpki naprzeciwko. Ach, ten Paryż!

Przez chwilę nawet zapomniałam, po co przyszliśmy do Le Buffet, i zjadłam kawałek przepysznego szaszłyka z jagnięciny, popijając firmowym winem z beczki.

Alain i Vincent pojawili się nagle, kiedy zajęte rozmową przestałyśmy obserwować wejście. Byłyśmy już lekko wstawione, kiedy nas zaszli od tyłu, zapewne domyślając się, że te dwie dziewczyny przy barze to my. Wyglądali niczego sobie. W dzinsach i jasnych koszulach, ogoleni i pachnący. I przystojni, co tu ukrywać. Nicole zaświeciły się oczka na ich widok. No cóż, może i mieszkała w Paryżu od dziecka, może znała Quasimodo i wielu innych ludzi, ale to my pierwsze z Ewką wyczaiłyśmy tych przystojnych flików. A jeszcze dokładniej, to oni wyczaili nas. Niestety. Bo jakby nas nie wyczaili, to do dziś spokojnie zarabiałibyśmy sporo kasy przy minimum wysiłku, robiąc portrety turystom. To przez tych dwóch przystojniaków musimy z Ewką rozwijać dziennie po kilkadziesiąt prześcieradeł wielkości księstwa Monako!

Niebezpiecznie było zabierać ze sobą Nicole na taką akcję. Oba fliki od razu skierowały ku niej swoje spojrzenia.

- Miło cię poznać, Nicole - rzekł Alain, wpatrując się w jej kręcone rude włosy.

- Mnie także. A gdzie jest Ewka? - spytał Vincent, sadowiąc się na wysokim stołku przy barze.

- No właśnie... - Chrząknęłam. Nicole zmierzyła mnie zabójczym wzrokiem, który oznaczał: nie tak szybko. Dobra, niech ich najpierw trochę zmiękczy. Może Nicole wie, co robi. Postanowiłam jej zaufać, choć nie było mi łatwo czekać, bo przecież Ewka potrzebuje naszej pomocy, a czas ucieka!

- A co, brakuje ci Ewki? - uśmiechnęła się do Vincenta w taki sposób, że jedyną możliwą odpowiedzią byłoby stanowcze: nie, nie brakuje mi Ewki, skoro ty tu jesteś. O dziwo, Vincent powiedział:

- Tak... to znaczy... przyjechałem pewien, że ją spotkam... Miała z wami być przecież... - I spojrzał na mnie w nadziei, że wyczaruję Ewkę z pustej już karafki wina.

- Ewkę porwano - mówię, nie zważając na Nicole.

- Co takiego? - odzywa się Alain. Vincent patrzy na mnie z szeroko rozdziawioną buzią.

- Dlatego do was dzwoniłam - wyjaśnia Nicole. Chłopaki chyba uważają, że żartujemy.

- To nie żarty - dodaję. - Naprawdę ją porwali.

Vincent kurczy się na stołku, jakby go ktoś postrzelił.

- Kto ją porwał? Kiedy? Gdzie? - pyta, całkiem poważniejąc.

- Jakieś trzy godziny temu na stacji Abbesses - wyjaśniam.

I opowiadam wszystko krok po kroku. Mówię o muzułmanach, którzy już parę razy próbowali Ewkę porwać, i o tym, że na komisariacie nas wyśmiali. Alain zaczyna się niespokojnie kręcić na swoim stołku. Vincent jest czerwony na twarzy. Chyba chłopcy się naprawdę zmartwili.

- Merde! - podsumował sprawę Alain.

- Trzeba działać szybko - stwierdził Vincent. Chyba jednak dobrze, że do nich zadzwoniłyśmy. Nasze fliki poważnie się zmartwiły zniknięciem Ewki.

- Gdzie mieszkają ci muzułmanie? - pyta Alain, patrząc na mnie.

- Nie wiem, ale jak byśmy poszli na Place du Tertre i stamtąd po schodkach w dół, to może bym znalazła ten dom... Nie wiem, czy dam radę, ale...

- Nie ma czasu. Musimy iść - zarządził Vincent.

- Ale ja naprawdę nie pamiętam, gdzie to było! - Jestem bliska płaczu. - Zaprosili nas na kolację, a potem powiedzieli, że jesteśmy ich żonami. Dla nas był to świetny żart...

- Ale nie dla nich - dokończył Alain, pospiesznie płacąc nasz rachunek zdumionemu kelnerowi.

No to super! Była już prawie druga w nocy, a my usiłowaliśmy odnaleźć mieszkanie rodziny muzułmanów, do którego kilka tygodni temu dałyśmy się zaciągnąć na darmową kolację. Gdybym przeczuwała, jak to się może skończyć, wołałabym wtedy iść głodna spać.

Uliczka wydawała mi się znajoma, ale wszystkie uliczki w tym kwartale Paryża wyglądały podobnie. Nicole klikała swoimi bucikami od Prady, wystukując żalosne staccato na brukowanym chodniku. Jej skrzywiona z bólu mina mówiła, że wołałaby mieć na nogach adidasy.

Ja byłam w wygodnych półbutach, a i tak nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Alain i jego kolega Vincent najwyraźniej bardzo się przejęli zaginięciem Ewki. Czyżby traktowali nas poważnie? Może nie byli tak bardzo francuscy, jak sądziłam? A te ich superbefszyki były tylko początkiem dobrej znajomości? Może nie chodziło im wyłącznie o seks?

Teraz, podążając za nimi, czułam dla nich wdzięczność. Ogromną wdzięczność. Szukamy Ewki. We czworo. I wygląda na to, że nikt z nas nie pójdzie spać, dopóki jej nie znajdziemy.

O trzeciej usiedliśmy na jakiejś ławeczce, żeby się zastanowić.

Alain wyglądał na bardzo wkurzonego.

- Jak oni mają na imię? - spytał mnie ponownie.

- Kemal i Amman.

- Bracia?

- Tak.

- Coś jeszcze wiesz o nich? - Patrzył na mnie jasnymi oczami i czułam, wiedziałam, co o mnie myśli. Oto sobie obie

z Ewką poszliśmy do domu jakichś muzułmanów na kolację, nie wiedząc o nich nic. Ale do niego też poszliśmy na kolację, czyż nie? Więc niech mnie tak nie prześwietla tymi swoimi pięknymi oczkami! Czy on, czy ci muzułmanie, w końcu wszyscy mieli takie same zamiary.

- Kemal rysował. Na placu - odpowiadam.

- Rysował? I dopiero teraz o tym mówisz? - Alain jest na mnie zły. Nie miałam pojęcia, czy to ważne.

Fliki pociągnęły nas za sobą. Teraz pędziliśmy w przeciwną stronę, prosto do komisariatu dzielnicy osiemnastej, tej na Montmartre. Wpadamy prosto na Misia Uszatka chrapiącego za biurkiem.

Dyżurny policjant wstaje i na widok Nicole niemal mdleje z wrażenia.

- Cześć, stary - mówi Alain. - Czy znasz niejakiego Kemala, rysownika z placu?

- Kemala? A... tego Kemala?... No jasne, a o co chodzi?

- O jego adres. - Alain wygląda jak Clint Eastwood w akcji.

- No mam, ale... musiałbym...

- Dawaj ten adres, no już!

Miś Uszatek grzebie w segregatorach, w końcu coś znajduje i zapisuje na karteczce. Zerka na Nicole i nic nie pojmuje, ale tak już jest w Paryżu, że czasami policja zostaje zmanipulowana.

- Ale nie powiesz, że... - Dyżurny policjant bał się zapewne, że dopuścił się złamania zasad.

- Nic nie powiem, słowo - zapewnił go Alain, mrugając.

Zostawiliśmy ogłupiałego po raz kolejny tej nocy Uszatka i pobiegliśmy na drugi kraniec wzgórza pod wskazany adres. Miałam nadzieję, że tam będzie Ewka.

Kamienica była ciemna, podobnie jak większość miasta o tej porze. Nawet Paryż w końcu kiedyś musi się wyspać. Była

prawie czwarta nad ranem. Powoli robi się jasno, a my usiłujemy wejść do cudzego domu bez żadnego konkretnego nakazu. Alain przez chwilę się zastanawiał, co robić. Odbył krótką naradę z Vincentem, a ja podtrzymywałam Nicole, której nogi odmawiały posłuszeństwa.

- Rany! Nigdy więcej nie włożę szpilek! - Krzywiła się z bólu. Nie miałam pojęcia, jak i czy kiedykolwiek będę umiała jej się odwdziaczyć za to, co dla mnie robi. - Ale te fliki są tego warte - dodała. Więc o to chodziło! A Ewka?

Spojrzałam na nią z niesmakiem.

- Nie, nie to miałam na myśli. Znajdziemy Ewkę. Mam nadzieję, ale gdyby nie byli tacy przystojni, to już dawno pobiegłabym do domu zmienić buty! - wyjaśniła, a ja uśmiechnęłam się pomimo całej powagi sytuacji.

- Dobra, dzwoniemy - usłyszałam głos Alaina. Widać było, że to on jest szefem całej operacji. Vincent wykonywał polecenia, ufając mu w ciemno.

Alain kazał nam się schować za rogiem.

Złapałam Nicole jęczącą z powodu obtartych stóp, pociągnęłam na bok i schowałyśmy się za rogiem kamienicy. Ale zostałam na posterunku, obserwując Alaina.

Ktoś wyszedł w piżamie i bardzo się zdenerwował. Alain coś mówił. A potem pokazał legitymację i wyciągnął zaspanego gościa w szlafroku na ulicę. Jezu! To był Kemal! Rozpoznałam jego długie włosy i wąsy w świetle ulicznej latarki. Kemal coś mówił, jakby zaprzeczał, ale widać było strach w jego oczach. Jasne, na sto procent wiedział, gdzie jest Ewka. Jego brat Amman ją zabrał. Ale dokąd?

Alain przycisnął Kemala do muru i coś mu tłumaczył do ucha, a potem go puścił i pozwolił odejść. Widziałam, jak Kemal znika za drzwiami kamienicy, i nagle zaczęłam się obawiać najgorszego.

Alain poprawia koszulę, która wyszła mu ze spodni i podchodzi do mnie.

- Mam adres Ammana. To u niego jest Ewka. - A jeśli Kemal kłamie? - pytam.

- Nie kłamie. Tego możesz być pewna. Amman mieszkał w arabskiej dzielnicy u podnóża

Montmartre, ale po przeciwnej stronie. Znowu biegliśmy przez uliczki pnące się pod górę, aby zaraz potem schodzić w dół. Nicole jęczała, ale nie miała zamiaru odpuścić sobie takiej przygody. Nie mogłam patrzeć, jak kuleje w szpilkach. Już dwa razy podczas całej tej akcji była blisko domu rodziców, ale oznajmiła, że dopóki nie znajdziemy Ewki, ona do domu nie wróci. Uparta jak osioł. Pewnie zrobi w życiu karierę.

Nad Paryżem zaczynało jaśnieć, ale o tej porze ulice były prawie całkowicie bezludne. Jeszcze chwila, a wyjadą na nie śmieciarki, które wchłoną cały syf poprzedniej nocy. Oczyszczanie tego miasta z brudów to temat na całkiem inną opowieść.

My mieliśmy konkretne zadanie: odnaleźć Ewkę. Prawdopodobnie była uwięziona w domu Ammana, brata Kemala, który zastraszony wyjawiał jego adres. Nigdy się nie dowiem, jak Alain namówił go do podania tego adresu, ale chyba będzie z niego dobry glina.

No i jesteśmy pod kamienicą, w której mieszka Amman. Teraz trzeba logistycznie rozegrać dalszą akcję, żeby nie popełnić błędu.

I tu Alainowi z pomocą przychodzi Vincent. Ma pomysł. Ale jaki? Nicole i ja już jesteśmy tak zmęczone, że tylko stoimy z boku, wierząc we wszystko, co nasze fliki wymyślą.

Vincent każe nam iść w cholerę. Sam to załatwi, bo wie jak.

Więc oddaliśmy się, nawet Alain ulega presji kumpla. Znikamy w jakiejś ciemnej bramie. Nicole siada na bruku i

jęcząc, zdejmuje buty. Nic stąd nie widać. Jednak słyszymy jakiś odgłos, chyba otwieranych drzwi. Boję się, że Vincent nie znajdzie tu Ewki. Boję się, że to tylko jakiś blef Kemala, a naprawdę moja przyjaciółka jest już w drodze do Turcji.

Przeżywamy w tej ciemnej bramie kilkanaście minut niepewności. Alain przytula mnie do siebie. Po raz pierwszy tej nocy czuję, że może coś nas jednak łączy poza zjedzoną kolacją. Ładnie pachnie jak na faceta w akcji. Karczę się za takie myśli. Teraz liczy się tylko Ewka.

Wtem zza rogu wyłania się Vincent. Wstrzymuję oddech. Boję się jak jasna cholera, że Ewka już przepadła, że już jej nigdy nie zobaczę. I nagle za młodym flikiem widzę jeszcze jedną postać. Jezu! Ewka!

Wpadam na nią jak burza, ściskam i przytulam. Nie mogę w to uwierzyć! To ona, to Ewka! Jest cała i chyba nic jej nie dolega. Vincent podaje kumpłowi rękę, ten mu gratuluje i wszyscy wychodzimy z ponurego zaułka.

Ewka jest chyba w szoku. Nic nie mówi, nawet nie potrafi się cieszyć z cudem zakończonej akcji. Podejrzewam, że jeszcze to do niej nie dotarło. Nicole zapomniała o poranionych stopach, bo kroczy u boku Ewki jak nowo narodzona.

Odbiliśmy Ewkę z rąk muzułmanów!

Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym żywić matczyne uczucia do przyjaciółki. Jednak tego ranka coś takiego właśnie mi się przydarzyło, kiedy spojrzałam na zwiniętą w kłębek i chrapiącą Ewkę. W sumie nie był to już ranek, lecz południe, ale przecież musiałyśmy odespać zarwaną noc.

Alain i Vincent odmeldowali się grzecznie po wykonaniu zadania, życząc nam dobrej nocy, nawet nie sugerując, że mogłybyśmy ich zaprosić na herbatę do naszego jednopokojowego apartamentu albo na cokolwiek innego. Z łatwością przyszła im rola dżentelmenów, bo najwyraźniej obaj padali ze zmęczenia.

Nad Paryżem wstawał nowy dzień, już o tej porze było gorąco, a oni za parę godzin mieli się stawić w komisariacie.

Koniec końców umówiliśmy się na drinka w sobotę wieczorem w naszym ulubionym barku na Montmartre. Chyba nawet byli nam wdzięczni, że dajemy im kilka dni „wolnego”. Odjechali służbową alfą z piskiem opon, zabierając biedną i bladą Nicole, która miała co prawda jakieś dwieście metrów do domu, ale nie była już w stanie samodzielnie iść.

Jeśli miała kiedykolwiek nastąpić chwila ostatecznego wybaczenia flikom, że nas wcześniej aresztowały, to był to właściwy moment.

Zaprowadziłam Ewkę do naszego mieszkania, zdjęłam jej buty i położyłam do łóżka. Poszłam zaparzyć nocno - poranną herbatkę w nadziei, że mi opowie, co się wydarzyło, ale kiedy wróciłam z kubkami gorącego naparu, spała w najlepsze.

No i teraz spała dalej, choć było już południe. Biedactwo! Musiała tak wiele wycierpieć. Nie miała na ciele żadnych oznak przemocy, ale przecież na pewno przeżyła straszną traumę! Opatuliłam ją kocem i cicho wyszłam.

W pobliskiej boulangerie kupiłam bagietkę, a w sklepiku obok kilka pyszności na śniadanie. Z żalem zauważyłam, że

portfel jest coraz cieńszy. No tak, kłaniają się wielkie francuskie prześcieradła! Myśl o powrocie do Sheratona nie była miła przed śniadaniem.

Ewka nadal spała. Zaparzyłam kawę, zrobiłam kanapki i podsunęłam jej po nos tacę nie gorszą od serwowanej w Ritzu. Ewka przeciągnęła się błogo i otworzyła oczy. Jak miło było znowu mieć ją w kąciuku tego wielkiego łóżka.

- Hmmmm - zamruczała i przeciągnęła się jak kot.

- Zamawiała pani śniadanie do pokoju? - spytałam uradowana, że mogę jej zrobić taką frajdę. Ewka przecierała oczy, nie dowierzając.

- Nie. Nie zamawiałam.

- A, to w takim razie przepraszam, chyba pomyliłam pokoje. - Wstałam, udając, że zabieram śniadanie.

- Aga! Wracaj! - wrzasnęła Ewka. - Umieram z głodu! - No tak, nie dość, że ją porwali i maltretowali, to jeszcze głodzili! Dranie! - O, kawusia! I świeżutka bagietka! Jesteś aniołem! - I zaczęła jeść.

Pochłaniała jedzenie, a ja czekałam, aż zacznie opowiadać. Kiedy z tacy zniknęła ostatnia kanapka z ulubionym serem pleśniowym Ewki, kiedy wychłeptała drugą filiżankę kawy ze śmietanką, kiedy już całe wyrko pokryte było okruchami, odstawiłam tacę na bok i obdarzyłam Ewkę spojrzeniem sędziego śledczego. Zakładałam, że jest inteligentną dziewczyną i zrozumie moje nieme pytanie o przebieg wczorajszej nocy.

- Co? Mam coś na ustach? - Udawała, że nie kapuje.

- To też, o tu. - Wskazałam swój lewy kącik ust. - Ale chyba coś mi jesteś winna.

- Za to śniadanie? No jasne. Jutro moja kolej.

- Ewka! Nie denerwuj mnie! - Byłam już troszkę zmęczona czekaniem.

- Ja cię denerwuję? A co znowu takiego zrobiłam?

- Właściwie to nic, ale...

- No właśnie.

- Ale nie opowiadasz! - A niby o czym?

No nie, jeszcze chwila, a wyciągnę z niej zeznania siłą!

- Nie mówisz nic o porwaniu... - Chyba przy tym ostatnim słowie nieco zgrzytnęły mi zęby. Ewka patrzyła na mnie jak na wariatkę. Jeśli mnie wkłęcała, co już się wcześniej (niestety) zdarzało, to chyba trafiła na kompletny brak humoru z mojej strony. Oczekiwałam krwawych szczegółów, mięsnych kawałków, brutalnego opisu jej gehenny, a ona sobie pozwala na te wygłupy!

- Jakim... porwaniu?

Kiedyś lubiłam czytać fraszki Sztaudyngera. W jednej z nich powtarzał się refren: Opadają mi ręce... po... sukience. Nie mam pojęcia, dlaczego w tamtej chwili przypomniały mi się te słowa. Może dlatego, że też opadły mi ręce! Jeśli Ewka mnie wkłęcała i zaraz się rozpłacze w moich ramionach, to zrozumiem i wybaczę. Szok często powoduje dziwne zachowania. Wszystko zrozumiem, tylko niech ona wreszcie powie prawdę! A jeśli cierpi na amnezję? Może dali jej jakieś prochy albo inną muzułmańską miksturę, żeby zapomniała, co się działo? Może powinnam ją zabrać do naszego doktora Raphaela Kuperberga? O Boże, co oni z moją Ewką zrobili? Patrzyłam na przyjaciółkę nieźle przestraszona.

- Ewka - siłłam się na spokój - wczoraj porwał cię Amman i jego kołesie. Nie pamiętasz? Wciągnęli cię do auta zaraz po tym, jak wysiadłyśmy z metra na stacji. A potem cię wywieźli, a ja cię szukałam, i nasze fliki...

- No tak, wiem, wiem... Ale niepotrzebne to było... - Co?

- No, mówię, że niepotrzebny był ten cały cyrk.

- Nazywasz to cyrkiem?

- O rany... Gdybyś widziała minę Ammana, kiedy Vincent wkroczył do jego domu... - Ewka się uśmiechała, jakby to

miało być zabawne. Swoją drogą, chętnie zobaczyłabym minę Ammana z tamtej chwili.

- Ciebie to bawi? - spytałam przerażona rozmiarami szoku Ewki.

- A co, ciebie by to nie bawiło, jakby nagle jeden zazdrosny facet usiłował przerwać ci randkę z innym? - Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

- Randkę? - powtórzyłam.

- Może trochę po wariacku zorganizowaną, ale tak. To była randka.

- A nie porwanie?

Ewka roześmiała się na dobre. W jej oczach dostrzegłam jakieś nieznanne chochliki, zupełnie niepasujące do Ewki, którą znałam.

- Aga... No dobrze... Powiem, jak było. Nareszcie.

I opowiedziała.

Owszem, nie spodziewała się, że ją wciągną do auta. Zawieźli ją do domu Ammana i zostawili tylko z nim.

Amman przygotował kolację godną samego Allaha, obsypał Ewkę kwiatami i wyznał jej miłość. Powiedział, że zakochał się w niej, jeszcze zanim nas obie zaprosili na tę kolację do ich rodziców. Opowiadał o tym, że marzy mu się powrót do Turcji i że ona, znaczy Ewka, będzie jego pierwszą i jedyną żoną. Jakoś nie zauważyła podstępu w słowie: „pierwszą”, co wyraźnie sugerowało następne żony. A potem dał jej złotą bransoletkę i obiecał, że będzie jej zawsze wierny i uczyni ją najszczęśliwszą kobietą w całym islamskim świecie. Nie zmuszał jej do niczego, nie próbował zgwałcić ani nawet pocałować wbrew jej woli. Opowiadał o islamie i o tym, jak cudownie będzie jej życie u jego boku, że nigdy nie będzie musiała pracować, on będzie o nią dbał, tak jak synowie Allaha dbają o swoje księżniczki... A Ewka słuchała

tej bajki i zapomniała, kim jest i dokąd ma zamiar wrócić po wygaśnięciu naszej wizy.

I nagle tę sielankę przerwało łomotanie do drzwi i krzyk: policja, otwierać!

Cała magia chwili poszła w diabły, bo jakiś policjant się dobijał do mieszkania Ammana o czwartej nad ranem! Kiedy Ewka rozpoznała w nim Vincenta, o mało nie padła z wrażenia. Bo oto przybył po nią kolejny wielbiciel.

Vincent pokazał legitymację i zagroził prokuratorem, więc Ewka grzecznie wyszła, żeby Ammanowi nie przysporzyć kłopotów. Zanim pojawiła się w zaułku, w którym czekałam na nią wraz z Alainem i Nicole, zdążyła powiedzieć Vincentowi, że nie ma zamiaru nikogo oskarżać o porwanie. Co z pewnością Vincentowi też pasowało, bo w końcu cała nasza akcja była nielegalna.

Kiedy Ewka skończyła, miałam ochotę ją udusić. Zamiast tego wstałam, wyniosłam tacę z resztkami okruchów do kuchni i napełniłam szklankę wodą z lodówki. Wróciłam do pokoju i usiłując zachować spokój, spytałam Ewkę:

- Znaczy, że zamierzasz zostać żoną tego oszołoma?

- Nie! No coś ty! Ale... fajnie tak przez chwilę sobie pomarzyć, co nie?

- Szkoda tylko niepotrzebnie zdartych stóp Nicole... - westchnęłam, popijając zimną wodę.

Tego dnia nasze wzajemne relacje nieco się ochłodziły. Zaproponowałam spacer po Montmartre w nadziei, że ją to otrzeźwi, ale powiedziała, że woli sobie trochę odpocząć w domu. Ja natomiast miałam ochotę się przejść.

- Idź - zachęcała mnie. - Nie ucieknę. I choć byłam przekonana, że łatwiej upilnować pchły w pudełku od zapalek niż Ewkę w paryskim świetle różnych oszołomów, wyszłam na powietrze, żeby to wszystko jakoś przetrwać i ochłonać. Kiedy byłam już przy drzwiach ubrana w swoje najlepsze

dżinsy dzwony i niezastąpiony kaszkiet, Ewka odezwała się z głębi naszej sypialni.

- Aguś, przepraszam... I dzięki za troskliwość.

Nie byłam w stanie nic dodać, więc wyszłam na ciemną klatkę z kręconymi schodami, zbiegłam pospiesznie do wyjścia na ulicę i ruszyłam pod górę, prosto na Place du Tertre.

Po raz pierwszy od kilku tygodni byłam na placu sama. Niech Ewka sobie przemyśli to i owo. Tego dnia potrzebowałam odrobiny samotności.

Nie było na to lepszego miejsca w Paryżu. Place du Tertre, choć było dopiero wczesne popołudnie, był zatłoczony nawałnicą turystów. Czułam się samotna jak nigdy wcześniej, moja jedyna przyjaciółka sprawiła mi zawód, a może to ja ją zawiodłam? Może powinnam ją zostawić na pastwę Ammana i jego szalonej rodzinki?

Szybko wmieszałam się w rzeszę turystów. Kolorowy tłum opalonych ciał w krótkich spodenkach i sandałach oblepił plac niczym wędrowna szarańcza. Była pora lunchu i wszystkie knajpki kipiały od rozbawionych gości, kelnerzy biegali z tacami nad głową i narzekali na wszystko. Narzekający paryscy kelnerzy to cześć francuskiej tradycji narodowej. Gdyby nie psioczyli i nie traktowali gości jak intruzów, nie byłoby w Paryżu takiego fajnego klimatu. Nigdy nie przypuszczałam, że bycie kelnerem w tym mieście daje taką władzę. Kelner mógł praktycznie zrobić z głodnym turystą co tylko chciał. Mógł mu dać resztki z kuchni pod szumną nazwą choucroute, albo boeuf a la bourguignon, a biedny turysta nigdy się nie połapał, że właśnie rozczuła swe podniebienie, jedząc najgorsze kawałki mięsa z karku starej krowy. Z drugiej strony, te dania zawsze smakowały wyśmienicie, nawet jeśli były z podejrzanego zwierzęcia. Francuzi od dawna posiadli wyjątkowy dar

robienia specjału z czegoś, co przed przyrządzeniem nie wyglądało, co tu ukrywać, najlepiej.

Przedzierałam się przez barwny tłumek rozbawionych turystów, przechwytyjąc zapachy z pobliskich restauracji. Na razie jeszcze nie dopadł mnie wilczy głód. Być może stąd te rozważania o francuskiej kuchni. Bo jak wilczy głód dopadnie, wtedy dylematy typu: z czego powstało to danie, nie istnieją.

Place du Tertre od pierwszej chwili powodował u mnie szybsze bicie serca. Kiedy po raz pierwszy znalazłyśmy się tu z Ewką, cała reszta Paryża stała się mniej ważna. To miejsce potrafi oczarować duszę każdego artysty. Jak raz się wyjdzie na Place du Tertre z ołówkiem i szkicownikami w rękę, nigdy już się nie zapomni tego wrażenia.

Parę tygodni temu zdawało nam się, że przynależymy do tego miejsca. Nagle z turystek przemieniłyśmy się w portrecistki. Ponad dwa tygodnie żyłyśmy rytmem tego wyjątkowego miejsca na Ziemi, robiłyśmy to, co kochamy, i jeszcze nam za to płacono. Dlaczego nie mogło tak pozostać?

Najwyraźniej komuś przeszkadzała nasza obecność. Bo tu, na placu, choć niepisane, jednak istniały żelazne reguły gry. Każdy artysta miał swoje miejsce - ci, którzy pracowali od lat, najlepsze. Każdy metr kwadratowy tego umieszczonego na szczycie Paryża małego forum był na wagę złota.

Patrzyłam, jak Jean Pierre walczy z wiatrem, usiłując przypiąć arkusz szarego papieru do deski umieszczonej na sztaludze. Jean Pierre jest tutaj od zawsze. Ma długą brodę i niewiarygodny talent. Jego portrety zawsze mnie zachwycały. Potrafił wydobyć z kresek i plam farby duszę portretowanej osoby. Nieraz stawałyśmy z Ewką w tłumie gapiów, podglądając z zawiścią każdy ruch ręki Jeana Pierre'a. Najpierw wykonywał szybki szkic, idealnie uchwytyjąc proporcje, potem dodawał cienie, akcentował cechy

szczególne danej postaci, a na koniec robił coś, czego nie da się pojąć w żaden racjonalny sposób. Sprawiał, że jego portrety stawały się bardziej żywe niż ich modele. Miał tę niezwykłą zdolność kończenia pracy, zanim stawała się przerysowana. Jean Pierre wiedział, kiedy skończyć. Może to zabrzmie dziwnie, ale niewielu artystów to potrafi.

Nic dziwnego, że do niego zawsze ustawiała się kolejka chętnych do sportretowania. Obok Jeana Pierre'a stacjonował Akira. Niskiego wzrostu, japońskiego pochodzenia, znakomity rysownik czarną kreską. Akira już właściwie od dawna nie był Japończykiem, bo jego paryski styl życia: fajka i kaszkiet na siwej głowie, troszkę go definiowały. Akira był doskonałym przykładem asymilacji kultur w Paryżu. Gdyby nie jego skośne czarne oczy i talent prosto spod Fudzi - jamy, byłby podobny do Toulouse - Lautreca.

Akira rysował inaczej niż Jean Pierre. Nie używał farb, rysował wyłącznie kreską, ale za to jaką kreską! Jego portrety przypominały prawdziwe japońskie grafiki rodem z Kioto.

Było wielu takich artystów na Montmartre. Gdyby nie oni, nie byłoby w ogóle Montmartre. To oni tworzyli to miejsce, oni nadawali mu klimat artystycznej bohemy sprzed stu lat. Po tym samym bruku stąpali najwięksi artyści fin de siecle'u, prekursorzy impresjonizmu, twórcy pierwszego plakatu.

Place du Tertre to miejsce, gdzie ponad zapachami fantastycznej francuskiej kuchni unosi się w powietrzu aura geniuszu wielu najwspanialszych artystów świata.

Zupełnie zapomniałam o Ewce. Wcale nie spieszyło mi się do domu. Snułam się pomiędzy turystami, zachowując anonimowość i obserwując życie placu. Zazdrościłam innym malarzom dziewiczych płócien, na których pojawiały się pierwsze szkice. Jak wiele bym dała, aby znowu móc to robić! Cholera, robiłabym to nawet za darmo, byleby tylko nie mieć do czynienia z policją!

No właśnie. Nasze fliki pewnie nie były dziś zbyt wyspane. Trochę mnie ta myśl rozbawiła. Odbili Ewkę, a nawet nie mają pojęcia, że tak naprawdę ona tego nie chciała. Zastanawiałam się, co im powiem, kiedy się spotkamy w sobotni wieczór.

Na placu zaczynało się normalne popołudnie pełne wrzawy, przemarszu turystów i zmieniających się menu w okolicznych knajpkach. Dzień był upalny, zapachy zawisły nad placem jak nad wielkim stołem pełnym głodnych ludzi. Wszyscy jedli, głośno gadali, bawili się i robili zdjęcia.

Postanowiłam wrócić do domu, do Ewki. Już nigdy nie będę częścią tej społeczności. Nie wyjdę na plac z blokiem rysunkowym i nigdy nie narysuję żadnego portretu. Trzeba wracać do smutnej rzeczywistości. Ewce zrobić lewatywę mózgu, aby przestała śnić, że jest muzułmańską księżniczką, odnowić pracę w Sheratonie, bo w kieszeni brakuje już franków.

Byłam u wylotu placu, kiedy nagle w tłumie zobaczyłam Marca. Nie sposób było go nie zauważyć. Królował nad grupką turystów otaczających go jak bóstwo. Śmiał się. Wyglądał pięknie. To akurat potrafił. Przystanąłam, aby przyjrzeć mu się z daleka. Zabierał się właśnie do portretowania młodej dziewczyny. Śmiała się i chyba z nim flirtowała. Jak wszystkie. Marco gestykulował, pokazywał jej, jak ma usiąść do portretu, a potem jego oczy się zwięzły i zaczął rysować. Wyciągał ołówek i mrużył oko, aby odwzorować proporcje. A panienska, zamiast siedzieć i pozować, uśmiechała się do niego, jakby już miała ochotę rodzić jego dzieci! O rany! I ja się dałam zwieść temu facetowi? Jak mogłam być taka głupia?

Ale moje serce, jakby mnie zupełnie nie słuchało, waliło niczym oszalałe. Marco. Boże, tak długo go nie widziałam! Już myślałam, że wyjechał albo że mi się przyśnił. A on tu

jest, prawdziwy, piękny, z tą swoją czerwoną apaszką na szyi, z rozwianymi włosami i długimi palcami umazanymi węglem.

Stałam wpatrzona w niego jak w obrazek. Idiotka. Jedna z wielu podobnych idiotek. Odwróciłam się i przeciskając się w tłumie, szukałam najkrótszej drogi do ucieczki. I wtedy usłyszałam jego głos.

- Aga! Zaczekaj!

Udawałam, że nie słyszę, pędząc po koślawym bruku w stronę bocznych schodków. Akurat ten szczegół paryskiej metropolii bardzo przypominał mi starówkę mojego rodzinnego miasta. Bruk na Place du Tertre był podobnie uroczo nierówny. No i stało się! Potknęłam się o koślawą powierzchnię i gdyby mnie przypadkowy turysta nie złapał w locie, pewnie czekałoby mnie zwiedzanie Hotel - - Dieu, szpitala o niezbyt zachęcającej nazwie. Albo podróż na koszt rodziny do kraju w blaszanej trumnie.

Wpadłam na tęgiego gościa w hawajskiej koszuli, którego masa sprawiła, że wylądowałam miękko na jego brzuchu. W dodatku dostarczyłam mu sporo radości, kiedy mnie łapał za tyłek i sadzał na kamiennym stopniu schodków tuż obok pięknej latarni z kutego żelaza w stylu secesyjnym. Gdyby grubasa w tym momencie zabrakło, walnęłabym głową w latarnię.

- Are you okay? - pytał, trzymając mnie mocno. Chyba troszkę za mocno.

- I'm fine... - wydusiłam, usiłując się wyzwolić z tej ogromnej góry spoconego ciała. Taki grubas po wejściu na Montmartre musiał chyba wypocić ze trzy litry wody. - I'm very sorry - dodałam tytułem przeprosin i zanim nasza konwersacja rozwinęła się w bliższą znajomość, nade mną stał już Marco. Dyszał ciężko po biegu na przełaj, ale jego twarz była dziwnie poważna.

- Nic ci nie jest? - spytał, dotykając mojego ramienia. Czy oni wszyscy znają tylko to jedno zdanie?

- Nic. Potknęłam się i już. Zdarza się. Macie tu cholernie nierówne chodniki!

Jakby to Marco je układał. Wstałam i jeszcze raz podziękowałam grubasowi za uratowane życie. Oddalił się niechętnie, cały czas podejrzliwie taksując Marca wzrokiem. Może przydałby mi się w Paryżu taki ochroniarz? Albo raczej Ewce! Nie, nie... Wolałabym bardziej przystojnego, jeśli już.

Ale za późno było na ucieczkę przed Markiem. Wstałam z jego pomocą i sprawdziłam, czy na pewno nic nie połamalam. Wyglądało na to, że nic, tylko moje dzinsy wymagały prania. W tamtym momencie nie byłam pewna, czy grubas, który mnie zatrzymał i pozwolił, aby mnie Marco dogonił, był dobrym, czy złym zrządzeniem losu. Czasami los robi swoje, i tyle. A my nie mamy nic do powiedzenia.

Marco zaciągnął mnie na pobliską ławkę przynależącą do romantycznej knajpki ukrytej pod ogromnymi kasztanowcami. Na Montmartre prawie każda ławka należała do jakiejś knajpki. Te nieliczne nienależące do nikogo ławeczki były na ogół zajęte przez kloszardów. Przypomniałam sobie, że dawno nie widziałam Napoleona.

Niedaleko stąd zwierzał się nam ze swoich smutków, a potem zniknął. Upłynęły już może dwa tygodnie od tej chwili, kiedy opowiedział nam o tragicznej śmierci swojej żony. Gdzie on się podziewa? I w tym momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo mi brakuje jego obecności. Dziwne. Siedział przy mnie najprzystojniejszy artysta Montmartre, wysoki, piękny brunet z długimi włosami, facet, w którym się zakochałam na sam jego widok, mężczyzna, z którym poszłam podziwiać uroki francuskiego douche, facet, któremu zaufałam i nie rozumiałam, dlaczego mnie odtrącił, ale mimo wszystko przecież nie zrobił mi żadnej krzywdy. A teraz

siedział obok mnie na ławce, zbywając natrętnego kelnera krótkim: un moment, a ja zamiast napawać się tą chwilą upragnionego szczęścia, wspominałam obdartego kloszarda o ksywie Napoleon!

Doszłam do wniosku, że jestem nienormalna albo że łądowanie na brzuchu tego tłuściocha odzianego w hawajskie kwiatki pomieszało mi w głowie.

Marco trzymał mnie za rękę, jakby chciał zapobiec mojej kolejnej ucieczce. Drugą ręką troskliwie poprawiał mi rozwiane włosy i czapkę, z którą się nie rozstawałam,

- Czy wiesz, jak o tobie mówią na Montmartre? - spytał ciepłym głosem.

- A mówią?

- No jasne. O tobie i twojej przyjaciółce.

Wzięłam głęboki oddech. Ciekawe. Jeśli o nas krąży tu jakaś fama, to pewnie o naszym aresztowaniu przez dwóch młodych flików. Nie zdążyłyśmy zabłysnąć jako wspaniałe portrecistki. Nie dali nam na to szansy.

- Pewnie śmieją się, że nas fliki przyłapały - stwierdzam z przekonaniem.

- Nie! No coś ty! - zaśmiał się Marco. - Choć o tym też gadają. - A jednak. I nie „też”, ale „przede wszystkim”. Opowieść o dwóch Polkach przyłapanych na pracy bez zezwolenia musiała się roznieść po placu jak świeżutkie bagietki.

- Też? - spytałam, udając naiwną. - A niby co jeszcze?

- Macie tu swoje ksywy. - Ksywy?

- Tak. A ksywy mają tylko ci, którzy zostają zauważeni. - Marco zrobił tajemniczą minę.

- Trudno było nie zauważyć, jak nas odwożą na posterunek - stwierdziłam z sarkazmem.

- Nie, Aguś - dlaczego on mówi do mnie w ten sposób - nie. Nie o to chodzi. Wszyscy na placu mówią o was: „te dwie

piękne dziewczyny we wspaniałych kaszkietach". I wszyscy wiedzą, o kogo chodzi.

Omam się nie uśmiechnęłam. Wspaniałe kaszkiety? W sumie prawda. Nasze kaszkiety były właśnie takie. Sama je uszyłam ze starych dzinsów jakiś miesiąc przed wyjazdem do Paryża. Najpierw uszyłam dla siebie, potem dla Ewki. Wtedy takie czapki jeszcze nie były na topie, to ja je wymyśliłam. Gdzieś znalazłam wykrój, chyba w „Burdzie”, bo to było jedyne dostępne, choć tylko w Peweksie, czasopismo o prawdziwej modzie w naszej komunistycznej rzeczywistości. Kiedyś kupiłam „Burdę”, a tam były zawsze wykroje. Znalazłam wykrój na czapkę z kilku klinów i daszka. Całość zwieńczona była guziczkiem, który w moim przypadku był obciążoną materiałem dzinsowym polską... złotówką. A inność mojego pomysłu od tego z „Burdy” polegała na tym, że każdy klin był z innego kawałka starych, wytartych spodni. W efekcie cały ten melanz sprawił, że mój kaszkiet wyglądał na wyjątkowy.

Kiedy Ewka zobaczyła to dzieło, natychmiast zamówiła takie coś dla siebie. Uszyłam więc drugi unikatowy egzemplarz, także ze złotówką wszytą jako guziczek na samym czubku kaszkietu. I te czapki sprawiły, że wyróżnialiśmy się w tłumie w Paryżu. Ale żeby aż tak?

- Naprawdę tak nas nazywają? - spytałam Marca.

- Naprawdę. I powiem ci, że chyba wylansowałyście nową modę.

- Bardzo zabawne! Wylansowałyśmy nową modę w Paryżu!

Czy on sobie ze mnie kpił, czy co? Jeśli ktoś miałby lansować nowe trendy w stolicy europejskiej mody, to raczej nie ja z Ewką.

- To zobacz sobie ostatni numer „Vogue'a”.

- Co?

- „Vogue'a". Taki magazyn. Bardzo zna...
- Wiem, co to „Vogue". Ale nie wmawiaj mi, że...
- No to zobacz. Modelka na okładce sierpniowego numeru ma na głowie identyczną czapkę jak twoja.

Jak to, identyczną? Moja jest przecież jedyna, unikatowa.

- Ale to chyba... to jakiś...

- Aga, ja tylko mówię, co widziałem, a raczej co mi pokazał mój znajomy, gość, który siedzi w tej branży. Projektuje ciuchy i ogląda wszystko jak leci. Pokazał mi numer z tą okładką i aż mnie uderzyło, jak bardzo mi to przypomniało ciebie. Poważnie. Myślę, że kogoś musiałyście zainspirować.

Hmmm. Zainspirować.

Kogoś.

W Paryżu!

Super! Zaraz pobiegnę do jakiegoś prawnika i wytoczę pismu „Vogue" proces o naruszenie praw autorskich! Poczulałam jednak coś innego niż chęć dochodzenia, czy faktycznie nasze kaszkiety mogły być natchnieniem dla paryskich projektantów mody. Byłam zwyczajnie zadowolona, że coś wymyśliłam przed nimi. I to mi schlebiało. I wystarczało. Na razie.

Nawet nie zauważyłam, kiedy na stole pojawił się kolorowy lunch. Marco za bardzo się przejął.

- Muszę iść - przypomniałam sobie o Ewce pozostawionej w domu, Ewce, która być może już się wymknęła.

- Nie, proszę... Zostań. Jeszcze nie powiedziałem ci tego, co chcę powie...

- Marco. Dzięki za troskę, ale muszę już iść. O rany! - Spojrzałam na zegarek. - Muszę pędzić!

- I znowu się wyłożysz na tym bruku. Odprowadzę cię.

- Nie trzeba.

- Odprowadzę cię do domu. I obiecuję mi kolację dziś wieczorem.

- A jeśli nie mam ochoty? - Mogłam zamiast tego wymyślić, że jestem już umówiona. Ale mnie zawsze dobre pomysły przychodziły po czasie.

- Aga... Proszę! Muszę ci coś ważnego powiedzieć. Chcę pogadać. Tamto nasze...

- Nie musisz mi nic wyjaśniać. Ty masz swoje życie, ja swoje.

- Nie rozumiesz...

- Rozumiem.

- Nie dajesz mi szansy, aby...

- Zgoda. Pogadamy na spokojnie. Ale teraz naprawdę muszę pędzić.

Wyrwałam się z rąk Marca i znowu popędziłam przed siebie jak szalona.

Usłyszałam wołanie: gdzie i kiedy? Krzyknęłam, że o ósmej w Le Buffet, i zniknęłam w tłumie kolejnej turystycznej szarańczy wspinającej się na Montmartre. Nie miałam pewności, czy dosłyszał.

Zamiast Ewki zastałam w domu krótki tekst nabazgrany na kawałku opakowania po bagietce:

Nie szukaj mnie, nie wzywaj policji, wróć w najgorszym razie jutro.

E.

Tego się właśnie obawiałam! Ewka się ulotniła. Znowu! Opadłam na krzesło przy kuchennym stoliku pokrytym resztkami jedzenia i zastanawiałam się, co powinnam zrobić z tą wiadomością. Nie wyobrażałam sobie, żeby znowu dzwonić do Alaina i Vincenta. Chyba by mnie wyśmiali. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że Ewka ma dość oleju w głowie i nie da się zwieść pięknym opowieściom Ammana o swojej cudownej przyszłości jako jego żony. A jeśli się naprawdę w nim zabijała? Takiej ewentualności nie brałam pod uwagę.

Ale nie zaszkodzi pogadać z Nicole. Na pewno już odespała zarwaną noc.

Opuściłam ponownie nasze mieszkanie i poszłam na skróty do Nicole. Zadzwoiłam i po chwili odezwała się znudzona konsjerżka.

- Ja do panienki Nicole spod siódemki - oznajmiłam. Magnetyczny zamek w drzwiach zabrzączał. W taki sposób może wejść każdy, kto chce, pomyślałam. Pobiegłam na czwarte piętro i zadzwoniłam do drzwi. Troszkę trwało, zanim uchylila je jej matka.

Sabine wyglądała, jakby dopiero wstała z łóżka. Kręcone włosy otulały ją jak rude chmury. Była ubrana w japońską podomkę w deseń z kolorowych motyli. Na twarzy miała wypisane słowo: spadaj. Chyba przyszłam nie w porę.

- Czy zastałam Nicole? - spytałam najgrzeczniej jak umiałam.

- Jeszcze śpi - oznajmiła krótko. - A...

- Wczoraj zarwała noc, ganiając za twoją przyjaciółką. Poraniła sobie stopy.

- Wiem... I przykro mi, ale...

- Nie mam sumienia jej budzić.

- Rozumiem, ale... czy może jej pani przekazać, że byłam?

- Powiem jej. - I zamknęła mi drzwi przed nosem. Nie była tak przyjazna jak podczas kolacji, na którą zaprosił nas Marian. W ogóle nie była miła. Kiedy zamykała drzwi, usłyszałam jeszcze jakiś męski głos, ale chyba nie był to głos Mariana.

Była czwarta po południu. Sabine ubrana w szlafrok, Nicole jeszcze spała? A gdzie był Marian? Może już wycinał profile na placu? Poczułam się samotna i zdezorientowana. Wszyscy mieli własne życie, swoje tajemnice, zamknięte drzwi. Nawet Ewka. W tej chwili ucieszyłabym się na widok Migulek. Ale nie było nikogo, z kim mogłabym pogadać. W dodatku już drugi dzień zawaliłyśmy pracę w Sheratonie. Szłam, kierując się w stronę domu, jednak zupełnie nie wiedziałam, co dalej. Przypomniałam sobie, że umówiłam się z Markiem. O ósmej w Le Buffet.

Ale co mam robić do tego czasu? Ewki szukać nie będę, niech tym razem sama się znajdzie. Trudno. Nie mogę wołać flików przy każdej jej randce! Bo powoli do mnie docierało, że Ewka ma własne priorytety. Jeśli ten Amman naprawdę tak ją zauroczył, wszelkie próby zmiany tego stanu rzeczy były z góry skazane na porażkę.

Postanowiłam przejść się po okolicznych uliczkach, nie myśląc o tym wszystkim. Do spotkania z Markiem miałam jeszcze mnóstwo czasu. Poszłam w dół Montmartre, oddalając się od domu. W mijanej trafice zobaczyłam na wystawie najnowszy numer "Vogue'a". Boże! Marco wcale nie zmyślał! Na okładce była moja czapka! Weszłam do sklepiku i kupiłam

ten numer, po czym poszukałam najbliższej ławki, aby spokojnie go przejrzeć. No i znalazłam sesję zdjęciową promującą nowe nakrycie głowy. Piękna modelka prezentowała je w różnych pozach i ubiorach, a na koniec nawet całkiem bez ubioru. Zmysłowy kaszkiet cudownie podkreślał urodę dziewczyny. Co prawda prezentowała ona także i inne nowości z dziedziny haute couture, ale nie ulegało wątpliwości, że właśnie ta czapka stanowiła najważniejszy element całej sesji. A wszystko na tle zanurzonego w mroku Paryża, światełek statków na Sekwanie i Pont des Arts, jedyne drewnianego mostu na tej rzece. Coś we mnie protestowało, coś się burzyło.

Nagle zrobiłam się wściekła i głodna. Po raz pierwszy w Paryżu weszłam do restauracji sama. Na lewym brzegu Sekwany znalazłam mały, przytulny kącik pod oknem. Udawałam, że jestem bizneswoman przeglądającą właśnie najnowszy numer czasopisma, w którym pracuję. Kelner chyba w to nie uwierzył; oni mają jakiś szczególny dar rozpoznawania ludzi, ale przyniósł mi całkiem dobrą kawę i sałatkę firmową. Miałam wielką ochotę na kieliszek bor - deaux, ale postanowiłam z tym poczekać do wieczora.

W Le Buffet wrzało jak zawsze. Przedtem zdążyłam jeszcze zająć do domu, wziąć prysznic i ubrać się w świeże ciuchy, co nie znaczy, że na topie według magazynu „Vogue”.

Poprawiłam makijaż i delikatnie spryskałam się Poison Diara, jedynym ekstrawaganckim zakupem, na jaki sobie pozwoliłam w Paryżu. Kiedyś wpadłyśmy z Ewką do perfumerii i jakoś dorwałam ten flakonik instynktownie. Wąchałyśmy milion próbek i ta jedna wpadła mi w nozdrza. Wydałam na nią całą dniówkę z Sheratona, ale co tam! Teraz czułam na sobie zapach Diara, ubrana w dzinsy kupione w polskim Peweksie za ciężko zdobyte dolary. Jeśli mój strój

odbiegał od paryskich standardów, to zapach chyba był na miejscu.

A skoro już mowa o zapachach, to przypomniała mi się scenka z naszej rodzimej, peerelowskiej rzeczywistości, jak podszedł mężczyzna do kiosku „Ruch” i spytał: „Być może jest Być Może?”. Na co ekspedientka odpowiedziała; „Być może”. Innym razem ten sam gość spytał sprzedawcę w innym kiosku: „Czy ma pan «Kobietę i Życie»?”, a kioskarz odparł smutno: „Kobietę to ja mam, ale życia z nią nie!”.

Poczucia humoru nie przydzielano Polakom na kartki. Ale na szczęście tego „towaru” nigdy nam nie brakowało.

Teraz jednak, nie ukrywam, cieszyłam się, że pachnę Poison, a nie Być Może albo jakąś inną Przemysławką.

Oczywiście przyszedłam przed czasem, bo mam wrodzoną wadę, która sprawia, że wolę się nie spóźniać. Zawsze mnie to stawiało na z góry przegranej pozycji, bo wiadomo, że ten, kto się spóźnia, jest górą. Ale aż tak bardzo mi nie zależało. Jeśli Marco w ogóle przyjdzie, to i tak mu powiem, że nie jestem zainteresowana dalszym rozwojem naszej znajomości. Nie wyobrażałam sobie, że mogłaby się przerodzić w coś poważniejszego. Marco najwyraźniej lubił sobie poplirtować, a ja nie miałam ochoty konkurować z całym tabunem jego pańienek. Czekały nas z Ewką ciężkie czasy, trzeba było się poważnie zabrać do pracy, a wszelkie uciechy odstawić na bok. Tak sobie przyrzekłam i postanowiłam się tego trzymać. Przez chwilę nawet pomyślałam, że byłoby dobrze, gdyby Marco nawalił. Sytuacja zrobiłaby się wtedy jasna, utwierdziłabym się w przekonaniu, że moja decyzja jest jedyna i właściwa.

Popijałam firmowe wino, mimo woli zerkając na drzwi wejściowe. Dochodziła ósma. Nie przyjdzie, byłam już prawie pewna.

Wszedł punktualnie i nagle wszystkie damskie oczy obecne w Le Buffet odwróciły się w jego stronę.

Miał na sobie czarne spodnie, czarną marynarkę z lnu z podwiniętymi rękawami i białą koszulę. W sumie nieważne, co miał na sobie. Bo sam był tak olśniewająco pięknym mężczyzną, że ta cała otoczka nie miała znaczenia. Zawsze bałam się takich okazji męskiej urody. Facet powinien mieć jakieś wady, cokolwiek, co czyniło go realnym. Marco wyglądał jak model z reklamy i dlatego uważałam go za produkt podejrzany.

- Hej, Aguś, witaj. - Ucałował mnie w policzek ku wyraźnemu niezadowoleniu kilku pań siedzących samotnie przy barze.

- Hej - odpowiedziałam. Na nic więcej nie mogłam się zdobyć. Moje serce znowu podpowiadało mi: nic na to nie poradzisz. Bije mocniej, jak go widzę, i już.

- Co pijesz?

- Wino firmowe.

- Może przesiądziemy się do stolika? Pokazał mi wolny stolik w kąci przy oknie.

- Czemu nie? Chodźmy.

Wzięłam swój kieliszek i przeszliśmy do małego stolika w ustronnym miejscu. Kelner natychmiast podsunął nam pod nos menu.

Wybraliśmy szaszłyki jagnięce zadziwiająco szybko i jednomyślnie. I karafkę wina firmowego. Bez karafki wina w Paryżu w ogóle nic nie da się zamówić.

Tego dnia nie miałam na sobie kaszkietu. Włosy spływały mi na ramiona luźno, niczym nieujarzmione. Czapkę zostawiłam w domu na znak protestu. Tylko przeciwko czemu?

- Bez kaszkietu też jesteś piękna - powiedział Marco głosem ciepłym i zmysłowym. Gdybym bardziej wierzyła w siebie samą, pewnie bym się tylko uśmiechnęła.

A ja się nadaśalam, zjeżyłam i niepotrzebnie palnęłam:

- Trudno się spierać z takim znawcą jak ty. Marco spojrzał na mnie lekko urażony.

- Czy być znawcą piękna to coś straszego? - spytał. Hmmm. Właściwie nie.

- W twoim przypadku tak - powiedziałam wbrew sobie.

Uśmiechnął się i rozejrzał się po sali. Zauważyłam, że śledzą go oczy młodych, atrakcyjnych kobiet, okupujących sąsiedni stół. Taki facet to tragedia! Nie da się z nim posiedzieć normalnie, bez efektów ubocznych.

- Aguś - nienawidziłam, kiedy się tak do mnie zwracał - ty masz chyba jakieś kompleksy. Jesteś piękną dziewczyną, i mądrą, a zachowujesz się...

- Jak? - Byłam gotowa do walki na słowa. Choć, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, dlaczego byłam taka zadziorna.

- Czy nie zauważyłaś jeszcze, że mi się podobasz? Że każdą wolną chwilę chcę spędzać właśnie z tobą?

Jedna z młodych kobiet przy sąsiednim stole coś szeptała drugiej do ucha. Obmawiały nas. Marco czekał na moją reakcję. Czy to kolejna jego zagrywka? Bajerowanie płci przeciwnej taki facet ma zakodowane w genach.

- Nie wiem... Marco... Ja...

Ujął moją dłoń. Ciepło rozeszło się po moim ciele.

- Aguś... Nic nie mów. Tak jest dobrze, prawda?

Jeśli kiedykolwiek znajdę się w tej knajpce bez Marca, zawsze już będę słyszała te słowa. I odtąd zawsze szaszłyki jagnięce będą powodowały szybsze bicie mojego serca. Bogu ducha winna jagnięcina od tego dnia będzie moim wspomnieniem wyjątkowej chwili.

Oczy Marca wlepione były w moje, dziewczyny przy sąsiednim stoliku przestały sobie z nas żartować. Nagle wszystkie moje kompleksy poszły w siną dal. A ja zostałam. Nawet nie śniłam o takiej przygodzie. Zapomniałam o Ewce, było mi wszystko jedno, gdzie się podziewa, zapomniałam o pracy pokojówki, o wielkich prześcieradłach i wiecznie niedoczyszczonych armaturach. Zapomniałam nawet o powrocie do kraju. Teraz był Marco i jego ciepłe dłonie, z których moje nie miały odwagi się wysunąć.

Nie dość, że w Paryżu, to jeszcze zakochana!

Było już prawie południe, a Ewki nadal nie było w domu. Trwałam jeszcze we śnie, ciepłko wielkiego łóżka we wnęce było niczym całun, który otulał moje zmysły. Zanim wstałam, zrobiłam bilans bieżących wydarzeń:

Nie pracujemy, a powinnyśmy.

Ewka się gdzieś szlaja i popełnia głupotę.

Trzeba wracać do pracy, zanim nam przepadnie ostatnia szansa.

Marco jest piękny i nierealny.

Ale chyba naprawdę mu na mnie zależy.

Przypomniałam sobie, jak mnie wczoraj odprowadził pod sam dom i obdarzył królewskim pocałunkiem. Delikatnym, dającym niedosyt pocałunkiem na dobranoc. I znowu usłyszałam jego stałe motto:

- Jakby co, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Po czym oddalił się i zniknął w ciemności zaułka, jak duch albo wymysł mojej fantazji. Czy Marco był kimś w rodzaju Zorro? Człowieka w czarnej masce, który pojawia się nagle, rozpala kobiecą duszę, po czym przepada w ciemnościach?

Wzięłam prysznic, umalowałam się, ubrałam w czyste ciuchy. Nastawiłam czajnik i zajrzałam do lodówki. Z zapasów zrobionych przez Nicole wiele już nie zostało. Trzeba iść po zakupy. Tylko gdzie jest Ewka? Już nie o to chodzi, że była jej kolej pójścia po bagietkę. Całe nasze wystudiowane paryskie życie uległo jakiejś nieprzewidzianej erupcji!

I kiedy zaczęłam się poważnie martwić, usłyszałam skrzypienie wejściowych drzwi.

Weszła do kuchni i usiadła przy stole. Nie muszę dodawać, że bez sękatej bagietki. Wyglądała trochę blado.

Nalała sobie kawy do kubka, chwilę się rozglądała w poszukiwaniu czegoś, co powinno być na stole.

- Nie ma świeżej bagietki - powiedziałam.

- Widzę. A to moja czy twoja kolej dziś?

- Twoja.

- A, to sorry.

Patrzyłam, jak szuka czegoś w lodówce, potem siada ponownie i rozkłada ręce w geście poddania. A po chwili zaczyna... płakać.

- Ewka! - Nie wytrzymałam.

A ona wstaje i kładzie mi ręce na szyję. Obejmuję ją mocno. Przez chwilę trwamy tak w przyjacielskim uścisku. W końcu wyznaje:

- Pieprzyć muzułmanów! To jacyś popaprańcy! - Oddycham z ulgą.

Odsuwam przyjaciółkę od siebie i szukam serwetki. Aż żal na nią patrzeć.

- No dobra. Bo już się martwiłam, że kompletnie sfiksowałam. Ale skoro zaczynasz mówić do rzeczy, to mi teraz opowiedz wszystko po kolei.

Ewka wyciera nos.

- Bo to... - Bierze kolejną serwetkę i dalej wyciera. Nie popędzam jej. Niech sama opowie, bez nacisku.

- Jak mnie wtedy wsadzili do auta, to byłam naprawdę przestraszona...

Pauza. Smarkanie.

- Ale potem Amman był taki miły i... zabawny! Tak, nie wiesz, on jest w sumie bardzo wesoły i zabawny. I ta kolacja! Czuję się jak księżniczka. A potem wy wszystko popsuliście. Więc postanowiłam jakoś to naprawić i wczoraj spotkałam się z Ammanem...

- Poszłaś do niego? - Nie mogłam w to uwierzyć. Przecież ryzykowałam, że ją znowu porwie!

- Uhm... Poszłam.

Moja przyjaciółka zakochała się w muzułmaninie! Odbiło jej! To już lepszą partią był dla niej ten młody Walińczyk, co za nią łąził po placu, jak jeszcze rysowałyśmy portrety. Tamten proponował jej wyjazd do Walii, a nie do jakiejś tureckiej prowincji, gdzie kobiety trzyma się pod kluczem i traktuje jak inwentarz.

- I co się stało? - Nie wytrzymałam. Musiałam zadać to pytanie wprost.

- Myślałam, że będzie tylko on, a była tam prawie cała jego rodzinka. I nagle wszyscy zaczęli mnie wyzywać. Że niby ich zdradziłam, że jestem niegodna ich zaufania i ktoś taki nie ma prawa zostać żoną Ammana. Na to odezwał się Amman, że przecież już jestem jego żoną. No to oprzytomniałam i zaprzeczyłam. Powiedziałam, że Amman mi się tylko podoba, ale nie jestem niczyją żoną. No to Amman się wściekł i zaczął mi ubliżać. I jeszcze Kemal i ich matka! Wszyscy darli się na mnie, jakbym im wyrządziła jakąś krzywdę! Zrobiła się taka wrzawa jak na targowisku! Stałam pomiędzy całą tą porąbaną rodzinką i zastanawiałam się, co ja tam robię? Korzystając z zamieszania, wymknęłam się z tego domu i uciekłam jak najdalej stamtąd...

- I to ma być wszystko? - spytałam podejrzliwie.

- Wszystko.

- A to było wczoraj?

- No tak, a co?

- To w takim razie gdzie spędziłaś noc?

- A... noc?

- Ewka, bo zaraz się naprawdę zdenerwuję! Dlaczego nie mówisz mi wszystkiego?

- No dobra... Jak wybiegłam od Ammana, to poszłam na plac. Szukałam ciebie, ale ciebie nie było. I nagle wpadłam na Vincenta. Miał akurat patrol w naszej dzielnicy. Tak się

ucieszył na mój widok, że zaproponował, abym zaczekała, aż zastąpi go zmiennik. No to czekałam, jakoś już wcale nie byłam na niego zła za to wtargnięcie do domu tego oszołoma. Przesiedziałam dwie godzinki w knajpce, a potem poszłam z Vincentem do innej knajpki, gdzie była fajna muzyka i, no wiesz... Ogólnie, fajna atmosfera. Opowiedziałam Vincentowi ciąg dalszy mojej muzułmańskiej przygody. I wiesz co?

- Nie - odparłam ciekawa, jak też nasz przyjaciel flik mógł na to zareagować.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak się uśmieł z cudzego nieszczęścia!

- Śmiał się?

- Śmiał, to mało powiedziane. Rechotał tak, że wszyscy mu się przyglądali.

Prawdę mówiąc, ja też miałam ochotę w tym momencie zacząć rechotać. I nie tyle z głupoty Ewki, ale z całej tej, z góry skazanej na niepowodzenie, historii pozyskania mojej przyjaciółki przez zaborczą muzułmańską rodzinę.

- Nie było ci przykro?

- Dlaczego?

- No, że się z tego zaśmiewał?

- Nie, bo jak tylko przeszedł mu ten atak śmiechu, to mnie przytulił i wyjaśnił, że ta radość wzięła się stąd, że dzięki Ammanowi ma mnie teraz tak blisko. A potem...

Byłam ciekawa tego: potem, ale czekałam na ciąg dalszy opowieści Ewki. Kawa już wystygła, śniadania nadal nie było na stole, ale nic nie było teraz ważniejsze niż to, co zdarzyło się potem.

- Potem mnie zabrał na długi spacer wzdłuż lewego brzegu Sekwany, robiło się już jasno i było cudownie romantycznie, ale mnie tak nogi bolały, że nie miałam siły iść dalej, więc...

Czyżby zaprosił ją do siebie?

- Więc zaprosił mnie do siebie.

A jednak! Nie mogłam uwierzyć, że Ewka tak rozrywkowo spędziła tę noc, podczas kiedy ja samotnie wierciłam się w naszym wielkim łóżu we wnące, rozpamiętując jeden malutki pocałunek Marca.

- No, no... I jak było? - spytałam. W końcu najlepsza przyjaciółka ma prawo wiedzieć.

- Nic nie było, jeśli... No wiesz, nie w tym sensie. Aga! Co ty mi tu insynuujesz! Vincent spał na kanapie, a ja w jego sypialni. A rano zrobił mi kawę, kanapkę i odprowadził do metra. Ale umówiliśmy się.

- Na kiedy?

- Na sobotę. Nie pamiętasz? Zdaje się, że zdecydowałyście o tym z Nicole i Alainem, jak mnie... odbijaliście z rąk tych...

- O rany! Zupełnie zapomniałam!

- A on nie. - I nagle obie zaczęłyśmy się śmiać z tego, jak bardzo zamieszałyśmy w życiu innych ludzi. Przecież w sumie to była jakaś farsa! Ale spotkania z Nicole i flikami nie odpuścimy. Może być zabawnie.

Ewka, ja i nasz śmiech! Miło było znowu poczuć się normalnie. Byłyśmy całe i zdrowe, jeszcze trzy tygodnie mogłyśmy dzięki interwencji kochanego pana konsula bawić się w tym mieście pełnym niespodzianek.

- To może coś przekąsimy? - spytała Ewka, jak już trochę ochłonełyśmy.

- Jasne, umieram z głodu.

- To wyskoczę na róg po bagietkę i zaraz wracam! - krzyknęła Ewka i już jej nie było. Nie zdążyłam powiedzieć, żeby przez przypadek nie szukała znowu Ammana, ale chyba już zmądrzała? A może nie? Miałam nadzieję, że jednak tak.

Wróciła po pięciu minutach bez bagietki.

- Nie było już bagietek? - spytałam zdziwiona, bo bagietki były zawsze w tej naszej boulangerie.

- Były. Ale... W moim portfelu echo...

Rany boskie! W moim też!

Nic tak bardzo nie sprowadza z obłoków na ziemię jak brak kasy. Bawiłyśmy się obie przez ostatnie dni, zapominając o zarabianiu. I co teraz?

- Jutro rano stawiamy się w hotelu przed ósmą.

- Myślisz, że Isabelle nas znowu przyjmie? - spytała zatroskana Ewka.

- Mam nadzieję, bo jeśli nie, to pozostaje nam woda z paryskiej fontanny i przyłączenie się do Napoleona i jego koleśków.

- Jestem głodna! - wrzasnęła Ewka teatralnym głosem. Na razie teatralnym. Gorzej, jak jutro będzie musiała tę kwestię powtórzyć. Wtedy zabrzmiał już mniej teatralnie...

W lodówce były jeszcze dwie puszki z pasztetem i jedna z piklami. I trochę pomidorów, które już się nie nadawały do jedzenia. Pilnie potrzebowałyśmy kogoś, kto by nam zafundował kolację.

I wtedy mnie olśniło. Zajrzałam do mojej dzinsowej torebki, uszytej, podobnie, jak kaszkiety, ze starych spodni, i wydobyłam z kieszonki pogniecioną wizytówkę.

- Oto jest nasza kolacja! - krzyknęłam.

- Ta mała karteczka? - Ewka nadal nie kumała.

- Nie karteczka, lecz: wizytówka. Nie pamiętasz, kto nas zapraszał na kolację, jak tylko zechcemy go swoją obecnością zaszczyścić?

- Emil! - Ewka najwyraźniej odzyskała pamięć. Miała powody, aby spotkanie z tym człowiekiem wyprzeć z pamięci, przecież po tych ślimakach, których wchłonęła dwie porcje, omal nie pojechała do szpitala.

- Bingo.

- Byle tylko nie ślimaki... Choć były takie pyszne! W tej chwili zjadłabym nawet...

- Cicho. Żadnych ślimaków ani żab. Musimy się z nim umówić na kolację. A to wiąże się z pójściem do budki telefonicznej. Ta darmowa już nie jest darmowa, więc mamy chociaż na telefon?

- Skoro nie mamy nawet na bagietkę...

- Moment, sprawdzę kieszenie.

Ale w moich kieszeniach nic nie znalazłam. Ewka zaczęła przetrząsać własne i... znalazła kilka franków!

I tu muszę wspomnieć o Ewki straszliwym bałaganiarstwie. Nigdy nie pamiętała, gdzie co ma, nie zajmowała się porządkowaniem niczego, bo szkoda na to czasu. Dzięki temu często, zupełnie niechcący, znajdowała coś fajnego, na przykład dodatkową kasę w całkiem dziwnym miejscu. Ja nie miałam takiej możliwości, bo zawsze pieniądze wkładałam do portfela. W kieszeniach moich dzinsów były co najwyżej chusteczki do nosa.

W tamtej chwili wrodzone bałaganiarstwo Ewki uratowało nas od totalnej ruiny.

Wędrując do najbliższej budki telefonicznej, obmyślałyśmy, co powiemy Emilowi, żeby, po pierwsze: nas sobie przypomniał, po drugie: zatęsknił za naszym towarzystwem, po trzecie: zaproponował nam kolację, i po czwarte: tego samego dnia, bo jutro to już nie będziemy mieć siły na tę kolację dotrzeć.

Budkę okupowały dwie małolaty. Gadały i gadały, a nam coraz bardziej burczało w brzuchach. Kiedy dałam im znak, żeby powoli skończyły głędzenie, ta chudsza pokazała nam niezbyt cenzuralny gest palcem. Rozbrykane dziewczuchy!

W końcu wyszły, podskakując radośnie w swych minispódniczkach i mierzając nas głupawym spojrzeniem.

No to która z nas podejmie się tej misji? Odtąd zaczęłyśmy nazywać nasze misje. Ta będzie się nazywała: misja kolacja. Co jak co, ale jeszcze pozostały nam spore pokłady humoru, pomimo głodu.

Losowałyśmy zapalki i padło na Ewkę. Wepchnęłam ją do budki, a pod nos podsunęłam jej wizytówkę Emila.

Na odwrocie, zapisany kursywą w lewo, widniał jego domowy numer telefonu. Nigdy nie ufałam ludziom, którzy piszą w lewo. Ale przecież też nigdy nikt taki nie zapraszał mnie na kolację.

Ewka wykręciła numer. Nikt nie odpowiadał.

- Zaraz. To numer domowy, prawda? - Spojrzałam na wizytówkę.

- No i nie ma go w domu. Koniec marzeń o dobrej kolacji. Amen. - Ewka już wychodziła z budki.

- Zaczekaj! Może jeszcze jest w pracy? Przecież jest dopiero pół do drugiej. Pewnie je lunch. Albo pracuje. Daj tę wizytówkę.

Na jej awersie był telefon służbowy.

- Zadzwoń na ten numer - poleciłam Ewce.

- Odbiło ci?

- Nie.

- A jeśli jest właśnie na jakiejś ważnej rozmowie? Przecież nie wiemy o tym facecie właściwie nic.

- Podobnie jak o muzułmanach. A też poszłyśmy do nich na kolację... - Ewka patrzyła na mnie wściekła za to porównanie.

- Okej, ale ty dzwoń. Ja się tego nie podejmuję.

- Zgoda. - Wzięłam do ręki słuchawkę i wykręciłam służbowy numer Emila.

- Ale jutro wracamy do Sheratona? - upewniłam się. Ewka skinęła głową.

- Allo? - usłyszałam jakiś damski głos. O rany, żona! Troszkę mnie to zbiło z pantałyku, ale nie poddałam się.

- Bonjour, czy mogę rozmawiać z panem Grasset? - Mój głos stał się jakby lekko urzędowy w brzmieniu; zawsze mogę być klientką czy kimś w tym rodzaju.

- Szef jest zajęty, ale jeśli to coś pilnego, to przekażę. - Aha, więc to nie żona, ale sekretarka. Usiłowałam sobie przypomnieć, kim jest Emil z zawodu i gdzie pracuje. Ale wszelkie wspomnienia przesłaniały mi zjedzone tamtego wieczoru żaby.

- Hmm... Owszem, sprawa jest dość pilna... - Nie wiem, skąd mi się wzięły te słowa, ale jak już raz się zacznie ściemniać, to nie można przestać. - Ale jeśli to wielki problem...

- Nie, skądże, zaraz przełączę do szefa... A kogo mam zaanonsować?

- Proszę powiedzieć, że dzwoni Agnieszka.

- Aneszka?

- Oui, Agnieszka.

- Już łączę. Proszę chwilkę poczekać.

Ewka miała oczy wielkie jak spodki UFO. Nie wierzyła, że to robimy. Ja też.

Za nami jakiś tęgi gość nie mógł się doczekać, aż skończymy rozmowę.

Popijał evian z butelki i ocierał pot z czoła.

- Emil Grasset. Słucham? - Rozpoznałam jego niski, tubalny głos. To był on. Facet, który nafaszerował nas żabami, ślimakami i królikiem. I dodał, że będzie mu bardzo miło nas zaprosić na kolację przy muzyce Chopina. No to nadeszła dla niego chwila prawdy. Zaraz się okaże, czy mówił wtedy serio.

- Bonjour, Emile. Mówi Agnieszka. - Kto?

- Aga. I jest ze mną Ewka. Dwie Polki w kaszkietach, kolacja, ślimaki... Pamięta nas pan?

- Aga? Ewka? Och, oui! Pamiętam! Comment ca vas? Tak długo czekałem, aż zadzwonicie! - Ewka podsłuchuje i widzę, że się uśmiecha.

- No to dzwoniemy... Bo mówił pan coś o spotkaniu, o muzyce Chopina i w ogóle...

- Och tak! Ja nie zapomniałem o was! Takie miłe dziewczyny. A macie ochotę na spotkanie?

- Tak, bardzo.

- To może jutro? Zrobię dobrą kolację i zaproszę jeszcze paru przyjaciół z Polski?

- Hmm... Jutro to już mamy inne plany... - Ewka kopie mnie w kostkę, omal jej nie oddaję z nawiązką. - A dziś?

- Dziś?

- Oui, bo dziś mamy wolny wieczór, ale jeśli pan nie może, to trudno...

- Nie, nie... Może być dziś. To cudowne, że o mnie pamiętałyście.

- Ale czy nie...

- Zapraszam na kolację dziś, okej? - I podaje adres w La Boulogne.

- Naprawdę? I nie sprawimy panu kłopotu?

- Tylko wielką przyjemność. I obiecuję, żadnych ślimaków ani żab! - A więc pamiętał.

- Przyjedziemy. I dziękujemy za zaproszenie.

- Zatem do zobaczenia wieczorem. - I się rozłączył.

- No to mamy kolację. A co dalej? - spytała Ewka rzeczowo, kiedy wyszłyśmy z budki. Była właśnie pora lunchu i zewsząd dochodziły smakowite zapachy. A my ostatnie drobne wydałyśmy na telefon do Emila, o którym nic nie wiedziałyśmy poza tym, że chyba nie należał do paryskiej klasy biedaków.

- Pojedziemy, zjemy, a jutro rano wrócimy do Sheratona. Widać los pokojówek jest nam pisany.

- Niiieee! - zawyła Ewka.

La Boulogne to dzielnica ciesząca się mieszaną sławą. A to powodu Lasku Bulońskiego, gdzie szerzyła się od dawna szara strefa prostytucji. Ale to niezupełnie prawda. Sama dzielnica bowiem była miejscem zamieszkania wielu bogatych i wpływowych mieszkańców Paryża. Lasek był nieco dalej i z nim nic nie łączyło tych mieszkańców. Dom, w którym mieszkał Emil Grasset, okazał się nowoczesnym apartamentowcem. Troszkę trwało, zanim po wyjściu z metra znalazłyśmy tę ulicę i dom. Nie pamiętam, abym w Polsce widziała tak efektowne bloki mieszkalne jak tu. Jak sobie porównałam te budynki z rodzimymi szarymi blokami, to po raz nie wiem który uznałam, że to chyba sen.

Nasze polskie blokowiska, budowane pod czujnym patronatem peerelowskich władz, były kompletnie pozbawione polotu i architektonicznego smaku. Mieszkanie moich rodziców, na które czekali latami i odkładali każdy grosz, miało aż trzy pokoje, ale co z tego, kiedy ten największy był pokojem przechodnim. Aby dojść do pozostałych dwóch pomieszczeń, trzeba było przejść przez ten pokój. Łazienka była tak mała, że zmieściła się w niej jedynie wanna długości jednego metra i umywalka. W kąpielni zawsze miałam kolana pod brodą, bo wyciągnąć się w takiej wannie nie dało. Okna zaprojektował jakiś architekt, który nie przewidział ich mycia. Były bowiem wszędzie. Na całej długości pomieszczeń, a także pod sufitem, nawet w kuchni nad szafkami! Nie można było umeblować mieszkania w racjonalny sposób, bo każdy mebel wchodził w światło okien. Być może ktoś, kto ten blok projektował, miał obsesję dużych okien? Może wychował się w ciemnej norze? Ale to nie powód, aby skazywać innych ludzi na tak niewygodne rozwiązania!

Do tego jeszcze wąska kuchnia, w której nie było miejsca nawet na mały stół. Między oknem a dużym pokojem była dziura w ścianie, takie niby nowatorskie rozwiązanie polegające na połączeniu kuchni z salonem. To nowatorskie rozwiązanie moja matka bardzo prędko zasłoniła wietnamską matą z bambusa, żeby choć trochę ograniczyć swobodne przedostawanie się zapachów z kuchni do salonu, co i tak nie pomagało. Salon więc stał się jakby częścią korytarza poprzedzającego dwa pozostałe pokoje, a że w tym „salonie” sypiali moi dwaj bracia, więc nasze życie w tym domu polegało na chodzeniu na palcach. A gdyby ten sam blok zaprojektował ktoś z wyobraźnią? Gdyby nie było przejściowego pokoju, tylko trzy niezależne pomieszczenia? Wtedy mojej rodzinie na pewno ubyłoby wielu konfliktów i niepotrzebnych zmartwień.

Ale w tamtych czasach widocznie najbardziej liczył się pięcioletni plan budowlany i inne takie durne sprawy. Blok powstał, blok stoi, mieszkańcy zameldowani. Plan wykonany! Hej, ho!

A teraz stałam przed osiedlem z całkiem innej bajki.

Budynki były otoczone pięknymi parkingami, oświetlonymi nowoczesnymi lampami sodowymi, dającymi ciepłe, żółte światło. Wszędzie były równiutkie chodniki, ławki i obudowane cegłą kosze na śmieci. Wszystko wypełniały pięknie utrzymane drzewka, przystrzyżone na francuską modłę, to znaczy równo. Nie zauważyłam tu żadnego czarnego obywatela rzucającego piłkę do kosza. W ogóle nikogo nie było na tych alejkach. Dzielnica przypominała La Defense, taka sterylna i pozbawiona życia. Ale wydawała się bezpieczna. Wbrew nazwie, które temu przeczyła.

Zadzwończyłyśmy. Chyba do właściwych drzwi.

- Allo? - Poznałyśmy głos Emila.

- To my, Ewka i Aga. - Odezwał się brzęczyk i znalazłyśmy się w pięknym, jasno oświetlonym holu przed windą z elektronicznymi wyświetlaczami. Winda ta diametralnie różniła się od wind, które jakimś cudem jeszcze egzystowały w naszym kraju. Polskie windy były odrapane i wymalowane wulgarnymi napisami. Zwykle stały, zamiast jechać. A kiedy już jechały, to potrafiły się zatrzymać w pół piętra. Nasze windy miały tyle wspólnego z windą, którą teraz jechałyśmy, że nazywano je windami. A tak naprawdę to były beznadziejne, ciemne czeluście, w które strach było wejść.

Ta winda była jasna i niepogryzmołona napisami antykomunistycznymi. Ani innymi, bardziej uniwersalnymi, typu: Kocham Krysię albo: ta z siódemki to dziwka. Jechałyśmy na piąte piętro, nie mając do czytania żadnych wynurzeń innych użytkowników tego środka lokomocji.

Emil już stał w szeroko otwartych drzwiach. Jego puciołowata twarz przypominała Świętego Mikołaja z kreskówek Disneya.

- Jak miło was znowu widzieć! - wykrzyknął.

- I nam także miło pana znowu spotkać - odpowiedziała Ewka, a obie wyszczerzyłyśmy się jak na rozkaz.

Mieszkanie Emila wyglądało na urządzone przez prawdziwego architekta wewnątrz. Meble były proste i oszczędne w formie, ale dobrej jakości, na białych ścianach wisały czarno - białe grafiki, a za wielkim oknem widać było podświetlony taras z kilkoma pięknie przystrzyżonymi drzewkami w donicach. Stapałyśmy po nieskazitelnie gładkiej i czystej powierzchni dębowego parkietu, omijając tu i ówdzie białe dywany.

Dla przyszłych projektantek wewnątrz w komunistycznej ojczyźnie takie mieszkanie było jak marzenie. W dodatku z widokiem na Lasek Buloński, a nie na jakieś rudery. Nasz

Emil, choć na to nie wyglądał, najwyraźniej miał dobry gust. I kasę.

Prowadził nas do salonu, skąd dochodził gwar ożywionej rozmowy. Nie spodziewaliśmy się tego. Myślałyśmy, że Emil tylko żartuje, opowiadając nam, jak bardzo lubi młodzież. Tymczasem w pokoju, przy szklanym stole, siedziało kilkoro gości i najwyraźniej dobrze się bawili.

- Poznajcie się - powiedział Emil, po czym po kolei krótko przedstawiał nam swoich znajomych.

Byli tam dwaj młodzi Amerykanie i dwie Japonki. Był też jeden Szwed i jego dziewczyna. Wszyscy wyglądali na studentów. Z magnetofonu w kącie pokoju sączyły się dziwnie znajome dźwięki muzyki Chopina, a na stole stał parujący garnek z palnikiem pod nim.

- Dziś robimy fondue - wyjaśnił Emil, a my zrozumiałyśmy, że on rzeczywiście kocha młodych ludzi i traktuje ich jak sposób na własną samotność.

Wieczór u Emila był fantastyczny! Zawarłyśmy nowe znajomości, wymieniłyśmy spostrzeżenia i pogadałyśmy o komunizmie, w tle leciały nokturny i mazurki Chopina, a gospodarz wciąż otwierał kolejne butelki bordeaux. Na stole smażyła się polędwica wołowa w wielkim garnku podgrzewanym palnikiem. Były do tego sosy, bagietki i sałatki. Każdy z nas miał swój specjalny sztuciec do nadziewania mięsa i wkładał go do tego garnka z rozgrzanym olejem. A potem do ust... Pychota!

Tego dnia po raz pierwszy w życiu jadłam fondue. Postanowiłyśmy sobie z Ewką, że kupimy takie garnki i zawieziemy do Polski. Oczywiście, zakładając, iż kiedyś nadejdzie w naszej kochanej ojczyźnie taki czas, że będzie można kupić w sklepie polędwicę wołową albo inne dobre mięso. Wtedy nawet nie przyszło nam na myśl, że za parę lat żadnego mięsa nie kupi się w Polsce inaczej niż na... kartki.

Wyszliśmy od Emila o drugiej w nocy, obżarte jak dwa azjatyckie pytony i opite jak wawelskie smoki. Towarzyszyli nam Ingrid i Bjorn, sympatyczna para Szwedów, z którą przegadałyśmy cały wieczór. Nie dziwota, że właśnie z nimi znalazłyśmy najwięcej wspólnych tematów, w końcu obie z Ewką poprzedniego lata spędziłyśmy dwa miesiące w Szwecji, zasuwając na nocnej zmianie w supernowoczesnej fabryce chleba w Malmo. Ewka nawet pochwaliła się znajomością kilku szwedzkich słów, a ja wspomniałam naszą tegoroczną wyprawę do Danii z plakatami. Ingrid natychmiast się wzburzyła i stwierdziła, że ten policjant był żalonym dupkiem, skoro nam nie pozwolił sprzedać tych plakatów. I nawet знаła nazwisko Starowieyskiego!

Tego dnia przekroczyłam chyba swój rekord w wypowiedaniu zdań po angielsku, co szło mi lepiej proporcjonalnie do ilości wypitego wina, a Ewka była w swoim żywiole, bo angielski znała nieźle. Emil bawił się naszym towarzystwem, karmił nas i dolewał wina, jak gospodarz spotkania na szczycie państw.

I znowu się okazało, że są na świecie ludzie całkowicie bezinteresowni.

Metra o tej porze już nie było, więc złapaliśmy taksówkę. Nasi blond towarzysze wysiedli przy Place de la Concorde, zostawiając nam karteczkę ze swoim szwedzkim adresem i obietnicę kontaktu listownego. Ingrid wepchnęła mi jeszcze sto franków na taksówkę, choć udawałam, że nie trzeba. Czy miałyśmy wypisane na twarzy, że jesteśmy splukane?

Wróciłyśmy do siebie pełne nowych wrażeń i obaw. Przecież nie możemy dalej tak egzystować! jutro ja pędzę po bagietkę. A potem jedziemy do Sheratona.

Izabelle na nasz widok omal nie dostała zawału. To znowu my! Dwie krnąbrne dziewczyny, które przychodzą i odchodzą. Stałyśmy, niczym dwie sierotki Marysie, czekając na jej decyzję po tym, jak opowiedziałyśmy jej całą historię naszych paryskich nieszczęść, od kradzieży w sklepie Tatu do porwania Ewki włącznie.

Najładniej, i po zabójadzku, naświetliłyśmy nasze trudne chwile i wynikającą z tego nieobecność w pracy.

Tego dnia szefowa nie była łaskawa. Pod naszą nieobecność przyjęto dwie inne dziewczyny do pracy, więc właściwie miała komplet. - Nie mogę wiecznie się zamartwiać, czy przyjdziecie do pracy, czy nie! - darła się, wykrzywiając pięknie umalowane czerwoną szminką usta. Po chwili opadła na krzesło i w geście bezradności kazała nam także spocząć.

- Merde! - westchnęła. - Gdyby te dwie nowe chociaż coś umiały! A wy już umiecie. I co ja mam teraz zrobić?

Nasze spojrzenia mówiły jednoznacznie: przyjąć nas.

Bo my już umiemy.

Więc zatrudniła nas. Po raz trzeci. Ale pogroziła palcem z pięknie wykonanym manikiurem w kolorze szminki, że to nasza ostatnia szansa. I jeśli znowu ją zawiedziemy, to już nikt w całym Paryżu, nawet w najpodlejszym hotelu, nas nie zatrudni. Troszkę nas to przeraziło, bo nie wyobrażałyśmy sobie, aby być sprzątaczkami w hotelu z jedną gwiazdką, takim jak hotel, w którym wciąż mieszkały nasze koleżanki Migułki.

- Jutro rano o ósmej. I ani minuty spóźnienia - powiedziała, kiedy już oddalałyśmy się do drzwi. Jasne. Teraz! to nam bardziej zależy. Niestety!

Tak więc czekał nas ostatni wolny dzień przed rozpoczęciem pracy.

- To co robimy? - spytała Ewka po wyjściu na rozpaloną w słońcu ulicę.

- Może przejdziemy się? I pooglądamy Paryż?

Ruszyliśmy pieszo w kierunku Sekwany. Bez planów, bez konkretnych oczekiwań. Paryż jest najlepszy, kiedy się tak po nim włóczy bez celu. Trafiliśmy na rue du Cherche - Midi, ulicę niezwykłą i pełną niespodzianek. Ulica „szukająca południa”, tak sobie przetłumaczyłam jej nazwę, rzeczywiście biegła z północy na południe. Jedna jej strona lśniła w słońcu, druga tonęła w głębokim cieniu. Była jakaś dziwnie spokojna, dostojna i tajemnicza.

Zanim doprowadziła nas do bulwaru nad Sekwaną, wiele razy przystawaliśmy, aby nacieszyć oczy wystawami antykwariatów i sklepików z biżuterią. Do jednego nawet weszliśmy, choć z pustym portfelem, ale za to z ogromną chęcią przerwania przedobiedniej nudy.

Wchodząc do ciemnego wnętrza, uruchomiłyśmy dzwoneczek u drzwi wejściowych. Natychmiast z zaplecza wyszła elegancka paryżanka ubrana w kostiumik typu Chanel i udając, że nie dostrzega naszych wytartych dżinsów, spytała, czym może nam służyć.

Najlepiej, gdyby nam podpowiedziała, jak zarobić w Paryżu tyle kasy, żeby nas było stać na to, co sprzedaje, ale tylko rozejrzałyśmy się po przepięknych intarsjowanych meblach i udawałyśmy szczerze nimi zainteresowane.

Kobieta podeszła bliżej, jakby się obawiała, że za chwilę coś drobnego zniknie w naszych kieszeniach, usta wykrzywiła w podkówkę, wokół której natychmiast pojawiły się drobne, typowo francuskie zmarszczki. Gdzieś wyczytałam, że język francuski ma taką wymowę, że często trzeba ścisnąć usta. I te zmarszczki powstają nieuchronnie od ciągłego robienia z ust dziobka.

Nasze usta nie były jeszcze ani wąskie, ani otoczone zmarszczkami. Nasze usta były głodne sukcesu, nasze usta chciały powiedzieć: dość mamy sprzątanania tego cholernego hotelu! Chcemy wejść do antykwariatu i kupić sobie biurko z hebanu albo naszyjnik z prawdziwym szafirem.

Przez chwilę cieszyłyśmy oczy widokiem tych wspaniałości, jednak szybko wróciłyśmy z obłoków na ziemię. Kobieta obserwowała nas z ironicznym uśmiechem. Spytałam o naszyjnik w witrynie.

Wyciągnęła długi szpon pomalowany na czerwono.

- Ten?

- Oui - odparłam mocno speszona. Ekspedientka doskonale wiedziała, że mnie na niego nie stać. Ale co tam. Mam prawo wejść do każdego sklepu i zapytać, czyż nie?

- Takie piękne niebieskie kamienie... Co to jest? - spytałam. Ewka stała za mną jak opoka, wspierając mnie totalnym milczeniem.

- To lapis lazuli - wyjaśniła sprzedawczyni. - Kamień królowej Egiptu.

- Piękny... - westchnęłam. Cała wystawa tego antykwariatu wypełniona była wyjątkową, ręcznie wykonaną biżuterią ze srebra i tego kamienia. Zawsze miałam pociąg do niebieskiej biżuterii, ale jakoś jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego! Kamień królowej Egiptu zawrócił mi w głowie.

- Dwa tysiące czterysta - wycedziły czerwone wąskie usta.

- Jest tego warty - uzupełniłam, nie przejmując się chłodem kobiety. Nigdy nie wiadomo, czy nie zjawię się tu któregoś dnia ubrana w wieczorową suknię od któregoś z paryskich projektantów i nie kupię sobie całego zestawu biżuterii z lapis lazuli, A wtedy ta jędza inaczej na mnie spojrzy!

- Chce go pani kupić? - prychnęła jakby dla zabawy. -
Dziś nie. Ale kiedyś... Na pewno...

Złapałam Ewkę i ponownie wyszliśmy na „ulicę
szukającą południa”.

Z mieszanymi uczuciami dreptałyśmy po równiutkim
chodniku, podziwiając wspaniałą elewację hotelu Ferrandi i
wiele wystaw miejscowych antykwariuszy, aż w końcu
zostałyśmy wyplute prosto na ruchliwy bulwar Saint -
Germain. Zaroilo się od turystów i zapachów mogących
przywrócić życie umarłakom. Za kilkanaście franków, które
wydał nam wczoraj taksówkarz, kupiłyśmy sobie po
najtańszej i najdłuższej kanapce z bagietki. Na smakowite
ciasteczka z mijanych co kawałek boulangerie nie było nas już
stać.

Co, oczywiście, utwierdziło nas w przekonaniu, że nie
wolno nam zawieść Isabelle.

Troszkę mniej głodne dotarłyśmy do bulwaru biegnącego
wzdłuż lewego brzegu Sekwany. Ruszyłyśmy w stronę Cite
szlakiem wyznaczonym przez stragany słynnych paryskich
bukinistów.

To chyba najstarsza księgarnia Europy! I najbardziej
zdumiewająca. Stragany ciągnęły się jeden za drugim,
wyglądały jak stare szopy, ale to, co oferowały, zupełnie ich
wyglądowi przeczyło. Były tam stare mapy, atlasy i ryciny,
było mnóstwo unikatowych druków i książek. Patrząc na te
wszystkie dobra, zapomniłyśmy o głodzie, muzułmanach, o
naszej rodzinie, a ja nawet zapomniałam o Marcu. Ciekawe,
czy Ewka też już zapomniała o Ammanie?

Dałabym się pokroić za przepiękny album z rycinami ziół
robionymi piórkiem, było to dzieło jakiegoś
osiemnastowiecznego geniusza. Ewka oglądała stare książki i
też miała na nie wielką ochotę. Nawet udawała, że pertraktuje
cenę, żeby nie było, że jesteśmy bez centyma. Kiedy cena już

była całkiem do przyjęcia, z żalem oddała książkę zdziwionemu bukiniście, dodając, że się... zastanowi. Jasne! Zastanawiać to się mogłyśmy, ale nad sensem naszego dalszego pobytu w tym mieście!

Jednak nasze zezowate szczęście nas nie opuściło. Tego wieczoru Nicole wyciągnęła nas na kolację. Uprzedziłyśmy ją, że jesteśmy bez grosza przy duszy, ale tym bardziej nalegała. Musiała koniecznie z nami pogadać o czymś ważnym, więc jak mogłyśmy jej odmówić?

Poszłyśmy do Le Buffet, gdzie dobrze już znajomy kelner uśmiechał się szeroko, wręczając kolorowe menu każdej z nas. Stolik w kącie przy oknie jakimś cudem był pusty, więc zasiadłyśmy przy nim, czekając, aż Nicole wyjawí swój sekret. Może poderwała jakiegoś przystojniaka i chciała się tym pochwalić? Albo dostała jakąś nagrodę jako przyszła dziennikarka świata mody? Nicole wciąż była dla nas wielką zagadką, choć wydawało nam się, że ją znamy. Jednak jej mina nie zwiastowała niczego dobrego. Była jakaś inna, smutna, zagubiona. Jej piękne rude włosy niespokojnie falowały na tle bladej twarzy. Może zaraz nam powie, że jednak musi wracać do swojego mieszkania, które zajmujemy? A my wylądujemy na bruku? W końcu to jej mieszkanie i ma do tego pełne prawo. A nam już żadna bieda nie jest nowiną.

Wlepiałyśmy oczy w menu, udając, że je czytamy. Ona też. W końcu nie wytrzymała.

- Moja matka ma kochankę - wypaliła bez żadnych wstępów.

Siedziałyśmy z Ewką zamurowane tym oświadczeniem. No bo co na to odpowiedzieć? Zwłaszcza że nie było to pytanie, lecz chyba stwierdzenie.

- Skąd to wiesz? - Spojrzałam na nią niepewna, czy to nie żart.

- Wiem. I już.

O rany. Teraz sobie przypomniałam ten męski głos dochodzący z salonu, kiedy szukałam Nicole następnego dnia po odbiciu Ewki z rąk muzułmańskich oszołomów. I chłód jej matki oraz jej powiewny szlafroczek i rozrzuconą fryzurę.

- Na pewno? - spytałam cicho.

- Merde! Niczego nie jestem bardziej pewna! - wrzasnęła Nicole. Kilka osób z sali odwróciło się ku naszej trójce. A więc to prawda. Matka Nicole ma kochankę. Biedny Marian, to pierwsze, o czym pomyślałam. Nasza przyjaciółka wyglądała na naprawdę zrozpaczoną.

- Dlatego wołała, żebym mieszkała w tym studio... Tam gdzie wy... Chciała mieć więcej przestrzeni! Bo ojciec w kółko na placu. Same wiecie...

Wyciągnęła chusteczkę z torebki w tygrysie wzorki. Nie mam pojęcia dlaczego, ale zastanawiałam się, gdzie kupiła tę torebkę. Może we Włoszech? Nic nie przychodziło mi do głowy mądrego w tamtej chwili, nic, co mogłoby jakoś pomóc Nicole. Ewka też bezradnie wpatrywała się w okno, za którym jakiś motocyklista usiłował upchnąć swój wypasiony motor pomiędzy dwoma poobijanymi citroenami. Nagle moje serce przyspieszyło. Z motoru zsiadł Marco! To był on! Czego tu szukał, bo chyba nie mnie? Znowu dopadły mnie te dziwne skurcze żołądka. Dlaczego widok Marca musiał się wiązać z dolegliwościami gastrycznymi?

Zaparkował, zostawił motor i poszedł w dół ulicy.

- I jeszcze wszystkiego się wypiera! - usłyszałam, wypatrując za oknem postaci w czarnej skórce i kasku. - Aga, co mam robić?

Z trudem skupiłam uwagę na zmartwionej przyjaciółce. Ani ona, ani Ewka nie zauważyły, że śledzę kogoś na ulicy. Ale ten ktoś już znikł mi z oczu. Jak zwykle.

- Przepraszam. Zamyśliłam się... to znaczy... nie wiem, jak mogę ci pomóc, Nicole - wyszeptalam.

- Ale ja mam plan - oświadczyła Nicole.

Pian był genialny, pomijając drobny szczegół, że to ja miałam być za niego odpowiedzialna. Nicole chciała za wszelką cenę uratować małżeństwo rodziców. Marian, kiedy nakrył żonę na zdradzie, uciekł z domu i jest w bardzo kiepskim stanie. Od dwóch dni sypia w swoim starym, zatechłym studio bez prądu i z nikim nie rozmawia. Doskonale wiedziałyśmy, o jakim „studio” mowa. Trochę tam mieszkałyśmy, jeśli to można nazwać mieszkaniem. Jeszcze nie zapomniwałyśmy tego uroczego „gniazdka” na peryferiach miasta, gdzie nocą strach było iść ulicą. Czy Marian, uciekając tam, dawał swojej żonie znak, że mu na niej zależy? A może przeciwnie, dawał jej znak, że może robić co chce w ich pięknym, dwupoziomowym apartamencie z widokiem na Sacre Coeur?

Nie, Marian nie mógłby się tak głupio poddać! W sumie nie znałyśmy go aż tak dobrze, ale jedno było pewne: kochał Sabine i z pewnością by jej wybaczył, gdyby ona zrobiła wszystko, aby naprawić swoje błędy.

Kelner przyniósł nam antałek firmowego wina i nieśmiało spytał, czy coś zamówimy. Na razie nic, ale za chwilę tak. Odszedł, nie pytając. Kelnerzy więcej wiedzą o nas niż my sami.

Nicole otarła łzy i przystąpiła do dzieła.

- Wiem, kim jest ten facet. Jeśli go poderwiecie na oczach mojej matki, to ona zrozumie, że się pomyliła. A wtedy będzie tak długo błagać ojca o wybaczenie, aż jej wybaczy. Wiem, że wybaczy, bo to taka dobra duszyczka, ten mój tatko! A ja naprawdę chcę, żeby oni się znowu... kochali! - Wyjęła kolejną chusteczkę.

Hmmm.... Jeśli dobrze usłyszałam, mamy poderwać faceta, który podrywa matkę Nicole. Czy to zadanie nie wykracza poza granice naszej przyjaźni?

- Ale, Nicole... - odezwałam się - czy to coś zmieni?

- Jasne! Wszystko! Moja matka oprzytomnieje i zda sobie sprawę, że nie jest już na tyle młoda, żeby romansować z...

Nasze oczy zwróciły się ku niej. Z kim?

- Z... tym... draniem.

- A kim jest ten drań? - spytałam, przewidując coś nietypowego. Może to premier Francji? Albo minister skarbu, szef paryskiej policji lub sekretarz stanu w UNICEF?

Nicole zamruwała nerwowo.

- To znany projektant mody. Carl Legrand. Nie. Niemożliwe! Ten Carl Legrand?

- Ten Carl Legrand? - spytałyśmy z Ewką jednocześnie.

Nicole przytaknęła. O rany! Nie będzie łatwo odciągnąć Sabine od takiego autorytetu w dziedzinie mody. A już na pewno ani ja, ani Ewka nic na to nie poradzimy.

Uff! Nawet zapomniałam o Marcu za oknem. Carl Legrand! To przecież sławny człowiek. Oglądałam niejedną jego kolekcję w magazynach mody. W końcu mieliśmy w Polsce Pewex, gdzie kupowało się od czasu do czasu „Burdę” czy „Elle”. I nagle przypomniałam sobie, gdzie ostatnio widziałam jego nazwisko. To było w magazynie „Vogue”, który kupiłam sobie kilka dni temu, snując się samotnie po ulicach. A na okładce było zdjęcie z naszymi kaszkietami! Czy to właśnie on przywłaszczył sobie nasz projekt?

Coś się we mnie zagotowało.

- Jeśli to ten facet, o którym myślę, to mam wielką ochotę mu dokopać - powiedziałam, widząc zaskoczenie na twarzach Nicole i Ewki.

Mnie natomiast zaskoczyła mała czerwona różyczka zaczepiona o klamkę drzwi naszego mieszkania na czwartym

piętrze, kiedy po długim wieczorze z Nicole wróciłyśmy w końcu z Ewką do domu. Nie było przy niej żadnej karteczki, więc pomyślałam, że to na pewno któryś z wielbicieli Ewki ją zostawił pod naszą nieobecność.

Ostatnie dwa tygodnie w Paryżu były jak tornado, tsunami i trzęsienie ziemi w jednym. A my byłyśmy w oku cyklonu.

Zaczął się od następnego dnia po spotkaniu z Nicole i jej szalonym planie polegającym na zdemaskowaniu prawdziwej natury słynnego paryskiego projektanta mody. Plan omówiliśmy wstępnie, jednak szczegóły miała dopracować Nicole w najbliższym czasie i nas o tym powiadomić. My z Ewką musiałyśmy się stawić rano w Sheratonie, bo inaczej nie miałyśmy już co liczyć na dobrą wolę Isabelle.

Niedospane, ale zdążyłyśmy przed ósmą i znalazłyśmy się na minus drugim piętrze, meldując stan gotowości do pracy.

Szefowa powitała nas chłodnym spojrzeniem i bez zbędnych wstępów przeszła do konkretów.

- Jest komplet gości, w Paryżu zaczął się dziś szczyt UNESCO i mamy wielu dyplomatów na najwyższych piętrach. Potrzebna mi jest fachowa i wykwalifikowana obsługa. Mam nadzieję, że mogę na was polegać? - Zmierzyła nas ponownie zimnym wzrokiem, jakbyśmy już były skazane niesubordynacją. W sumie trudno jej się dziwić. Skinęłyśmy lekko głowami. Miałam dziwne uczucie déjà vu. Kilka takich sytuacji już zdążyłyśmy z Ewką zaliczyć. - Więc dziś dostajecie czarno - białe uniformy i obsługujecie apartamenty. A ponieważ brakuje nam personelu w takich szczególnych chwilach, to macie dziś jeszcze dodatkowe zadanie. Będziecie podawać śniadania do pokoju, co już wcześniej się zdarzało, kiedy personel z hotelowej restauracji nie nadszedł z zamówieniami. Czy to jasne? Aha! I bardzo byłabym wdzięczna, gdyby obyło się bez żadnych spięć, awantur, afer czy pożarów! Jeśli wyraziłam się dość przejrzyście, to bierzcie się do roboty, bo czas ucieka!

Czy ona wiąże nas w jakiś sposób z pożarem, do którego doszło, kiedy nas w hotelu nie było? Czy nigdy nie przestanie

odróżniać nas od Migulek? Swoją drogą, zastanawiałam się, gdzie one są w tej chwili, bo na pewno gdzieś w tym samym, ogromnym, trzydziestopiętrowym hotelu.

Odmaszerowałyśmy grzecznie w stronę pomieszczeń dla pracowników, gdzie przebrałyśmy się w niewygodne czarne fartuszki uszyte przez jakiegoś projektanta drugiej kategorii na kształt czegoś w rodzaju kostiumów z białymi kołnierzykami i mankietami. W sumie były mniej straszne niż te różowe, w których zmuszane byłyśmy chadzać po niższych piętrach.

- Idziemy? - spytałam Ewkę, kiedy już przeobraziłyśmy się w pokojówki.

- Lepsze te apartamenty niż inne piętra. Może coś skapnie ekstra? - Ewka była pozytywnie nastawiona. Zmęczenie powoli ustępowało rutynie. Winda pomknęła w górę jak balon po odcięciu balastu i już po chwili mrugająca tablica z czerwonym wyświetlaczem oznajmiła nam, że jesteśmy na dwudziestym ósmym piętrze.

Na korytarzu, jak zwykle, panowała cisza. Korytarze hotelowe zawsze są puste i ciche. Jakby nikogo nie było za tymi licznymi drzwiami z błyszczącymi numerkami. Po miękkim dywanie w kolorze ciemnoczerwonym doszłyśmy do pokoju gospodarczego. Tam zaopatrzyłyśmy się w chariot, do których naładowałyśmy tyle pościeli na zmianę oraz wszelakich gadżetów, ile pomieściły. A potem Ewka pojechała na lewo, ja na prawo.

Praca sprzątaczką jest jak jazda na rowerze. Nigdy się jej nie zapomina. Kiedy weszłam do pierwszego pokoju, doskonale wiedziałam, co mam robić. Wykaz pustych pomieszczeń otrzymywałyśmy każdego dnia z generalnej dyspozytorni i wyświetlały się one na specjalnym ekraniku na każdym piętrze. System ten stworzono po to, aby nie przeszkadzać gościom. Kiedy gość wyszedł z hotelu i zostawił klucz w recepcji, natychmiast była wysłana informacja do

centrum dowodzenia u Izabelle, a stamtąd na każde piętro, aby stacjonujące tam pokojówki wiedziały, który pokój jest aktualnie libre albo occupe. Wolny albo zajęty. Wchodziłyśmy więc do tych libre, czekając, aż occupe też staną się libre. Przecież nie po to ludzie wynajmują hotelowe pokoje, aby z nich nigdy nie wychodzić. Czasami się jednak zdarzało, że ktoś z uporem maniaka zajmował własny pokój i nie było jak go posprzątać bez narażenia gościa na nasz widok. I tych sytuacji Ewka bała się najbardziej. Ciągle pamiętała gościa czytającego gazetę, siedzącego na sedesie w dezabilu i uśmiechającego się do niej lubieżnie. Co prawda dostał nauczkę w postaci fikcyjnego alarmu przeciwpożarowego, ale to nie wymazało z pamięci Ewki traumy, którą wtedy przeżyła.

Tego dnia wszystko szło gładko. Ja sprzątałam swoje libre, Ewka swoje. Pokoje były na ogół czyściutkie i niewiele miałyśmy w nich do roboty. Goście, którzy przyjechali na szczyt UNESCO, zapewne ledwie zdążyli wziąć poranny prysznic i pobiegli na obrady w gmachu znajdującym się niedaleko Pól Marsowych, tuż obok Ecole Militaire. Kiedyś przechodziłam z Ewką w pobliżu tego gmachu i uwagę naszą przykuła rzeźba stojąca na dziedzińcu, której autorem był słynny rzeźbiarz Henry Moore.

Do jednego z apartamentów trzeba było dostarczyć śniadanie. Ktoś najwyraźniej nie przyjechał na szczyt UNESCO. Tacę z chrupiącymi rogalikami, aromatyczną kawą, sokiem pomarańczowym oraz masłem i dżemami w miniaturowych opakowaniach miałam zanieść do apartamentu 2862.

Zapukałam i czekałam, aż ktoś otworzy mi drzwi. Ja nie mogłam z dwóch powodów. Po pierwsze, nie wolno mi było, po drugie, miałam ręce zajęte tacą. Nikt nie otwierał, więc ponownie zapukałam. Cisza. Sprawdziłam na karteczce numer

pokoju, 2862. Zgadza się. Zapukałam jeszcze raz, teraz troszkę mocniej i nagle drzwi się uchyliły... same.

Nie wiedziałam, czy wejść, czy zostać na korytarzu. Izabelle rozerwie mnie na strzępy, jeśli coś tego dnia zrobię nie tak. Zapуściłam żurawia i powiedziałam: allo! Nadal nikt nie odpowiadał. Czy to śniadanie zamawiał duch? A pachniało tak apetycznie! Zwłaszcza kawa. Już dochodziło południe i sama chętnie pojechałabym na dół, do naszej kafeterii, aby sobie zrobić z Ewką przerwę na lunch.

Ale z apartamentu 2862 nie dochodziły żadne odgłosy. Chyba się ktoś pomylił w dyżurce, bo w tym pokoju nie było żywej duszy. Zrobiłam jeszcze jeden nieśmiały krok do przodu i wtedy dostrzegłam... kawałek nogi. Wystawała z łazienki, z której biło jasne światło. Stopa była bosa i chyba damska. Zapomniałam o regulaminie. Weszłam do wnętrza, tacę postawiłam na podłodze i zajrzałam do łazienki.

Leżała w niej młoda kobieta owinięta w zasłonkę od prysznicza, mokra i bezwładna. Złapałam jej rękę i usiłowałam znaleźć puls. Coś chyba wyczułam, ale byłam tak przerażona i spanikowana, że nie miałam pewności. Chwyciłam ją za głowę i lekko klepnęłam w policzek.

- Proszę pani! - Cuciłam ją. Nie odzywała się. Co się stało? Rany, a jeśli ona nie żyje? Zauważyłam na jej głowie plamkę krwi. Chyba upadła i uderzyła się w krawędź wanny albo umywalki! Ewka, ratunku!

Ale Ewka, nieświadoma niczego, była jakieś sto metrów dalej i nie mogła mnie słyszeć. Postanowiłam skorzystać z telefonu i zadzwonić po pomoc. I wtedy kobieta otworzyła oczy.

- Co się stało? Kim pani jest? - spytała po angielsku, usiłując się podnieść.

- Jestem... pokojówką - przyznałam się.

- Rany, chyba upadłam... Kto wymyślił takie śliskie kafelki! - Nie ja, pomyślałam. Powoli wstała, chwyciła się za głowę, i kiedy zobaczyła ślad krwi na dłoniach, zaczęła się drzeć wniebogłosy.

Jej wrzask dotarł najwyraźniej do Ewki, bo po chwili stała w drzwiach apartamentu 2862 i patrzyła na mnie, jakbym właśnie usiłowała popełnić morderstwo! W sumie, z boku, mogło to tak wyglądać. W tamtej chwili rozumiałam wszystkich niewinnie posądzanych o zbrodnie. Znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Ale, na moje szczęście, kobieta szybko się uciszyła. Głowę zawinęłam jej w ręcznik z logo Sheratona, owinęłam ją całą jej własnym szlafrokiem i powiedziałam, że za chwilę wezwiemy lekarza.

Chyba dotarło do niej, że jesteśmy tylko pokojówkami, zauważyła tacę ze śniadaniem i przypomniała sobie, kim jest i co się stało. Ewka już wzywała pomoc przez telefon na korytarzu.

Po kilku minutach przyjechał na górę lekarz i opatrzył kobietę oraz przekonał, że powinna się poddać dodatkowym badaniom w hotelowym ambulatorium. Ona jednak wstała i orzekła, że nic jej nie jest. Dopiero teraz zauważyłam, że ma azjatyckie rysy twarzy. Usiadła na fotelu w swoim apartamencie, zawinięta w blad różowy szlafrok, i kiwała głową.

- Nic się nie stało - tłumaczyła. - Zamówiłam śniadanie i chciałam wziąć prysznic, ale najwyraźniej potknęłam się i upadłam. Nic mi nie jest. Nie mogę jechać na jakieś badania, bo za pół godziny muszę być na ważnej konferencji.

Z windy wyszedł jakiś człowiek ubrany w garnitur i niebieską koszulę.

- Bonjour, madame! - Wszedł prosto do apartamentu, jakby miał do tego pełne prawo. - Jestem Jacques Clement,

kierownik zmiany. Czy mogę w czymś pomóc? Chce pani złożyć skargę na nasz hotel? Jeśli zdarzyło się coś, za co możemy panią przeprosić albo zaproponować jakąś rekompensatę, to jestem do pani dyspozycji...

Patrzyłyśmy z Ewką z ciekawością na tę scenę. Rekompensata za poślizg na kafelkach? Hmm... Czemu nie? My na pewno byśmy skorzystały.

- Nie, to moja wina - odpowiedziała spłoszona tym całym zamieszaniem młoda Azjatka. - Nie powinnam się tak spieszyć. Nic mi nie jest i dziękuję za troskę. I będę wdzięczna, jeśli mnie państwo zostawia, bo chciałabym się ubrać i zdążyć na to spotkanie.

- Ale jakby jednak pani...

- Nic się nie stało, naprawdę.

Lekarz i kierownik zmiany wycofali się, my z Ewką też. Na korytarzu słyszałam jeszcze, jak coś do siebie szeptali i uzgadniali. Czyżby wersję wydarzeń? Bo jeśli ta kobieta pozwie hotel, że kafelki są zbyt śliskie, to co wtedy? Ale nie wyglądała na taką. Wiedziałam z obserwacji, że Japończycy, a zapewne była Japonką, jak coś powiedzą, to zwykle dotrzymują słowa.

Po tym zdarzeniu zjechałyśmy do kafeterii na zasłużony lunch. Zjadłyśmy jakieś dziwaczne danie z ryżu, mięsa i warzyw i popiłyśmy winem stołowym z małych, ćwierćlitrowych butelek. Zastanawiałyśmy się nad czekającym nas zadaniem wymyślonym przez Nicole. Widziałam coraz więcej powodów, aby się z tego wycofać.

- A jeśli ten cały Carl Legrand będzie nieosiągalny technicznie, to znaczy otoczony tłumem wielbicieli i gapiów?

- Zostawmy to Nicole. Obiecała, że go nam w jakiś sposób wystawi - mówiła Ewka. Wystawi czy nie, ale to ja miałam go zdemaskować!

Po lunchu wróciliśmy na dwudzieste ósme piętro. Nie było to profesjonalne ani mądre, ale z ciekawości zapukałam do apartamentu 2862. Nikt nie odpowiedział. Uspokołam się, bo zapewne młoda Japonka wyszła już dawno i pojechała na konferencję.

Sprzątałyśmy więc pozostałe apartamenty, zmieniałyśmy czystą pościel na nową czystą pościel, czyściłyśmy wanny, sedesy i umywalki proszkiem Ajax, tak aby wszystko lśniło, jakby było ze srebra. Tuż przed końcem zmiany wpadła na nas Izabelle jak jakaś zjawa albo nocna mara.

- Wszystko jest w porządku? - zapytała.

- O tak! - odrzekłyśmy zgodnie. Właśnie wspólnymi siłami dopieszczałyśmy ostatni apartament. Zajrzała do łazienki, przejechała dłonią po armaturach, oceniła wzrokiem, czy ręczniki wiszą idealnie poziomo oraz czy na lustrze nie ma najmniejszej plamki. A ponieważ do niczego nie mogła się przyczepić, bo wszystko wyglądało jak w ich reklamowym folderze, odwróciła się na pięcie i poszła.

- No to raczej nas nie wyleje - westchnęła Ewka z ulgą, kiedy po Izabelle został już tylko zapach perfum.

Następnego dnia była sobota, ale pracowałyśmy znowu, sprząając apartamenty. Niektórzy goście wyjechali, trzeba więc było przygotować pokoje na przyjęcie nowych gości. Praca szła nam zgrabnie i bez specjalnych niespodzianek. Zniosłam dwa razy śniadanie firmowe do pokojów, Ewka miała podobne zadania. Kiedy wracałam z chariot do pokoju gospodarczego, zauważyłam na korytarzu tę młodą Japonkę. Ubrana była w elegancki szary garnitur, białą bluzkę i krótki krawat. Wyglądała naprawdę pięknie i stylowo. Japońska bizneswoman. Ujrzała mnie, jak zmagalam się z wózkiem, podeszła i uśmiechnęła się szeroko.

- To pani mnie wczoraj znalazła?

- Chyba tak... - stwierdziłam. Miło było widzieć ją w tak dobrej formie. Na czole miała ledwie widoczny siniak, a poza tym wyglądała na całkowicie zdrową.

- Bardzo pani dziękuję. - Podała mi drobną dłoń.

- Nie ma za co. Cieszę się, że nic się pani nie stało - odrzekłam.

- Chciałabym się jakoś odwdzińczyć. - Sięgnęła do portfela. Pewnie należał mi się napiwek za wezwanie lekarza.

- Nie. - Powstrzymałam ją gestem ręki. Patrzyła na mnie zdziwiona.

- Nie, madame, jestem pokojówką, a pokojówka musi pomagać gościom. To moja praca. I cieszę się, że pani nic nie jest. - Możecie mi wierzyć lub nie, ale choć obie z Ewką potrzebowałyśmy każdego dodatkowego franka jak kania dżdżu, to w tym konkretnym momencie nie potrafiłabym przyjąć ani centyma.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Japończycy nie lubią pozostawać dłużnikami. Zawsze muszą w jakiś sposób podziękować.

- To proszę chociaż przyjąć ten drobiazg. - I wyciągnęła z papierowej torby małe błyszczące zawiniątko.

- Ależ...

- Szukałam pani po całym hotelu! Wczoraj uratowała mi pani życie. - Lekka przesada. - Proszę!

Wiedziałam, że odmowa przyjęcia podziękowania od Japończyków równa się ich znieważeniu. Wzięłam więc tę tajemniczą paczuszkę. Gestem zachęciła mnie, abym ją rozpakowała, zatem rozwinęłam szeleszczącą bibułkę.

- To Daikoku, bóg szczęścia - wyjaśniła. Wisiorek faktycznie przedstawiał jakieś bóstwo.

- Dziękuję, ale nie trze...

- To ja dziękuję. - Skłoniła się po japońsku. - I niech Daikoku panią doprowadzi do szczęścia - dodała, po czym zniknęła w windzie, zanim zdążyłam zamknąć zdziwione usta.

I tak skończyły się nasze kolejne dwa dni pracy w Sheratonie. Wróciłyśmy do domu, ubrałyśmy się w najlepsze ciuchy, to znaczy dzinsy i czyste bluzki, włożyłyśmy na głowy niezastąpione kaszkiety i poszłyśmy na plac, gdzie miałyśmy umówione spotkanie z flikami oraz Nicole.

Nicole już okupowała stolik w kącie naszej ulubionej restauracji. Widząc nas, pomachała z daleka, a my precyzyjnie się przez tłum ludzi, żeby do niej dotrzeć.

Plac żył nocnym trybem, kelnerzy roznosili aromatyczne dania, turyści robili zwyczajną wrzawę, a nad wszystkim królowały zapachy z kuchni ukrytych w czeluściach sąsiednich kamienic.

Nicole miała na sobie czerwoną sukienkę, która w połączeniu z jej ognistymi włosami sprawiała, że dziewczyna wyglądała jak jedna wielka płachta na byka.

I tak w istocie było. Nicole zamierzała upolować Carla Legranda przy naszej pomocy, jej celem było potraktować go jak byczka na korridzie. Naszpikować pikami i patrzeć, jak kona. Obawiałam się, że nasze wcześniej planowane spotkanie z flikami, które miało być podziękowaniem za odbicie Ewki z rąk muzułmanów, przemieni się w tajemny spisek przeciwko temu zdrajcy.

Zamówiliśmy duży antałek wina na dobry początek. Nicole dała nam pięć minut na opowieść o Japonce znalezionej w hotelowej łazience, ale zaraz po tym zaczęła przedstawiać swój plan.

- Jutro odbędzie się pokaz mody, na którym na pewno ten drań się pojawi...

Bałam się usłyszeć, co wymyśliła.

- Gdzie? - zapytała Ewka, sącząc wino. Mogła sobie spokojnie popijać, przecież to nie ona ma poderwać tego faceta, ale ja!

- W hotelu InterContinental.

- W tym niedaleko Place de la Concorde? - spytałam.

- Właśnie tam.

- O rany! No i co wymyśliłaś? - pytam już ostatecznie przekonana, że to wszystko jest nierealne. Ale kiedy

przypomniałam sobie zdjęcia z magazynu "Vogue" z kaszkietem mojego projektu na stronie tytułowej, kiedy zobaczyłam tę całą sesję zdjęciową sygnowaną jego nazwiskiem, wtedy odwet Nicole stawał się także moim odwetem. Najwyżej, jeśli coś pójdzie nie tak, znowu będziemy szukać pomocy u polskiego konsula.

- Moja matka oczywiście będzie na tym pokazie... Z racji zawodu, ale też jako... No wiecie...

Przytaknęłyśmy. Ewki prawie nie widać było spod jej kaszkietu. Schowała się pod nim i czekała na rozwój wydarzeń.

- Aguś... Nie gniewaj się, ale jesteś taka... atrakcyjna! On na pewno zwróci na ciebie uwagę! - Nicole była chyba o tym przekonana, ja nie. Przecież na takim pokazie będą setki atrakcyjnych dziewczyn, w dodatku lepiej ubranych ode mnie.

- I co, mam tam wejść w tych wytartych dżinsach? - Powoli puszczały mi nerwy.

- Ej, Aga! Czy wiesz, jak ty w nich wyglądasz?

- Jak kolejna kloszardka? - spytałam.

- Nie. Jak superlaska. W dodatku w tej czapce! Czy wiesz, że już o was jest głośno w Paryżu? Ze słyszę nieraz o waszych kaszkietach? - Czyli to prawda. Carl Legrand też o nich usłyszał.

- Ale jak nic nie wypali, to nie będziesz miała do mnie żalu? - Wolałam się upewnić.

- Nie, no coś ty! Ale mam przeczucie, że to się uda. Nicole opisała nam przewidywany przebieg wydarzeń.

Jeśli miała rację, istniał nikły cień szansy, że plan się powiedzie. Spytałam, czy pożyczy mi jakieś fajne ciuchy na tę okazję, ale Nicole stwierdziła, że właśnie w dżinsach prezentuję się tak, jak powinnam. A co mi tam! Najwyżej znowu trafię do Prefektury Generalnej, a potem do konsula. Po każdym kolejnym kieliszku wina plan Nicole wydawał się

bardziej realny. Zamówiliśmy coś do jedzenia i wtedy pojawili się nasi goście.

Alain i Vincent powitali nas radosnymi okrzykami i uściskami. Ewce chyba się spodobało, kiedy obaj, po kolei, ściskali ją po kilka razy z obu stron.

Ja zadowoliliam się jednym całusem Alaina w policzek i podaniem ręki Vincentowi. Fakt, obaj wyglądali naprawdę jak dwa smakowite, policyjne, francuskie ciasteczka. Rozsiedli się przy naszym stoliku, jakby należał do nich. Kelner natychmiast postawił dwa dodatkowe kieliszki.

Nasza rozmowa o Carlu musiała zaczekać. Fliki przyszły nie po to, aby planować z nami kolejny zamach na czyjąś prywatę, ale aby się z nami co nieco rozerwać i zabawić. Na szczęście już znałyśmy ich trochę i wiedziałyśmy, że ich plany niekoniecznie muszą zostać zrealizowane.

- Stópki już wygojone? - Alain skierował to pytanie do siedzącej pomiędzy nami Nicole.

- Bogu dzięki, już chodzę. Ledwie wtedy doczłapałam do domu! Nigdy więcej szpilek! - Po czym założyła efektownie nogę na nogę. Natychmiast dwie pary policyjnych oczu powiodły za jej stopą, przyodzianą w... czerwone szpileczki! Chłopcy parsknęli śmiechem, Nicole też. Cała ona. Zawsze elegancka, jak przystało na prawdziwą paryżankę.

- Ale dziś chyba nikogo nie porwano? - spytał niepewnie Vincent.

- Na razie nie, ale... jakieś małe porwanko zawsze da się zorganizować - rzekła Ewka. Wszyscy ponownie wybuchnęliśmy śmiechem.

Przyszedł kelner, więc zamówiliśmy kolację. Tym razem obie z Ewką pilnie sprawdzałyśmy ceny dań. Na szczęście w Sheratonie wypłacono nam ostatnie dwie dniówki. Przecież to miała być nasza dziękczynna kolacja za uratowanie Ewki. Mogłyśmy mieć jedynie nadzieję, że fliki będą strasznie

nalegać i sami zapłacą, jak kelner nas podsumuje, albo chociaż się dorzucą do rachunku.

Zamówiliśmy grillowane zestawy mięs, sałatki i kolejne wino. Nicole wzięła sałatkę paryską zamiast mięs, a panowie krwiste befsztyki. Kelner oczywiście wszystko notował wyłącznie w pamięci, a kiedy skończyliśmy się wzajemnie przekrzykiwać, zebrał ze stołu papierowe podkładowki z nadrukiem, zgarnął rękawem okruchy na tacę i zniknął z szelmowskim uśmiechem. Po chwili wrócił z nowymi podkładowkami, rzucił na stół pięć kompletów sztućców i postawił koszyczek z kawałkami bagietki. Za nim drugi kelner już stał z ogromnym antałem wina i sałatkami. Dodam, że Le Buffet zatrudniało tylko tych dwóch kelnerów i byli oni jednocześnie braćmi i... właścicielami tegoż lokalu. W Le Buffet panowała prawdziwie rodzinna atmosfera, nawet grubo po północy z lokalu obu braci o tureckich korzeniach (tureckie korzenie niekoniecznie musiały się źle kojarzyć) słychać było gwar doskonale bawiących się gości i trudno było znaleźć w niej wolny stolik.

- Uwielbiam tę knajpkę - powiedziałam.

- Jest super! - przyznał mi rację Alain. - Często tu wpadałem po służbie.

- Tak? No to jasne, dlaczego bracia są dla nas tacy mili. Stały gość zawsze ma jakieś względy.

- To chyba naturalne - wtrącił Vincent. - W Paryżu jak jesteś gdzieś nowy czy nowa, to albo ci podadzą lurę zamiast kawy, albo cię oszukają na rachunku...

- Brr... To okropne - wtrąciła Ewka. - Przecież zawsze gdzieś jest się tym pierwszym gościem. Więc żeby ten gość miał przyjść ponownie, chyba powinno się go szanować?

Vincent się uśmiechnął.

- Powinno, ale nie w paryskich restauracjach! Tu popyt przekracza podaż, więc... sama rozumiesz.

- Tak, kumam. Kelner to gość, a my to...
- Intruzi - dokończyłam.
- Właśnie!

O pierwszej w nocy lokal był już tak zadymiony, że nie trzeba było zapalać papierosów, bo wystarczało samo wdychanie gęstego od dymu powietrza. Jakby tego było mało, wtargnęła do niego nasza stara znajoma Quasimodo.

Tym razem miała na sobie jakąś wytartą skórzaną narzutę z frędzelkami, rodem z westernu. Rzadkie siwe włosy uplotła w cienkie warkoczyki, które okalały jej pucołowatą buzię jak pajęczyny. Na szyi podwieszony był ten sam kosz co zawsze, pełen paczek papierosów różnej marki.

- Cigarettes? - zachrypiała, atakując nasz stolik jako pierwszy, ponieważ stał przy wejściu. Pokiwaliśmy głowami, pokazując, że mamy co palić. Na stole leżały marlboro Nicole i nasze z Ewką camele. Fliki nie paliły, ale na widok tego kobiecego monstrum obaj natychmiast wskazali na nasze papierosy, że niby są wspólne.

- Musicie coś kupić - nalegała. - Mam gitane'y, marlboro, kenty. Czego dusza zapagnie! - Po czym zacharczała jak nałogowy alkoholik i palacz w jednym tuż przez śmiercią. Z ciekawością czekałam na reakcję naszych kolegów policjantów. Przecież Quasimodo naruszała prawo, jeśli było prawdą to, czego wcześniej się dowiedziałyśmy. Ale oni uśmiechali się tylko i droczyli z kobieciną, jakby była to ceremonia typowo paryska.

- Nie musimy - powiedział Alain - bo nie palimy.
- Chyba ich obu to zwyczajnie bawiło.
- Nie palicie? - Skrzywiła się z niesmakiem.
- Merde! - prychnęła.
- A co, nie wolno nie palić? - droczył się z nią Alain.
- Wolno, ale papierosy kupić trzeba! - cedziła słowa coraz bardziej wściekła.

- Jeśli nie palę, to nie kupuję - powiedział Alain, patrząc Quasimodo prosto w zadymione okulary, za którymi maleńkie źrenice kipiały od gniewu.

- Ale one palą, durniu! - Kobieta wskazała nas dłonią odzianą w dzierganą rękawicę pozbawioną palców. Skierowała swoje szpony prosto na Ewkę, która skuliła się ze strachu za stołem. Co jak co, ale trudno było odmówić Quasimodo daru przekonywania. Albo: szantażowania.

Ciekawa byłam, kiedy Alain wyciągnie policyjną legitymację.

On jednak siedział spokojny i wesoły. Najwyraźniej bawił się w najlepsze.

- Przekonała mnie pani. Co chcecie? - Spojrzał na mnie i Ewkę.

- Mamy co palić - powiedziałam.

- Wiem. Ale gdybyście nie miały, to co wybrałybyście?

- Może kentów? - zasugerowała nieśmiało Ewka. Kentów jeszcze nie próbowaliśmy.

- To poproszę dwie paczki kentów - zwrócił się do Quasimodo grzecznie.

- No! I tak trzeba było od razu! - parsknęła, rzuciła dwie paczki kentów na stół i wymieniła podwójną ich cenę.

- Czemu tak drogo? - spytał Alain nadal rozbawiony.

- A co pan myślisz, że z dostawą do klienta ma być tyle co w trafice? Trafiki już pozamykane. O tej porze les cigarettes są tylko u Quasimodo! Trzeba zapłacić za ten luksus!

Wzięła dwa banknoty i kiwając głową oraz marudząc pod nosem na niewdzięczników takich jak my, poczłapała do następnego stolika, znikając za smugą dymu, którą wypełniony był cały lokal. Jednak już po chwili ponownie się wyłoniła wyprowadzana przez jednego z braci za drzwi.

- Idź handlować na ulicy! A moich gości nie nagabuj! - krzyczał za nią ubrany w długi brązowy fartuch do samej prawie ziemi.

Quasimodo jeszcze przez chwilę wymachiwała rękoma i darła się oburzona, aż w końcu podreptała chwiejnym krokiem szukać zarobku w innej nocnej knajpce.

W tym samym momencie na stole pojawiły się nasze smakowite dania.

- Dlaczego jej nie aresztowałeś? - spytałam Alaina zabierając się za cudownie chrupiące kawałki wołowiny.

- A po co?

- Nie wiem. Tak sobie, na niby. Żeby nam dała spokój.

- A czy coś się stało? Tacy ludzie jak ona są w Paryżu potrzebni.

- Pracuje na czarno... - burknęła Ewka.

- I co z tego? Gdyby nie takie Quasimodo, Paryż nie byłby Paryżem. To niegroźne zjawisko. A ilu turystów będzie ją wspominać?

- My na pewno - przyznałam.

- No właśnie. I o to chodzi... Na niektóre zjawiska patrzemy z przymrużeniem oka. Są i już! A ta kobiecina sobie chodzi i wprowadza do restauracji pewien lokalny koloryt...

- Jak kloszardzi?

- Coś w tym stylu.

- Ale ona łamie prawo - odezwała się milcząca dotąd Nicole. - I ma to gdzieś. A Ewka i Aga niczego nie zrobiły, a wsadziliście je do więzienia!

- O nie! - zaprotestował Vincent. - My nie. My tylko...

- Wy tylko je zwinęliście na komisariat. A potem pojechały do prefektury! A potem zabrano im paszporty i zabroniono rysować! Czy to nie jest niesprawiedliwe? - Patrzyłam na Nicole i nie pojmowałam, skąd u niej nagle taki wybuch. Przecież chłopaki robiły to, co do nich należało.

- Gdybyśmy wiedzieli, czym się to skończy - Alain wyglądał na skruszonego - to pewnie nie zrobilibyśmy tego po raz drugi.

- Ej, przestańcie! - Podniosłam nieco głos. - Nie mamy do was żalu. Prawda, Ewka?

Ewka pokiwała głową na znak, że nie mamy.

Jednak zrobiło się trochę nieswojo, ale tylko na chwilę. Alain zaczął nam opowiadać, jak to jest, kiedy się zaczyna pracę w policji francuskiej. Nie szczędził nam słów prawdy o braku kompetencji niektórych służbistów, o biurokracji i kompletnym zaćmieniu umysłów takich funkcjonariuszy jak ten, który nas przesłuchiwał. Aż się dziwiłam, że tak szczerze krytykuje własne gniazdo. Dodał raz jeszcze, bo już kiedyś o tym mówił, że miałyśmy zwyczajnie pecha, kiedy ten gaz łązający rozlał się w komisariacie osiemnastej dzielnicy i musieli nas przewieźć gdzie indziej. Gdyby gaz się nie wylał, prawdopodobnie zostałybyśmy tylko upomniane i nadal mogłybyśmy sobie rysować na placu.

- Merde - podsumowała to Ewka.

A potem było już tylko lepiej. Kelner przyniósł kolejny antałek firmowego bordeaux i płonące desery lodowe, Ewka gadała jak najęta o idiotycznych obyczajach muzułmanów, Nicole w rogu szeptała mi, jak mam poderwać Carla Legranda, tak aby Alain tego nie słyszał, a na koniec Ewka przesiadła się bliżej Vincenta i oboje coś sobie szeptali do ucha.

Grubo po drugiej w nocy wyszliśmy na rue des Trois Freres obzarci i opici. Rachunek zapłaciły nasze drogie fliki, nie przyjmując do wiadomości innej opcji. Udawałyśmy z Ewką, że bardzo nam zależy, abyśmy to my zapłaciły, ale oni się uparli w stylu Quasimodo.

Na ulicy nadal było gwarno. Szukaliśmy kawałka równego chodnika, ale chodnik okazał się pełen niespodzianek. Nicole

wpadała swoimi szpileczkami w każdą szczelinę między kostkami brukowymi, ale podtrzymywali ją dzielni policjanci. Odprawiliśmy ją pod sam dom. Spojrzała w górę na swoje czwarte piętro, czy świecą się jakieś światła. Mieszkanie było ciemne. Wiedziałam, o czym myśli Nicole. Pewnie chciała zobaczyć, że palą się tam światła, że Marian wrócił i rozmawia z jej matką przy kieliszku wina, wybacząc jej zdradę.

Nie miałam głowy, aby w tej chwili zastanawiać się nad planem Nicole.

Jutro, jak wytrzeźwiejemy, wrócimy do tematu. Dziś jestem kaput!

Ewka szła z Vincentem kilkanaście kroków za nami. Ja szłam oparta o Alaina. Trzeba było wspiąć się pod górkę, bo nasza ulica była położona nieco wyżej niż ta, przy której mieszkała Nicole. Nasza ulica. Ta sama, przy której mieściło się Le Buffet. Ulica o pięknie brzmiącej nazwie: rue des Trois Freres, czyli: ulica Trzech Braci. Mieszkałyśmy przy ulicy trzech braci i jadałyśmy w knajpce dwóch braci! Ciekawa byłam, co robią o tej porze moi prawdziwi dwaj bracia w Polsce? Obaj mieli całkowicie odmienne talenty od moich. Po ojcu odziedziczyli uzdolnienia techniczne, a zwłaszcza elektroniczne. Jak byliśmy jeszcze smarkaci, moi bracia zawsze czymś podpadali rodzicom. Produkowali na przykład materiały wybuchowe albo dosypywali dziadkowi kapiszonów do fajki. Konstruowali własne radia, rakiety, nawet magnetofony. Jak miałam kłopoty z matmą albo fizyką, prosiłam ich o pomoc. Ojciec dostawał białej gorączki, kiedy miał mi coś wytłumaczyć. A mój starszy brat robił to cierpliwie i bez emocji, a w dodatku świetnie potrafił wszystko wyjaśnić. Fajnie jest mieć braci! I tych tam, i tych... tu.

Przed naszą kamienicą zauważyłam znany mi skądś motocykl. Ale nie byłam pewna, czy to ten sam. Wszystkie motocykle były do siebie podobne. Tylko że obok tego motocykla ktoś stał...

O Boże! Marco!

- Witaj, Aguś! - Wyszedł z cienia i stanął przede mną ubrany w skórzany kombinezon. W ręce trzymał kask. Włosy jeszcze potargane, świeżo spod kasku wyjęte.

Alain cofnął rękę, którą mnie podtrzymywał podczas wspinaczki po kocich łebkach. - Marco, co ty tu...

- Szukałem cię - odparł.

- Och! Nie wiedziałam...

- Ale widzę, że chyba niepotrzebnie. - Zmierzył wzrokiem Alaina.

- Co tu się dzieje? - spytała mocno już podpita Ewka, kiedy dołączyła do nas z Vincentem. Oboje byli w znakomitym nastroju.

- Nic, to Marco, nie pamiętasz?

- Marco!!! - Ewka się rozdarła na pół ulicy. - Jak miło! A to mój przyjaciel, Vincent, poznajcie się. - Ewka już dawno powinna iść spać. Miała słabą głowę i najwyraźniej tego dnia za dużo wypła.

- Ewka! Daj spokój! Idź do domu, a ja za chwilę też przyjdę, okej?

- Okej, okej... - Pomachała nam i dalej już Vincenta problemem było, czy odholuje ją do domu, czy nie. Miałam nadzieję, że tak.

Kiedy zostałam sama z Alainem i Markiem, nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Alain był miły, przystojny i nie narzucał mi swego towarzystwa, ale czułam, że mu zależy na mnie w jakiś sposób. Przed chwilą umawiałam się z nim na kolejną randkę. Jednak Marco... Na jego widok moje nogi

traciły grunt, mój żołądek się kurczył, a mózg przestawał myśleć racjonalnie.

- Byłem tu parę dni temu - powiedział Marco - ale ciebie nie zastałem.

- Czy ta róża?...

- Tak, ale chyba się niepotrzebnie wygłupiłem. - Patrzył na Alaina.

Ten milczał. Czekał.

- Może się po prostu poznać? To Alain, który... - już chciałam powiedzieć: który mnie aresztował, ale się powstrzymałam - to mój przyjaciel, który mi pomógł odnaleźć Ewkę, no wiesz... Kiedy ją porwali ci muzułmanie...

- Coś o tym słyszałem - powiedział Marco. Alain wyciągnął rękę. Marco niechętnie zrobił to samo. Obaj patrzyli na siebie niezbyt przyjaźnie.

Sytuacja zrobiła się niezręczna. Musiałam podjąć decyzję.

- Jestem strasznie zmęczona, Alain... To był miły wieczór, ale...

- Rozumiem, ale czy na pewno chcesz... - Tak.

- W takim razie, dobranoc. Uważaj na siebie, Aga.

- Pocałował mnie w policzek i odszedł. Obrócił się jeszcze, żeby ręką pokazać Marcowi coś na kształt przestrogi. A ja widziałam już tylko zielone oczy Marca, błyszczące w ciemnościach i wpatrzone we mnie.

- W porę sobie poszedł, bo miałem ochotę mu dokopać - szepnął mi do ucha.

- Nie zasłużył na to.

- Nie? A widziałaś, jak na ciebie patrzył?

- Jak?

- Dziewczyno, czy ty naprawdę jesteś taka niedomyślna, czy tylko taką udajesz?

- Marco... Po co tu przyszedłeś?

- Ja zwariuję! Czy przed chwilą nie odstawiłaś tego gościa? Czy nie wolałaś zostać ze mną?

- W kółko zadajesz mi pytania. Może raz powiedz coś, co nie jest pytaniem.

- Okej! Łażę za tobą. To jest stwierdzenie.

W jednej sekundzie otrzeźwiałam.

- Ja też ciebie wszędzie wypatrywałam...

- Jakoś kiepsko, bo wolałaś umówić się z tym... - Flikiem.

- A co taki flik ma tobie do zaoferowania?

- Nie wiem... Może troszkę dreszczyku przy kolejnym aresztowaniu?

- Więc o to chodzi?

- A co, masz coś przeciwko policji? - spytałam, czując, że cała ta konwersacja jest tak na żarty.

- Nie, nie mam, ale wolałbym, aby nie kręcili się przy tobie tacy młodzi gliniarze.

- Jesteś zazdrosny?

- Nie, skądże!

- A ja widzę co innego - odważyłam się zaryzykować.

Marco przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć.

- No to jestem. Zadowolona? - Jeszcze jak!

A potem mnie przyciągnął ku sobie. Pachniał mieszanką farb olejnych i wody toaletowej o delikatnym cytrynowym zapachu. Poczułam jego włosy na swoim policzku, poczułam się tak, jakbym wróciła z dalekiej podróży do domu.

Przeszliśmy się jeszcze uliczkami, ja wtulona w ramię Marca, on pilnujący mnie, jakbym była jego teczką z najcenniejszymi rysunkami. Nie proponował mi żadnych rajdów po mieście na motocyklu ani wizyty w jego studio. Byłam na to zbyt zmęczona i cieszyłam się, że to rozumiał. Ale podczas tego spaceru, kiedy nad Paryżem powoli robiło się jasno, zrozumiałam, że jestem szczęśliwa, że nie muszę nic

więcej robić, aby szczęście osiągnąć, nie muszę go gonić ani prosić o nie w katedrze Notre Dame.

Jedno ciepłe spojrzenie Marca, jego głos, jego dłonie trzymające moje, to było aż zbyt wiele jak na moje oczekiwania. Bałam się tego. Bałam się, że to tylko sen, który skończy się wraz z moim wyjazdem z tego miasta.

A wyjazd był tuż - tuż. Co pocznę w Polsce, kiedy zabraknie przy mnie Marca? Wystarczyło jedynie pozwolić sobie na tę miłość. Ale ja broniłam się przed nią, bo bałam się, że wyjadę zraniona, ograbiona i rozczarowana. Przecież on był tu, a ja będę tam! I co wtedy?

Hotel InterContinental był rozświetlony jak bożonarodzeniowa choinka. Na ulicy pełno aut, motocykli i policji. Już z daleka widać było, że coś ważnego się tam dzieje.

Im bliżej byłam tego miejsca, tym większą czułam treść. Nicole i Ewka chyba też. Choć po drodze kilka razy omówiliśmy cały plan punkt po punkcie, teraz wydawało mi się to absolutnie nierealne.

Obrotowe drzwi wejściowe do hotelu jaśniały światłem bijącym od wewnątrz i były w ciągłym ruchu. Wystrojone w wieczorowe suknie kobiety oparte na elegancko ubranych facetach wchodziły do środka. Kilku policjantów krążyło po ulicy, regulując ruch, każąc przestawić auta lub zwyczajnie udając, że są tam potrzebni.

Stałyśmy z drugiej strony ulicy i patrzyłyśmy, jak ten piękny budynek wchłania ludzi niczym ul pszczoły.

- My wcale tam nie musimy wchodzić - szepnęła Nicole. Tak, bo według jej planu cała akcja miała się rozegrać na ulicy! Chyba oszalałam, że się na to zgodziłam. Jednak widowisko było tak bardzo paryskie i zupełnie z innej bajki niż nasza, więc co mi szkodziło sobie na to popatrzeć?

- Teraz tylko musimy znaleźć samochód Carla - powiedziała Nicole.

- A skąd pewność, że przyjechał własnym autem? - szepnęła Ewka.

- Nie musimy szeptać - zauważyła Nicole. - Nikt nas tu przecież nie słyszy! A jeśli nawet, to i tak nic nie zrozumie po polsku!

Fakt. Mogłyśmy sobie pozwolić nawet na bardzo niecenzuralne słowa.

- Ja tego nie zrobię - powiedziałam wyraźnie i głośno.

- Aga! Nie pękaj! - Ewka chwyciła mnie za rękę.

- To może sama spróbujesz? - wrzasnęłam na nią.
- Cicho! O, tam chyba stoi jego auto... - Nicole pokazała nam duży czarny van z przyciemnionymi szybami, parkujący blisko wejścia do hotelu.

- Skąd wiesz, że to jego? - spytałam.
- Bo, merde, parkował nim kilka razy pod domem mojej matki - wyjaśniła.

- A numery się zgadzają?
- Zaraz się okaże, musimy podejść bliżej.

To był ten samochód. Nicole była pewna. Pozostało nam więc tylko czekanie, aż cała impreza się skończy. A ile to może potrwać?

Nienawidzę czekania. Tego wieczoru czekanie było jednak tak podrasowane adrenaliną, że dwie godziny upłynęły jak kwadrans. Snułyśmy się w tę i z powrotem, wypatrując drzwi hotelu. W końcu zaczął z nich wypływać tłum ludzi, niczym lawa z gorącego wulkanu.

- Czekaj na hasło - powiedziała podekscytowana Nicole, a mnie tak zaschło w ustach, że nie byłam w stanie odpowiedzieć.

- On na pewno wyjdzie jako jeden z ostatnich - dodała tytułem wyjaśnienia. A jeśli wcale nie wyjdzie? Jeśli zostanie w hotelu do jutra? Czy będziemy tu koczować do rana? Nie podobało mi się to wszystko, i tyle!

- Aga, bądź w gotowości - przypomniała mi Nicole. Ewka ścisnęła moją rękę, aż mnie zabolęło.

- Puść mnie - zbeształam ją.
- Sorry, ale tak mnie to wciągnęło...

- A mnie to przeraża!
- Jest! To on! - krzyknęła Nicole.
- Gdzie?

- No tam! Ten facet w czarnej koszuli, z siwymi włosami i w ciemnych okularach... Widzisz go?

- O rany, widzę.

- I tak jak myślałam! Zobacz, kto idzie tuż za nim! - Nicole była wściekła.

- Twoja matka?

- A któż by inny. I w dodatku szczerzy się, jakby chciała trafić na pierwsze strony jutrzejszych gazet!

Szła za nim rzeczywiście Sabine. Ubrana w czarną suknię i naszyjnik z pereł. Czy chciała w ten sposób zadać ostateczny cios Marianowi? Paparazzi nie próżnowali. Flesze błyskały non stop.

- Za chwilę przecisnę się przez tłum i będzie chciał wsiąść do swojego samochodu... - relacjonowała Nicole.

Czułam w przełyku wielką gulę.

- Teraz. Zbliża się do auta. Aguś, do dzieła!

Nigdy w życiu nie czułam takiej tremy. Ani podczas pierwszej lekcji w pierwszej klasie szkoły podstawowej, ani podczas matury, ani wtedy, kiedy mój chłopak po raz pierwszy zdjął ze mnie dolną część odzienia. Nic nie było w stanie dorównać tej chwili. Ale, pomimo że moje nogi mówiły mi „nie”, ruszyłam przed siebie, tak jak to zaplanowała Nicole.

Pod pachą trzymałam zwinięty w rulon ostatni numer "Vogue'a".

Z trudem przecisnęłam się przez tłum gapiów i fotoreporterów i znalazłam się tuż przy samochodzie Carla Legranda dokładnie w momencie, kiedy szofer otwierał jego drzwi. Projektant podtrzymywał Sabine, a kiedy już jedną szpileczką była w aucie, do akcji wkroczyłam ja.

- Monsieur Legrand! - zagałam na tyle głośno, że się odwrócił.

Spojrzał na mnie niepewnie, jak na zjawę z innej planety. I słusznie. Byłam z innej planety. W wytartych dżinsach i kaszkiecie.

- Mademoiselle? - spytał zmieszany. - Voulez - vous un autographe?

- Nie, nie chcę autografu. Chcę z panem porozmawiać - powiedziałam zdecydowanym głosem. Sabine już siedziała w samochodzie, ale wychyliła swą rudą czuprynę i usiłowała się dowiedzieć, co się dzieje.

- Panienka wybaczy, ale bardzo się spieszę - odparł Legrand i odwrócił się w stronę auta.

- O nie! Powinien pan znaleźć dla mnie chwilkę! - zawołałam ciut głośniej. Dookoła zebrał się tłumek gapiów. Kilku paparazzich robiło zdjęcia.

Carl podszedł do mnie lekko poirytowany. Jego uśmiech zamienił się w grymas wściekłości. Byłam pewna, że moje walory nie wystarczą. Trzeba było wprowadzić plan B. Wyciągnęłam spod pachy numer „Vogue'a” i machnęłam nim przed nosem projektanta.

- Czy to coś panu mówi? - Pokazałam okładkę i mój kaszkiet jednym wprawnym ruchem ręki. Nie wiem, czy tylko mi się zdawało, ale chyba facet nieco zbladł. Podszedł bliżej i uśmiechnął się, jakbym była jeszcze jedną jego fanką. Zaniepokojona Sabine wysiadła z samochodu.

- Czego pani chce? - O, już nie byłam panienką!

- Chcę z panem pogadać w cztery oczy! - powiedziałam na tyle mocno, że chyba jednoznacznie.

- Zgoda. Może jutro? Oto moja wizytówka i proszę zadzwo...

- Teraz.

- Pani chyba żartuje.

- Ani trochę! Albo teraz porozmawiamy, albo jutro zadzwoni do pana mój prawnik. - Po twarzy Carla przemknął cień, co znaczyło, że wszystko okazało się prawdą. Ukradł mój projekt. Mój kaszkiet!

- Pani mi grozi? - mówił teraz już ciszej, aby nikt nas nie podsłuchał. Otaczały nas ciekawskie spojrzenia i nadstawione uszy wielu ludzi.

- Na razie nie. Ale proponuję rozmowę, która z pewnością jest potrzebna. Zarówno panu, jak i mnie.

Patrzył na mnie oniemiały. Po chwili skinął głową, podszedł do samochodu i coś szeptał do Sabine. Była zdenerwowana i wściekła. A Carl zaprosił mnie do samochodu, więc wsiadłam. Na oczach całego zgromadzenia Sabine została na chodniku, a ja odjechałam z jej kochankiem, nie zapominając o złośliwym uśmiechu, posłanym jej na odchodne.

Gdzieś po drodze mignęła mi Ewka machająca ręką, jakbym właśnie odlatywała w podróż poślubną na Karaiby. Nie byłam wcale pewna, czy wielki Carl Legrand mnie wysłucha. A jeśli mnie zamorduje i wrzuci do Sekwany? Nie, chyba tego nie zrobi. Zbyt wielu było świadków naszego tete a tete.

Carl zaprosił mnie do eleganckiej restauracji. W samochodzie jakby nieco ochłonał i nawet zaczął mi prawić komplementy. Najwyraźniej nie przeszkadzał mu brak Sabine.

Widok Carla Legranda, wchodzącego do jednej z najdroższych restauracji w Paryżu u boku panienci ubranej w sprane dzinsy, musiał być szokiem dla personelu tego lokalu. Ale nikt nie odważył się mnie zatrzymać i wyrzucić na bruk. Najchętniej sama bym to zrobiła, ale nie mogłam się wycofać, kiedy już tak daleko zabrnęłam! Zastanawiałam się, co w tej chwili robią Nicole i Ewka. I co sobie myśli Sabine? Przecież chyba mnie poznała. A jeśli poznała, to teraz kipi do mnie nienawiścią. Rany, w co ja się dałam wplątać!

Usiedliśmy przy stoliku w kącie sali. Elegancko ubrany kelner natychmiast się skłonił i spytał, co zamówimy.

Carl poprosił o Dom Perignon. Na razie.

Kelner się oddalił. Serce biło mi jak przed egzekucją. Legrand oparł łokcie na białym obrusie, splótł ręce i spytał:

- Więc czego pani ode mnie oczekuje?

- Ukradł pan mój projekt - wypaliłam prosto z mostu.

- O!... Czy pani wie, kim jestem?

- Oczywiście, że wiem. Jest pan... złodziejem - wyszeptałam. Na razie nie było powodu robić grandy na całą knajpę.

- Śmiałe słowa! A może to pani udowodnić? - spytał lekko zbity z pantałyku.

- Mogę. Mam zdjęcia mojej czapeczki z czasu, kiedy ją nosiłam przed wyjazdem do Paryża. To ja wymyśliłam ten krój. Sześć klinów, przetarcia i daszek. Mój kaszkiet jest wyjątkowy! Kiedy przyjechałam z koleżanką do Paryża, cały Montmartre się naszymi kaszkietami zachwycał. I zaraz po tym pojawiły się identyczne czapki w pana kolekcji! Czy to jakiś dziwny zbieg okoliczności?

- Hmm... Sądzi pani, że szukałbym weny na ulicy?

- Właśnie tak sądzę.

Carl roześmiał się, ukazując doskonale zęby, zapewne efekt wielu wydanych u dentysty pieniędzy. Jednak czułam, że za chwilę zmięknie. Nie zapraszałyby mnie na tę rozmowę, gdyby nie miał na sumieniu plagiatu.

Kelner postawił przed nami dwa kieliszki i odkorkował butelkę Dom Perignon. Carl skinął ręką, że na razie więcej nie zamawiamy. Szkoda, bo burczało mi w brzuchu z głodu.

- Założmy więc - cedził słowa, podając mi kieliszek w bąbelkami - że faktycznie mnie pani nieco zainspirowała...

Omam się nie zakrztusiłam, wypijając pierwszy łyk.

- Może sobie pan to nazywać inspiracją, ale dla mnie jest to zwykły plagiat.

- Plagiat to mocne oskarżenie. Jest pani taka ładna i młoda. .. Czy chce pani tracić czas na takie głupoty? Nie lepiej pozwiedzać Paryż, kupić sobie jakieś ładne rzeczy?

- Pan coś sugeruje? - Rozmowa przybierała spodziewane tory. Od początku wiedziałam, że ten nadziany facet będzie chciał mnie, jeśli nie zabić, to przekupić.

- Ja tylko proponuję pani, abyśmy zawarli ugode. Nie ma sensu z tak błahego powodu tracić czasu na drogi sądowe... Czy pani wie, jak to wygląda we Francji?

- Nie. A jak? - spytałam zaciekawiona. Carl opróżnił kieliszek.

- Mój Boże. Takie sprawy ciągną się latami, a jak już się skończą, to obie strony są wykończone. A koszty sądowe! To kompletnie bez sensu! Jeśli pani przegra, to będzie pani bankrutem.

- A jeśli pan przegra? - Spojrzałam na niego z uśmiechem Mony Lizy.

- Nie przegram.

- A jeśli jednak?

- Do licha, nie! Ale wolałbym tego całego cyrku uniknąć.

- Ja w sumie też... - musiałam przyznać. Oczywiście wcale nie miałam takiego zamiaru, aby wielkiego Carla Legranda ciągnąć po sądach, bo musiałabym na ten czas zamieszkać w Paryżu, co było nierealne, a poza tym moja porażka byłaby nieunikniona. Plan Nicole miał polegać na wywołaniu w jej matce wątpliwości co do Carla, który na widok młodszej panienki zostawił ją na chodniku, a czapka była jedynie pretekstem, aby wzbudzić jego zainteresowanie. Jeśli jednak sam proponuje ugode, znaczy to, że jego sumienie nie jest czyste.

- To co, zawrzemy ugode? - Spojrzał na mnie z nadzieją.

- Pod warunkiem, że zamówi pan także coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Dyskutowaliśmy o ugodzie, jedząc kaczkę z truflami i popijając najdroższym szampanem. Carl zrobił się bardziej na luzie, nawet zaczął opowiadać jakieś anegdoty z dziedziny mody. W końcu przyznał się, że inspiracją do najnowszej kolekcji była moja czapka, ale nie miał zamiaru robić plagiatu, jedynie coś w tym stylu. A że wyszła identycznie, to inna sprawa. Przeprosił mnie i zaproponował rekompensatę. Głupio się czułam, kiedy spytał, ile mnie zadowoli, abym nie poszła z tym do sądu. Początkowo, może z powodu wypitych bąbelków, chciałam wszystko odwołać, ale w końcu otrzeźwiałam. Ten gość to hiena, która wykorzystuje cudze pomysły, a w dodatku kradnie cudze żony. Nie powinnam dawać mu żadnej taryfy ulgowej. Ponadto jest nieprzyzwoicie bogaty, a ja nie mam nawet na bagietkę! Zaprojektowałam hit na najbliższy sezon, a może nawet na długie lata, a on z tego będzie czerpał korzyści! Mój projekt! Ile jest wart mój własny projekt?

Rodzice nauczyli mnie uczciwości. Nigdy nikogo nie okradłam ani nie oszukałam. Teraz miałam dylemat moralny, czy powinnam brnąć dalej w tę dziwną rozmowę, czy wstać i wyjść z restauracji, zostawiając wielkiego projektanta mody z niepewnością, czy ta zuchwała dziewczyna z Polski nie wytoczy mu sprawy w sądzie o plagiat. Może taka niepewność byłaby dla niego wystarczającą karą? Tylko co ja z tego będę miała oprócz wątpliwej satysfakcji? Czy za tę „satysfakcję” kupię jutro Ewce bagietkę i serek? Nie, nikt mi nic nie sprzeda za taką walutę, choćby była z najczystszej źródła. A ten facet też pewnie wolałby wydać parę franków i mieć wrażenie, że zwyczajnie kupił mój projekt i ma do niego prawa. I on byłby zadowolony, i ja. Nigdy wcześniej nie targały mną takie dylematy. I nagle dotarło do mnie, że ja nie powinnam czuć się niezręcznie, ale on!

Carl zaczynał się niecierpliwie moim milczeniem.

- Czy mogę mówić pani po imieniu? - spytał, krzyżując sztucę na niedokończonym daniu. Był ode mnie ze dwa razy starszy.

- Oczywiście. Mam na imię Agnieszka.

- A zatem, Agneszio... (trochę mu nie wyszło, ale bardzo się starał), przyznaję, że popełniłem błąd. Powinienem najpierw zapytać ciebie o zgodę. Ale jak dostałem te zdjęcia...

Zaciekawił mnie.

- Jakie zdjęcia? - zrobiłam się czujna.

- A skąd miałbym wziąć wzór twojego kaszkietu? No fakt.

- To niech mi pan opowie, jak to było... - Carl.

- Dobrze, Carl. Opowiesz, jak do tego doszło?

- Oui.

No więc ktoś nas sfotografował, kiedy snułyśmy się po Place du Tertre. Dwie dziewczyny w tak charakterystycznych czapkach, że wszyscy nas zapamiętali. Nawet policja, dodałam już sobie prywatnie. No i ta osoba, znajoma Carla, pokazała mu te fotki. Potem mistrz doszedł do wniosku, że takie kaszkiety w stylu dawnych „gawroszek” należy przywrócić do łask w najbliższej kolekcji przeznaczony na sezon wiosenny przyszłego roku. Carl już widział paryżanki w kaszkietach mojego kroju w rozmaitych kolorach i deseniach. Przyznał, że pięknie się prezentowały na głowach modelek w połączeniu z luźnymi, obszernymi marynarkami i spodniami. I taką kolekcję stworzył tego lata, zapominając o drobnym szczególe. Że autorka pomysłu na kaszkiet z „jego” kolekcji nadal przebywa w Paryżu i czasami kupuje gazety.

- Kto zrobił nam te zdjęcia? - spytałam.

- Moja znajoma, czy to ważne kto?

- Sabine? - zaryzykowałam.

Carl omal się nie zakrztusił szampanem.

- Skąd?... Skąd to wiesz?

A więc to ona. Nie dość, że zdradzała Mariana, to jeszcze nas z Ewką sprzedała temu... To znaczy, nie nas, ale nasze kaszkiety! A ktoś mnie przestrzegął przed rudzielcami! Że są fałszywi! Z drugiej strony, Nicole też była ruda, ale nie taka jak jej mamusia. Spokojnie, pomyślałam. Nie należy nikogo osądzać według stereotypów.

- Wiem, i już.

Zostawiłam Carlowi troszkę niedomówień, co jeszcze bardziej podgrzało atmosferę potencjalnej ugody. W świetle zgromadzonych danych doszłam do wniosku, że nie tylko Carl, ale i Sabine powinna nas z Ewką przeprosić. Ale widziałam w tym także i dobrą stronę: teraz trzymałam asa w rękawie. I postanowiłam go zachować na odpowiedni moment.

Kaczka była przepyszna, więc zjadłam ją do końca, co w restauracji z czterema gwiazdkami nie było w dobrym stylu. W dobrym stylu było pozostawienie połowy dania na talerzu.' Carl zostawił swoje pół kaczki i obserwował z przerażeniem, jak ja z apetytem dojadam swoją porcję. Najgorsze, że obok stolika stał równie zdziwiony moim apetytem kelner. Gdybym pracowała w tej knajpie, to cieszyłby mnie widok gości zjadających wszystko, bo znaczyłoby to, że kuchnia jest dobra. Nigdy nie zrozumieję tych zarozumiałych wyższych sfer! Po co tyle hipokryzji? Kaczka była pyszna, a ja głodna, więc pochłonęłam całą, wraz z garni, co w eleganckiej restauracji musiało budzić zgorszenie.

- Uff! - Uśmiechnęłam się, kończąc posiłek. - Było przepyszne. - Skierowałam wzrok w stronę zdziwionego kelnera w czerwonej liberii. - Czy mogę poprosić o deser?

- Oczywiście - odparł z widocznym zadowoleniem. - A co pan poleca? - spytałam kelnera.

- Mamy wspaniałe tarte tatin, mousse au chocolat, lody czekoladowe z...

- Poproszę mus czekoladowy - zdecydowałam.

- A dla pana? - Kelner spojrzał na Carla. Ten tylko podniósł rękę na znak, że niczego nie chce. Kelner zabrał nasze talerze. Na talerzu Carla zostało jeszcze mnóstwo pysznej kaczki z truflami. Co za marnotrawstwo! Mimo woli przemknął mi przed oczami obraz głodujących dzieci w Afryce. I może dobrze się stało, że taki obraz ujrzałam, bo w tej samej chwili podjęłam decyzję co do naszej ugody.

Carl zapewne cały czas czekał, kiedy wreszcie zada mi to pytanie.

- Więc jaka suma cię zadowoli? Pytam poważnie. Załóżmy, że sprzedajesz mi swój projekt. Chciałbym, żebyś w ten sposób uzyskała zadośćuczynienie za naruszenie twoich praw autorskich.

Już wiedziałam, czego chcę. Oprócz musu czekoladowego, rzecz jasna.

- Trzy tysiące - wypaliłam, widząc oczami wyobraźni naszyjnik z lapis lazuli, który, miałam nadzieję, wciąż na mnie czekał w antykwariacie przy rue du ChercheMidi. To znaczy: dwa czterysta na naszyjnik, a resztę na jakiś fajny drobiazg dla Ewki. Carl omal nie zakrztusił się szampanem, słysząc moje żądanie.

- Zgadzam się. - Sięgnął po książeczkę czekową i długopis. Widziałam jego ironiczny uśmiezek, kiedy zabierał się do wypisywania czeku. Trzy tysiące to dla niego tyle, co dla mnie trzy franki.

- Oraz dwadzieścia tysięcy na cele charytatywne - dodałam. Carl udawał, że się przesłyszał. Zaczął się śmiać.

- Oj, Agnieszka, masz poczucie humoru...

- Mówię poważnie. Dwadzieścia tysięcy na głodujące dzieci w Afryce. Jest tu chyba w Paryżu jakaś fundacja charytatywna? O! Właśnie skończył się kolejny szczyt UNESCO. Z pewnością ta organizacja prowadzi akcje

humanitarne. Więc może być na UNESCO, tylko żeby na pewno te pieniądze dotarły do Afryki!

Carl zamarł z długopisem w ręku i spoglądał na mnie, jakbym była jego złym snem. Podszedł kelner i postawił przede mną wspaniale pachnący mus czekoladowy.

- Bon appetit! - powiedział z szerokim uśmiechem i odszedł. Od razu zatopiłam w deserze łyżeczkę.

- Mniam! Ale pycha - oznajmiłam. Carl wyglądał, jakby żałował, że też sobie nie zamówił.

- Mówisz poważnie? - spytał, wyjątkowo wyraziście cedząc francuskie słowa.

- Jak najpoważniej. Pyszny mus! Ale chcę, abyś przelała dwadzieścia tysięcy franków na cele dobroczynne. Czy to tak wiele? Czy wiesz, że to jest w sumie kropla w morzu potrzeb tych biednych dzieci? Oglądałeś kiedyś...

- Dość! Ja rozmawiam z tobą o twoich roszczeniach! Co mnie obchodzą...

- Ale to są właśnie moje roszczenia! - Posłałam mu spojrzenie, które jednoznacznie mówiło: nie odpuszczę. - I chciałabym - dodałam - aby znalazła się jakaś notatka w prasie o tym datku. Bo inaczej nie będę pewna, czy faktycznie przekazałeś te pieniądze. I nie wyjadę z Paryża, póki się nie upewnię.

Carl kiwał głową. W końcu zabrakło mu argumentów. Oto trafił na upartą dziewczynę. Pewnie sobie i tak przekalkulował, że to niewielka strata. Dwadzieścia trzy tysiące. Cena za spokój i w dodatku będzie miał dobrą prasę, jak dofinansuje głodujące dzieci. A niech tam! Każde dalsze spory z tą upartą dziewczuchą mogą się zakończyć jeszcze gorszym rezultatem.

- Zgoda - powiedział. - Zrobię to, co chcesz. I wypisał dla mnie czek na trzy tysiące. Obiecał też, że jutro z samego rana przekaże dwadzieścia tysięcy na dobroczynne konto

pomagające dzieciom w Sudanie dotkniętym plagą suszy i głodu. A więc jednak coś słyszał o Trzecim Świecie!

- Dziękuję - odparłam z ustami pełnymi czekoladowej pyszności.

- Ale dajesz mi słowo, że nie spotkamy się w sądzie?

- Mogę dać ci to nawet na piśmie...

- Wspaniale!

- Ale jak tylko przeczytam w bulwarowej prasie, że Carl Legrand przekazał umówioną sumę na cele dobroczynne.

- Rozumiem - odparł przyparty do muru.

O dziwo, nie wyszliśmy z restauracji zaraz po zjedzeniu przeze mnie deseru czekoladowego. Carl, już lekko wyluzowany, znajdując także dobre strony w zawartej przez nas ugodzie, usiłował mnie udobruchać rozmową o modzie, projektach strojów i wielkim, paryskim świecie mody. Zaproponował mi nawet, żebym została jego praktykantką! Być może powinnam się zgodzić, ale przecież musiałam wrócić do kraju i skończyć studia. Być może komuna nie dawała mi takich wspaniałych widoków na przyszłość jak propozycja Carla, ale jednak coś mnie ciągnęło z powrotem do tej naszej polskiej rzeczywistości. Może podskórne przekonanie, że coś się zmieni w kraju? Że doczekam czasów, kiedy i u nas będą takie miłe knajpki i będzie w nich można nawet zamówić ślimaki? Poza tym moda mnie nie rajcowała aż tak bardzo, wolałam projektowanie wnętrz, które studiowałam. Uszycie kaszkietu z sześciu wyciętych ze starych spodni klinów zajęło mi kilka godzin, a zaprojektowanie nowego wnętrza od zera to jest dopiero prawdziwe wyzwanie! Ktoś w końcu musiał wziąć się za te architektoniczne koszmarki! Aby nigdy więcej nie budowano takich domów jak blok moich rodziców.

Powiedziałam Carlowi, że świat mody nie jest dla mnie. Ale z przyjemnością pogadałam z nim o tym świecie,

zwłaszcza że zamówił jeszcze jedną butelkę szampana. Pod koniec wieczoru dał mi buziaka w policzek, co jakoś dziwnie zbiegło się z błyskiem flesza, który dochodził z głębi sali.

Potem Carl odwiózł mnie do domu, podziękował za miłe towarzystwo i już prawie dałabym się nabrać na te jego uprzejmości, ale wciąż miałam świadomość, że była to kolacja z wrogiem.

Na odchodnym jeszcze raz mu przypomniałam o przekazie na cele charytatywne.

Nie wiem dlaczego, ale byłam pewna, że mnie nie zawiedzie.

Była druga w nocy, kiedy najciszej jak umiałam otwierałam drzwi naszego studio. Weszłam na paluszkach do przedpokoju, aby nie zbudzić Ewki, a tu nagle światła się zapaliły i Ewka oraz Nicole rzuciły się na mnie, jakbym była towarem na wyprzedaży!

- I co, i co? - pytały chórem.

- W porządku - odparłam ich atak. Byłam zmęczona i nie miałam ochoty streszczać całej rozmowy z Carlem.

- Nie opowiesz nam? - spytała Nicole lekko zawiedziona.

- Może jutro. Teraz muszę iść spać. Padam. Poza tym, jutro rano musimy być w Sheratonie.

- Ale chociaż dwa słowa, proszę! - Nicole nie dawała za wygraną.

- Myślę, że twoja mamusia mocno narozrabiała...

- Przecież wiem, ale...

- Nicole. Jest dobrze, uwierz mi. Jutro sama zobaczysz. A teraz idziemy w kimono, bo z samego rana musimy być z Ewką na posterunku. Jutro wieczorem pogadamy, zgoda?

- Skoro tak mówisz... - Nicole z żalem, niedoinformowana, opuściła swoje własne mieszkanie. Nie było w nim miejsca dla nas trzech, a my musiałyśmy się wyspać.

Zanim zasnęłam, Ewka spytała:

- Ale załatwiłaś wszystko, jak planowałyśmy?

- Myślę, że nawet lepiej - odpowiedziałam zadowolona, że ten cały cyrk wreszcie się skończył.

- Jutro twoja kolej po bagietkę - szepnęła Ewka na dobranoc.

- Merde!

Następnego dnia rano byłam równie mocno niedospana, jak zadowolona z wypełnionej misji. Jeszcze nie do końca do mnie docierały efekty rozmowy z Carlem, kiedy jechałyśmy

metrem do pracy. W mojej krwi wciąż buzował nadmiar adrenaliny. Siedziałyśmy w tyle przedziału, wtulone pomiędzy cielsko grubej Murzynki a gościa czytającego „Le Figaro”. Nawet na rozmowę nie miałyśmy sił. Każda z nas trawiła resztki snu na swój sposób.

A potem Isabelle przywróciła nas do pionu i na sentymenty nie było czasu. Znowu apartamenty, znowu zajęte przez jakichś ważniaków z Arabii Saudyjskiej. Jeśli o mnie chodzi, to już żadni goście nie robili na mnie wrażenia. Gość hotelowy, to gość, i tyle! Byłam zapewne zbyt mało obeznana z tak zwanym wielkim światem, żeby się nad tym zastanawiać.

Jednak hotel, w którym pracowałyśmy, był hotelem arabskim. Nic więc dziwnego, że szejkowie nawiedzali go często. W końcu, czuli się tu jak u siebie.

Snuli się po korytarzach w białych strojach i turbanach. Rozmawiali po arabsku. Na ich rękach lśniły złote zegarki w grubych bransoletkach. Chodziłyśmy z Ewką cały dzień na paluszkach, aby ich nie niepokoić.

Uwijałyśmy się jak dwie niewidzialne myszki i miałyśmy nadzieję, że nie będziemy potrzebne do niczego więcej niż standardowego sprzątnia.

Niestety, poproszono mnie o przyniesienie lunchu do pokoju.

Poprawiłam uniform i włosy, i z podniesioną głową popchnęłam wózek z tacami pełnymi jedzenia, przykrytymi srebrnymi przykrywkami, do apartamentu 3060 na ostatnim piętrze Sheratona.

Zapukałam i po chwili drzwi otworzył gość w czarnym garniturze i ciemnych okularach. Prywatny ochroniarz? Czuję się, jakbym grała w filmie. W apartamencie było pełno facetów ubranych w białe szaty i turbany w czerwono - białą kratkę. Postawiłam chariot na środku salonu i skłoniłam

się lekko, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Ochroniarz podnosił srebrne pokrywy i zaglądał do półmisek. Czego tam szukał? Do jednej prawie wsadził nos, inną podniósł i oglądał od spodu. Stałam obok, czekając na znak do odwrotu. W końcu facet w ciemnych okularach pokazał mi drzwi, więc obróciłam się na pięcie.

Ale kiedy już byłam przy wyjściu, podszedł jeden z gości i wręczył mi napiwek. Nie patrząc na banknot, schowałam go do kieszeni. Dopiero na korytarzu stwierdziłam, że to sto franków!

Nigdy nie dostałam tak wysokiego napiwku! Jeszcze trochę, a zaczęłabym lubić muzułmanów.

Nie, nie zaczęję!

To oni porwali Ewkę. To oni traktują kobiety jak istoty drugiej kategorii. Jeden szejka arabski z napiwkiem godnym szejka nic nie zmienia.

W przerwie na lunch Ewka mi nie odpuściła. Musiałam opowiedzieć jej krok po kroku przebieg wczorajszej kolacji z Carlem.

Wiec opowiedziałam.

Kiedy doszłam do momentu przekazania pieniędzy na cel dobroczynny, Ewka była w siódmym niebie.

- Nie wierzę! Naprawdę to zrobiłaś? Wyciągnęłaś z niego dwadzieścia tysięcy na cel dobroczynny?

- Mam taką nadzieję.

- He, he, he! Super! - Ewka była pełna podziwu.

- A co wy robiłyście? Przecież nie było mnie ze trzy godziny!

- E tam... - machnęła ręką. - Szkoda gadać. Matka Nicole była zła, że ją Carl wysadził z auta, a ponieważ nas zauważyła, to już nie było sensu się ukrywać. Zresztą, od razu cię poznała. Nie miała tylko zielonego pojęcia, co my tam robimy i dlaczego zaczepiłaś Carla.

- I co? Wyjaśniłaś jej moje motywy?

- No, tylko tyle, ile ustaliłyśmy wcześniej. Czyli że chciałaś go dopaść z powodu plagiatu.

- I to ją uspokoiło?

- Skądże! Była przekonana, że Carl wsadził cię do swego auta, żeby poderwać kolejną młodą laskę.

- No to super, bo w końcu o to chodziło. - Aż bałam się pomyśleć o najbliższym spotkaniu z Sabine. Jeśli nie rzuci we mnie jakimś ciężkim wazonem, to przejedzie mi po twarzy swoimi długimi czerwonymi paznokciami. I wyrzuci nas z mieszkania...

- O mieszkanie się nie martw, to studio Mariana, ona nic do niego nie ma - uspokoiła mnie Ewka.

- Skąd wiedziałaś, że właśnie o tym pomyślałam?

- Oj, Aga! A od kiedy jesteśmy przyjaciółkami?

To prawda. Byłyśmy przyjaciółkami w prawdziwym tego słowa znaczeniu od wielu lat. Myślałyśmy to samo w danych chwilach, miałyśmy podobne poczucie humoru i wariackie pomysły. Na studiach często wpadałyśmy na niemal identyczne rozwiązania projektowe. Przeżyłyśmy razem wiele wzlotów i upadków. Ewka miała brata, ja dwóch braci. Więc, byłyśmy dla siebie jakby siostrami, których żadna z nas nie miała. Mogłam ufać Ewce całkowicie i mam nadzieję, że ja także nigdy jej nie zawiodłam, no, może jedynie wtedy, kiedy nie zapobiegłam jej porwaniu. Tylko że jej to porwanie się koniec końców spodobało, więc chyba powinnam przestać się tym zadreć. Teraz znowu miałyśmy wspólną pracę, wpakowałyśmy się razem w kolejną aferę i z pewnością będziemy się wspierać, nawet kosztem utraty mieszkania, przyjaźni Nicole czy Mariana, bo jeśli chodzi o Sabine, to już mogłyśmy ją skreślić z listy naszych paryskich przyjaciół.

Po lunchu wróciłyśmy na trzydzieste piętro, na którym koczowali Saudyjczycy. Najwyraźniej prowadzili jakieś

ważne rozmowy biznesowe z Francuzami, bo tych drugich, w eleganckich garniturach, też sporo się kręciło po piętze. Isabelle dawała nam sygnały z dyżurki, które apartamenty są wolne. Pucowaliśmy więc łazienki po muzułmańskich gościach, ścieliłyśmy przepastne łóżka, układaliśmy wielkie białe ręczniki w równiutkie kostki, wycierałyśmy lustra i kładłyśmy gadzety na stałych miejscach.

Muszę przyznać, że pokoje były czyściutkie i czasami moja obecność była w nich całkowicie zbędna, ale skoro płacono nam tyle samo za udawaną, ile za prawdziwą pracę, to nie było powodów do narzekań. Gdzieś niedaleko, w wielkiej sali konferencyjnej, toczyły się rozmowy na wysokim szczeblu, a my, nic nieznaczące pokojówki, miałyśmy tylko sprawić, aby wracający do pokoju goście mogli ponownie pognieść idealnie zasłane łóżka, rozrzucić świeże ręczniki, zachlapać czyściutkie umywalki.

Około siedemnastej byłyśmy wolne. Od razu zaciągnęłam Ewkę do najbliższego banku Credit Lyonnais. Myślała, że mi odbiło, dopóki nie zrealizowałam czeku od Carla na trzy tysiące franków. Akurat ten szczegół pominęłam w moim opowiadaniu, bo chciałam Ewce zrobić niespodziankę. I udało się! Ewka, jak zobaczyła taką kupę forsy, omal nie zemdląła. Musiałam ją szybko z banku wyprowadzić, bo jakoś dziwnie zaczęła nam się przyglądać ochrona.

- No to mamy na bagietki do końca pobytu! - krzyknęła Ewka, kiedy już byłyśmy na ulicy.

- Na bagietki też zostanie. Idziemy sobie kupić prezenciki.

- Prezenciki?

Z Montparnasse nie było tam daleko. Jedna ulica w lewo, druga w prawo i już byłyśmy ponownie na pięknej rue du Cherche - Midi, którą nazwałam: ulicą Szukającą Południa. Ewka chyba zaczęła się domyślać, do czego zmierzam.

- Pamiętasz tę wredną ekspedientkę?
 - Tę, która nas pilnowała, abyśmy czegoś nie zwinęły?
 - Dokładnie.
 - Trudno zapomnieć tę zdziwę - stwierdziła Ewka.
 - Trzeba ją nauczyć szacunku dla klientów - odparłam.
- Ewka pokiwała głową na znak pełnej aprobaty.

Na wystawie nadal leżał, pomiędzy innymi cackami, mój wymarzony naszyjnik z lapis lazuli. Bardzo się ucieszyłam na jego widok. Bałam się, że już ktoś go kupił. Najwyraźniej był mi przeznaczony przez los, niewierną Sabine i Carla, który ukradł mój projekt.

Weszliśmy do wnętrza antykwariatu, uruchamiając dzwoneczek zawieszony nad drzwiami. Na jego dźwięk zza intarsjowanego osiemnastowiecznego biurka podniosła się leniwie ta sama drobna kobietka co wtedy. Dziś ubrana była w czerwoną bluzkę i szarą, wąską spódnicę, a na nogach miała, oczywiście, czarne szpileczki. Chyba nas rozpoznała, bo jej napięta, wąska twarz zrobiła się jeszcze węższa i pozbawiona cienia sympatii.

- Bonjour, madame! - powitałam ją uśmiechem. Ewka powtórzyła powitanie jak echo.

- Bonjour. Czym mogę służyć? - W jej pytaniu już kryła się odpowiedź: niczym. I jeszcze: nic tu po was. Miała to wszystko wypisane na twarzy.

- Kilka dni temu byłam zainteresowana jednym z naszyjników. .. - zaczęłam delikatnie, aby jak najdłużej przeciągnąć tę słodką chwilę zemsty.

- Tak? - Podeszła bliżej. Uderzył mnie zapach Chanel 5. Zero fantazji! Jest tyle innych, ciekawszych zapachów w paryskich perfumeriach. - Czy ponownie chce pani go sobie obejrzeć? - Słowo „obejrzeć” zaakcentowała szczególnie.

- Owszem, byłabym wdzięczna. - Uśmiechnęłam się.

- Przecież widać go na wystawie. - Wskazała ręką jasno oświetloną witrynę.

- Ale ja jednak bardzo bym chciała jeszcze raz go zobaczyć z bliska - nalegałam, nadal z uśmiechem.

- Skoro koniecznie chce się pani jeszcze raz nim nacieszyć, to proszę. - Podeszła do witryny, otworzyła kluczykiem okno od wewnątrz i wyjęła mój wymarzony naszyjnik. Była wściekła. Z góry założyła, że jestem z innego świata, bo kiepsko mówię po francusku, a mój strój nie pochodzi od Diora, Chanel, czy... Legranda! Na myśl o Legrandzie aż zachciało mi się śmiać.

- Piękny! - powiedziałam, kiedy moje dłonie pieściły lapis lazuli, klejnot królowej Egiptu. Kobieta nie spuszczała z niego wzroku.

- Ile kosztuje? - spytałam, choć dobrze wiedziałam ile.

- Cena jest na metce - odparła sprzedawczyni. Zajrzałam na metkę: 2400.

- W takim razie proszę go zapakować. - Oddałam jej naszyjnik. Kobieta stała zdziwiona, jakby nie zrozumiała, że chcę go kupić.

- Pani go kupuje? - spytała niepewna.

- Tak. I może jeszcze jakieś kolczyki? Co pani poleca? Ewka też świetnie się bawiła. Zanim weszliśmy do sklepu, ustaliłyśmy, że znajdzie coś fajnego dla siebie.

- Te są piękne... - Ewka wskazała na zestaw delikatnych kolczyków z cyrkoniami.

- Faktycznie, bardzo ładne - przyznałam.

Ekspedientka podała Ewce kolczyki do rąk. Cały czas kontrolowała, czy czegoś nie kombinujemy. Kiedy więc podeszliśmy do lady, spytała:

- Karta czy gotówka?

- Gotówka.

- Dwa tysiące sześćset osiemdziesiąt dziewięć franków - podsumowała. Były to czasy, kiedy jeszcze taka płatność gotówką nie wzbudzała podejrzeń.

Wyjęłam plik banknotów i zapłaciłam.

Kiedy ostatecznie przekonałyśmy tę skamielinę, że nie jesteśmy żebraczkami, nagle jej twarz się rozpromieniła. Zapakowała nasze klejnoty w piękne pudełeczka, zawiązała kokardki i dołożyła dwa miniaturowe zestawy Chanel 5 gratis. Jasne się stało, kto ten antykwariat sponsoruje.

- Zapraszam ponownie! - szczebiotała, kiedy wychodziłyśmy.

- Zakupy w pani sklepie to czysta przyjemność - powiedziała Ewka.

- Może kiedyś - dodałam, patrząc na sprzedawczynię ostrzegawczym spojrzeniem.

Trochę się chyba spieszyła.

- Pod warunkiem, że nie będzie pani nikogo oceniać po pozorach - dodałam.

- Bien sur, oczywiście,..

W życiu nie miałam czegoś równie pięknego! Usiadłyśmy z Ewką na najbliższej ławeczce na bulwarze, aby się nacieszyć naszą zdobyczą.

Troszkę było mi głupio, że gros kasy poszło na mój wymarzony naszyjnik, ale Ewka przyznała, że to jasne i oczywiste, bo Carl skradł mój projekt. I trzeba było z niego wyciągnąć pięć razy więcej, dodała patrząc na swoje kolczyki. A zaraz potem zaprzeczyła.

- Aguś, dobrze zrobiłaś. Wzięłaś dla siebie takie minimum, dla niego to chyba pryszcz... A reszta na cel charytatywny. Coś w końcu należało ci się od tego palanta. Pokaż ten naszyjnik... Rany! Jest super!

Ciemnobłękitny kamień królowej Egiptu był wyjątkowy! Nie mogłam wciąż uwierzyć, że jest mój!

Wracaliśmy do domu, wiedząc, że czeka nas jeszcze krzyżowa przeprawa z Nicole i jej matką. Dlatego nie spieszyliśmy się wcale. Ale co ma się stać, to się stanie.

Pod naszym domem już czekała zdenerwowana Nicole.

- Gdzie wy, u diabła, się podziewałyście? - przywitała nas.

- Wracamy z pracy - wyjaśniłam.

- Pieszko?

- Miałyśmy ochotę na spacer - dodała Ewka.

- Okej, sorry. Ale czekam tu już od godziny. - Troszkę się uspokoiła.

- Coś się stało? - zapytałam.

- Ano stało się! I to niejedno! - Nicole złapała oddech. Najwidoczniej dużo się wydarzyło w czasie, kiedy robiłyśmy zakupy w antykwariacie.

- Chodźmy na wino - zaproponowała. Usiadłyśmy w kąciaku Le Buffet, od niedawna naszej stałej knajpki, gdzie rozstrzygały się sprawy życia i śmierci. Dostałyśmy wino i menu, które na razie musiało zaczekać. Nicole przypominała bowiem bombę z opóźnionym zapłonem. Obie z Ewką zamieniłyśmy się w jedno wielkie ucho.

- Widziałyście to zdjęcie? - zaczęła Nicole.

- Jakie zdjęcie? - spytałyśmy z Ewką jednocześnie.

- Rany boskie! A gdzie wy byliście cały dzień?

- My? Jak to, gdzie? Sprzątałyśmy apartamenty w Sheratonie! - wyjaśniła Ewka. Nicole spojrzała na nas, jakbyśmy właśnie wróciły z Marsa.

- Cały Paryż o tym huczy, a wy nic nie wiecie? Oczy nam się mocno rozszerzyły. O czym nie wiemy?

- No to patrzcie! - Nicole rzuciła na stół kilka najnowszych pism paryskich, tych, które żyją ze skandali, afer i innych tego rodzaju wydarzeń. Na pierwszych stronach było to samo zdjęcie. Raz bardziej wyraźne, innym mniej. Ale nie

ulegało wątpliwości, że na zdjęciu tym był Carl i... ja! Zdjęcie zrobiono w restauracji, kiedy Carl dawał mi buziaka w policzek. Ale wyglądało całkiem inaczej! Wyglądało tak, jakbym się z nim... całowała!

- O Boże! - wyjąkałam.

- Aguś! - krzyknęła Nicole. - Aguś ty moja kochana! Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy! - Nie miałam pojęcia, skąd tyle entuzjazmu u Nicole na widok tego fałszywego zdjęcia.

- Ale to był tylko nic nieznaczący pocałunek...

- Nieważne! Ważne, jak to odebrała moja matka! - Nicole była zachwycona.

- A... jak? - spytała Ewka, uprzedzając mnie.

- Rany, gdybyście ją widziały! Wściekła się na Carla i na ciebie też... Wybacz, Aguś, ja ci to jakoś wynagrodzę.. . Ale najważniejsze jest to, że nazwała Carla dupkiem i oznajmiła, że już nigdy więcej z nim się nie spotka! Mnie wyzwala od zdrajczyń, kolaborantów i szpiegów. A ciebie... lepiej ci nie powtórzę. Ale cel został osiągnięty. Moja matka ma Carla powyżej uszu.

I nas też, pomyślałam ze zgrozą.

- A twój ojciec o tym wie? - spytała Ewka. Ja wciąż przyglądałam się zdjęciom w brukowcach. Nawet nieźle wyglądałam z profilu w moim kaszkiecie, kiedy słynny Carl dawał mi całusa. Te gazetki na pewno zabiorę ze sobą do kraju. Będę miała w razie czego dowód rzeczowy, na wypadek, jeśli Carl nie wywiąże się z umowy. No właśnie! Tego dnia powinna być także notka o jego datku! Tylko w jakiej gazecie?

- Mój ojciec nadal ukrywa się w swojej samotni. Dzwoniłam do niego, ale tam nawet telefon nie działa! To mieszkanie jest jak oaza na pustyni! Żeby z nim pogadać, muszę tam pojechać. Ale najpierw chciałam porozmawiać z

wami. Bo potrzebuję waszej rady... Co robić, aby uratować małżeństwo moich rodziców?

- Spokojnie. - Tylko to przyszło mi do głowy. - Jak będziemy działać z rozwagą, to na pewno coś wymyślimy.

- Jedźmy do niego - zaproponowała Ewka.

- Nie. Najpierw odwiedzmy twoją matkę. - Spojrzałam na Nicole. - Musimy się upewnić, że Sabine jest gotowa przeprosić Mariana. A jeśli będzie gotowa, to może da się namówić, żeby pojechała tam z nami?

- Dobry plan, popieram - powiedziała Ewka.

- O rany, aż się boję, co na to powie moja matka. Ale wydaje mi się, że to jedyny sposób. Terapia wstrząsowa.

- Mam w zanadrzu jeszcze jeden atut... - dodałam tajemniczo.

- Jaki? - spytała Nicole.

- Wołałabym to zostawić na później... - Skoro tak....

Weszliśmy na górę, aby się trochę odświeżyć, szybko przekąśliśmy po kawałku bagietki z serem, przecież nie liczyliśmy, że Sabine nas poczęstuje kolacją, i około ósmej wyszliśmy z naszego, a właściwie z Nicole mieszkania i skierowałyśmy się po stromych schodach z Montmartre w dół.

Bałam się spotkania z Sabine. Matka Nicole miała powody, aby mi dokopać. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że Ewka i Nicole mnie przed nią obronią.

Za późno było na odkręcanie tego, co zrobiłam.

Na widok Sabine moje wyrzuty sumienia jeszcze się pogłębiły. Miała rozmazany makijaż, niedbałą fryzurę i czerwone oczy. Kiedy dostrzegła mnie, chowającą się nieudolnie za plecami Ewki i Nicole, próbowała zatrzaskać nam drzwi przed nosem, ale jej córka była szybsza. Pchnęła je i wszystkie trzy wtargnęłyśmy do przedpokoju.

Sabine wyglądała żałośnie. Zrobiło mi się jej żal. Przecież nic nie wiedziałam o jej związku z Marianem. A może był tak

bardzo nieudany, że naprawdę potrzebowała pocieszenia? Może wtargnęłam z butami w cudze życie, nie mając pojęcia, że wyrządzam więcej zła niż pożytku?

- Mamo, musimy porozmawiać - oznajmiła Nicole. Sabine spojrziała na córkę z nieukrywanym bólem.

- Jak mogłaś mi to zrobić... - jęknęła.

- A jak mogłaś ty to zrobić ojcu? - odparowała Nicole. - Co ty wiesz! - parsknęła Sabine. Jej rude włosy zdawały się krzyczeć razem z nią.

- Mamo, ten facet to dziwkarz! I tak by cię zostawił! Nie przekonała cię wczorajsza noc?

Trochę mnie to zabolalo. Ale, dla dobra sprawy, nie protestowałam.

- Ukartowałyście to razem. - Spojrzała na mnie i gdyby wzrok zabijał, już bym nie żyła.

- To był wyłącznie mój pomysł - wyjaśniła Nicole.

- Cudownie! Czekasz na oklaski? A ona wcale nie musiała się zgodzić! - Co prawda, to prawda. - A teraz masz! Jestem pośmiewiskiem Paryża! Jeśli tego chciałaś, to znakomicie ci się udało! - Rzuciła na stół kilka ilustrowanych czasopism. - Własna córka! Nie mogę w to uwierzyć!

- Piszą o tym w gazetach? - spytała Ewka. Nicole, udając zdziwienie, wzięła do ręki pierwsze z brzegu brukowe pismo paryskie. Ewka i ja wlepiłyśmy oczy w jego okładkę i też udawałyśmy zaskoczone.

„Nowa modelka czy kochanka?” - brzmiał nagłówek. A pod nim zdjęcie zrobione w restauracji, dokładnie w jedynej chwili, kiedy Carl dał mi niewinnego buziaka w policzek. Jednak na zdjęciu, zrobionym z innej perspektywy, wyglądało to, jakbyśmy się całowali! W kadrze zmieściła się jeszcze butelka szampana i dwa kieliszki! Jeśli autor tego zdjęcia żyje z przeinaczania rzeczywistości, tak aby przedstawiała to, co chce ujrzeć tłuszcza, to musiałam przyznać, był geniuszem w

swoim fachu. Każdy uwierzyłby, widząc tę fotkę, że przedstawia wielkiego Carla Legranda z nową kochanką podczas szampańskiej kolacji we dwoje. Jedyne, co na tym zdjęciu bardzo mi się podobało, to mój kaszkiet. Pięknie się zaprezentował i w razie czego miałam na Carla dodatkowego haka.

- A zobacz to! - wykrzyknęła Ewka mocno podekscytowana, wskazując zdjęcia poniżej. O rany! Były tam fotki ze scenki sprzed hotelu InterContinental. Kilka zdjęć, jakby robionych krok po kroku, zgodnie z rozwojem wydarzeń. Była więc uśmiechnięta od ucha do ucha Sabine wychodząca z Carlem z obrotowych drzwi hotelu, byłam ja, jak podbiegam do Carla, i jego zdziwiona mina, była noga Sabine wystająca z auta, a na ostatnim zdjęciu znowu Sabine, ale tym razem stojąca sama za chodnikiem, a w oddali odjeżdżające auto Carla ze mną za szybą!

Czyli była to obrazkowa wersja wydarzeń wczorajszej nocy. Nic dodać, nic ująć. Gdybym czytała takie gazety, uwierzyłabym, że Carl ma nową kochankę. Rany! W co ja się wpakowałam!

W dodatku inne gazety miały podobne zdjęcia na okładkach, tylko tytuły się różniły. W jednym było: „Wielki Carl i nieznajoma w kaszkiecie”, w innym: „Kim jest ta dziewczyna?”, a w jeszcze innym: „Haute couture w stylu Carla?”.

I tak dalej, hej, ho, jakby w podobnej sytuacji napisał Kurt Vonnegut jun. Obie z Ewką byłyśmy fankami „Śniadania mistrzów”. Więc jego słynne: hej, ho, pasowało idealnie do tej chwili.

- O rany, Aga... - jęknęła Ewka.

- No to mam przerabane... - podsumowałam. - Będę od dziś chodziła kanałami.

Ewka parsknęła śmiechem.

- Coś ty! Będiesz od dziś sławna! - Ewka miała, jak widać, nieco inne spojrzenie na sprawę.

- Nie sądziłam, że z tego zrobi się aż tyle szumu...

- przepraszającym głosem wyszeptała Nicole.

Jej matka siedziała skulona na sofie. Spojrzałam na biedną, upokorzoną kobietę i poczułam się podle. Jak mogłam się dać w to wciągnąć?

- Przepraszam panią. - Podeszłam do niej. - Nie miałam pojęcia, że to wszystko tak się skończy... Ale to także pani wina...

- Słucham? Ty masz czelność mnie osądzać? - Jej twarz zrobiła się purpurowa ze złości.

- Nie chodzi o Carla... - dukałam niepewnie. - Ja nie z tego powodu...

Przeszywała mnie wzrokiem pełnym nienawiści. Wcale jej się nie dziwiłam.

- Chciałam się spotkać z Carlem z powodu... plagiatu - wyznałam.

Zmarszczyła brwi.

- Plagiatu? - udawała, że nie wie, o czym mowa.

- Tak, bo Carl ukradł mój pomysł na kaszkiet. Ten oto.

- Wskazałam na moje nakrycie głowy. Sabine uśmiechnęła się ironicznie.

- Carl miałby ukraść twój pomysł? - Roześmiała się.

- A kim ty jesteś, dziewczyno? Myślisz, że Carl potrzebuje takich inspiracji? Że nie ma dość własnej wyobraźni?

- Śmiała się dalej. Nie sądziłam, że po tym wszystkim jeszcze go będzie bronić.

- A jeśli sam się do tego przyznał?

- Słucham? - Matka Nicole wstała i zaczęła krążyć po salonie wściekła jak osa. - Nie mam ochoty dalej słuchać tych bzdur! Nicole, zabierz swoje koleżanki i zejdźcie mi z oczu!

Nicole nie zareagowała. Ewka skuliła się w kącie za stołem w stylu Ludwika XVI, gotowa do ucieczki w każdej chwili. Co prawda, jeszcze nic nie latało w powietrzu, ale lada moment mogły nas zacząć bombardować jakieś przedmioty.

- Carl zaproponował mi ugode - ciągnęłam uparcie.

- Ugode? Carl? Tobie? - Sabine kiwała głową, jej oczy płonęły, a włosy znowu odżyły. Gdyby w tej chwili namalował ją Vincent van Gogh, obraz nosiłby tytuł: „Piękna złoźnica”.

- Właśnie. Bo przyznał się, że do nowej kolekcji wykorzystał zdjęcia mojej czapki. - Piękna złoźnica przystanęła i zbladła. - I to pani dała mu te zdjęcia! - dodałam głosem wyraźnym i donośnym.

- Och! - krzyknęła Nicole. - Mamo, czy to prawda? - Nicole nic o tym nie wiedziała aż do tej chwili. Podobnie jak Ewka. Z trudem, ale udało mi się zachować tego asa na sam koniec gry.

- Pani nas sprzedała temu... projektantowi? - odezwała się Ewka.

- Nie was, tylko te wasze śmieszne czapki! - przyznała Sabine.

Nicole opadła na kanapę i zasłoniła oczy ręką. Sabine usiadła naprzeciwko. Ewka padła na najbliższy fotel, a ja z trudem, ale dalej stałam.

W ciszy, która wypełniła stylowy salon, słychać było jedynie tykanie zabytkowego zegara Beckera stojącego przy kominku. Jakby na zawołanie, aby zagłuszyć krępującą ciszę, zaczął wybijać godzinę dziesiątą.

Nie wiem dlaczego przypominałam sobie podobny zegar w domu mojej babci. Kiedy byłam mała, bałam się spać w pokoju, w którym stał. Zawsze, zanim zaczął wybijać godzinę, najpierw jego mechanizm wydawał taki straszny dźwięk przypominający charczenie. Tak jakby brał głęboki oddech przed biciem. A potem były bezsenne noce, bo zegar nie

pozwalał mi zasnąć. Uwielbiałam bywać u babci w starym domu, spać pod pierzyną z prawdziwego pierza, ale ten zegar mnie przerażał. A kiedy w końcu udawało mi się zasnąć, zwykle było już jasno za oknem. I wtedy odzywał się kogut. Piał i dalej już spać się nie dało. Ale to było kilkanaście lat temu. Dziś dałabym wiele, aby babcia nadal żyła i abym mogła nasłuchiwać bicia tego ogromnego zegara kosztem snu. I znowu bawić się w jej ogromnym ogrodzie, pełnym kwiatów i owoców. Teraz, zupełnie niechcący, zapragnęłam uciec w bezpieczne czasy dzieciństwa.

- Przepraszam... - usłyszałyśmy cichy głos Sabine. Płakała. - Nie chciałam zrobić nic złego. Dałam mu te zdjęcia, bo uznałam... Bo myślałam, że to naprawdę fajne i świeże pomysły... Miałam nadzieję, że tylko coś z tego wykorzysta, a nie że skopiuje wasz pomysł... Ale nic mnie nie usprawiedliwia. Nie powinnam tego robić. A przynajmniej powinnam was zapytać o zgodę...

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Może nastał czas dla Sabine? Niech wyleje z siebie wszystkie żale.

No i potoczyły się jak rzeka, która, od lat ujarzmiona tamą, nagle się odblokowała.

- Marian całe życie siedzi na placu i wycina profile... A jak ma wolną chwilę, to maluje albo coś innego dłubie... Jestem samotna od wielu lat. Nicole, ciebie nie ma w domu od dawna, to nie wiesz. Musiałam... Nie, nie musiałam, ale chciałam być wśród ludzi... Chciałam czuć się kobietą. Czasami ubrać się elegancko, mieć jakiś powód, aby z szuflady wyciągnąć perły... Marian tego nie rozumie. Dla niego to wszystko jest idiotyczne i niepotrzebne! Trudno go namówić na wyjście do restauracji, a co dopiero na pokaz mody! Bardzo się różnimy, ale to przecież nie znaczy, że się nie kochamy...

Sabine wyciągnęła chusteczkę z paczuszki leżącej na stoliku. Wytarła nos i wyprostowała się. Spojrzała na mnie. W jej oczach nie było już nienawiści. Była w nich łagodność.

- Przepraszam cię, Aga... Wiem, że nie miałaś zamiaru zrobić nic złego. Nie powinnam was w to wszystko mieszać. Ale, choć niechcący, dałaś mi nauczkę... - uśmiechnęła się przez łzy - bo dzięki tej całej aferze pojęłam, że Carl jest w gruncie rzeczy cholernym egoistą. I tak wiem, że nasz romans nie potrwałby dłużej niż do wiosny, więc nie ma czego żałować... Zresztą, co to był za romans! On i tak nie wie, czego potrzebują kobiety. Ubiera je, ale to wszystko! A jak masz chęć mu się zwierzyć, to ucieka od tematu... Żałuję, że tak się stało. I teraz nie mam pojęcia, jak to odkręcić... Nicole...

Nicole usiadła bliżej matki.

- Przepraszam cię, córeczko. Twój ojciec jest jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek naprawdę kochałam. I dałabym wiele, żeby do mnie wrócił... Ale jak mam to zrobić?

- I rozplakała się na dobre. Nicole otoczyła matkę ramieniem.

- To może zaczniemy od wyciągnięcia go z tej nory? - spytała.

Kiedyś w końcu trzeba się wyspać. Wróciliśmy do domu o pierwszej w nocy i zasnęliśmy pogodzone z rzeczywistością, a nawet zadowolone, bo w jednej z zabranych od Sabine gazet znalazłyśmy notatkę, że Carl Legrand przeznaczył dwadzieścia tysięcy franków na fundację wspomagającą głodujące dzieci w Afryce.

Nie mogłam w to uwierzyć! A jednak mnie nie zawiódł. Czy zrobił to ze współczucia dla głodnych dzieci, czy ze strachu przed moją zemstą, pozostawało dla mnie pytaniem, na które wolałam nie dawać sobie odpowiedzi.

Ale przelał obiecaną sumę i to mi wystarczyło, aby zasnąć w poczuciu dobrze wypełnionej misji. A na stoliku obok łóżka, w którego kącie chrapała już zmęczona Ewka, leżał przepiękny naszyjnik z niebieskim kamieniem królowej Egiptu. Czy kiedykolwiek będę miała okazję go założyć? Zastanawiałam się, jaka to musi być okazja, aby taki klejnot znalazł się na mojej szyi.

W metrze miałam wrażenie, że wszyscy dziwnie mi się przyglądają. Siedziałyśmy z Ewką zaspane i skulone w samym kącie przy wyjściu, ale kilka wlepionych w nas par oczu nie dawało mi spokoju. A kiedy wysiadałyśmy na stacji Montparnasse, usłyszałyśmy ciche szepty za plecami.

- Czy to ta nowa kochanka Carla Legranda? I tym podobne, hej, ho.

Miałam to w głębokim poważaniu. Za kilka dni wyjadę z Paryża, a biedny Carl będzie się z tego spowiadał. Nawet mnie to zaczęło bawić. Kaszkiety sprzedałam za równowartość dwudziestu trzech tysięcy franków. Kiedy je szylam w Polsce według własnego widzimisie, były warte tyle, co kawałki starego dżinsu. Plus złotówka wszyta w guziczek zwieńczający kaszkiet. Teraz zrobiły karierę w europejskiej

stolicy mody! Czyż mogłabym pochwalić się większym sukcesem?

Tego dnia praca w hotelu szła nam lekko jak po maśle. Dostałyśmy zwykłe pokoje na szesnastym piętrze, ale obie na tym samym, więc był czas na chwilę przerwy, na pogawędki i całkiem długi lunch.

Nawet z chęcią powitałyśmy nasze różowe fartuszki. Nie było w tym dniu żadnych szejków i związanego z tym stresu. Pucowałyśmy normalne dwójki, trójki i jedyńki. W przypływie dobrego humoru nawet wyczyściłyśmy dywany za pomocą wielkiego odkurzacza, który wchłaniał wszystko, co się znalazło w promieniu paru metrów.

Pokoje były czyste i bez naszej interwencji, bo zajmowali je głównie turyści z Japonii.

Pod każdą poduszką znajdowałyśmy po kilka franków napiwku. Po całej dniówce byłyśmy więc bogatsze o ponad sto franków każda, czyli o połowę tego, ile płacono nam za każdy dzień pracy. Isabelle pożegnała nas w dobrym humorze, niczego się nie czepiała, więc po zrzuceniu różowych fartuszków, około piątej po południu, wyszłyśmy na wciąż jeszcze rozgrzaną słońcem ulicę, pełne energii i chęci, aby dokonać czegoś wyjątkowego.

Takie stany zdarzają się, kiedy ma się dwadzieścia parę lat. Nieprzespane noce szybko się odsypia, trudne sytuacje szybko się przetwarza na normalne, nie mnoży się problemów, ale cieszy z tego, co jest.

My z Ewką cieszyłyśmy się, idąc chodnikiem, że jest lato, że jesteśmy w Paryżu, że mamy za co iść na kolację i mamy dach nad głową, oraz że dzięki nam Sabine chce wrócić do męża...

Dziś wieczorem mamy się spotkać z Nicole i coś konkretnego w tej sprawie zrobić. No cóż, za bardzo się

wplątałyśmy w tę sprawę, aby teraz naszą przyjaciółkę zostawić samą.

Ale na razie miałyśmy jeszcze parę godzin na powrót do domu. Zrobiłyśmy sobie długi spacer brzegiem Sekwany. Na Pont des Arts, jedynym drewnianym moście nad tą magiczną rzeką, stała postać cała ze złota. Był to mim, który udawał rzeźbę. Kiedy wrzuciłyśmy franka w czapkę u jego stóp, ukłonił się, mrugając do nas okiem. Jak to dobrze, kiedy ma się w sakiewce choć kilka franków na takie drobne uciechy!

Po rzece płynęły bateau mouche pełne głośnych turystów. Na brzegu cumowały piękne drewniane barki oraz zabytkowe stateczki z napisem: Sapeurs Pompiers. Saperzy Pompierzy! Po raz nie wiem który rozczuliła mnie ta nazwa stworzona dla strażaków.

Paryż na każdym kroku nas zdumiewał. To miasto nie bało się niczego. Każdy, nawet najbardziej zwariowany pomysł tu nie budził niczyjego sprzeciwu. Przypomniałam sobie nasz smętny, komunistyczny kraj. W Polsce nawet najmniejsze odstępstwo od pospolitej szarości było karane mandatem. Już nawet powoli zapominałam, że tam nie wolno wyjść na ulicę z żadnym transparentem. A za wolność słowa można było wylądować w więzieniu. Mimo wszystko tęskniłam za powrotem do Polski. Dwa miesiące to kawał czasu. Jeszcze kilka dni, a wrócimy do naszej szarej, komunistycznej rzeczywistości. Gdzie nie będzie Nicole, Sabine, Carla, Mariana, naszych flików ani Marca...

Marco... Gdzie on się podziewa? Od paru dni go nie widziałam. Ale cały czas czułam, że jest gdzieś blisko. Jakby był moim niewidzialnym aniołem stróżem.

Szłyśmy tak sobie na pełnym luzie, aż dotarłyśmy na wyjątkowy plac.

Place Vendome. Kiedy obeszłyśmy go z Ewką, poczułam się, jakbym była na planie filmu „W kręgu zła”. Znakomity

film z Yves'em Montandem w roli starego, zapijaczonego policjanta, który nagle musi się zmierzyć z własnym nałogiem, aby wykonać jeden idealny strzał prosto w sejf Cartiera.

Place Vendome to najbogatszy plac w Paryżu. Mieści się tu hotel Ritz, biuro Diora oraz siedziba Cartiera. Na wystawie Cartiera lśniły diamenty i szafiry, jakich nigdy nie widziały nasze skromne oczy. A co dopiero mogło być w środku? Nawet nie próbowaliśmy tam wchodzić w naszych wytartych dżinsach. Mimo to obeszyliśmy cały plac dwa razy dookoła, delektując się wielkością świata wyższych ster, do których nigdy nie dołączymy.

Ewka upatrzyła sobie naszyjnik brylantowy za dwadzieścia pięć tysięcy franków, ja natomiast zegarek wysadzany szafirami za dwa razy więcej. I śmiałyśmy się, wyobrażając sobie, że kiedyś tu wrócimy, aby dokonać takich zakupów.

W metrze znowu nam się przyglądano. Wsiadłyśmy na stacji Abbesses i powędrowałyśmy do pobliskiego sklepu po zakupy.

Kiedy dochodziłyśmy do celu, moje serce zamarło.

Przed bramą stał Marco.

Oparty o kamienną podmurówkę trzymał w ręku gazetę. Już z daleka rozpoznałam jedną z „tych” gazetek. Czyli już wie! Na nasz widok poderwał się, zwinął gazetę w rulonik i upchnął do kieszeni kurtki.

- Aguś! Jak miło cię widzieć!

- Marco! - Naprawdę mnie ucieszył jego widok. Przez tę całą aferę z Nicole i jej matką nie miałam dla niego czasu. Ale myślałam o nim. I wiedziałam, że się wkrótce spotkamy. Tego dnia wszystko było możliwe. I nawet on zjawił się jakby na moje życzenie.

- Hej - powiedziała Ewka. - To ja pójde na górę, a wy sobie pogadajcie.

Nie protestowałam.

- Stęskniłem się za tobą - powiedział Marco.

- A ja za tobą. - Było w tym sto procent prawdy.

- Co robisz dziś wieczorem?

- Musimy pomóc przyjaciółce. To sprawa rodzinna, ale naprawdę ważna.

- A czy mógłbym jakoś w tym uczestniczyć? Zastanowiłam się przez chwilę. Czemu nie?

" - - A masz ochotę na naprawdę trudną akcję?

- Aguś, z tobą mam ochotę nawet na zamach stanu! - odparł z uśmiechem, który roztapiał moje serce. Gdyby wiedział, co się szykuje! Może nie był to zamach stanu, ale zamach na Mariana, którego zamierzałyśmy z Nicole sprowadzić do domu.

- Potrzebujemy kierowcy na wieczór. I dużego auta. Najlepiej furgonetki.

Marco spojrzał na mnie troszkę zaniepokojony.

- Macie zamiar napaść na bank? - spytał.

- Nie. Mamy zamiar uratować pewne małżeństwo - wyjaśniłam.

- Aha. - Udał, że rozumie. - Aguś, a na kiedy to auto jest wam potrzebne?

- Na ósmą? Na dziewiątą? Byleby dziś wieczorem. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- Mój kumpel ma taką furgonetkę... Ale musiałbym do niego pojechać.

- Marco, uwierz mi, to naprawdę ważna misja.

- Która może ma coś wspólnego z tym? - Wyjął z kieszeni pomiętą gazetę ze zdjęciem, które powoli robiło się sławne.

- To nie tak, jak myślisz - powiedziałam.

- Ale opowiesz mi?

- Wszystko! Co do joty! Tylko proszę, pomóż mi to załatwić do końca.

- Zgoda. To o której mam podjechać?

- A o której dasz radę?

- O ósmej?

- Super. Pojedziemy z Ewką i Nicole, i jeszcze zabierzemy po drodze jej matkę.

- Rany! Brzmi to jak zapowiedź jakiejś babskiej wojny! Przeciwno komu wyruszamy?

- Nie przeciwno komu, ale po kogo.

- Oj, Aguś! Coś ty znowu narozrabiała?

- To nie ja. Wszystko ci opowiem, ale teraz nie ma czasu. Muszę się troszkę odświeżyć i przygotować. Więc jak, pomożesz nam?

- Jak raz powiedziałem, to znaczy, że pomogę.

- Dzięki.

Marco odwrócił się i wsiadł na motor. Może niepotrzebnie go w to wszystko wciągałam? Ale z drugiej strony, przyda nam się większy samochód i kierowca. I już nie mogłam się doczekać, kiedy wrócimy po akcji do domu. Zamierzałam zaprosić Marca na kolację. Dość zajmowania się problemami innych. Czas pomyśleć wreszcie o sobie.

Weszłam na schody i podreptałam na czwarte piętro.

Marco mnie nie zawiódł. Przyjechał tuż po ósmej nieco poobijanym, ale sprawnym minivanem marki Renault, pomalowanym zapewne przez jego właściciela w jakieś wariackie wzory naśladowujące ogień. Całe szczęście, że nie planowałyśmy użyć tego auta do napadu na bank albo sklep Cartiera. Nie obyło się bez komentarza Ewki:

- Operacja „piorun kulisty”? - roześmiała się na widok pojazdu.

- Moim zdaniem świetnie pasuje!

- Nazwa operacji czy auto? - Marco spojrzał na nas tajemniczo.

- Jedno i drugie - przyznałam.

Otworzył nam szarmancko drzwi i spytał, dokąd jedziemy. Po Nicole i jej matkę. Poprowadziłyśmy go na miejsce wąskimi uliczkami. Oczywiście nie było szans na zaparkowanie auta przed domem Nicole, więc Marco został za kierownicą, blokując ulicę, a my pobiegłyśmy do domofonu. Nicole oświadczyła, że już schodzą.

Sabine ubrana była w szare spodnie i białą bluzkę, włosy spięta w koński ogon, a oczy przysłoniła dużymi ciemnymi okularami. Nie był to widok kobiety tryskającej energią i urodą, jaką widziałyśmy wychodzącą z hotelu InterContinental u boku Carla. Dziś przypominała zatroskaną, delikatną i kruchą istotę, niepewną swej atrakcyjności.

Kiedy usiadła na tylnym siedzeniu minivana, zauważyłam, że pod okularami nie ma wcale makijażu, a jej oczy są przekrwione.

- Mamo, to Marco, przyjaciel Agi. - Nicole wskazała na naszego kierowcę. - Sabine skinęła głową. Marco z niepokojem spojrzał za siebie: cztery baby! Nie wiem, czy tylko mi się zdawało, czy naprawdę cicho jęknął na ten widok?

Pokazałyśmy mu na mapie miejsce docelowe, do którego ma nas zawieźć. Pokiwał głową i szybko skierował się na wschód, przemierzając sprytnie ruchliwe bulwary, aż w końcu wyjechał na Belleville. Siedziałam obok kierowcy i podziwiałam, jak jego zgrabne dłonie artysty z wprawą panują nad kierownicą. Parę razy spojrzał na mnie z tajemniczym uśmiechem. Zrobiło mi się ciepło na sercu. Milczeliśmy przez długi czas, mijając samochody, motocykle i tłumy ludzi, przedzierając się przez paryskie ulice, na których zaczynał się wieczorny ruch. Po obu stronach ulic knajpki zapraszały

jaskrawym światłem, neonami i kolorowymi markizami. Miasto tętniło życiem, a moje serce wdzięcznością do Marca. Pomagał mi, o nic nie pytając. Czyż to nie znaczyło, że mu na mnie zależy?

- Wkrótce skręcamy w lewo - z rozmarzenia wyrwał mnie głos Ewki siedzącej za mną. - Jeszcze dwie przecznice - sprecyzowała. Nicole siedziała z matką w tyle pojazdu. Sabine milczała całą drogę, jakbyśmy wiozły ją na przesłuchanie przez świętą inkwizycję.

Nasze auto pasowało jak ulał do tej dzielnicy. Kiedy zajechaliśmy pod wymalowany graffiti dom Mariana, prawie nie było go widać na jego tle. Przynajmniej miejscowi nie porysują karoserii.

Marco zgasił silnik i czekał na dalsze instrukcje.

A my nie miałyśmy konkretnego planu. Nagle się okazało, że żadna z nas nie wie, co dalej!

Nicole wysiadła i wyciągnęła z auta matkę.

- Idziemy - zarządziła.

- Nie, zaczekaj... - Sabine przystanęła jak uparta oślica. - Nie idę. Idź sama.

- Mamo! To ty masz z ojcem do pogadania, nie ja!

- Ale on mnie nienawidzi! Może najpierw go jakoś przygotuj na moją wizytę?

- A może chodźmy wszystkie? - zaproponowała Ewka.

Nicole się zawahała. Sabine najwyraźniej potrzebowała wsparcia. Jednak była to przecież sprawa prywatna, osobista. Sabine i Marian powinni porozmawiać w cztery oczy. Ewka i ja nie powinniśmy się tam pchać.

- A jeśli go tam wcale nie ma? - zasugerowała Nicole, wskazując ciemne okna. Patrząc na nie, obie z Ewką miałyśmy zapewne te same wspomnienia. To tutaj mieszkaliśmy kilka dni bez prądu i łazienki, bez świeżego pieczywa i nadziei. Mimo wszystko, choć było to

doświadczenie z rodzaju przeżyć ekstremalnych, teraz wspominałam te dni z sentymentem.

Brudne okno na pierwszym piętrze było ciemne i zdawało się martwe jak połowa tej dzielnicy.

- No to idę sprawdzić - powiedziałam, bo bardzo mi się spieszyło do powrotu i randki z Markiem, która wydawała się po naszej operacji nieunikniona.

- Idę z tobą - dołączyła do mnie Ewka.

- Dobrze, idźcie.

Na placu obok grupa ciemnoskórych chłopaków, ubranych w luźne podkoszulki, grała w kosza. Nic się nie zmieniło od tamtego czasu. Te same rudery, te same okrzyki młodzieży niemającej lepszych zajęć niż snucie się po ulicy. Weszliśmy na klatkę schodową, gdzie w nozdrza uderzył mnie ten sam ostry zapach mieszanki pasty do podłóg i gotowanych potraw z dużą ilością ostrych przypraw. Próbowałam zapalić światło, ale żarówka była przepalona. Czyli: wszystko w normie.

Na piętrze zapukałyśmy do znajomych drzwi. Nikt się nie odezwał. Czyżbyśmy jechali taki kawał drogi na próżno?

Jeszcze raz zapukałyśmy, mocniej, dłużej. Cisza. Pchnęłam drzwi w złości i okazały się niezamknięte. Troszkę się złękłam, że coś za tymi drzwiami może nam się nie spodobać. Wyobraźnia! A jeśli Marian nie żyje? Mógł popełnić samobójstwo! Ewka, widziałam to w jej oczach, także była przerażona.

- Boję się - wyszeptała. - Ja też...

Weszliśmy do tej ciemnej zapyziałej nory. Nie było w niej wielu pomieszczeń do przeszukania. Tylko jedno. Potknęłam się o krzesło stojące na środku pokoju, spojrzałam na wnękę, którą wypełniało stare, wielkie łóżko.

Pod kocem leżał Marian i nie poruszał się! Dreszcze przebiegły mi po plecach. Boże, tylko nie to! Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach! Spojrzałam na leżącą postać,

była odwrócona do ściany i zupełnie nieruchoma. Ewka cofnęła się i już chciała uciekać.

- Zaczekaj - szepnęłam. Trąciłam Mariana w ramię i nagle zerwał się jak rażony prądem. W tej samej chwili wrzasnęliśmy wszyscy troje. Marian, kompletnie zaskoczony, patrzył na nas jak na nocne mary.

- Jezu! Co wy tu robicie? - Siedział na brzegu łóżka i czekał na wyjaśnienia. Wyglądał okropnie. Policzki miał jeszcze chudsze niż zwykle, kilkudniowy zarost na twarzy i włosy w totalnym nieładzie.

- Marian, nie gniewaj się - zaczęłam. - Drzwi były otwarte, więc...

- Ale skąd wam przyszło do głowy...

- Nie nam. My tylko jesteśmy tu z kimś, kto ma ci coś ważnego do powiedzenia - kombinowała Ewka.

- Nie chcę nikogo widzieć ani słyszeć - odparł Marian.

- Ale to naprawdę ważne. - Spojrzałam na niego. - Jest tu Sabine.

Twarz Mariana się wykrzywiła.

- Nie chcę jej znać - powiedział łamiącym się głosem.

- My wiemy wszystko, nie gniewaj się, ale... Ona już nie... to znaczy, twoja żona płacze od paru dni i bardzo chce z tobą porozmawiać... Daj jej szansę, proszę! - Nie wiem, dlaczego go o to prosiłam. Ale z pewnością nie chodziło mi o Sabine. To Marian był naszym prawdziwym przyjacielem oraz jego córka. I oboje teraz cierpieli. Chciałam, aby przestali cierpieć. Może nie od zaraz, ale powoli, stopniowo. Aby ta rodzina się pogodziła.

- Zostawcie mnie! - wrzasnął. - No już, idźcie stąd!

- Nie! - wrzasnęłam równie głośno.

- To moje mieszkanie, nie macie prawa mnie tu nachodzić! - Marian się podniósł i pokazał nam drzwi.

- Pomogłeś nam, kiedy potrzebowaliśmy pomocy, a teraz my chcemy pomóc tobie. - Wiłam się jak piskorz, byleby tylko nie dać się zbyć.

- I co, myślisz - tu skierował się personalnie do mnie - że pomagasz mi, wchodząc z butami w moje życie? - Był coraz bardziej wściekły. Marian, uosobienie spokoju.

- Moje buty nie są takie straszne. - Wskazałam na swoje zużyte sandały.

Marian przez chwilę powstrzymał się od riposty. Spojrzał na moje sandały. Wzbudzały litość, naprawdę. Może dzięki temu trochę złagodniał.

- Dziewczyno, lubię was i niech tak zostanie. Ale dajcie mi święty spokój. Bo jak nie, to was stąd wyprowadzę siłą!

- Nie! - zza drzwi dobiegł nas głos Sabine. - Zostaw je.

Marian zamarł w bezruchu, jak kamienny posąg z Luwru.

- Sabine?

Podeszła do niego, ruchem rąk odsuwając nas na bok, jak zasłony okna. Zdjęła ciemne okulary i spojrzała na męża zapłakanymi oczami. Za nami pojawiła się Nicole.

Biedny Marian został osaczony przez cztery kobiety. Sabine nie zważała na naszą obecność. Może nawet chciała mieć widownię? Albo wsparcie? Trudno było ocenić jej intencje, jednak najwyraźniej potrzebowała nas jako tła dla swojego wystąpienia.

- Marian - zaczęła cichym i łagodnym głosem - wiem, że masz prawo być na mnie wściekły. Zawiodłam cię, skrzywdziłam... Byłam głupia i bardzo tego żałuję... Troszkę w tym było twojej winy, bo mnie zaniedbałeś. Kiedy ostatnio zabrałeś mnie gdzieś poza dom? Do restauracji albo do teatru? Od lat nigdzie nie chodzimy, a ja... Wiesz sam, jaka jestem... Lubię towarzystwo, ładne stroje, gwar i te rzeczy... Więc mnie trochę poniosło, kiedy ten Carl...

- Stop! Nie mów mi o tym dupku! - wrzasnął Marian. Chyba źle zaczęła, przemknęło mi przez myśl.

Głupio się czułam, będąc świadkiem tej małżeńskiej sceny. Najchętniej wyszłabym i pobiegła do Marca, który, miałam nadzieję, cierpliwie czekał na nas w vanie. Ale rozmowa Sabine z mężem była jak prąd, który kopie i paraliżuje.

- Przepraszam. Ale, masz rację, to dupek! - Sabine oczekiwała jakiejś reakcji męża. Marian jednak pozostawał nieugięty.

- Bardzo mi to poprawiło samopoczucie! Moja żona zdradza mnie z dupkiem! - powiedział z sarkazmem.

- Marian, proszę...

Marian usiadł na skraju łóżka i kiwał głową.

- Chcę cię błagać o wybaczenie - szepnęła Sabine. Miała w oczach łzy. - Nie wiem, czy to jest możliwe, ale proszę, daj mi szansę... Wróć z nami do domu. Bardzo nam ciebie brakuje... A ja... No cóż, dostałam nauczkę. Nie masz pojęcia, jak bolesną nauczkę. Jeśli stracę przez to ciebie, to nie wiem...

Zawahała się. Marian milczał. Nicole nie wytrzymała.

- Tato, proszę, wróć z nami do domu. - Podeszła do ojca i usiadła obok niego.

Na widok Nicole, której dotąd nie dostrzegł w ciemności tego ponurego mieszkania, Marian jakby zmiękł. Widziałam, że cierpi, ale cieszy się, że aż tyle kobiet przyjechało, aby go z tej samotni wyrwać.

- Córcia, to nie jest twoja sprawa, to tylko...

- Nie, to jest także moja sprawa. Nie pochwalam tego, co zrobiła mama, ale ona naprawdę swoje odpokutowała. Nie wiesz, co się zdarzyło... Nawet w gazetach o tym piszą.

- Co??? W gazetach? - Marian podskoczył jak ukąszony przez skorpiona.

- Ale nie o tobie - łagodnie wyjaśniła Nicole. - A najlepiej, jak wrócisz do domu. Wszystko ci wytłumaczymy. I uwierz, mama już na pewno więcej nigdy nie zrobi takiego głupstwa.

- Wybacz mi i wróć do nas - prosiła Sabine.

- Merde! - wrzasnął Marian. - Mam was wszystkich dość po uszy, ale tej nory też. Dobrze, jutro wrócę do domu, w końcu to mój dom, prawda? A potem się zastanowię, co dalej.

- Dzisiaj - powiedziała Nicole.

- Dlaczego dzisiaj?

- Bo przyjechaliśmy po ciebie.

- Gdybym był nieboszczykiem, to nie miałbym nic do gadania. Zabrałybyście mnie, i tyle. Ale żyję i mogę tu zostać, ile zechcę.

- Tatku... proszę! - Nicole była nieugięta.

- O rany... Czy ja już nie mam nic do powiedzenia?

- Nie - powiedziałyśmy chórem wszystkie.

Marudząc, złorzecząc i klnąc, Marian dał się w końcu zapakować do wymalowanego w ogień vana. Marco pod naszą nieobecność został obłożony przez grupę małolatów, ale widziałam, że świetnie sobie z nimi radził.

Nie odkręcili mu kół, nie przemalowali auta ani nie wybili szyb. Może nie wszystkie dzieciaki z biednych dzielnic to przestępcy?

Zeszliśmy z Marianem na dół, wepchnęliśmy go na tylne siedzenie, co mogło wyglądać jak porwanie. Był naburmuszony i zły, że tak go przyparliśmy do muru, ale, i tu moje osobiste przypuszczenie: prawdopodobnie nie był w stanie znieść ani dnia dłużej w tej dziurze. Potrzebował ciepłej wody, golarki, kawy i jedzenia. Co do przyszłości jego związku z Sabine to się jeszcze okaże. Ale na pewno łatwiej będzie jej nad tym popracować, mając męża w domu, gdzie wykorzysta setki sposobów, aby go obłaskawić.

Ot, choćby wspaniałą zapiekanką, którą przygotowała na dzisiejszą kolację. Sabine nie lubiła gotować, zwykle wyręczała ją w tym ich dochodząca pomoc domowa, ale tego dnia zwolniła Clementine, gdy tylko zostawiła zapiekankę gotową do podgrzania w piekarniku. Sabine postanowiła bowiem zabłysnąć jako doskonała kucharka.

Marco nie pytał o nic. Odwiózł Mariana, Sabine i Nicole pod dom. Wysiedli i zniknęli za secesyjnymi drzwiami kamienicy. Mogłam mieć tylko nadzieję, że zapiekanka się nie przypali i będzie dobrym początkiem dla odbudowy ich związku.

Potem podjechaliśmy na rue des Trois Freres. Marco zgasił silnik i czekał na dalsze instrukcje.

- Jestem umówiona - powiedziała Ewka, wysiadając. - O rany! Vincent już czeka ponad godzinę! - I pobiegła w stronę placu, gdzie zapewne się umówili. - Będę w domu późno - zawołała jeszcze, abym jej nie musiała szukać z pomocą policji. Zresztą, teraz spotykała się z policjantem.

Marco wysiadł i oparł się o drzwi auta.

- A my? - spytał z oczekiwaniem w głosie.

- Miałam nadzieję, że też spędzimy trochę czasu razem...

Znaleźliśmy przytulny kącik w małej knajpce niedaleko Sacre Coeur. Marco zamówił butelkę dziesięcioletniego chateau. Spytał, czy coś zjemy, ale nie byłam głodna. Nadmiar wrażeń tak na mnie działał. Zamiast jedzenia wolałam rozmowę, a było o czym opowiadać.

Obiecałam przecież wszystko mu wyjaśnić. A najlepiej spokojnie, po kolei. Zaczęłam od Sabine, która zrobiła nam zdjęcia na placu. Opowiedziałam o jej kochanku Carlu i o Nicole, która odkryła, że jej matka ma z nim romans. A potem o moim w tym udziale, o spotkaniu z Carlem, o paparazzich i tak dalej.

Kiedy skończyłam, Marco śmiał się i kiwał głową z niedowierzaniem.

- Jesteś tu zaledwie dwa miesiące, a narozrabiłaś więcej niż ja przez kilka lat! Niesamowite! - Miał rację. Nasz pobyt z Ewką w Paryżu był naszpikowany skandalami, aferami i niespodziankami. Ale to się naprawdę działo! - Jesteś jak piorun kulisty! - podsumował i dolał nam wina, śmiejąc się. Ja też się śmiałam, no bo czyż to wszystko nie było zabawne?

- A najśmieszniejsze jest to, że zawsze lądujecie na cztery łapy - dodał.

- Mój tata, kiedy byłam mała, nazywał mnie pumą. Tak dla żartu, bo uwielbiałam dzikie koty. Może dlatego?

- Spadasz na cztery łapy?

- No.

- Bo masz coś z kota?

- Nie wiem, ale jeśli istnieje reinkarnacja, to w drugim życiu chcę być kotem...

- Dachowcem czy raczej takim domowym, co siedzi non stop na kominku? - spytał rozbawiony Marco.

- Dachowcem, bo miałabym więcej fajnych widoków. O, na przykład takim dachowcem w Paryżu, co ty na to?

- Co ja na to? Hmm... Niech pomyślę. Musiałabyś bardzo uważać na te stare dachówki i pordzewiałe rynny, żeby nie spaść.

- E tam! Najwyżej wezwałbyś Saperów Pompierów na pomoc!

- A czemu ja?

- No, bo łąziłabym po... twoim dachu... - wyjaśniłam. Jego oczy były zabawnie zmrużone.

- W takim razie ja też chcę być kotem w drugim życiu. Goniłbym cię po tych dachach, przeskakując z jednego na drugi. Aż w końcu bym cię dopadł i...

Poczułam dreszczyk, kiedy zrobił pauzę.

- I... byłoby fajnie na tym dachu we dwoje - wybrnął i po chwili oboje ryknęliśmy śmiechem.

Po wyjściu z knajpki byłam w znakomitym nastroju. Nie miałam ochoty jeszcze wracać do domu. Szliśmy powoli w stronę mojej ulicy, ale Marco stosował rozmaite sztuczki, aby przedłużyć drogę. Kręciliśmy się jak dwa koty wokół własnych ogonów, włączając w rozmaite boczne uliczki, oglądając wystawy, śmiejąc się i bawiąc jak dzieci. Prawą ręką obejmował mnie w pasie. Musieliśmy wyglądać jak para zakochanych, czyli: ginęliśmy w tłumie podobnych par.

Nie wiem, kto kogo prowadził, ale zawędrowaliśmy prosto przed drzwi kamienicy Marca, aby zaraz potem zniknąć w jej czeluściach. Marco wiodł mnie za rękę po wąskich i ciemnych schodkach na najwyższe piętro. Serce bilo mi jak oszalałe. Otworzył kluczem drzwi do swojego studio i wciągnął mnie do środka.

A potem zamknął drzwi kopniakiem, bo obie jego ręce zajęte już były mną...

Kaszkietał, jak latający talerz, pofrunął w kąt pokoju, uwalniając moje długie jasne włosy. Marco zatopił w nich swoje artystyczne dłonie. Uwielbiałam je od pierwszej chwili,

kiedy zobaczyłam, jak pięknie rysują. Teraz rysowały kształt mojej twarzy, bez ołówka, ale za to z wdziękiem i czułością, a usta i ciepły oddech Marca wypełniały ten szkic pastelowymi kolorami tęczy...

To nie było spotkanie dwóch kotów na dachu. To było magiczne przeżycie dwojga dusz przepelnionych tęsknotą i dwóch serc bijących tym samym rytmem... Zmieszaliśmy się ze sobą jak biel cynkowa z błękitem kobaltowym, odnajdując doskonale niebo, piękne i czyste, jak na obrazach Vermeera...

Odprowadził mnie do domu, kiedy nad Paryżem wstawał nowy dzień. Na ulicach jeszcze wały się śmieci, kloszardzi spali na ławeczkach, gołębie łaziły po bruku, zbierając okruszki. Pijana ze szczęścia nie patrzyłam na zegarek. Mój zapach zmieszał się z zapachem Marca. Już nie byłam ja i on. Byliśmy my.

Nie miałam pojęcia, jak za parę godzin wstanę do pracy, ale było mi wszystko jedno. Najwyżej mnie wyleją. Wszystkie możliwe straty były warte tej jednej nocy z Markiem.

Ewka spała jak jagniątko, zajmując całe łóżko. Musiałam ją przesunąć, żeby znaleźć dla siebie kawałek pościeli. Nie mogłam zasnąć. A kiedy w końcu mi się to udało, zadzwonił budzik.

- Nie... nie... - jęknęłam, uciszając to cholerstwo. Ale Ewka się podniosła, choć też niezadowolona.

- Wstajemy - zarządziła. - No dalej, Aga, rusz się!

- Nie mam siły - szepnęłam zaspana.

- Nie możemy się spóźnić!

- Merde!

W metrze musiałam wyglądać jak śmierć na urlopie. Błada, bez makijażu, zasłonięta kaszkietem, żeby mnie światło nie raziło w oczy. Ewka wróciła z randki dwie godziny wcześniej, więc wyglądała nieco lepiej niż ja, czyli jak tuż przed śmiercią. Obie czarno widziałyśmy nasz dzień pracy w

hotelu, gdzie tyle wygodnych łóżek kusilo, aby na nie paść i pospać sobie do woli.

Izabelle przydzieliła nam apartamenty. Staraliśmy się za wszelką cenę podczas odprawy pohamować ziewanie. Nasza szefowa wspomniała, że tym razem w Paryżu odbywa się zjazd kardiologów i właśnie oni zajmują najwyższe piętra. Było mi wszystko jedno, czy to zjazd kardiologów, arabskich szejków czy ufoludków! Chciałam jak najszybciej zrobić swoje, wracać do domu i odespać zaległości.

W windzie ziewaliśmy obie, nie mając siły na jakąkolwiek konwersację. Niczym dwa roboty, ubrałyśmy się w czarno - białe garniturki, wyprowadziłyśmy chariot i przystąpiłyśmy do pracy. Ewka pobiegła na koniec lewego korytarza, ja powlokłam się w przeciwnym kierunku.

Widok ogromnego łóżka sprawił, że miałam ochotę paść i niech się dzieje wola niebios! Ale zmusiłam się do pracy, w czym pomagały mi ciepłe wspomnienia z wczorajszej nocy. Ciągle czułam na sobie zapach Marca. A więc to nie był sen!

Wszystkie czynności szły mi jak po grudzie. Lustro nie chciało być czyste, choć wycierałam je już piąty raz, pościel leżała nierówno, choć poprawiałam bez końca, na dywanie wciąż pozostawały jakieś paprochy.

Wyszłam na korytarz, żeby wziąć z chariot nowe ręczniki, i ujrzałam dwie znajome postacie. Migułki!

- Hej - zawołałam. Odwróciły się. - Aga?

- A co wy tu robicie? - spytałam zdziwiona.

- Jak to, co? Sprzątamy.

- Wy też na tym piętrze? Bo my z Ewką tu dziś pracujemy...

- Widocznie dostałyśmy to samo piętro - wyjaśniła Migułka Młodsza. Wyglądała ładnie i świeżo. Miała inną fryzurę i delikatny makijaż. Nigdy wcześniej nie widziałam

Migułek umalowanych. Paryż je zmienił na dobre. Obie wyglądały efektownie.

- Fajnie wyglądasz w tej fryzurze - powiedziałam szczerze. - W ogóle, obie fajnie wyglądacie.

Migułki spojrzały na moją bladą twarz i westchnęły.

- Ty za to nie najlepiej.

- Wiem. Jestem totalnie niewyspana. Dałabym sto franków za możliwość kimnięcia się w jednym z tych apartamentów... - żartowałam.

- Mówisz poważnie? - podchwyciła Migułka Młodsza.

- Co? Nie, żartowałam, ale... W zasadzie, chyba tak...

- To dawaj stówkę i idź spać. A ja zrobię za ciebie robotę.

- Zwariowałaś! - wrzasnęła Migułka Starsza. - Jak ją nakryją na spaniu w pokoju gościa, to...

- To nam nic nie zrobią, a ona wyleci. Ziewnęłam przeciągle.

- Dam ci tę stówkę. Ale obiecaj, że mnie obudzisz, zanim goście wrócą. - Migułka Młodsza się zawahała.

- Mówisz poważnie? - Jak najbardziej.

- Dobrze. Obudzę cię. I spotkamy się na lunchu. Wtedy mi dasz tę stówkę, zgoda?

- Zgodaaa... - Znowu ziewnęłam.

- Według danych z dołu, nie powinno tu być nikogo przynajmniej do pierwszej. Masz więc jakieś cztery godzinki spokojnego snu. I nie martw się, jakby co, to zdążę cię obudzić. - Zapewnienia Migułki brzmiały rozsądnie.

- Dzięki. To na razie... Aha, powiedzcie Ewce, gdzie jestem...

- Nie martw się i śpij dobrze.

I po raz pierwszy w karierze pokojówki zamknęłam się w pokoju gości. A dokładniej, w apartamencie 3015, który zajmował jakiś kardiochirurg obecnie przebywający poza hotelem.

Zaciągnęłam zasłony, żeby mnie nie raziło światło, i ułożyłam się na miękkim materacu z czyściutką pościelą. Łóżko wchłonęło mnie natychmiast. Zasnęłam, nadal czując na sobie dotyk Marca i marząc o nim.

Śniłam, że jedziemy razem na jego motorze po jakichś wertepach, które w końcu okazały się polną drogą w Polsce. Dojeżdżamy do jeziora, w którym kąpałam się jako dziecko nie raz, bo tam zabierał mnie ojciec i uczył pływać. A nad jeziorem była jakaś impreza, ktoś palił ognisko. I byli tam wszyscy: Nicole, Sabine i Marian. Był też Carl ubrany w mój kaszkiet. A Ewka pływała po jeziorze na ogromnej nadmuchiwanej bagietce! I nagle podszedł do mnie ojciec i krzyknął: wstawaj! Szarpał mnie za ramię, jakby mnie nie poznawał...

Otworzyłam oczy i widzę ojca, ale to nie on... To jakiś inny facet mi się śni. Chcę spać dalej, to tylko głupi sen. Padam na łóżko i znowu ktoś mnie szarpie za rękaw.

- Mademoiselle - słyszę już teraz jakby wyraźnie. Podnoszę się i otwieram oczy. Nade mną pochyla się starszy pan w garniturze i białej koszuli. Przytomnieję w ułamku sekundy i przypominam sobie, gdzie jestem.

- Oh, mon Dieu! - krzyczę. Wskakuję z łóżka i poprawiam swój uniform. - Przepraszam, najmocniej pana przepraszam... Byłam taka zmęczona, że zasnęłam... To niewybaczalne, co zrobiłam... - A gdzie Migułka? Przecież miała mnie zbudzić?

- Ależ nic się nie stało - powiedział szpakowaty, elegancki pan. - Pomogę pani wstać. Wiem, co znaczy zmęczenie, każdego z nas czasem dopada. - Mówił po francusku, ale jakoś nieudolnie, podobnie jak ja. Dlatego dobrze go rozumiałam. Tylko czy naprawdę nie jest na mnie wściekły?

- Jeszcze raz pana przepraszam. Nie wiem, co się stało, ale tak bardzo potrzebowałam snu...

- Więc niech panienka sobie jeszcze pośpi. Ja i tak miałem zamiar zaraz stąd wyjść. Wpadłem tylko po notes bo zapomniałem go zabrać. Wrócę za kilka godzin.

I wyszedł! Tak po prostu! Jeśli rzeczywiście pozwolił mi łaskawie pospać dalej, to i tak nie zmrużyłabym już oka. Taki wstyd! Jak mogłam sobie na coś takiego pozwolić? Nie zdziwiłabym się, gdyby ów sympatyczny gość hotelowy od razu skierował się ku recepcji, aby zameldować o moim skandalicznym zachowaniu.

Wybiegłam na korytarz, szukając Ewki, Migulek, kogokolwiek. Wpadłam na Ewkę, kiedy sprzątała jeden z pobliskich pokoi.

- Gdzie są Migułki? - spytałam.

- Migułki? Zwariowałaś? Nie widziałam ich od tygodnia!

- Nie mówiły ci, że śpię?

- Co?

- Cholera, były tu!

- Aga, dobrze się czujesz? - Ewka wyszła na korytarz i złapała mnie za czoło, czy nie mam gorączki.

- Nic mi nie jest. Nawet sobie trochę pospałam, ale Migułka mnie nie obudziła! I przyszedł gość. Rany boskie! Za chwilę przyjdzie tu Izabelle i mnie wyleje na zbity pysk!

- Aga, wiem, że jesteś niedospana, ale ty majaczysz jakieś brednie! - Ewka wyglądała na poważnie zaniepokojoną.

- Nie bredzę. Spotkałam Migułki na naszym piętrze, powiedziały, że też je sprzątają...

- Nie widziałam ich.

- W takim razie... A która jest godzina?

- Dochodzi pierwsza. Właściwie to możemy iść powoli na lunch.

- To chodźmy. I wszystko ci opowiem w spokoju.

W kafeterii nie było Migulek. Całe szczęście, że nie dałam Migulce Młodszej tej stówki z góry. Nie zawiadomiła mnie, że

gość wraca. Może nawet celowo mnie wystawiła. A teraz czekają mnie straszne reperkusje za to, co zrobiłam.

Ewka nie mogła uwierzyć, że tak zwyczajnie poszłam sobie spać w apartamencie i zaufałam Migułkom.

- Mogłaś mnie o to poprosić - tłumaczyła.

- Ale one mi to zaproponowały - wyjaśniałam.

- One nas nie lubią, odkąd uciekłyśmy z hotelu przy rue des Batignolles. Nie zauważyłaś? Cały czas nam zazdrościły, że rysujemy, że mamy swoje plany, że radzimy sobie bez nich.

- Ale przecież one też sobie poukładały życie w tym mieście? Dlaczego miałyby tak nas znieubić?

- Nie wiem, ale to się dawało wyczuć na każdym kroku - stwierdziła Ewka.

- Może masz rację... I co teraz?

- Przynajmniej się wyspałaś. A co dalej? A jaka to różnica?

Gość, ten sympatyczny starszy pan z brodą przyprószoną siwizną, najwyraźniej nie doniósł na mnie, bo Isabelle nie miała do nas żadnych zastrzeżeń, kiedy się odmeldowałyśmy.

Szkoda, że nie będę miała okazji mu za to podziękować. Jedyne, na co było mnie stać w chwili szoku, kiedy wyszedł z apartamentu, zostawiając mnie samą, to krótkie „Przepraszam”, napisane firmowym długopisem na firmowej pocztówce, którą zostawiłam obok firmowej popielniczki na biurku.

Znowu spadłam na cztery łapy, jak puma, którą nazywał mnie mój ojciec.

Isabelle nie omieszkała nam przypomnieć, że jutro jest nasz ostatni dzień pracy w tym hotelu i bardzo liczy na naszą obecność. Czyżby szykował się tort ze świeczkami?

Nie mogłam uwierzyć w swoje zezowate szczęście! A jednak. Udało mi się odespać zaległości w apartamencie na ostatnim piętrze, zostałam przyłapana przez gościa i wcale za

to nie oberwałam! Gdybym o tym wiedziała wcześniej, pewnie nieraz ległabym w tych miękkich łóżkach.

Ewka uznała, że to palec boży, i tyle. Poza tym, jeszcze pozostał nam jeden, ostatni dzień pracy w tym kieracie. Więc jaka to różnica, czy nas zapamiętają dobrze, czy źle?

Wolałabym, żeby dobrze, bo nigdy nic nie wiadomo. Ale jak dorwę Migułki, to im powiem, co o nich myślę!

No i stało się. Wpadłyśmy na Migułki w szatni. Dorwałam tę Młodsza i chwyciłam za rękaw.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - syczałam wściekła.

- Rany, Aga, przestań! - Wyrwała się z mojego uścisku.

- Wystawiłaś mnie! Celowo!

- Nie! Aga, to nie tak! Wybacz, ale miałam pilną pracę na dole i zapomniałam, bo Isabelle dała mi specjalne zlecenie...

- Akurat!

- Poważnie. Musiałam jej pomóc na dole, wołała mnie. Nie mogłam odmówić.

- Ale mogłaś powiedzieć Ewce, że śpię w tym pokoju.

- Nie dałam rady jej zlokalizować. Przepraszam. Nie chciałam cię narazić... - Migułka Młodsza wyglądała na naprawdę skruszoną. Może mówiła prawdę?

- No to stówka przepadła.

- Wiem, to oczywiste... Ale proszę, nie miej do mnie żalu...

- Dobra... Mniejsza o to. Gość się nie poskarżył, więc Isabelle nie ma o tym pojęcia. Ale co się najadłam strachu, to się najadłam. Boże, czy masz pojęcie, jak się czułam, kiedy on mnie obudził? W jego własnym pokoju, w jego łóżku?

- Dajmy temu spokój - powiedziała Ewka. Przysłuchiwała się naszej rozmowie i chyba uznała, że do niczego ona nie prowadzi.

- Okej, zapomnimy o całej aferze - przytaknęłam.

- Jeśli mi to wybaczasz, to chodźmy razem na kolację - zaproponowała Migułka Młodsza. - Ja stawiam.

Czemu nie? Skoro stawia?

Poszłyśmy we cztery, jak za dobrych starych czasów, na kolację do naszej wypróbowanej knajpki niedaleko wieży Montparnasse, której widok zapierał dech.

Migułki wyglądały na wypoczęte i szczęśliwe. Zmieniły styl, były teraz o wiele bardziej atrakcyjne niż dwa miesiące temu. Paryż najwyraźniej im służył.

Zresztą, komu nie służy Paryż? To miasto jest jak lek na każdą dolegliwość. Jest cudownym kremem odmładzającym, balsamem na obolałą duszę, dawką znieczulenia na ból oraz sposobem na rozpoczęcie nowego życia.

- Zastanawiam się, czy nie zostać w Paryżu na stałe - powiedziała Migułka Młodsza, jak tylko złożyłyśmy zamówienie u kelnera.

- Obie o tym myślimy - zawtórowała jej Migułka Starsza. Oczy Ewki zrobiły się jak spodki. Moje też. Czy one zwariowały?

- A co ze studiami? - spytałam delikatnie.

- Studia tu też można kontynuować. Oczywiście jeśli uczelnia się na to zgodzi i wyśle nam indeksy... - Czyżby Migułka Młodsza wierzyła w łaskawość naszego systemu? Kilka tygodni w Paryżu, a one obie już zapomniały, jak on działa! Czyli: nie działa. Nie liczyłabym na to, że nasza komunistyczna władza uzna za zasadny ich wniosek o kontynuację studiów w kapitalizmie i bez zbędnych ceregieli wyśle im wszelkie niezbędne dokumenty, w tym indeks z zaliczonymi czterema latami studiów. W końcu nasze państwo jakoby finansowało nasze wykształcenie. Pał licho takie dwie artystki jak Ewka i ja, ale Migułki miały zostać lekarzami! I już cztery lata doiły system, kształcąc się na przyszłe lekarki, które będą pracować w przyszłych przychodniach za psie

wynagrodzenie albo w przyszłych szpitalach za równie psią pensję.

- Oszalałaś! - wrzasnęła Ewka. - Nasze komunistyczne państwo nigdy wam nie ułatwi startu na Zachodzie!

- Ewka ma rację - poparłam ją. Migułki nie wyglądały na przekonane.

- Ale dlaczego w ogóle o tym myślicie? - spytałam. Coś musiało się zdarzyć. Tylko co?

Migułki chyba nie zamierzały nam zaufać. Nie dziwota, po tym, jak i my nie mogłyśmy zaufać im.

- No dobra... - zaczęła Młodsza. - Poznałyśmy fajnych facetów. I zamierzamy z nimi zostać. - Fajnych facetów! Jasne. Fajnych facetów Paryż jest pełen, tylko czy ci fajni faceci zostaną fajnymi za parę lat? Czy nasze koleżanki wzięły taką możliwość pod uwagę?

- To super, ale... - zaczęła Ewka.

- To poważna sprawa - przerwała jej Migułka Starsza. Obie spojrzaliśmy na nią zdziwione. Dotąd nigdy nie mówiła nic o mężczyznach i potencjalny związek damsko - męski w jej wykonaniu wydawał nam się niemożliwy.

- Mamy obie propozycje wyjścia za mąż - ucięła nasz spór Migułka Młodsza.

Zatkało nas. Nie miałam pojęcia, że spuszczenie z oczu Migulek może zaprocentować takim finałem.

- No, to świetnie! - wykrzyknęła Ewka.

- W takim razie, nasze gratulacje! - dodałam. Jeśli sprawy zaszły tak daleko, to nie powinnyśmy ich namawiać do zmiany planów. Wrócimy do Polski bez nich.

- Kim są ci faceci? - zainteresowałam się.

- Są naprawdę w porządku. Mój ma na imię Yann i pochodzi z Bretanii. A narzeczony siostry jest co prawda z pochodzenia Turkiem, ale od lat mieszka w Paryżu. Ma na imię Amman...

Poczułam, jakby uderzył we mnie piorun. Ewka zamarła.

- Amman, powiadasz?

- Tak, a co?

- Czy on nie ma przez przypadek brata Kemala?

- O! A skąd to wiesz? - roześmiała się Migułka Starsza.

- Więc to ten sam Amman. O rany!

Migułki wpatrywały się we mnie pytającym wzrokiem. Ewka, kiedy usłyszała imię Ammana, zadrżała. Nie mógł mieć jej, więc znalazł sobie inną chętną białogłową.

- Zostaw go - powiedziała Ewka. - To nie jest dobry facet dla ciebie.

Kelner postawił przed nami gorące dania dnia. Mój boeuf a la bourguignon pachniał cudownie. Uśmiechnęłam się do kelnera. Odwzajemnił uśmiech i oddalił się, śpiewając coś pod nosem.

- A skąd ty możesz wiedzieć! - oburzyła się Migułka Starsza.

- Wiem, i już!

- Jasne! Wy nawet nie zawarłyście żadnej przyjaźni w Paryżu! W kółko tylko ganiacie za jakimiś turystami, nielegalnie robicie te durne portrety i lądujecie na komisariacie! A prawdziwe życie was omija! My z siostrą nie marnowałyśmy czasu. I nie zamierzamy wracać do tej naszej podłej... komuny! Możemy tu zostać i pracować dalej, wszystko jest lepsze niż nasza polska szarość.

Zamilkłyśmy. Trudno było odmówić jej racji. Wszystko było lepsze niż polska szarość. Ale ślub z muzułmaninem? To chyba jednak było gorsze niż polska, komunistyczna bieda.

- Nie chcę ci niczego sugerować, ale ten sam facet też chciał mnie zabrać do Turcji - oznajmiła Ewka.

- Nie! Ty chyba żartujesz! Powiedział mi, że jestem jedyną kobietą, której to zaproponował! - oburzyła się Migułka Starsza.

- Mnie mówił to samo - powiedziała Ewka. Widziałam, jak robi się coraz bardziej wojownicza. Trafiła kosa na kamień. Migułka nie pozostawała jej dłużna.

- Nie wierzę ci.

- To uwierz! A jeśli nie chcesz, to jedź z nim do tej Turcji! Będiesz tam jedną z kilku żon, nie będziesz miała żadnych praw i nigdy nie wrócisz do Polski!

- Powiedział mi, że będę jedyną jego żoną! - Migułka Starsza poczerwieniała ze złości.

- Jasne! A ty w to uwierzyłaś! - Ewka śmiała się głośno.

- Dlaczego mi to robisz? - Zrozpaczona Migułka Starsza była bliska łez. - Zazdrościsz mi, czy co?

- Oj ty, głupia! Wpadłaś w sidła oszołoma, muzułmanina, który wywiezie cię do Turcji i już nigdy nie będziesz wolna! Ja już czegoś się dowiedziałam o tych ludziach. I uwierz mi, nie warto im ufać!

Migułka Młodsza przytuliła siostrę i usiłowała ją pocieszyć.

- Obie robicie wszystko, żeby nam zepsuć plany. Ale my wiemy, co mamy robić. I dajcie nam wreszcie spokój. My już postanowiłyśmy!

Więc dałyśmy im spokój. Czasami nie da się zrobić nic więcej.

Ostatni nasz weekend w Paryżu! Kiedy sobie to uświadomiłyśmy, zrobiło się nam smutno. Ewka zaczęła spisywać na kartce wszystko, co jeszcze chciałyby zwiedzić, zaliczyć lub zjeść, a ja uznałam, że najlepiej niczego nie pisać, bo i tak na pewno ktoś lub coś nam te plany pokrzyżuje.

Długo nie musiałam czekać na potwierdzenie swoich przypuszczeń. Kiedy szykowałyśmy się z Ewką do wyjścia na miasto w celu zrobienia drobnych zakupów dla naszych bliskich, w końcu nie wypadało wracać do Polski bez upominków, zapukała Nicole. Wyglądała bosko ubrana w kolorową zwiewną sukienkę na cieniutkich ramiączkach, roześmiana i rumiana.

- Wybieracie się gdzieś? - spytała, widząc nas z torebkami na ramionach.

- Chciałyśmy pojechać na zakupy - wyjaśniłam. - No wiesz, upominki dla rodzinki... - Mrugnęłam okiem.

- Super! Uwielbiam takie akcje! To dokąd jedziemy? - zaskoczyła nas.

- No, nie wiem... Nie chcemy ci psuć planów. - Ewka próbowała odwieść ją dyplomatycznie od tego pomysłu. Co jak co, ale zakupy z Nicole mogłyby nas zrujnować. Obie wiedziałyśmy doskonale, że lepiej, abyśmy nie miały do pomocy żadnych doradców w tej delikatnej materii.

- Oj, jakie tam plany... Czego się nie robi dla przyjaciółek! Wiem, gdzie można zrobić świetne zakupy. Zdajcie się na mnie, a nie będziecie żałować.

- Ale my chciałyśmy tylko kupić parę drobiazgów...

- Sądziłam, że to może ją zniechęci. Na próżno.

- Na drobiazgach znam się najlepiej. Trzeba wiedzieć, gdzie i co. No to ruszamy?

Ewka zrobiła nietęgą minę. Ja uśmiechnęłam się z przymusem. Nicole była fajną dziewczyną, dopóki nie stawiała się nadopiekuńcza.

- To chodźmy! - Chyba nie miałyśmy z Ewką wyboru.

- A tak w ogóle to zapomniałam wam powiedzieć, po co przyszłam - kontynuowała Nicole na schodach. No właśnie, po co? Kogo tym razem mamy wyciągać z opresji?

- Coś się stało? - spytała zawsze czujna Ewka.

- Tak! - krzyknęła Nicole. Omal nie spadłam ze schodów. Niektóre stopnie były tak zużyte, że niepatrzenie pod nogi groziło śmiercią lub kalectwem. - Moi rodzice się pogodzili.

- To wspaniała wiadomość - powiedziałyśmy naraz z Ewką.

- Tak, i to wszystko wasza zasługa! - Nicole zapewne z wdzięczności teraz wybierała się z nami na zakupy. Osobiście wolałabym, aby z wdzięczności zostawiła nas same.

- No i dzisiaj wieczorem moja matka szykuje taką małą kolację dziękczynną... - Nicole zniżyła głos do szeptu, jakby chodziło o tajne komplety w czasie okupacji.

- Należy się Marianowi. Po tych kilku dniach o głodzie i chłodzie... - zagaiła Ewka.

- Nie zrozumieliście mnie. To kolacja na waszą cześć! I koniecznie musicie być u nas o ósmej. Matka szykuje jakieś frykasy. Boże, nareszcie znowu są razem! Mówiłam wam, że mój ojciec nie umie się długo dąsać. A matka tak go teraz rozpieszcza, że nawet o moim istnieniu zapomniała.

- A o naszym nie? - celnie wypunktowała ją Ewka. Uśmiechnęłam się pod nosem, tak żeby Nicole nie zauważyła.

- No - nie, skoro was zaprasza. - No to mamy przerabane. Ostatnie chwile w Paryżu, tyle jeszcze nam zostało do zwiedzania, załatwiania i kupowania, a cały wieczór przesiedzimy u szczęśliwie na nowo połączonej parki

gołąbków! Mogliby się cieszyć sobą bez nas, ale skoro nie potrafią? Będziemy musiały stawić się na tej kolacji.

- Bardzo się cieszymy, prawda Ewka? - spytałam przyjaciółkę ponad ramieniem Nicole, mrugając porozumiewawczo.

- Tak! No jasne, że się cieszymy... Bardzo się cieszymy....
- wydukała Ewka, a mnie już powoli było wszystko jedno, co będziemy robić w ostatnie nasze dni w Paryżu. Być może tylko to, co zaproponują nasi paryscy przyjaciele.

Tylko dlaczego to nie jest kolacja z Markiem? U Marca? Znowu poczułam dreszczyk na skórze na wspomnienie naszej ostatniej randki.

- I zapomniałam dodać, że jesteście zaproszone z osobami towarzyszącymi, rzecz jasna. - Byłyśmy już blisko stacji metra Abbesses. Tak zasuwałyśmy, że nie wiem, kiedy dotarłyśmy na stację.

- Z osobami towa... - Spojrzałam na Nicole zdumiona.

- Jasne, że tak! Przecież twój Marco pomagał nam w operacji „piorun kulisty”, prawda? A i Ewka ma przyjść z tym swoim flikiem. Matka koniecznie chce mu się przyjrzeć z bliska. - Dla Nicole było to zabawne. Dla Ewki mniej.

- Jak to: przyjrzeć się z bliska? - spytała Ewka. Ja przynajmniej już miałam za sobą przedstawienie Marca Sabine. - Twoja matka chce sprawdzać Vincenta, czy nadaje się na policjanta? Albo na mojego chłopaka?

- Eeee... Nie o to chodzi. Ona już taka jest. Musi wszystko o wszystkich wiedzieć. Ale to nic groźnego. Myślała, że będzie wam milej w towarzystwie waszych facetów, ot, cała tajemnica.

- Milej może i byłoby, gdyby... - wypowiedziałam te słowa na głos? Czy na pewno?

- Gdyby? - A jednak na głos. Cholera!

- No, gdyby udało się ich zawiadomić... - Przecież możecie zadzwonić.

Nadjechał pociąg, zagłuszając na moment naszą konwersację. Nadal nie miałam pojęcia, jak zorganizować ten dzień. Czy Marco nie poczuje się głupio, kiedy go zaproszę na taką dziwną kolację? Może poczuje się osaczony, jakbym go traktowała zbyt serio? Jakby był moim... fiance? (narzeczonym). Nie, nie powinnam go o to prosić. Ewka też chyba się zastanawiała, czy Vincent nie poczuje się źle w takim eleganckim świecie, co tu ukrywać, pełnym sztucznego blichtru stworzonego przez Sabine. Marian był postacią z innej bajki. Potrafił chodzić przez tydzień w tym samych spodniach i sandałach bez skarpetek. Marian był artystą, a Sabine, no cóż, była kobietą szukającą szczęścia w posiadaniu błyskotek, strojów, towarzystwa. Sabine żyła pozorami szczęścia, Marian szczęście znajdował, robiąc to, co kochał, czyli we własnej pracy.

Aż dziw, że oboje byli nadal parą. Może to istotnie nasza z Ewką zasługa? Może powinnyśmy założyć w Paryżu firmę łączącą zwaśnione pary? Superpomysł, czemu nie?

- To dokąd nas zaprowadzisz na te zakupy? - spytałam, kiedy dojeżdżałyśmy do centrum miasta.

- Już za chwilę wysiadamy - oznajmiła Nicole. - Idziemy do Galerii Lafayette przy bulwarze Haussmanna.

Nie było sensu polemizować z Nicole. Wysiadłyśmy z pociągu i grzecznie pomaszerowałyśmy za nią.

- To jak, przyjdziecie z waszymi chłopakami? - spytała ponownie, kiedy przeciskałyśmy się przez tłum na chodniku.

- Możliwe, jeśli tylko zdołamy ich o tym zawiadomić - odparłam. Nie wypada przecież wpaść do nich o siódmej i powiedzieć: idziemy na kolację do matki naszej przyjaciółki, z którą do tej pory biegałyśmy po sklepach. Wypadałoby wcześniej ich zawiadomić, żeby mieli chociaż dość czasu na

wzięcie prysznic i przebranie się... O rany, a w co my się ubierzemy? - I nie mamy się w co ubrać z Ewką. Twoja matka chyba się zgorszy, jak zobaczy nas w tych wytartych dzinsach!

- A dokąd się wybieramy?

- No, na zakupy, ale nie...

- Oj, Aga! Już ja wam coś wynajdę, jestem w tym dobra.

Ewka wzięła na przeczekanie. A może też, podobnie jak ja, zastanawiała się nad sensem ciągnięcia Vincenta na tę kolację? W końcu okazja była raczej niezwykła, i o czym mamy tam niby rozmawiać? No bo przecież nie o pracy paryskiej policji! Nie miałyśmy nawet chwili, aby poza zasięgiem Nicole naradzić się w tej kwestii. Trudno! Niech się dzieje wola nieba!

- Tu jest budka. Zadzwonimy do waszych facetów - zdecydowała za nas Nicole.

- Ale ja nie znam numeru do Marca - powiedziałam zgodnie z prawdą. Znałam za to jego adres, całkiem blisko mieszkanie Nicole, które zajmowałyśmy. Mogłam jedynie do niego pójść i postawić go przez faktem dokonany.

- No to musimy się pospieszyć z zakupami - stwierdziła Nicole. - A ty, Ewka, czy mogłabyś zadzwonić do twojego flika?

- A nawet musiałabym, bo nie pamiętam jego adresu.

Ale numer mam zapisany.

- To dzwoń. - Nicole wepchnęła Ewkę do budki. Stałam z boku i zastanawiałam się, kto był gorszy: muzułmanie czy nasza przyjaciółka Nicole. Nie dość, że nas porywa na kolację, to jeszcze razem z naszymi (albo wcale jeszcze nie naszymi) facetami! Co jak co, ale tupetu nie odziedziczyła po spokojnym tatusiu!

Zapaliłam gitane'a. Francuzi wymyślili te papierosy chyba z myślą o takich sytuacjach. W Polsce w owych czasach królowały carmeny, papierosy z tak zwanej górnej półki,

mocne i najdroższe z polskiej oferty tytoniowej. Ale w porównaniu z francuskimi gitane'ami wydawały się słabiutkie niczym tytoniowe placebo. Zanim dopaliłam, Nicole i Ewka wyszły z budki rozbawione i zadowolone.

- Vince ogromnie się ucieszył! - skrzeczała Ewka. - Powiedział, że będzie u nas przed ósmą. - A więc Ewce nie chodziło o to, czy wypada z nim iść, ale czy on się zgodzi. W sumie mnie zapewne nurtowało to samo pytanie. Jak zareaguje Marco? A jeśli powie, że ma inne plany? Wciąż, pomimo że nadal czułam na sobie jego usta, nie wierzyłam, że mogę go traktować jak chłopaka, który pójdzie ze mną na przyjęcie. Przecież to poważna sprawa! Jak bal maturalny albo studniówka!

- To fajnie. Zapukam do Marca, jak wrócimy. Więc proponuję, abyśmy szybko przeleciały przez ten sklep. - Stwierdziłam bez uśmiechu.

Od tej chwili Nicole i Ewka szczebiotały jak dwie papużki nierozłączki, a ja wlokłam się za nimi pochmurna i nastawiona na „nie”.

Ale, kiedy weszłyśmy do wnętrza Galerii Lafayette, moje NIE zamieniło się w ogromne: TAK!

To nie był zwykły sklep, to było arcydzieło architektury! Wybudowany w 1906 roku dom handlowy wyglądał raczej jak opera. Przepiękna kopuła z żelaza i witraży zwieńczała halę główną, którą okalały bogato zdobione galeryjki z licznymi sklepikami. Galeria rozrastała się we wszystkie strony, miała wiele pięter, a na każdym znajdował się dział o innej tematyce. Od razu było jasne, że aby zwiedzić całość, potrzebny jest tydzień. My miałyśmy zaledwie kilka godzin.

Ewka była zachwycona. Na parterze, pod tą precudną kopułą, stały maleńkie butikie wszystkich najśłynniejszych perfumerii świata. Pokręciłyśmy się pomiędzy nimi, wdychając perfumy Lancome, Diora, Chanel i inne. W głowie

nam się zakręciło od tych cudownych zapachów! Nicole przekonywała nas, że mała buteleczka dobrych perfum to najlepszy prezent z Paryża.

Więc kupiliśmy kilka takich prezencików. Ja kupiłam Poison Diora, na razie dla siebie, bo nie wyobrażałam sobie, że mogłabym oddać komuś ten flakonik. Ale zaraz potem kupiłam dla mojej mamy Chanel 5. Klasyka, ale zawsze na czasie. Ewka znalazła coś z Givenchy dla swojej mamy. Nie byliśmy w stanie oderwać się od butików z perfumami, to było silniejsze od nas. Czas uciekał, a galeria miała jeszcze z siedem pięter, nie licząc tych pod ziemią!

Jak na ironię, to Nicole nas popędzała.

Pojechałyśmy na piąte piętro z damską bielizną. Rany! W Polsce w sklepie z bielizną były tylko jakieś bawełniane gacie i rajtuzy z bawełny. A biustonosze wyglądały jak opatrunki z gazy. A wszystko razem to najlepszy środek antykoncepcyjny, bo jak facet ujrzał swoją dziewczynę w czymś takim, od razu mu się odechciewało. Co tu dużo wyjaśniać, w czasach komuny w naszym kraju bielizna damska dzieliła się, podobnie jak sery, na dwa rodzaje. Sery dzieliły się na żółty i biały (zresztą, w smaku też), a bielizna na czarne albo białe barchany. A gdzie koronki? Gdzie delikatne róże czy beże? Że już nie wspomnę o innych kolorach, o których producenci bielizny w Polsce zupełnie zapomnieli!

Było to pierwsze miejsce w Paryżu, gdzie zapomniałam nawet o Marcu! Jak weszłyśmy obie z Ewką w te grzędy bielizny posegregowanej kolorystycznie i tematycznie, jak zaczęłyśmy biegać do przymierzalni, bo tam wolno przymierzać bieliznę, czego u nas nie można było zrobić nawet z wielkimi bawełnianymi gaciami, to nie było końca szalonej zabawy!

W końcu wybrałam dla siebie piękny zestaw Chantelle w kolorze bładoniebieskim. Ewka wskoczyła w beżowe body i

nie miała chęci z niego wyjść. Musiałam ją popędzić, bo jeszcze tyle pięter zostało do obejrzenia.

W kasie zostawiłyśmy gros naszych oszczędności. A w windzie, jadąc na pięterko z sukienkami, dotarło do mnie, że musimy jeszcze kupić coś dla rodziny.

- Dla nich coś się jeszcze kupi, choćby i na dworcu - powiedziała rozmarzona Ewka, ściskając gustowną papierową torbę z bielizną i perfumami.

- Ewka wie, co mówi - wtrąciła Nicole. - Powinnyście sobie kupić coś fajnego, w końcu pracowałyście na to całe dwa miesiące.

No to zaszalałyśmy na całego.

Kupiłam sobie piękną sukienkę w kolorze mojego lapis lazuli. Trochę dziwnie wyglądała w zderzeniu z mocno zużytymi adidasami, więc musiałam jeszcze pojechać na kolejne piętro i dopasować do tego buty. A jak już miałam ładne sandaalki pasujące do sukienki, to obok, na regaliku, jakby na moje życzenie, znalazły się torebki wizytowe.

Więc kupiłam także torebkę. Na cieniutkim pasku z łańcuszka. Taką idealnie pasującą na eleganckie okazje typu: rozdanie Oscarów.

Ewka też się nieźle zaopatrzyła. Wynałazła piękną małą czarną, pewnie od Chanel, i odpowiednie buciki. Zapomniałaby o torebce, ale jej przyjaciółka, czyli ja, czuwałam. Podsunęłam jej pod nos coś tak wyjątkowego, że od razu pobiegła do kasy.

Na koniec zafundowałyśmy sobie jeszcze po zestawie kosmetyków. Kupiłyśmy cienie do powiek, prawdziwy tusz do rzęs w spirali (w Polsce miałyśmy tylko taki w kamieniu, który przypominał błoto i trzeba go było skrapiać wodą albo napluć do pudełka, aby dało się tym badziewiem pomalować rzęsy), i jeszcze parę drobiazgów takich jak: lusterka powiększające, szczotki do włosów, waciki, mlecza do

demakijażu, pudry, róże na policzki i szminki. Zaszalałam i kupiłam sobie najprawdziwszą szminkę Diora! A do wszystkich zakupów zachwycone naszymi wyborami panienki dodawały bezpłatne próbki perfum, kremów do twarzy, szamponów i pudrów.

Wyszliśmy obładowane torbami, torebkami i torebeczkami. Pachniałyśmy zapachami całego świata i kręciło nam się w głowie od tego całego dobrobytu.

Z głodu burczało nam w brzuchach, ale przecież byliśmy zaproszone na ucztę u Sabine.

Za to nasze portfele świeciły pustką! Pocieszałyśmy się myślą, że jeszcze w najbliższy poniedziałek popracujemy w Sheratonie i oby nam przydzielono jakieś intratne piętusko. Za poniedziałkowy zarobek kupimy upominki dla rodziny. I nic więcej dla siebie, poprzysięgłyśmy sobie!

Już miałyśmy wyjść z Galerii Lafayette, kiedy okazało się, że właśnie rozpoczyna się pokaz mody! Na parterze zgromadził się spory tłumek. Nicole wyjaśniła, że takie pokazy odbywają się często w piątkowe popołudnia i mają na celu przyciągnąć potencjalnych klientów. Usiłowała nas stamtąd wyciągnąć, ale my uparłyśmy się, aby popatrzeć choć przez chwilę.

Piękne, długonogie modelki maszerowały po wybiegu przy muzyce skądś nam dobrze znajomej. Prezentowały stroje na najbliższą jesień i zimę. Jedna wyszła nawet w futrze z białych lisów, a pod spodem miała jedynie czarną bieliznę. Nie mogłam oderwać od nich oczu. Pokaz mody to chyba jedyna okazja, aby kobieta nie mogła oderwać oczu od... innych kobiet.

Nagle wyszła modelka w jesiennym trenczu i czapce... mojego kroju! Ewka szturchnęła mnie w łokieć.

- Twój kaszkiet - szepnęła.

- Wiem. - Nic już nie mogłam na to poradzić. Carl kupił mój projekt za dwadzieścia trzy tysiące i należał do niego.

- Może jakaś nowa studnia w Sudanie ci to wynagrodzi? - uśmiechnęła się Ewka.

- Jeśli choć jedna powstanie za te pieniądze od Carla, to będę naprawdę szczęśliwa. - Patrzyłam z dumą. Mój kaszkiet w Paryżu! Nikt w Polsce mi w to nie uwierzy!

Nicole w końcu wyciągnęła nas siłą.

- Czy wiecie, która jest godzina?

- Nie, a która? - spytała radosna Ewka.

- Szósta!

- Nie!

- Więc natychmiast pędzimy do metra, Aga, lecisz do Marca, a potem obie, razem z waszymi chłopakami, stawiacie się u moich rodziców.

- W tych nowych kieckach czy po staremu? - spytała Ewka z figlarnym uśmieszkiem.

Marca nie zastałam w domu. Obiegrałam cały plac w nadziei, że gdzieś tam portretuje, ale też go nie znalazłam. Nikt z naszych wspólnych znajomych malarzy też go dziś nie widział. Wróciłam do jego domu, ale nadal nie było ani śladu Marca. Wetknęłam więc małą karteczkę we framugę drzwi do jego studio, na której napisałam, że jest zaproszony przez Sabine na kolację dziś o ósmej. Żadnych wzniosłych słów ode mnie. Zwykle, suche zawiadomienie o spotkaniu, na które wcale nie musi przyjść, jeśli nie chce.

Swoją drogą, gdzie on się podziewał? Coraz bardziej niepokoiły mnie te jego dziwne zniknięcia. Może miał gdzieś inną panienkę? Albo kilka takich jak ja?

Nie miałam czasu na uzalanie się nad sobą. Pozostało mi piętnaście minut na zrobienie się na bóstwo.

Ewka zajęła łazienkę i nie zamierzała z niej wyjść. Było już pół do ósmej, za chwilę Vincent zadzwoni do naszych drzwi, a ja byłam nadal w dżinsach, spocona po biegu w poszukiwaniu Marca i kompletnie niegotowa!

W końcu wyszła z łazienki, cała w skowronkach i umalowana. Ewka rzadko się malowała, ale jak już zrobiła sobie kreskę na powiece, to była to kreska godna samej Kleopatry.

Wpadłam pod prysznic niczym torpeda i w ciągu dziesięciu minut zrobiłam ze sobą wszystko, co było realne w tak krótkim czasie.

Włożyłam sukienkę kupioną w Galerii Lafayette. Ewka już paradowała w swojej małej czarnej i pięknych kolczykach z antykwariatu przy rue du Cherche - Midi. Ja po raz pierwszy włożyłam mój cudowny naszyjnik z lapis lazuli. Makijaż dostosowałam do ubioru.

Miałyśmy tyle kosmetyków do wyboru, że z trudem podejmowałam szybkie decyzje, który cień będzie dobry na tę okazję.

Kiedy do drzwi zapukał Vincent, byłyśmy już prawie gotowe. Było mi przykro, że nie idzie ze mną Marco. Spryskane perfumami od Diora i Chanel ruszyliśmy z Ewką w towarzystwie jednego przystojniaka.

Vincent miał na sobie ciemny garnitur i niebieską koszulę bez krawata. Wyglądał niczego sobie. A razem z Ewką, uczepioną na jego ramieniu, jeszcze lepiej. Dreptałam za nimi jak sierota.

Gdzie był w tym czasie Marco?

Salon Sabine świecił pełnym blaskiem. Gospodyni w ciemnoczerwonej sukni z wielkim dekoltem przywitała nas czarującym uśmiechem, głośnymi okrzykami zachwyty nad naszym wyglądem i chmurą perfum, ciągnącą się za nią jak aura. Poprowadziła nas do salonu, gdzie oprócz Mariana ubranego w zwyczajny szary garnitur i białą koszulę, którą na pewno włożył wskutek nalegań żony, było już dwoje gości.

- To państwo de Laroche, nasi serdeczni przyjaciele. - Sabine dokonała prezentacji.

Skłoniliśmy się sobie delikatnie. Nie miałam pojęcia, że oprócz nas będą tam jeszcze inni goście.

- Pan de Laroche jest chirurgiem - dodała Sabine z podniesioną brodą, jakby bała się, że zauważymy zmarszczki na jej szyi.

Państwo de Laroche wyglądali na miłych ludzi.

Zasiedliśmy do stołu. Nieśmiało rozejrzałam się po tym, co nas czeka. I na ten widok zaparło mi dech! Sabine musiała wydać majątek na to przyjęcie. Na stole były najwspanialej udekorowane dania z najwykwintniejszych restauracji. Tak sądziłam, bo przecież nie umiałyby tego zrobić sama! Były najróżniejsze sałatki, kolorowe i cudownie apetyczne, były

gęsie wątróbki udekorowane listkami bazylii, były kraby i homary, pasztety z królika i całe mnóstwo innych pyszności.

Marian posyłał nam porozumiewawcze sygnały ponad tym całym dobrobytem. Mrugnął do nas, kiedy jego żona zniknęła w kuchni, żeby popędzić Clementine do działania.

- Pięknie wyglądacie! - powiedział. - Nigdy was nie widziałem w tak wytwornych strojach. - Przyglądał się, jakby nas widział pierwszy raz w życiu. Prawdę mówiąc, my same też siebie nie poznawałyśmy. Po dwóch miesiącach koczowania w spranych dżinsach, wytartych podkoszulkach i nieodłącznych kaszkietach na głowie nagle przeobraziłyśmy się w prawdziwe paryskie damy. Troszkę się chwiałam na wysokich obcasach, ale generalnie całe to nowe wcielenie było miłą odmianą. Vincent dzielnie podtrzymywał Ewkę, także nieprzyzwyczajoną do obcasów.

- A gdzie Nicole? - zapytałam.

- Zaraz tło nas zejdzie - wyjaśnił Marian. - Jak zwykle, każe na siebie czekać...

- Słyszałam o was wiele ciekawych rzeczy - odezwała się pani de Laroche. Oczy Ewki zrobiły się dwa razy większe.

- Tak? A jakich? - spytała.

- Wspaniałych. Jesteście takie dzielne! Podbiłyście Paryż swoimi pomysłami. Sabine opowiadała, jak trafiłyście na komendę policji za...

- To była pomyłka - przerwał jej Vincent.

- Ja wiem, ale... - Pani de Laroche uśmiechnęła się sztucznie.

- One nic złego nie zrobiły. - Vincent starał się zamknąć temat. Jeśli obie z Ewką zostałyśmy tu zaproszone w celu nabijania się z nas, to za chwilę ją stąd wyciągnę i niech się bujają sami w tym przepychu!

- Ależ oczywiście, wiem o tym - ciągnęła żona chirurga. - Chciałam tylko powiedzieć, że nasze prawo jest idiotycznie głupie.

- Kochanie - wtrącił się pan de Laroche - te miłe dziewczyny nie przyszły tutaj, aby słuchać o naszym prawie...

- Ale o czymś musimy rozmawiać, prawda?

No właśnie. Cała Francja, cały Paryż. Gadanie o czymś za wszelką cenę. Czyż nie lepiej byłoby porozmawiać o prawdziwych problemach ludzkości?

- A co pani sądzi o głodującej Afryce? - wypaliłam jak z moździerza.

- O czym?

- O biednych dzieciach z Somalii, które umierają z braku wody, jedzenia i lekarstw. - Ewka kopnęła mnie pod stołem.

- A czemuż miałabym coś o tym sądzić? - odparła zdziwiona kobieta.

- Nie wiem, może dlatego, że każdy powinien mieć jakiś pogląd na ten temat? - Chyba zbiłam ją z pantałyku. Otworzyła szeroko oczy i usta. Jakbym zapytała ją, czy wierzy w ufoludki.

Pan de Laroche uśmiechnął się po nosem.

- Moja żona nie interesuje się polityką - wyjaśnił. - Ale ja owszem. I muszę was zapewnić, że jest mi całkiem dobrze znane to zjawisko.

- Zjawisko? - nie wytrzymała Ewka. - Nazywa pan głód w Afryce zjawiskiem?

- Nie to chciałem powiedzieć... Ale, moim zdaniem, temat jest mocno przerysowany.

- Przerysowany? - Ewka powoli zapominała, że jest damą w małej czarnej i należy przytakiwać gospodarzom i ich gościom. Vincent chyba niezbyt dobrze się czuł w swej roli. Miałam wrażenie, że jest lekko zmieszany.

Na szczęście w tej samej chwili do salonu wkroczyła Sabine z tacą pełną napojów.

- Widzę, że już się zaprzyjaźniliście! Jak miło! Za chwilę się do was przyłączę, jeszcze tylko dam tej nierozgarniętej Clementine kilka poleceń...

W salonie nikt się nie uśmiechał. Na samym początku przyjęcia zapanowało totalne niezrozumienie.

- Może się napijemy dobrego wina? - przerwał milczenie Marian. Wstał i podszedł do barku.

- Z przyjemnością - powiedział pan de Laroche. Przynajmniej mogliśmy udawać zainteresowanie winem.

Pijąc, mogliśmy milczeć i co najwyżej chwalić dobry trunek. Nagle z góry zeszła Nicole. Uśmiechnięta i szczęśliwa. Wyglądała jak Wenus z obrazu Botticellego w bladoniebieskiej sukni z jedwabiu.

- Hej dziewczyny! - Dała nam po buziaku. Nicole, chociaż też zarażona dobrobytem, jednak zachowała jakieś resztki normalności.

Państwo de Laroche uściskali ją jak własną córkę.

- Czy też dostanę kieliszek wina? - spytała ojca, który kręcił się przy barku, chroniąc się tam przed niewygodnymi dialogami.

- Oczywiście, moja droga... Białe czy czerwone?

- Czerwone.

Z Nicole przy stole już przynajmniej nie musiałyśmy się martwić o przebieg dalszej konwersacji, bo zasypała wszystkich obecnych opowiadaniem o swoich studiach w Mediolanie i o Włochach, którzy są tacy nieobliczalni i szaleni. Sabine usiadła przy stole i jedną ręką ponaglała Clementine podającą ciepłe dania, a drugą poprawiała serwetki na obrusie. A przy okazji zdawała się kierować całym przyjęciem, jakby od tego zależało, czy wszyscy będziemy zadowoleni.

Ale żarcie było naprawdę pierwsza klasa! Przynajmniej to było na poziomie.

Po kilku kieliszkach wina i zjedzeniu paru wyśmienitych dań rozmowa zaczęła żyć własnym życiem, jak biurokracja francuska.

Ewka opychała się krabami, a jej flik był w nią wpatrzony jak w obraz Renoira. Ja uznałam, że skoro nie ma ze mną Marca, to przynajmniej najem się tych dóbr ile wlezie. Nicole opowiadała o Włochach, państwo de Laroche śmiali się i pili na umór. Sabine w tym wszystkim chyba zapomniała o Marianie, bo siedział nieco samotny i zagubiony. A przecież to miała być kolacja na cześć ich pogodzenia!

Nie mogłam tego pojąć, bo moim zdaniem wszystko to było sztuczne i nieprawdziwe.

Około dziewiętej trzydzieści zadzwonił domofon. Sabine podniosła się z krzesła i podniosła słuchawkę.

- Oui! - wykrzyknęła. - Już otwieram.

Omam nie padłam pod stół. Do salonu wszedł Marco ubrany w czarny garnitur i białą koszulę, z długimi włosami związanymi w kucyk. Wyglądał jak pianista, który za chwilę zasiądzie do fortepianu, aby zagrać koncert e - moll Chopina.

Ucałował Sabine w rękę (pozostałość z polskich obyczajów), wszedł do salonu z podniesioną głową i od razu zwrócił na siebie uwagę wszystkich obecnych. Tak właśnie robią ci wielcy spóźnieni! Wchodzą, kiedy nikt ich się już nie spodziewa, i wywołują burzę.

Sabine podstawiała mu krzesło obok mnie. Marco pocałował mnie w policzek.

- Witaj, Aguś - powiedział uśmiechnięty. Nie miałam nic w zanadru. Żadnej ciętej riposty, po prostu nic!

- Tylko ciebie nam brakowało - ogłosiła Sabine ponad stołem. Po czym pokrótce wyjaśniła państwu de Laroche, że Marco jest portrecistą i jej przyjacielem, a także moim.

Jeszcze trochę, a uznam, że jestem tu tylko dzięki łaskawej zgodzie Sabine, a wszyscy są wyłącznie jej znajomymi.

Marco dostał od razu pełen kieliszek wina. Marian zabrał się za odkorkowywanie kolejnej butelki bordeaux.

- Jest więc pan artystą? - Pani de Laroche zwróciła się do Marca z subtelnym uśmiechem na zdumiewająco gładkiej twarzy. Na moje oko była już po pięćdziesiątce, o czym świadczyły zmarszczki na szyi, niezbyt starannie ukryte pod jedwabną apaszką, a także dłonie, szczupłe i żyłaste, w których trzymała kieliszek. Czy francuskie kremy mogą być aż tak dobre?

- Mniej więcej - odparł Marco.

- Czyli robi pan portrety?

- Znakomite - wyręczyłam go.

- To ma pan trochę wspólnego z moim mężem - stwierdziła.

- Pani mąż też robi portrety? - spytałam z lekką nutką złośliwości, której zapewne nikt nie zauważył.

- Nie, ale poprawia wizerunki - odparła pani de Laroche, wciąż wpatrzona w Marca.

- Madeleine, daj spokój... - wtrącił się pan de Laroche. Ładne imię. Madeleine. Zupełnie jak jedna ze stacji paryskiego metra.

- Mój mąż jest chirurgiem plastycznym - powiedziała z dumą.

- A pani jego dziełem? - mruknęła Ewka. Już od jakiegoś czasu widziałam, jak Ewkę denerwuje egzaltowany sposób wypowiedzi tej kobiety.

- Słucham? - Wszyscy przy stole spojrzeli na Ewkę. Kopnęłam ją w kostkę.

- Nie, nic takiego... Chciałam powiedzieć tylko, że... nie wiedziałam! - Uśmiechnęła się chytrze. Uff! Już bałam się kolejnego skandalu, po którym nikt nas nie zaprosi nigdy na

salony! Swoją drogą w tej samej chwili nastąpiło między mną a Ewką ciche porozumienie pokrewnych dusz. Odtąd świetnie się bawiłyśmy obserwacją zachowań osób zgromadzonych przy jednym stole. Pilnowałyśmy się jednak ogromnie, aby nie popełnić kolejnej gafy.

- Nie mogę państwu powiedzieć, bo to są tajemnice jego gabinetu - pani de Laroche kontynuowała - ale nie macie pojęcia, jakie sławne osoby mój drogi Julien operował!

- Madeleine, proszę... - zaprotestował jej mąż. Julien de Laroche sprawiał wrażenie sympatycznego pana w sile wieku. Jak to się dzieje, że ci sympatyczni i zwyczajni faceci biorą sobie za żony takie skrzeczące i kolorowe papugi? Bez wątpienia Sabine i Madeleine należały do tej samej kategorii kobiet: eleganckie, zadbane, wygadane i lubiące narzucać swoją wolę. Gdybym była facetem, nie zniosłabym takiej żony.

Jednak dzięki temu widowisko było pierwsza klasa! Poczulałam się jak w teatrze na przedstawieniu Moliera. Ewka bawiła się nie gorzej, a Vincent delectował się jedzeniem i winem, prawie się nie angażując w rozmowę. Marco natomiast chętnie nadskakiwał obu paniom, uśmiechał się, czarował je i błyszczał. Nicole z niepokojem patrzyła na coraz bardziej znudzonego ojca.

- Ależ kochanie, przecież nie zamierzam nic wspomnieć o żonie prezydenta ani o tej aktorce, jak jej tam... O! Tej co grała w... - ciągnęła pani de Laroche.

- Na miłość boską! - Pan de Laroche zrobił się purpurowy. - Dość tego!

Madeleine zastygła z otwartą buzią. Ewka omal nie ryknęła salwą śmiechu, ale jakimś cudem się opanowała. Na pomoc przyjaciółce przyszła Sabine.

- Przecież i tak wszyscy wiemy, o kogo chodzi! Więc po co te tajemnice?

- Nawet jeśli wiemy, to o tym nie mówimy. Takie są zasady i należy je uszanować! - oświadczył Julien.

- To o czym będziemy rozmawiać? - spytała Madeleine zgromadzonych.

- Może o pogodzie? - zaproponował Marian. Sabine spojrzała na niego z politowaniem. I oni mają się pogodzić? Przecież to jeden wielki pokaz sztucznych ogni! Jeśli nawet zostaną razem, to nigdy nie będą mieć wspólnego języka. Nie nadają na tej samej fali.

- Może nasze miłe dziewczyny coś opowiedzą? - Sabine przerzuciła piłeczkę w naszą stronę.

- My? - przeraziłam się.

- Tak, opowiedzcie, jak to jest w waszym kraju... Przecież przyjechałyście do Paryża w poszukiwaniu pracy, więc chyba w waszym kraju nie jest wesoło...

Myślałam, że ją uduszę gołymi rękami. Państwo de Laroche spojrzeli na nas jak na przybyszów z Trzeciego Świata.

- Ale... Ja nie wiem o czym... - Cała radość obserwowania tej farsy zniknęła.

- Daj im spokój - wtrącił się Marian. - One są naszymi gośćmi honorowymi, nie przyszły tu, żeby opowiadać o Polsce. A że pracują, to tylko należy im się chwała za to.

Przełknęłam ślinę. Spojrzałam na Ewkę, szukając w niej wsparcia. Widziałam, że coś się w niej zbiera.

- To może ja opowiem o naszym kraju? - odezwała się Ewka. Uśmiechała się przy tym tak uroczo, że już powinnam szukać najkrótszej drogi ucieczki. Znałam Ewkę aż nazbyt dobrze i wiedziałam, kiedy ktoś jej nadepnał na odcisk. I właśnie to się stało. A Ewka nigdy nie odpuszczała.

- Z przyjemnością posłuchamy. - Pani de Laroche wyprostowała się, jakby za chwilę Ewka miała odśpiewać polski hymn narodowy...

Zauważyłam, że Vincent delikatnie musnął Ewkę w nadgarstek. Nie wiem, czy chciał ją powstrzymać, czy wesprzeć? A może jedno i drugie? Marco wytarł usta białą serwetką i zamilkł. Marian niespokojnie kręcił się na krześle, a Nicole zrobiła identyczną minę jak jej matka i Madeleine. Wszystkie trzy czekały na Ewki opowiadanie.

- No więc, chyba wiadomo, że w naszym kraju panuje komuna... - zaczęła Ewka. - Ale nie jest tak, jak myślicie. To znaczy, nie jest wesoło, bo w sklepach nie ma tego wszystkiego co w waszych, ale... Ale Polacy są stworzeni do wielkich czynów i nawet z komuną sobie potrafią radzić. Bo przecież nie my ją wymyśliliśmy, tylko Sowieci, i jest grupa ludzi, którzy ich popierają, bo mają z tego same profity. Partia. Ale my nie należymy do tej partii. My się z niej śmiejemy, ale po cichu, bo głośno nie można. Jest coraz więcej ludzi, którzy chcą ten stan rzeczy zmienić. Na razie po cichu, ale powoli i skutecznie... Zobaczycie, za kilka lat w Polsce nie będzie już komuny, Sowieci wyjadą i nasz kraj się rozwinie. Bo mamy wielu mądrych ludzi. Co by pan zrobił, gdyby musiał pan stać dwie doby w kolejce po benzynę? - Ewka spojrzała na pana de Laroche.

- Dwie doby? - zastanowił się. - Pewnie przesiadłbym się do metra!

Sabine i Madeleine parsknęły śmiechem.

- Ale w naszym kraju nie ma metra. Więc co by pan zrobił? - Ewka nie odpuszczała. Zastanawiałam się, do czego ona zmierza.

- W takim razie chyba sprzedałbym samochód i kupił rower - zaproponował pan de Laroche dumny ze swej pomysłowości.

- A jeśli nie byłoby nawet rowerów?

- No, to nie wiem... Musiałbym chodzić pieszo - przyznał.

- O właśnie! Pan by chodził pieszo! A Polacy przerabiają auta i napędzają je gazem! Bo Polacy nigdy się nie poddają, tylko szukają nowych rozwiązań.

- Nie miałem pojęcia - pokiwał głową pan de Laroche.

- A gdyby w sklepie nie było żadnego mięsa, a pani chciała urządzać wielkie przyjęcie? To co by pani zrobiła? - Teraz Ewka zaatakowała panią de Laroche. Kobieta zrobiła wielkie oczy i omal nie upuściła kieliszka.

- Jak to, nie było żadnego mięsa?

- Zwyczajnie. Idzie pani do rzeźnika, a tam stoi tylko sprzedawca i macha nożem, bo nic więcej nie ma do zaoferowania... - Ewka chyba się na dobre rozkręcała.

- To okropne! - wykrzyknęła madame de Laroche. - Rzeźnik machający nożem! Mon Dieu!

- Ale proszę mi odpowiedzieć. Pani chce urządzać przyjęcie, a mięsa nie ma w żadnym sklepie. Co by pani zrobiła w takiej sytuacji?

- No cóż, chyba musiałabym odwołać przyjęcie... I wymyślić jakiś sensowny powód, na przykład, że jestem chora albo coś innego, równie przekonującego. Bo w brak mięsa nikt z moich znajomych by mi nie uwierzył...

- Więc odwołałaby pani przyjęcie?

- Bien sur! Oczywiście! - Madeleine chyba przeżywała lekki wstrząs, słysząc te Ewki rewelacje.

- A Polak nie odwołuje przyjęcia w takiej sytuacji...

- kontynuuje Ewka.

- I co, podaje same warzywa? - spytała tym razem Sabine. Marian zapalił fajkę. To znak, że dobrze się bawił i był z nami. Zawsze zapalał fajkę, jak działo się coś wartego uwagi.

- Nie! Polak jedzie na wieś, zamawia prosiaka u znajomego farmera, a po kilku dniach odbiera przepysznie pachnące wyroby. Wędzonki, schaby, karkówki, świeżo uwędzone kaszanki, kiełbasy i pasztety. A potem przemyca to

do domu autem zaopatrzonym w butlę z gazem i chowa w piwnicy. I robi przyjęcie, jakiego nikt nie zapomni, bo takie wyroby prosto od farmera są najlepsze. A warzywka ma z własnej działki, bo dzięki Bogu uprawiania warzyw na własnych działkach jeszcze nam Sowietci nie zabronili.

- Niesamowite! - przyklasnęła pani de Laroche.

- Owszem - dodała Sabine.

- Polacy to dzielni ludzie - powiedział pan de Laroche.

- Ale, pani Ewo, czy tak?

- Tak, mam na imię Ewa.

- A więc, pani Ewo, czy myśli pani, że Francuzi w podobnych okolicznościach by sobie nie dali rady?

O! Trudne pytanie. I jak z tego wybrnie Ewka?

- Myślę, że gdyby naród francuski miał tyle doświadczeń w ciągłej niewoli, co nasz polski naród, to dałby sobie radę.

Bo to nas właśnie uczyniło silnymi. To, że od stuleci Polak musiał walczyć o swoje polskie prawa. Trzy zabory, potem wojna, hitlerowska okupacja, a potem to żałosne wyzwolenie przez Sowietów. Wpadliśmy z deszczu pod rynnę. I większość Polaków tego nie akceptuje. I dlatego to nie potrwa długo.

- I ja taką mam nadzieję - powiedział Julien de Laroche. - Bo myślę, że wasz kraj niczym się nie różni od naszego. Tylko że wy jesteście bliżej Związku Radzieckiego. Macie zwyczajnie pecha, jeśli chodzi o położenie geograficzne...

- Trudno nie podzielić pana zdania... - przytaknęła Ewka.

- Dość tego, chodźmy na taras. Zobaczmy Sacre Coeur oświetlone nocą! - przerwał nam nagle Marian. Podniósł się z fajeczką i wziął Ewkę pod rękę.

- Myślę, że to dobry pomysł - rzekł Vincent, do tej chwili wmurowany w krzesło i zaskoczony przemową Ewki.

- To idźcie się przewietrzyć, a ja podam deser. - Sabine też się podniosła.

Marian oparł się o balustradę. Na dworze nadal było gorąco, choć już dochodziła północ. Stałam obok Ewki.

- To było genialne - szepnęłam jej do ucha.
- Nie wiem, czy coś zrozumieli - odpowiedziała.
- Tego nikt nie może być pewien, ale i tak byłaś genialna!
- Wymieniłyśmy porozumiewawcze spojrzenia.

Podszedł Vincent i objął Ewkę w pasie. Marco został w salonie.

- Spójrzcie na niebo - powiedział Marian. - Czyż nie jest piękne?

Na niebie błyskały miliony gwiazd. Takich samych, czy to nad Francją, czy nad Polską. Ale te nad Paryżem miały szczególny urok. Urok chwili. Górowały nad pięknie rozświetloną bazyliką Sacre Coeur. A pomiędzy nimi jaśniał księżyc, niczym ogromny, francuski croissant.

- Nigdy nie będziemy z Sabine naprawdę szczęśliwi - wyznał Marian. Mówił niby do siebie, ale wiedział, że go słuchamy. - Ona jest z innej galaktyki - dodał, patrząc na gwiazdziste niebo.

- Ale bardzo jej na tobie zależy - powiedziałam.
- Na mnie czy na iluzji małżeństwa?
- Nie wiem, nie mam w tym doświadczenia - przyznałam.
- Aga, dam ci ojcowską radę...

Spojrzałam na jego profil. Podświetlony milionem światełek paryskiej nocy, wyglądał, jakby był wycięty z czarnego papieru. Jak profile, które wycinał paryskim turystom. Szkoda, że nie umiał wyciąć dymku z fajki.

- Jak będziesz chciała wyjść za mąż, to nie kieruj się rozsądkiem.

Pyknął trzy piękne kółka dymu.

- Kieruj się instynktem i... uczuciem.

W tym momencie na taras wszedł Marco i stanął za mną, obejmując mnie i oglądając panoramę miasta.

- O czym rozmawiacie? - spytał. Poczułam ciepło jego oddechu tuż przy swoim uchu.

- O gwiazdach i tym cudownym widoku - powiedział Marian. Po czym wszedł do salonu, zostawiając nas na tarasie.

W salonie na stole pojawiły się desery i kawa. Picie kawy o północy, znakomity pomysł, pod warunkiem że jutro można pospać. Na szczęście miałyśmy jeszcze dwa dni wolnego.

Sabine wpychała nam ciasteczka, jakich na pewno nie ma w Polsce, Madeleine coś mówiła o kaloriach, ale i tak pochłaniała krem z truskawkami bez wyraźnych oporów, pan de Laroche pił kawę i palił cygaro.

Wszyscy pozamieniali się miejscami. Wieczór najwyraźniej dobiegał końca, więc zaproponowałam Ewce szybki odwrót. Też chyba o tym myślała, bo natychmiast się podniosła i oznajmiła, że na nas już czas.

- O nie, moje drogie, jeszcze zostańcie! - niezbyt szczerze namawiała nas Sabine.

Miałyśmy już dość tej proznej kolacji i tej całej tragifarsy kołtuńskiej!

- Było nam bardzo miło, ale na nas już pora - powiedziałam zdecydowanie. Marco już całował Sabine w rękę, Vincent podążał za Ewką w stronę drzwi.

Pozegnałyśmy wszystkich, ucałowałyśmy ziewającą Nicole, a Marianowi wystarczyło porozumiewawcze skinienie.

Wyszliśmy na ulicę i od razu poczułam się lepiej. Tam, na czwartym piętrze, dusiłam się w sosie francuskiej hipokryzji i obłudy. Gdyby nie Ewka, czułabym się tak, jakbym stała się jedną z nich. Ewka ocaliła nasz honor. Być może nic z jej wypowiedzi nie zrozumieli, ale przynajmniej trochę nimi zachwiało.

- Więc dokąd teraz? - zapytał Vincent.

- Mam ochotę na spacer - powiedziała Ewka. - Ja też - przytaknęłam.

- No to chodźmy zobaczyć, co się dzieje na naszym placu
- zaproponował Marco.

Wspinanie się pod górkę w nowych sandałkach i sukienkach nie było takie łatwe jak w džinsach i adidasach. Ale tego wieczoru obie z Ewką postanowiłyśmy wyglądać niczym prawdziwe damy. Potykałam się na nierównym bruku, ale Marco zawsze mnie w porę podtrzymał, śmiejąc się z moich usilnych prób bycia damą.

Jak tylko wspięliśmy się na plac, jeszcze zanim wchodziłyśmy w prawdziwy tłum, dorwałam pierwszą z brzegu ławkę.

- Muszę usiąść na chwilę. Nie czuję nóg - wysapałam.
Ewka padła obok mnie.

- To posiedzmy tu sobie - powiedział Marco.

Była to ta sama ławeczka, na której dwa tygodnie wcześniej rozmawialiśmy z Napoleonem. Rozejrzałam się po okolicy, ale nigdzie go nie było.

- Myślisz o tym, co ja? - spytała Ewka.

- Skąd wiesz?

- O rany... Ja też się za nim rozglądam.

- Za kim? - spytał Vincent.

- Na naszym znajomym. A właściwie... przyjacielem. Maksymę Napoleon i jest kloszardem.

- Słyszałem o nim. To miejscowy król kloszardów. Poznałyście go?

- Tak. I od dawna go tu nie ma. Gdzie mógł się podziać?

- Wiem, o kim mówicie - wtrącił się Marco. - Napoleon to znana postać. Wiem tylko, że facet naprawdę jest jakimś profesorem...

- Profesorem historii - uzupełniła Ewka.

- I miał przerąbane życie - dodałam.

- No to wiecie o nim więcej niż my - podsumował Vincent.

Na ławce obok siedzieli jacyś kloszardzi, popijali tanie wino wprost z butelki i głośno gadali. Chyba coś mówili o Napoleonie. Nie zrozumiałam co, więc wstałam i podeszłam do nich. Marco zerwał się i poszedł za mną.

- Bonsoir - zaczęłam grzecznie. Skłonili się obaj. - Szukam Napoleona, znacie go? - spytałam wprost. Spojrzeli na siebie przestraszeni. Czy moje pytanie było nie na miejscu?

Marco chwycił mnie rękę i chciał odciągnąć od tych dwóch obszarpańców.

Wyrwałam się i podeszłam jeszcze bliżej.

- Napoleon to mój przyjaciel - tłumaczyłam. - Gdzie on jest?

Obaj nabrali wody w usta.

- Daj spokój, Aga, oni nic nie wiedzą, chodźmy... - Marco nie ustępował. Ja też.

Kloszardzi milczeli. Jeszcze chwilę patrzyłam na nich błagalnym wzrokiem, ale nic to nie dało. Zapewne nie wiedzieli, o co ich pytam.

Zawróciłam z Markiem i wtedy usłyszałam te słowa:

- Il est morte... On nie żyje. - Zatrzymałam się i spojrzałam na kloszardów ponownie.

- Napoleon? Znacie go?

- Oui. Ale on nie żyje - powtórzył jeden z nich.

- Merde! - powiedział drugi. - Napoleon nie żyje!

Serce podeszło mi do góry. Czy oni mówią prawdę?

- Skąd wiecie? - spytałam z resztką nadziei, że jednak się mylą.

- Ano wiemy, bo jakieś dwa tygodnie temu wyłowili go z Sekwany...

- Jesteście pewni, że to chodzi o niego?

- Jak tego, że nam się wino skończyło, szanowna pani....

Wyciągnęłam dziesięć franków i dałam im. Chcieli mnie pocałować w rękę, ale delikatnie ją cofnęłam.

- Muszę znać prawdę - przycisnęłam ich.

- Ale to prawda! Skoczył z mostu. Jakieś dwa tygodnie temu albo dawniej... Pamiętasz, kiedy to było? - spytał swego kompana.

- A gdzie tam. Ale wiem, że wypłynął przy Cite. Zahaczył się o barcę...

- Szkoda chłopca. Fajny był z niego gość. Często nam stawiał wino, a zimą nawet i ciepłe ciuchy kombinował.

- Oj, szkoda chłopca, szkoda...

Byłam załamana. Podeszłam do Ewki, szczęśliwej w objęciach Vincenta.

- Ewka, Napoleon nie żyje.

Ewka zamarła. Nie uwierzyła. Ja też wciąż nie mogłam w to uwierzyć.

Ale po co ci ludzie mieliby kłamać? Poza tym, przypomniałam sobie, w jakim był nastroju, kiedy nam opowiadał smutną historię swojego życia. A jeśli to prawda, jeśli popełnił samobójstwo dwa tygodnie temu, to znaczy, że zdarzyło się to po naszej z nim rozmowie! Wtedy, kiedy odszedł smutny i załamany, kiedy my nie mogłyśmy mu pomóc!

Ewka płakała. Ja też. Nasi faceci nie za bardzo wiedzieli, dlaczego tak przeżywamy śmierć jakiegoś kloszarda, ale przynajmniej nie przeszkadzali nam w płaczu.

- Vincent, jesteś przecież policjantem - chlipała Ewka. - Czy możesz się czegoś dowiedzieć? Przecież to musi być gdzieś odnotowane!

- Zobaczą, co się da zrobić - przyrzekł.

- Przykro mi - powiedział Marco. - Nie wiedziałem, że się z nim zaprzyjaźniłyście.

- Jutro z samego rana zajrzę do kartotek policji - dodał Vincent, jakby to mogło nas pocieszyć.

Ale nic już w Paryżu nie będzie takie samo jak przedtem. Bez Napoleona to miasto nie było już tym samym miastem.

Jego opowieść nas poruszyła. Od tamtego wieczoru inaczej postrzegaliśmy Paryż. Dzięki Napoleonowi poznałyśmy kilka niezwykłych tajemnic tego miasta, byłyśmy w miejscach, dokąd zwykły turysta nie dociera. I przestałyśmy być jedynie głupiutkimi dziewczynami, które tylko się bawią.

Ten człowiek w krótkim czasie nauczył nas więcej niż niejeden uniwersytet przez kilka lat. Dlaczego go wtedy nie zatrzymałyśmy? Dlaczego nie zapobiegłyśmy jego śmierci?

Poprosiliśmy Marca i Vincenta, aby nas odprowadzili do domu. Jeszcze chwilę temu miałyśmy inne plany. Teraz wszystko się zmieniło. Napoleon nie żyje.

Pod naszą kamienicą przytuliłam się do Marca i powiedziałam, że przepraszam. Myślałam, że mnie zgani, bo przejmuję się jednym nic nieznaczącym człowiekiem, który był tylko... paryskim kloszardem.

Marco mnie jednak zaskoczył.

- Rozumiem cię, Aguś... Idź się wyspać. Nic nie zrobisz dla swojego przyjaciela. Ale możesz o nim zawsze pamiętać. ..
- Spojrzałam w oczy Marca. Były lekko wilgotne.

Kolejny dzień był jak poruszanie się we mgle albo w gęstym smogu. Obudziłyśmy się zmęczone i smutne. Była sobota. Normalnie poszłybyśmy zwiedzać Paryż. Jednak wspomnienie wczorajszej nocy sprawiło, że snułyśmy się po domu, robiąc różne dziwne rzeczy typu: przegląd lodówki, pranie koszulek, wyrzucanie śmieci.

W końcu Ewka nie wytrzymała.

- Musimy się dowiedzieć, co się stało z Napoleonem.

- Jest sobota. Vincent obiecał, że jak się czegoś dowie, da nam znać.

- No właśnie, ale jest cholerna sobota! A w sobotę żaden zabojad nie splami się pracą! Vincent niczego się dziś nie dowie.

- Sugerujesz, że nie warto tu na niego czekać?

- Owszem. Jak będzie coś wiedział, zostawi nam wiadomość. A tymczasem mija nasz ostatni wolny dzień w Paryżu!

- Masz jakiś pomysł?

- Jasne. Nie zmienimy stanu rzeczy, jeśli chodzi o Napoleona. Jeśli naprawdę popełnił samobójstwo, to tym bardziej. A jeśli to pomyłka, to musimy poczekać na relację Vincenta.

- Więc wychodzimy?

- A co, wolisz ostatni dzień wolny od pracy przesiedzieć w domu, układając skarpetki w pary?

Ewka miała rację. Nic nie osiągniemy, siedząc w domu. Za oknem świeciło słońce i rozlegały się odgłosy paryskiego życia. A nas ciągnęło do niego z każdym dniem jeszcze mocniej.

Pojechałyśmy do Musee d'Orsay. Malutkie muzeum, jak myślałam, porównując je z Luwrem, okazało się ogromne! Przebudowane z dawnego dworca było jednym z najbardziej prestiżowych muzeów Paryża.

Zwiedzanie zajęło nam całe popołudnie. Na najwyższym piętrze, w przytłumionym świetle, aby nie zniszczyć dzieł, wystawione były słynne plakaty Toulouse - Lautreca. Podziwiałam kunszt tego artysty, chłonełam każdą kreskę i plamę wypowiedzianą pastelami.

Zauroczyły mnie też martwe natury Cezanne'a, portrety Renoira i niesamowite obrazy Van Gogha. Vincent van Gogh był chyba najbardziej niezrozumianym i nieszczęśliwym artystą wszech czasów. Podczas całego swojego krótkiego życia nie sprzedał ani jednego obrazu! A dziś jego dzieła sprzedawane są na aukcjach za fortunę. Czy trzeba umrzeć, aby zostać geniuszem? Przy wyjściu odżałowałam nawet ponad sto franków za album z tymi dziełami.

Wyszłyśmy z Musee d'Orsay po piątej i wypadłyśmy prosto na bulwar Voltaire'a. Droga była otoczona kolorową taśmą. Stałyśmy w tłumie gapiów. Nagle z bramy wyjechała dorożka zaprzęzona w czwórkę białych koni, a w niej siedzieli aktorzy w strojach z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Dorożka przejechała obok nas, po czym zniknęła za zakrętem ulicy, pozostawiając jedynie odgłos końskich kopyt na brukowanej nawierzchni. Przypomniłam mi się, nie wiem

dlaczego, zakątek Cour de Rohan, który zwiedziłyśmy dzięki Napoleonowi.

Cały ten ostatni weekend w Paryżu upłynął nam na włóczeniu się po mieście, wspomnieniach i żalu po utraconym przyjacielu, żalu z powodu zbliżającego się wyjazdu oraz wszelkich innych żalów, o których nie miałyśmy pojęcia.

Ogarnął nas jeden wszechobecny smutek. Cały Paryż był smutny, choć przy straganach nadal krzyczeli sprzedawcy, gołębie na chodnikach gruchały jak zwykle, a kolorowy tłum turystów przelewał się przez miasto jak powódź.

Snwałyśmy się po raz kolejny po bulwarach nad Sekwaną, jeszcze raz zaglądając do bukinistów pod ich markizy, posiedziałyśmy na ławce na nabrzeżu, patrząc na przepływające bateau mouche, statki płynące w tę i z powrotem, wypełnione gromadami wesołych turystów, weszłyśmy do katedry Notre Dame, aby się pomodlić i podziękować za cudowne chwile spędzone w tym wyjątkowym mieście, a przy wyjściu zapaliłyśmy świeczkę za duszę naszego przyjaciela, kłoszarda zwanego Napoleonem.

Nasi przyjaciele policjanci w niedzielę nie dali rady niczego się dowiedzieć. Francuzi nie hańbią się pracą w weekendy, nawet jeśli jest to ważne. Musiałyśmy poczekać do poniedziałku.

Wracałyśmy do domu bez pośpiechu. Jeszcze raz zatrzymałyśmy się na drewnianym Pont des Arts, podziwiając zachodzące słońce odbijające się w Sekwanie. Na jak długo musi nam wystarczyć tego widoku? Może już nigdy nie wrócimy do Paryża? Każda z nas, choć nie mówiłyśmy o tym na głos, chciała utrwalić w sercu te ostatnie chwile.

Wieczorem poszłyśmy zjeść kolację na placu. Zauważyłam Mariana pracującego jak zwykle nieopodal. On też nas zauważył. I zaraz po tym zniknął.

Zamówiliśmy ulubione danie u ulubionego kelnera. Ewka była smutna. Ja też. Nadszedł moment pożegnania z tym cudownym miejscem. Wino miało inny niż zwykle smak. Było bardziej cierpkie.

- Jutro ostatni raz idziemy do Sheratona - powiedziała Ewka.

- Cholera, będzie mi tego kieratu brakowało! - Pokiwałam głową.

Kelner postawił przed nami przepyszną zupę cebulową.

- Ca va? - spytał, widząc nasze smętne twarze.

- Oui, ca va, ale... - Ewka prawie się rozplakała. Ja też.

- Pojutrze wyjeżdżamy - wyjaśniłam łamiącym się głosem.

- Och! Jaka szkoda! - powiedział nasz kelner. - Bez panienek nie będzie tu tak wesoło, jak było.

- Nam też nie będzie wesoło - dodałam, z trudem hamując łzy.

Kelner odsunął się, bo za nim pojawiła się nagle grupka nowych gości.

Do naszego stolika podszedł Marian, a za nim w kolejce stali: Nicole, Vincent i... Marco! Skąd oni się tutaj wzięli?

- Możemy się do was przysiąść? - spytała Nicole z figlarnym uśmiechem.

- Bien sur! Oczywiście - odpowiedziałyśmy chórem. Nasi przyjaciele widać się zmówili wcześniej. Wiedzieli, że nie odpuścimy sobie ostatniej kolacji na placu. I czyhali na nas jak sępy. Takie dobre, kochane sępiątka!

Kelner z uśmiechem (jakby brał udział w tym spisku) dostawił brakujące krzesła, na stole pojawiła się ogromna karafka wina i nagle obie z Ewką poczułyśmy się jak w domu. Bo nieważne gdzie i co się je czy pije, ważne z kim!

Vincent od razu nas przeprosił, że nadal nic nie wie o śmierci Napoleona. Obiecał, że jutro wyciągnie wszystko co

możliwe na ten temat. Ewka uśmiechała się, kiedy ją delikatnie adorował. Marco siedział naprzeciwko mnie, ale cały czas posyłał mi spojrzenia, od których topniało mi serce. Marian opowiadał, że jest durniem, bo przegapił wiele sposobów, aby z nami pozwiedzać Paryż, a Nicole już nie mogła się doczekać, kiedy wróci do Włoch. Coraz bardziej fascynowała ją moda i zastanawiała się, czy nie próbować sił w tej dziedzinie.

Wino cudownie rozgrzewało nasze dusze, wszyscy tego wieczoru mieliśmy miliony tematów do poruszenia.

Szkoda, że nie było z nami Napoleona. On na pewno sprawiłby, że wszyscy słuchalibyśmy tylko jego.

Marian wznosił toast za naszą przyjaźń. Stuknęliśmy się kieliszkami, Marco omal nie rozbił swojego i mojego, tak mocno się ze mną tryknął. Jego oczy płonęły w ciemności pod markizą knajpki, nad którą już tylko świeciły gwiazdy. Nie miałam pojęcia, kto zainicjował to spotkanie, ale ktokolwiek to był, miał dobry pomysł.

Na myśl o powrocie do kraju, w którym wszystko było szare i beznadziejne, dostawałam dreszczy.

Marian i Nicole pożegnali nas troszkę po północy. Marian powiedział, że klucz mamy zostawić pod wycieraczką, jeśli już się nie spotkamy. I dodał, że jeśli nie napiszemy zaraz po powrocie do Polski, to nas znienawidzi. Ucałowałyśmy go w oba policzki, ledwie panując nad łzami. Gdyby nie on, gdyby nie jego bezinteresowna pomoc, to jak przeżyłybyśmy ten czas w Paryżu?

Nicole też prosiła o kartki! Piszcie, dziewczyny! Podała nam swój adres w Mediolanie. Zapisaliśmy wszystko na karteczce, Ewka miała notesik w torebce, a ja długopis.

Kiedy Nicole i Marian odeszli, poczułam, że coś ściska mi żołądek. Nigdy nie tolerowałam pożegnań. To było wyjątkowo trudne!

Zostałyśmy same z Vincentem i Markiem. Chyba Marian i Nicole celowo nas zostawili. Teraz mogłyśmy z Ewką podsumować nasze paryskie związki. Czy mają szansę na kontynuację?

Marco obiecał, że przyjdzie pojutrze na dworzec. Obiecał pisać i odwiedzić mnie w Polsce, jak tylko zniknie żelazna kurtyna. A jeśli nie zniknie nigdy?

Kiedy nasi faceci odprowadzili nas do domu, byłam kompletnie oszołomiona. Winem, nadmiarem emocji, wzruszona pożegnalną kolacją, za którą zapłacił Marian, bo się uparł jak osioł. Marco ucałował mnie czule na dobranoc.

Ostatni dzień pracy w Sheratonie. Niedośpane, zmęczone, ale dotarłyśmy na czas. Isabelle powitała nas chłodno i od razu kazała pojechać na osiemnaste piętro. Obie dostałyśmy to samo piętro na koniec naszej gehenny. I fajnie, bo jakoś kompletnie nie chciało nam się udawać przodowniczek pracy tego dnia.

A kiedy wyczałyśmy, że na tym piętrze goszczą dziś prawie wyłącznie Japończycy, uznaliśmy to za dobry finał pracy w tym hotelu. Pokoje były czyściutkie, jakby niezamieszkałe przez nikogo. Nasze czynności ograniczały się do obowiązkowej wymiany czystej pościeli na nową czystą pościel, do uzupełnienia gadżetów i opłukania wanien.

Coraz bardziej kochałam Japończyków!

Pod każdą poduszką zostawiali po kilka franków. W czasie lunchu policzyłyśmy z Ewką napiwki i wyszło nam, że możemy jeszcze przed wyjazdem kupić kilka prezentów dla rodziny.

Nazarłyśmy się kuskusu, opiliśmy obiadowym winem i pojechałyśmy z powrotem na osiemnaste piętro, aby dokończyć pracę.

I wtedy TO się stało!

Jakby nasz ostatni dzień pracy w tym hotelu nie mógł się obyć bez wyjątkowych zdarzeń!

Kiedy tylko wyszłyśmy z windy, ujrzałyśmy tego gościa leżącego na podłodze.

Usiłował wstać, ale widać było, że nie daje rady. Podbiegłyśmy natychmiast, żeby mu pomóc. A on tylko powtarzał: mon coeur, mon coeur...

Najwyraźniej dopadł go atak serca! Akurat na naszym piętrze i akurat w ostatnim dniu naszej pracy!

W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś aktor, mim czy ktoś w tym stylu, wynajęty przez Isabelle, aby nas na

koniec pracy zgłębić i dać nauzkę za wszystkie przewinienia. Ale człowiek ten wyglądał naprawdę na chorego, więc szybko wezwałam przez interkom pomocy. Ewka klęczała przy gościu, który też był Japończykiem, ale widocznie dieta rybna nie gwarantuje cudownego zdrowia.

Po kilku minutach z windy wysiadł etatowy lekarz Sheratona. Zbadał gościa i zabrał go do szpitala. Dodał, że do Hotel - Dieu.

Ewka zdążyła jeszcze zapytać, czy będzie żył, ale sanitariusz tylko zrobił głupią minę.

A chwilę po tym na korytarzu pojawiła się zrozpaczona Japonka, pytając, gdzie jest jej mąż!

- Pojechał do szpitala - wyjaśniłam.

- Ale do którego? - pytała po angielsku.

- Do Hotel - Dieu - powiedziałam.

- Merci, merci bien - dukwała po francusku, pędząc do windy.

Przez resztę dnia sprzątałyśmy pozostałe czyste pokoje po Japończykach. Gdyby tak zawsze miała wyglądać praca pokojówki, to mogłabym tak pracować całe życie. Ewka nawet nuciła coś pod nosem, kiedy ostatni raz odstawiała swój chariot do komórki.

Była już niemal piąta, koniec naszego dyżuru, gdy nagle dopadła nas ta sama Japonka.

- Dziękuję! - krzyczała. - Dziękuję, że uratowaliście mojego męża!

Czy my go uratowałyśmy? My tylko wezwałyśmy pomoc.

- Gdyby nie wy, on by już nie żył! - skrzeczała cienkim japońskim głosem.

- Czy pani mąż ma się lepiej? - spytałam.

- Oh, oui! Już jest dobrze! To był tylko taki... - szukała odpowiedniego słowa. - To był taki napad stresu, no wiecie, co wygląda jak zawał serca - wyjaśniała.

- I całe szczęście - uśmiechnęłam się do tej drobnej, czarnowłosej kobiety.

- Ja chcę wam za to podziękować - ciągnęła.

- Nie trzeba - powiedziała Ewka.

- Ale ja musieć! - dodała głosem nieznoszącym sprzeciwu. No tak, jak Japończykowi odmówisz, to tak, jakbyś go obraził. Było już późno, obie z Ewką chciałyśmy jak najprędzej zjechać na dół, zdjęć nasze różowe fartuszki i iść stąd jak najdalej. Ale ta kobieta ciągnęła nas do swojego pokoju i nie było możliwości, aby jej powiedzieć: nie.

Więc poszłyśmy za nią. W pokoju ukloniła się lekko, jakbyśmy były jej gośćmi, a nie pokojówkami. Stałyśmy w przedpokoju onieśmiałe i ogłupiałe. Gestem ręki kazała nam podejść bliżej.

Z ogromnej walizki wyjęła przepiękne kimono. Czerwono - czarne cudo z haftowanymi złotą nicią motywami. Były to motyle i kwiaty. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. No, może poza moim naszyjnikiem z lapis lazuli. Japonka wzniosła kimono do góry i pokiwała głową.

- To dla was. - Uśmiechała się od ucha do ucha. Stałyśmy oszołomione. Po co nam kimono? Nawet tak

piękne? Japonka najwyraźniej chciała nam ofiarować coś, co dla niej było wyjątkowo cenne.

- Z całym szacunkiem, ale nie możemy tego przyjąć. - Ewka lekko się skłoniła.

Oczy Japonki zrobiły się szare i smutne.

- To dla mnie sprawa honoru... - powiedziała. - Muszę wam podziękować za uratowanie męża.

Czyli nie miałyśmy wyboru.

Skłoniłyśmy się obie, jakbyśmy były na audiencji u cesarza Japonii, i przyjęłyśmy dar od nieznajomej skośnookiej kobiety. Uśmiechała się promiennie.

- Dziękujemy - powiedziałam.

- Niech ten dar da wam szczęście w życiu. - Skłoniła się jeszcze raz Japonka.

I tak, wzbogacone o kimono gejszy z Kioto, poszliśmy pożegnać się z Isabelle.

- Szkoda, że musicie już wyjechać - powiedziała, wręczając nam ostatni czek. - Poza paroma nieobecnościami, nie miałam z wami żadnych problemów.

Musiała nam wygarnąć te nieobecności?

- My też żałujemy, ale nasza wiza się kończy i nie mamy wyboru,

- Rozumiem. Miło było z wami pracować. - Podała nam swą szczupłą, wypiełgnowaną dłoń. Tego dnia jej paznokcie miały kolor perłowobiały, podobnie jak jedwabna bluzka. Na tle jej ciemnej skóry te akcenty rzucały się w oczy. Uśmiechnęła się w zawodowy sposób, oszczędnie i z dystansem.

- Nam także było miło z panią pracować - wypaliła Ewka jak z kolubryny. Z trudem opanowałam się, aby nie wybuchnąć śmiechem. Obie wiedziałyśmy, że Isabelle to potwór w pięknej powłoce.

- A tu macie jeszcze ode mnie mały prezencik. - Wyciągnęła ku nam małą kopertę. Nie, nie zasłużyłyśmy sobie na żadne premie, pomyślałam.

Skinęła głową, abyśmy zajrzały do środka.

Wewnątrz były dwie widokówki z hotelem Sheraton, takie same, jakie codziennie kładłyśmy gościom hotelowym na stolikach nocnych. Też mi prezencik! Wiele takich kartek już dawno podwędziłyśmy i wysłałyśmy do naszych rodzin i znajomych z pozdrowieniami. Isabelle najwyraźniej chciała sobie z nas zakpić.

- Na drugiej stronie - podpowiedziała. Odwróciłam kartkę i przeczytałam na głos: - Referencje pokojówki: nazwisko, imię itd., kraj, miasto... - I tu były dane Ewki. A potem ocena

jej pracy: bardzo dobra. Staż dwumiesięczny, zaliczony. Na koniec podpis Isabelle i pieczętka hotelu. Spojrzałam na drugą kartkę, było na jej odwrocie to samo, ale moje dane personalne.

Spojrzałyśmy wielce zdziwione na zadowoloną, nie wiadomo z czego, naszą, co tu ukrywać, w tym momencie już była szefową.

- Co to jest? - spytała Ewka.

- To jest wasze świadectwo. Coś w rodzaju referencji. Jeśli będziecie chciały znaleźć pracę pokojówki gdziekolwiek, to ta kartka na pewno wam to ułatwi. A jeśli wrócicie do Sheratona i mnie tu już nie będzie, bo... - tu westchnęła - no, bo wszystko się może zdarzyć, to osoba, która mnie zastąpi, da wam na pewno pracę i od razu podwyżkę.

To takie buty! No, no. Osobiście raczej nie marzyłam o karierze pokojówki w przyszłości, raczej wolałam się widzieć jako projektantkę wewnątrz po ukończeniu studiów, ale nigdy nic nie wiadomo. W sumie miło było zostać docenioną za pracę, którą kompletnie olewałam.

- To bardzo miłe z pani strony - powiedziałam uprzejmie.

- A o jaką podwyżkę chodzi? - spytałam.

- Jakies dwadzieścia pięć procent - uśmiechnęła się Isabelle.

- A możemy zacząć od jutra? - zażartowała Ewa. Isabelle z początku pomyślała, że to na poważnie. Ale widząc nasze miny, roześmiała się chyba po raz pierwszy w naszej obecności.

Wychodząc z Sheratona, byłyśmy nawet trochę smutne. Oto skończył się nasz kolejny etap w życiu, może nie etap, a etapik, malutkie doświadczenie, takie jak skok ze spadochronem albo udział w rajdzie samochodowym. Tak czy owak, na pewno czegoś się nauczyłyśmy, ot choćby tego, że nie warto być nadgorliwcem w pracy, bo i tak nikt tego nie

doceni. Ile razy udawałyśmy z Ewką, że odkurzyłyśmy dywany, choć nie odkurzyłyśmy? I nikt tego nie zauważył! Kilka razy zaszyłyśmy się w pustych pokojach, aby w spokoju poczytać książkę. Że nie wspomnę o mojej karygodnej drzemce w pokoju gościa, który na szczęście nikomu nie szepnął o tym zdarzeniu ani słowa. No i dostałam dyplom wzorowej pokojówki na koniec!

Jeśli my z Ewką zasłużyłyśmy na takie noty, to co robią, albo raczej: czego nie robią, pokojówki, które nie otrzymują referencji?

Aż bałam się to sobie wyobrazić!

Po raz ostatni spojrzaliśmy na lśniącą wieżę ze stali i szkła. Gdzieś tam na górze znowu jakaś femme de chambre płakała, że nie da sobie rady, inna już z wprawą powlekała ogromne łóżka, a jeszcze inna szorowała wannę pełną czarnych kędziorków i przeklinała swój los. Mimo wszystko zrobiło mi się tego wszystkiego żal i, choć przeklinałam nieraz tę pracę, teraz czułam, że coś bezpowrotnie się skończyło i już nigdy się nie powtórzy. Już nie znajdę napiwków pod poduszką, nie usiądę z Ewką w kafeterii przy kuskusie, nie ponarzekam na Izabelle. Nie włożę tego ohydneho różowego fartuszka i nie zaniosę nikomu śniadania na eleganckiej tacy. Obie z Ewką wrócimy do naszej szarej komuny, gdzie na śniadanie będzie salceson albo wątrobianka, albo ser biały lub żółty, bo tylko te dwa rodzaje sera można było kupić. A tu, we Francji, samych serów było ponad trzysta gatunków!

Ewka szła zamyślona i też jakaś nie w sosie.

- Musimy kupić jakieś upominki - powiedziała bez entuzjazmu.

- Więc najpierw chodźmy do banku zrealizować czeki. Uzbierałyśmy w sumie po jakieś sześćset franków. Jutro wyjazd, więc prawie wszystko mogłyśmy wydać na pamiątki i drobne prezenty. Na zakupy w Galerii Lafayette byłyśmy zbyt

ubogie, ale sklepiki największej stacji paryskiego metra na Montparnasse też były pełne cudownych pamiątek i towarów.

Poszłyśmy więc z Ewką na ostatnie przed wyjazdem zakupy. A ponieważ czasu nie miałyśmy zbyt wiele, postanowiłyśmy się rozdzielić i spotkać przy wyjściu z metra za godzinę.

I każda z nas pobiegła przed siebie, od butiku do butiku, aby w ciągu godziny wydać swoje franki na idiotyczne bzdety, bo prezenty dla naszych bliskich musiały się czymś przecież różnić od szarych i pospolitych przedmiotów, którymi otaczała nas polska rzeczywistość.

Kupiłam więc dla mamy śmieszny parasol z drewnianą rączką, dla starszego brata karty do gry z satyrycznymi wizerunkami ówczesnych polityków (był wśród nich nawet Stalin jako najniższa karta z liczbą dwa, więc bałam się, czy mnie za ten przemyt nie zamkną), dla młodszego brata kupiłam zestaw ładnych kości do gry, czyli same kompletnie nieprzydatne rzeczy, no może poza parasolem. Nie miałam pojęcia, co kupić ojcu, aż w końcu trafiłam na piękne krawaty z wieżą Eiffla. Wiedziałam, że nigdy takiego krawata nie założę, ale właśnie dlatego go kupiłam. Prezenty z Paryża musiały być paryskie.

Dla swojego byłego chłopaka - byłam pewna, że już nie mam do kogo wracać, ale przecież nadal ciepło o nim myślałam - kupiłam piękny modelik ferrari, jak prawdziwy, tylko malutki. Niech sobie chłopak pomarzy, że kiedyś z fiata 125 P przesiądzie się na takie cacko. Na wszelki wypadek kupiłam jeszcze dwie kolorowe apaszki we francuskie barwy narodowe, jedną dla mamy, a drugą nie wiadomo na razie dla kogo, i trochę pachnących bosko mydełek opakowanych w miniaturowe drewniane skrzyneczki wypełnione sztucznym siankiem. Niektóre mydełka wyglądały jak rajskie zielone jabłuszka i pachniały podobnie.

Po godzinie spotkałam się z Ewką w umówionym miejscu. Obwieszona torbami oznajmiła, że zostało jej jeszcze trochę kasy.

- Mam pomysł! - krzyknęłam pełna podziwu dla samej siebie. Mnie też zostało trochę wolnych franków.

- Idziemy na dobrą kolację? - spytała Ewka. Fakt, przydałaby się nam taka naprawdę dobra ostatnia kolacja w Paryżu. Ale mój pomysł był inny.

- Kupmy kilkanaście gatunków sera - powiedziałam.

- Sera? - Ewka się skrzywiła. - A po co?

- No jak to, po co? Zawieziemy do domu kawałek Francji. Przecież takich serów nie ma u nas w sklepach.

- W sumie... niezła myśl. Moja babcia na pewno się ucieszy. Zawsze marudziła na te nasze polskie sery, że takie były jakie i bez smaku.

- No widzisz. To co, idziemy po fromages?

- A może najpierw zatańczymy to do domu? - Ewka z trudem dźwigała swoje torby.

W metrze musiałyśmy uważać, aby tłuszczka nie zostawiła nas... z torbami. To znaczy: bez toreb! Był taki tłum, że z trudem uchowałyśmy nasze zdobycze przed zgniceniem, zdeptaniem i potencjalną kradzieżą. W końcu udało nam się jakoś zakotwiczyć w kącie przy wyjściu, choć oblepiali nas inni pasażerowie swoimi ciałami w różnych kolorach, odcieniach i tatuażach. Kiedy w końcu wyszłyśmy objuczone jak dwa dromadery na naszej stacji, obie wzięłyśmy głęboki oddech. Tym razem na górę jechałyśmy windą, za dużo miałyśmy do dźwigania.

W domu wysypałyśmy zakupy na ogromne łóżko we wnęce i komentowałyśmy ich całkowity brak przydatności. Ewka poszła tym samym tropem co ja. Kupiła wiele bzdetów, choć fajnych, ale zawsze bzdetów. Najbardziej rozbawił mnie

krawat, który kupiła dla swojego brata. Był z nadrukiem... wieży Eiffla.

Ale już wtedy wiadomo było, że krawaty kupuje się tylko w Paryżu, a stal... w Mostostalu.

Odświeżyliśmy się co nieco i poszliśmy kupić francuskie sery. Sprzedawca patrzył na nas dziwnym wzrokiem, bo ładowałyśmy do koszyka po jednym serku z każdej parafii, jakbyśmy nagle zamierzały w tempie ekspresowym poznać gusta kulinarne całej Francji. Najgorsze, że zaczął nam doradzać i wychwalać jedne sery nad innymi. Pytał, do jakiego wina je chcemy degustować i czy wiemy, że jedne nie za bardzo pasują do drugich.

A my, nie bacząc na jego dobre intencje, pakowałyśmy serki tak, jak stały na półce, po dwa z każdego rodzaju do koszyka. Potem to wszystko w domu rozdzielimy na dwie kupki: jedną dla mnie, drugą dla Ewki. Powstał w ten sposób w miarę reprezentatywny przegląd serowej stolicy Europy.

Były więc sery owcze, kozie, pleśniowe, z winogronami, z orzechami, sery śmierdzące nawet przed rozpakowaniem, sery o różnych kształtach i niewiadomego pochodzenia. Nieważne. Wszystkie razem, w naszym koszyku, wyglądały wspaniale. Do tego wzięliśmy po butelce czerwonego bor - deaux, rocznik młody, bo na starszy nie było nas stać.

Z rozbawieniem przypomnialiśmy sobie sprzedawcę, jak wklepywał ceny naszych serków ze stoicką cierpliwością, a za nim denerwowała się cała kolejka.

- Po co komu tyle serów naraz! - krzyknął ktoś za naszymi plecami.

- Może to inspekcja sanitarna? - usłyszałam szept z innej strony.

- Nie może pan szybciej kasować?! - wrzasnął jeszcze inny głos.

No to mamy kawałek Francji do wywiezienia. Zabrałyśmy się do pakowania plecaków.

I wtedy się okazało, że za żadne skarby nie spakujemy się z tym całym majdanem. W końcu do tego, z czym przyjechałyśmy, doszły teraz prezenty dla rodziny, sery i wina. Musiałyśmy pożyczyć od kogoś dodatkową torbę.

- I tak musimy wpaść do Mariana, oddać mu klucze. Może Nicole ma jakąś niepotrzebną torbę? - zasugerowałam, kiedy Ewka usiłowała przerobić francuskie markowe sery na zgniecione pasztety.

- Chyba nie mamy wyboru - sapnęła zniechęcona.

Poszłyśmy więc do domu Mariana. Za ostatnie franki kupiłyśmy wielki bukiet róż dla Sabine. Na kolację zostały nam nędzne grosze, ale najwyżej zjemy jakieś bagietki i też przeżyjemy. Ważniejsze było, aby zostawić po sobie dobre wrażenie.

Drzwi otworzyła Sabine i od razu oświadczyła, że Marian jest na placu i wycina portrety. Zauważyłam, że tym razem nie dodała: te swoje. W ogóle, wyglądała na zadowoloną. A na widok kwiatów jej twarz jeszcze bardziej się rozpromieniła.

- Kto przyszedł? - dotarło do nas wołanie z góry. Rozpoznałyśmy głos Nicole.

- Miałam nadzieję, że przyjdziecie - powiedziała Sabine.

- Chciałyśmy wam za wszystko podziękować i w ogóle...
- wydukałam.

- Wiem, wiem. Wejdźcie. Zjecie z nami kolację? - spytała, niosąc kwiaty.

- Hmm... To miłe zaproszenie, ale to nasz ostatni wieczór w Paryżu i chcemy po raz ostatni trochę posiedzieć na placu...
- powiedziała odważnie Ewka.

- Rozumiem - zawołała Sabine z głębi kuchni, szukając odpowiedniego wazonu dla kwiatów. - Nie gniewam się, że

wolicie spędzić ostatni wieczór właśnie tam. I dziękuję za kwiaty! Są przepiękne!

- A ja nie przegapię takiej okazji! - Nicole pojawiła się na szczycie schodów. - Dajcie mi trzy minutki, okej?

- Jasne - zawołałyśmy.

Sabine ucałowała nas na do widzenia i podziękowała. Za co? Nieważne. Ważne, że nie miała do nas żalu. Chyba wróciła do męża, do córki i dała sobie spokój z tym całym wielkim Carlem. Nicole zbiegła po schodach przebrana w dżinsy i białą koronkową bluzkę.

Poszłyśmy więc na ostatnią kolację na Place du Tertre, gdzie pracowałyśmy, rysując portrety, gdzie poznałyśmy Mariana, gdzie nas aresztowano oraz gdzie przeżyłyśmy większość naszych paryskich upojnych wieczorów.

Ten plac był dla nas miejscem szczególnym. Tu znalazłyśmy prawdziwych przyjaciół, tu nauczyłyśmy się życia paryskiej bohemy.

I tu poznałyśmy Napoleona...

Zajęłyśmy niezły stolik w naszej ulubionej knajpce. Uprzedziłyśmy Nicole, że stać nas jedynie na skromny posiłek, ale ona przytknęła palec do ust, nakazując nam milczenie na ten temat.

- Ocaliłyście moją rodzinę, więc chyba mogę wam zafundować kolację?

Nie śmiałyśmy się sprzeciwić.

Zamówiła same frykasy. Wspaniałe befsztyki w pieprzowym sosie, krem z krewetek, sałatki nicejskie, dobre wino i desery według życzenia.

Zapaliłyśmy z Ewką po gitanie. Wieczór był ciepły, pachnący i kolorowy. Jak zwykle w tym miejscu o tej porze lata.

Nad głową migotał milion gwiazd, czas nie miał znaczenia, a nasze polskie troski oddalone były o półtora tysiąca kilometrów.

- Za naszą przyjaźń. - Nicole wzniosła toast. Stuknęłyśmy się kieliszkami. Po chwili przy stoliku pojawił się Marian.

- Wiedziałem, że jeszcze się spotkamy - powiedział uśmiechnięty.

- Musiałyśmy przyjść tu jeszcze ostatni raz... - wyznałam. Ewka potaknęła.

Jedliśmy, śmialiśmy się i wspominaliśmy nasze paryskie chwile. Po trzecim kieliszku zaczęłam się rozglądać po placu. Szukałam Marca. Znowu nigdzie go nie było. Bałam się, czy, tak jak obiecał, przyjdzie jutro na dworzec.

Ewce też chyba brakowało Vincenta, ale trzymała się twardo, nie dając tego po sobie poznać.

- Zaraz tu będzie Vincent - powiedziała Nicole. Oczy Ewki zrobiły się wielkie ze zdziwienia.

- A co, masz coś przeciwko temu? - Nicole spojrzała na nią z filuternym uśmiechem na swej ślicznej buzi okolonej rudymi lokami.

- Nie, ale... jak to możliwe?

- Zaraz tu będzie, i tyle!

Szkoda, że Nicole nie namówiła także Marca. Miałam jednak nadzieję, że spotkam go jeszcze przed wyjazdem. Jak nie dziś, to jutro rano.

Marian opowiadał dowcipy, jedliśmy cudowne francuskie potrawy, piliśmy niezłe wino. Nicole oświadczyła, że jednak zostanie dziennikarką. Nie ma co się pakować w te układy, jeśli chodzi o świat mody, to nie dla niej. Mówiła, że nienawidzi tego sztucznie wzniesianego blichtru, który towarzyszy tej branży. A cała moda jest tylko po to, aby naciągać bogate kobiety. I facetów też.

Mnie już nie bardzo to wszystko bawiło. Nogami byłam jeszcze w Paryżu, a myślami już w Poznaniu. Gdyby był tu Marco! Gdyby był tu i teraz, może jeszcze moje myśli byłyby bardziej francuskie niż polskie.

Ale go nie było.

Pojawił się za to Vincent i Ewka oszalała z radości. Przez chwilę. Bo jak tylko wypił pierwszy kieliszek wina, od razu zdał nam relację z tego, czego się dowiedział o tragicznej śmierci Napoleona.

Nie ulegało wątpliwości. To właśnie nasz przyjaciel kloszard, zwany Napoleonem, utonął w Sekwanie tamtego dnia. Pewien flisak przyszedł rano do pracy na swojej barce i zauważył jego ciało zaczepione o sznur zwisający z burty. W jaki sposób Napoleon znalazł się w rzece, nikt nie wie. Wszystko wskazuje, że było to samobójstwo. W jego kieszeni znaleziono wyblakłą fotografię żony, która zginęła tragicznie wiele lat wcześniej, kilka franków i jakieś zardzewiałe klucze, prawdopodobnie od dawnego mieszkania.

Zdawało mi się, że księżyc, zawieszony nad kopułą Sacre Coeur, nagle pociemniał.

Szósta trzydzieści na gare de l'Est. Dworzec Wschodni pełen był ludzi, zgłębku i dźwięków typowych dla dworców. Jeszcze nie do końca przebudzone czekałyśmy na peronie na pociąg. Ogromne plecaki uciekały nam na prowizorycznych kółkach, zamontowanych trzy miesiące temu przez mojego brata. Teraz nie myślałam o nim, choć te kółka mocno dawały nam w kość. Co z tego, że plecaki wyposażone były w kółka, jeśli nie miały żadnego hamulca! Efekt był taki, że uciekały nam, wlokąc nas za sobą, jak konie z jeźdźcem wiszącym na ich zadkach.

Ale w tej chwili siedziałyśmy oparte o ścianę i zmęczonymi oczyma wypatrywałyśmy Vincenta i Marca. A także naszych koleżanek, Migulek. Co prawda kiedy widziałyśmy się z nimi ostatni raz, były raczej przekonane, że do kraju nie wrócą. Miałyśmy jednak nadzieję, że zmądrzały, i zostawiły te durne mrzonki o małżeństwach w Paryżu i za chwilę zjawią się obie na dworcu ze swoimi ogromnymi plecakami.

Ale nigdzie ich nie było, choć do planowanego wyjazdu pozostało zaledwie dwadzieścia minut.

- Jak myślisz, przyjdzie ktoś tu w ogóle? - ziewnęła Ewka.

- Obawiam się, że nie.

I w tym momencie pojawił się Vincent. W czerwonej koszulce polo rzucał się w oczy już z daleka pomiędzy podróżnymi, kręcącymi się po dworcu jak zdeorientowane pszczoły po wizycie pszczelarza.

Ewka od razu odżyła. Vincent podbiegł do niej zdyszany i przywitał ją czule. Westchnęłam na ten widok. Ewka, która omal nie została porwana przez mużłmańskiego oszołoma, teraz najnormalniej w świecie była żegnana przez całkiem fajnego i normalnego chłopaka, któremu na niej zależało. W

przeciwnym razie nie nastawiałby budzika na piątą w dzielnicy odległej od dworca o dwadzieścia kilometrów w linii prostej, nie wkładałby nowiutkiej czerwonej koszuli i nie pędził tu jak na skrzydłach.

- Witaj, Aga. - Vince uśmiechnął się także do mnie, kiedy już odkleił się od Ewki.

- Miło, że przyszedłeś - powiedziałam.

- Jak mógłbym nie przyjść - odparł wpatrzony w moją przyjaciółkę jak w Giocondę. - Macie wszystko, na pewno?. - spytał zatroskany. Oto prawdziwy facet, jakiego potrzebują kobiety. Czemu mnie to nie dotyczy?

- Chyba tak - uspokoiła go Ewka. - Mamy wszystko, prawda? - Spojrzała na mnie.

- Ty masz, a ja... nie do końca... - Coraz bardziej nerwowo spoglądałam w kierunku głównego wejścia. Ale w tłumie podróżnych nie było śladu wysokiej sylwetki Marca.

Nadjechał pociąg. Ludzie zaczęli się przepychać, pod tym względem peron francuski w niczym nie różnił się od naszego rodzimego.

- Wsiadamy? - Ewka była gotowa. Vincent dźwignął jej plecak i jęknął.

- Rany! Macie w nich sztabki złota, czy co? - spytał.

- Jasne. Ewka ukradła z Luwru kilka drobiazgów - zażartowałam.

A Marca nadal ani śladu!

- Lepiej już wsiadajcie - powiedział Vincent - bo nie znajdziecie dobrego miejsca.

- Jeszcze moment - spojrzałam na nich błagalnie. Przecież mi obiecał! Czy to wszystko, co mówił, było kłamstwem? Tak bardzo chciałam, aby i mój plecak pomógł mi ktoś wnieść do pociągu.

- Pomogę ci z plecakiem - jakby czytając w moich myślach, powiedział Vince.

- Dziękuję.

- Może nie zdążył... - mruknął, wtlaczając mój bagaż do wagonu. Ewka już w nim była. - O tej porze są straszne korki...

- Ty zdążyłeś - stwierdziłam.

Wzruszył ramionami, jakby to było nic wielkiego. A potem wszedł jeszcze do wagonu, aby po raz kolejny uściskać Ewkę.

A ja wciąż stałam i rozglądałam się. Zbierało mi się na płacz. Jak on mógł mi to zrobić? Dlaczego nie przyszedł? Przecież obiecał!

Pociąg wydał gwizd zawiadamiający, że rusza. Vincent wysiadł pośpiesznie i wepchnął mnie do wagonu. Gdyby tego nie zrobił, pewnie zostałabym na peronie sparaliżowana smutkiem i rozczarowaniem.

- Bon voyage! - zawołał. Drzwi się za mną zamknęły. Jeszcze przez długą chwilę wypatrywałam przez nie znajomej postaci.

A potem weszłam do przedziału, ocierając łzy.

Oczywiście, wszystkie miejsca były już zajęte. Ewka siedziała wciśnięta w jakiś kącik pomiędzy innymi podróżnymi. Nie wiem, jak to możliwe, ale pociąg relacji Paryż - Berlin przypominał nasze lokalne pociągi relacji Poznań - Leszno. Miejsc siedzących było mniej niż podróżnych. Więc stałam przy oknie na korytarzu, patrząc, jak za nim znika Paryż coraz szybciej i szybciej...

Znikał Paryż i moje marzenia... Nie mogły tego osłodzić pełne serów plecaki ani nawet upchnięte w nich kimono ręcznie haftowane złotą nitką, ani francuskie wina, ani zabawne prezenciki dla rodziny, ani referencje od Izabelle.

Paryż z każdą minutą się oddalał, a ja patrzyłam ze smutkiem na mijane przedmieścia, na wielkie szyldy znanych

firm, na startujące samoloty. Już na pewno nie pojawi się za szybą Marco. A może był tylko snem?

W końcu dla mnie też znalazło się miejsce w przedziale. Wbiłam się w maleńką lukę pomiędzy dwojgiem starszych ludzi, dokładnie vis a vis Ewki. Plecaki, z trudem upchnięte przez Vincenta ponad naszymi głowami, groziły rychłym upadkiem. Jechałyśmy do domu. Nastął czas powrotu do realnego świata, naszego świata, świata, w którym nie ma już Izabelle, Mariana, Nicole ani Marca. Nie ma już nawet Napoleona, pomyślałam z żalem.

Ani Migulek!

- Nie przyszły - powiedziałam w końcu do Ewki.

- Idiotki. - Ewka najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę. Zapewne wciąż delektowała się czułymi słówkami, które Vince serwował jej do ucha na peronie. Ja nie dostałam na drogę takiej słodkiej wyprawki.

Pociąg relacji Paryż - Berlin nie jechał najkrótszą drogą. Zahaczał o państwa Beneluksu, czyli Belgię i Holandię. Czekala nas długa, ponad dwudziestogodzinna podróż do Berlina. A potem kolejnym pociągiem do Poznania. Już sama taka myśl usypiała. Ewka zamknęła oczy, zanim jeszcze dobrze wyjechałyśmy z Paryża. Ja czuwałam, choć nie wiem dlaczego. Ale też w końcu padłam ze zmęczenia. Ostatnie dni i noce dały nam mocno w kość. Niedospanie w Paryżu było stanem naturalnym. Teraz, w pociągu, kiedy nie było co ze sobą zrobić, padłyśmy obie jak kawki.

Śniłam, że jadę z Markiem na jego motorze. Czułam zapach jego skórzanej kurtki. I jego włosy na twarzy. A potem nagle wypadłam z motoru i znalazłam się w wodzie.

Woda była zimna i pełno w niej było jakichś sznurów, lin, wodorostów, starych kół i wszelkiego bzdiewia. Nie mogłam wypłynąć na powierzchnię. I nie wiadomo skąd pojawił się Napoleon i pomógł mi wydostać się z tej głębi. Potem stałam

już w pokoju hotelowym i ociekałam wodą, a Isabelle mówiła, że będę musiała wyczyścić dywan. Wtedy podszedł jakiś gość i sam zaczął sprzątać. I mówił, że nic się nie stało... Nagle chwycił mnie za rękę i spytał, czy na pewno nic mi nie jest...

- Mademoiselle! - Ktoś potrząsał mnie za rękaw. Otworzyłam oczy i przez chwilę nie miałam pojęcia, co się dzieje. W końcu sobie przypomniałam, że jestem w pociągu. A za rękaw szarpał mnie konduktor.

- Proszę się obudzić - mówił człowiek w uniformie. - I proszę pokazać bilet. - Spojrzałam na Ewkę, chyba też przysnęła. Inni pasażerowie nie wyglądali wiele lepiej.

Zanurzyłam rękę w szmacianej torbie, uszytej z dzinsowych odpadków, szukając biletu. O, jest! Wręczyłam mój bilet konduktorowi. Ewka zrobiła to samo.

Konduktor sprawdzał bilety. Trochę długo to trwało. Czytał je raz i znowu. Czy coś było z nimi nie tak?

- Przykro mi, ale te bilety są nieaktualne - oświadczył.

- Od dwóch dni.

- Co? - Natychmiast obie z Ewką ocknęłyśmy się ze snu. - Jak to, nieważne?

- Wasza wiza skończyła się dwa dni temu. O, proszę, tu jest data. - Wskazał nam nasze własne bilety i wybitą na nich datę, wyraźną jak wypalony znak na ciele krowy.

Nasze oczy zrobiły się dwa razy większe.

- To niemożliwe! - powiedziałam.

- Ale tak jest na biletach - pokiwał głową konduktor.

- I co z tego? Przecież zapłaciliśmy za bilet powrotny - tłumaczyła Ewka.

- Owszem, ale za bilet powrotny w określonym czasie. Obie panie przekroczyły ten limit o dwa dni.

Niemożliwe! Przecież pamiętałyśmy dokładnie, kiedy kończy się nasza wiza. A może nie? Może się pomyliłyśmy?

- I co teraz? - spytałam pełna najgorszych obaw. Nawet powrót do kraju musiał się dla nas wiązać z niespodziankami.

- Przykro mi, ale będę zmuszony was wysadzić na najbliższej stacji. - Pokiwał głową, udając zmartwionego.

- Jak to, wysadzić? Przecież zapłaciłyśmy za bilet powrotny do Berlina!

- Niestety, bilet stracił ważność przedwczoraj. Będziecie musiały opuścić pociąg na najbliższej stacji.

Ewka zbladła. Ja też.

- Z tym całym bagażem? A jak potem dostaniemy się do kraju?

- To już nie moja sprawa. Przykro mi, ale takie są przepisy.

- Ale my nie mamy pieniędzy... - pisnęła Ewka. Fakt. Nie miałyśmy już ani franka na ewentualny bilet powrotny. Pomyślałam, że jednak trzeba było nie kupować tych serów.

- Przepraszam, ale mam pracę. A panienki niech się przygotują, bo za chwilę zatrzymamy się w Belgii.

I poszedł.

Ogarnęła nas totalna panika. Jak to, wysiąść gdzieś w Belgii? Z tym całym majdanem? I co dalej? Jak wrócić do domu bez pieniędzy!?

- Mam pomysł - odezwał się starszy pan siedzący przy oknie. Wszystkie oczy w tym przedziale wpatrzone były w nas obie. Jak się potem okazało, byli to Francuzi.

- Pomysł? Na co? - spytałam niepewnie.

- Na to, aby ich wywieść w pole - rzekł spokojnie starszy pan. Po czym uśmiechnął się chytrze. - Musicie stąd zniknąć, zanim konduktor po was przyjdzie. Zanim was przyjdzie wystawić na peron.

Czy on sobie z nas żartował? Ewkę jednak zainteresowała ta myśl.

- A co pan radzi? - spytała rzeczowo.

- Schowajcie gdzieś plecaki, a wy... No cóż... Ukryjcie się w ubikacji. A jak konduktor przyjdzie i o was zapyta to powiemy, że wy już wysiadłyście, prawda? - skierował to pytanie do pozostałych podróżnych z naszego przedziału. Wszyscy, mniej lub bardziej entuzjastycznie, ale potakująco skinęli głowami.

Od tej chwili stali się naszymi współnikami w kolejnym popełnianym przez nas przestępstwie. Nie mam pojęcia, dlaczego chcieli nam pomóc, być może był to sposób na urozmaicenie nudnej podróży?

Postanowiłyśmy zaufać starszemu panu i plecaki upchnęłyśmy pod innymi bagażami, tak że ledwie je było widać. A potem poszłyśmy do ubikacji.

Przesiedziałyśmy tam ponad godzinę. Usłyszałyśmy kilka razy pisk kół pociągu, zatrzymującego się na kolejnych stacjach. Byliśmy już w Belgii. I tu właśnie zamierzał wypluć nas na peron konduktor.

Serce podchodziło mi do gardła. Nasłuchiwałam odgłosów z głębi wagonu. Ewka wtulała się we mnie w tym ciasnym pomieszczeniu, jakbym była jej matką. Obie byłyśmy przerażone. Jednak widmo wysiadki na jakimś dworcu w Belgii i brak pieniędzy na powrót do kraju były wystarczającymi powodami, aby polubić wnętrze ciasnej kolejowej ubikacji.

Pociąg ruszył. Za malutkim okienkiem ponownie zaczęła się przesuwać panorama. Czy udało nam się przechytrzyć konduktora?

- I co teraz? - spytała szeptem Ewka. Siedziała wciśnięta pomiędzy miniaturową umywalkę a klozet. Ktoś dobijał się do drzwi.

- Musimy stąd wyjść - powiedziałam. Nie mogłyśmy przecież wiecznie okupować toalety!

- A gdzie konduktor?

- Chyba już poszedł - wyszeptałam.

Wyszliśmy z toalety, wpuszczając do niej starszą pulchną kobietę. Obdarzyła nas spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Niepewnie zajrzałyśmy do naszego przedziału. A w nim wszyscy mieli bardzo uradowane miny.

- Super! Udało się! - krzyknął starszy pan przy oknie. Usiadłyśmy, niepewne swego losu, w kącie przedziału.

- Konduktor spytał o was, a my zeznaliśmy zgodnie, że już dawno wysiadłyście z pociągu.

- I o nic więcej nie pytał? - zaciekałam się.

- Nie. Uznał, że ma już was z głowy, i poszedł sprawdzać bilety w dalszych przedziałach.

- A jeśli wróci? - zapytała Ewka.

- To musicie znowu schować się w toalecie! - odpowiedział nam starszy pan. - Ale na razie mamy ponad dwie godziny. Następny postój jest dopiero w Holandii. Możecie spokojnie się odprężyć i coś przekąsić.

Po czym wyjął spod siedzenia ogromną torbę wałówek i położył na stoliku.

- Macie ochotę na prawdziwe francuskie saucisses?

Francuskie kielbaski! Wszyscy pasażerowie tego przedziału nagle zgłodnieli. Na stoliku pojawiło się więcej zarcia, niż mogłyśmy sobie wyobrazić. I nagle cały przedział był ciekawy naszej historii...

Więc opowiadałyśmy z Ewką nasze paryskie perypetie, przegryzając suchą kielbasą o boskim smaku i chrupiącą bułką. Starsza pani siedząca przy oknie wyjęła z torby karton soku i maślane herbatniki.

Nasza opowieść sprawiła, że wszyscy obecni w tym przedziale śmiali się, płakali i kiwali głowami z niedowierzaniem. Nie mogli w to wszystko uwierzyć. Kiedy Ewka zaczęła opowiadać o tym, jak Amman próbował ją pojąć za żonę, starsza pani nie wytrzymała.

- Ja też miałam kiedyś podobną historię... Ale to było wiele lat temu. - I opowiedziała wszystkim zgromadzonym, jak omal nie została żoną muzułmanina. A potem wzięła za rękę swojego męża, który siedział obok.

- I całe szczęście, że uciekłam przed tym wariatem - dokończyła. Jej małżonek najwyraźniej nic o tym wydarzeniu nie wiedział aż do teraz.

Wszyscy byli dla nas mili i gotowi nam pomóc! Za oknem przewijały się belgijskie pola, lasy i miasteczka, a my nadal jechałyśmy pociągiem bez ważnego biletu.

- On nie wróci jeszcze przez ponad godzinę - pocieszył nas starszy pan. - Znam tę trasę na pamięć. Jeżdżę nią kilka razy w roku do naszego syna, który mieszka w Berlinie. Nie musicie się obawiać. Do następnej stacji jeszcze sporo czasu.

Cóż nam pozostało, jak zaufać temu sympatycznemu panu? Był miły, podobnie jak jego żona i inni pasażerowie zajmujący przedział. Pomogli upchnąć nasze wielkie plecaki za ich bagażami, tak że ledwie były widoczne. W dodatku straszny pan zarządził, aby na zmianę zawsze jeden z nich stał na czatach na korytarzu, aby w porę uprzedzić nas o zbliżającym się konduktorze.

Cała ta tragifarsa sprawiła, że godziny mijały prędzej, niż gdyby nic się nie działo. Zapewniłyśmy kilku pasażerom doskonałą zabawę. Wszyscy mieli za punkt honoru bezpieczne dowiezienie nas do samego Berlina. Zupełnie jak za czasów okupacji, choć wtedy z pewnością taka kontrabanda nie była wcale zabawna.

Starsza pani wyjęła butelkę i podniosła ją z gracją do góry.

- Oto mojej roboty nalewka z czarnej porzeczki. Wiozę ją do syna, ale w tej wyjątkowej sytuacji uważam, że warto ją napocząć!

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

Więc zaczęliśmy popijać tę nalewkę, jak się okazało, naprawdę niezłą. Cały nasz przedział nagle się zjednoczył, co było doprawdy piękne i wzruszające.

Wesołość skończyła się, kiedy młody człowiek stojący na czatach wpadł do przedziału i oznajmił, że konduktor znowu zaczyna obchód. Ewka zbladła.

- Idźcie spokojnie do toalety. Tylko nie w lewo, na Boga, bo on tam jest! - rozkazał nam starszy pan. - Idźcie w prawo. I siedźcie tam, dopóki ktoś po was nie przyjdzie. A jakby nawet was tam nakrył, to w ostateczności powiedzcie, że zrobiło się wam słabo.

- Ale... mnie naprawdę robi się słabo... - odparła Ewka z bladą twarzą.

Popędziłyśmy więc do najbliższego kibelka na prawo. Ewka ledwie zdążyła. Albo podziałała na nią domowa nalewka porzeczek, albo stres. A najpewniej jedno i drugie. Puściła pawia, jak tylko dotarła do toalety.

- Rany... Ja wcale nie muszę udawać! - jęknęła, obmywając się wodą.

- Wytrzymaj jeszcze trochę. Nie chcesz chyba, żeby nas wysadzili na jakimś zadupiu?

- Merde! Tylko nie to!

Pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji. Siedziałyśmy w toalecie, czekając na cud. Jeśli pociąg ruszy, będzie to oznaczało, że jesteśmy bliżej domu o kolejne sto albo dwieście kilometrów.

I ruszył. Przez malutkie okienko kibelka widziałam, jak znowu krajobraz przesuwa się w dobrym kierunku. Nie zostaniemy na peronie w Belgii. Ani w Holandii!

Na odgłos ponownie ruszającego pociągu Ewka poczuła się lepiej. Po paru minutach młody chłopak stojący na czatach tajemniczym: pssst dał nam sygnał, że możemy bezpiecznie wracać do przedziału.

Więc wróciliśmy. Wszyscy obecni ucieszyli się z udanej akcji.

- Nie mówiłem, że to proste? - uśmiechnął się starszy pan. Jego żona naląła nam kolejny kubeczek nalewki na pocieszenie.

- I tak dojedziecie do samego Berlina. - Jej mąż był rozbawiony.

- Za Berlin! - ktoś inny wykrzyknął, wznosząc toast.

- Nie wiem, jak mamy państwu dziękować - wyjąkałam. Łyknęłam przy okazji kolejną porcję nalewki. Ewce powoli wracały naturalne kolory.

- E tam... To normalne! Jesteśmy tylko ludźmi, prawda? - powiedziała inna kobieta.

- No właśnie. Te panienki dość już w Paryżu wycierpiały - dodała starsza pani. - A teraz miałyby jeszcze zostać wyrzucone z pociągu? Po moim trupie!

I tak, dzięki solidarności całego przedziału, dojechałyśmy do samego Berlina. Kilka razy biegałyśmy do toalety, Ewka miała całkiem prawdziwe mdłości, ale już obyło się bez większych rewelacji. Konduktor jeszcze raz spytał, tym razem jakby z troską, a może z poczuciem winy, gdzie się podziały te dwie młode Polki, ale wszyscy pasażerowie zgodnie oświadczyli, że przecież już dawno wysiadłyśmy gdzieś w Belgii.

Na szczęście nie zauważył naszych ogromnych czerwonych plecaków, nieudolnie upchniętych pomiędzy innymi bagażami.

Dwadzieścia godzin partyzantki! Dwadzieścia godzin stresu, z czego kilka spędzonych w ciasnej toalecie. Dwadzieścia godzin solidarności z kilkoma podróżnymi. Zezowate szczęście nas nie opuściło.

W Berlinie, ledwie żywe ze zmęczenia i niewyspania, uściskałyśmy po kolei wszystkich naszych wybawicieli.

- Nie mamy pojęcia, jak wam za to podziękować! - mówiłyśmy szczerze wzruszone.

- Przynajmniej podróż nam się nie dłużyła - powiedziała starsza pani.

- I było wesoło - dodał młody, który stał na czatach.

- Oby wam się powiodło! - zawołał starszy pan z uśmiechem od ucha do ucha.

Wysiadłyśmy na dworcu Berlina Zachodniego. Teraz pozostało nam odszukać brata Migulek, który miał nam załatwić bilety powrotne do Poznania.

I znowu przeszły nas ciarki na widok facetów z bronią i psami.

Witajcie w domu!

Cudem udało nam się przejść granicę z nieważną od dwóch dni wizą. Kiedy zbliżałyśmy się do bramki, już wyobrażałam sobie nas dwie w jakimś strasznym pokoju przesłuchań, gdzie czarne owczarki niemieckie będą nas pilnowały, a faceci z bronią zadawali pytania.

Jak już przedostałyśmy się z Berlina Zachodniego do Berlina Wschodniego, niezatrzymywane ani przez służby specjalne, ani celników, ani psy wachające, czy nie przewozimy jakichś zakazanych substancji, na moich plecach był zimny, mokry pot.

A Ewka wyglądała jak żywy trup.

- No, to chyba się nam udało - wypowiedziała szeptem. Berlin Wschodni powitał nas szarym niebem i wszechobecnym widmem komuny, rozciągającej się stąd aż po Kamczatkę.

Taszcząc ogromne plecaki, odszukałyśmy w końcu mieszkanie brata Migulek. Na szczęście był w domu.

- O, a już myślałem, że nie wrócicie! - wykrzyknął na nasz widok.

- My? My akurat wracamy, czego nie można powiedzieć o twoich siostrach.

- Moje siostry już dawno są w Polsce! Przecież dwa dni temu skończyła się wasza wiza! Jak to możliwe, że was przepuścili przez granicę?

Więc Migułki już są w domu! Nie zostały we Francji, nie wyszły za mąż? A my jak durne wypatrywałyśmy ich na dworcu!

- Mówisz poważnie? - spytała Ewka.

- Oczywiście. Przyjechały przedwczoraj i wyjechały do Poznania wczoraj rano. I bardzo były zaniepokojone, że wy jeszcze nie wyjechałyście z Paryża.

Nie miałyśmy ochoty wszystkiego mu tłumaczyć. Weszłyśmy do mieszkania i padłyśmy w przedpokoju razem z plecakami.

- Macie ochotę na kolację i ciepłą kąpiel? - spytał brat Migulek. Patrzył na nas jak na ofiary wojny.

Czyli: ocenił nas właściwie.

Wykąpałyśmy się, najadłyśmy, braciszek naszych koleżanek załatwił nam bilety powrotne, pozwolił się kimnąć na kanapce, a rano podziękowałyśmy mu za okazane serce. Przez grzeczność nie pytałyśmy, co zrobił z rulonem plakatów, które mu zostawiłyśmy w drodze do Francji, ale zauważyłyśmy, że prawie całe mieszkanie było nimi oblepione.

O ósmej rano byłyśmy już w enerdowskim pociągu do Poznania. Pociąg wyglądał znajomo. Brudny, ciemny i powolny. Ale miał jedną zaletę: nie obawiałyśmy się już konduktora! Miałyśmy ważne, aktualne bilety. Kupione za wschodniemieckie marki.

Ten etap podróży upłynął nam bez skurczów żołądka i biegania do kibelka. I dobrze, bo kibelek w tym pociągu nie pachniał różami.

Ewka zapadła w kolejną pociągową drzemkę. Należała jej się po tych strasznych cierpieniach. A ja przypominałam sobie o Marcu. Dlaczego nie przyszedł się ze mną pożegnać? Jeszcze przez malutką chwilkę zdawało mi się, że jestem po tamtej stronie muru.

Tymczasem za oknami nieubłaganie śmigały już nasze polskie pola. Byłyśmy o rzut beretem od domu.

Dworzec w naszym mieście przypomniiał nam, skąd jesteśmy i dokąd zmierzamy. Wracamy do naszej kochanej komuny!

Ściany były szare i odrapane, ludzie smętni, a pogoda deszczowa. Z głośników dochodziły polskie zdania, choć mocno zdeformowane.

- Pociąg do Kalisza, opóźniony o czterdzieści osiem minut, wjedzie na peron drugi - nosowym głosem zapowiadała dyżurna operatorka.

Wytaszczyłyśmy plecaki na peron. Uderzył mnie zapach z dworcowego baru. Bigos? O rany! Chyba już nie nadaję się do życia w tym świecie! Zapach był niemiły dla mojego, wykolejonego przez francuską kuchnię, nosa.

Jednak świadomość, że już za chwilę wpadnę w objęcia mamy, dodawała mi skrzydeł. Nie mogłam się doczekać, aby jej o wszystkim opowiedzieć.

I rozpakować prezenty. Ewka zaproponowała, żebyśmy wzięły taksówkę. Wobec darmowej przejażdżki z Paryża do Berlina, ten wydatek wydawał się śmieszny.

Taksówki stały na postoju jak stado gęsi. Władowałyśmy się do szarego fiata 125 P z bagażami i ustaliłyśmy, że najpierw pojedziemy do Ewki, a potem do mnie. Tak było po drodze.

Ewka pokiwała mi na do widzenia i zniknęła za płotem. Jej babcia stała w drzwiach uśmiechnięta i szczęśliwa. Przez chwilę wyobraziłam sobie tę samą scenę, tyle że to ja witam

babcię Ewki i oznajmiam, że jej ukochana wnuczka wyszła za
mąż za muzulmanina i prawdopodobnie nigdy nie wróci do
domu. Całe szczęście, że Ewka w porę oprzytomniała. Ba,
nawet Migułki oprzytomniały! Wszystkie cztery wróciłyśmy
do domu. Liczba wyjazdów i powrotów się zgadzała.

Mama uczyniła z mojego powrotu święto rodzinne.
Upiekła kaczkę i podała ją z czerwoną kapustą i pyzami.
Mniam! Mogłabym wyjeżdżać częściej.

A potem były opowiadania, prezenty i zmęczenie ponad
dwudziestogodzinną podróżą. Spałam znowu we własnym
łóżku, bez Ewki chrapiącej w kąciaku.

Dziwne uczucie.

Wróciłam do domu, dom wrócił do życia, życie wróciło do
normy...

Pozostały nam jeszcze trzy tygodnie do rozpoczęcia
ostatniego roku studiów na naszej socjalistycznej, artystycznej
uczelni. Kilka razy odwiedziłam Stare Miasto. Z Ewką
chodziłyśmy do barów na pierogi ruskie, bigos albo mielone.
Szukałyśmy czegoś bardziej oryginalnego w naszym polskim
menu, na próżno. Szczytem oczekiwań okazał się schabowy w
sosie myśliwskim.

Marzyłyśmy o sałatce nicejskiej, zupie cebulowej i
chrupiących bagietkach. Były chwile, kiedy nawet
marzyłyśmy o... ślimakach!

Szybko jednak nasze podniebienia przestawiły się na
kluski i pyry.

Z moim sercem było inaczej. Wciąż nie chciało się
przestawić na brak Marca.

Jesień nadchodziła krok po kroku. Uliczki poznańskiej starówki zasypane były kolorowymi liśćmi. Chodziłyśmy na zajęcia i powoli Francja pozostawała jedynie pięknym wakacyjnym snem.

I wtedy zaczęły nadchodzić listy.

Pierwszy był od Sabine. Pisała:

Bonjour, Aga!

Mam nadzieję, że mnie nie znienawidziłaś. Po czasie jestem Ci bardzo wdzięczna za tę akcję z Carlem. To był mój ogromny błąd. Wróciłam do Mariana i jestem znowu szczęśliwa. Mam nadzieję, że Ty i Twoja przyjaciółka Ewka też jesteście szczęśliwe. Jeśli kiedyś przyjedziesz do Francji, możesz liczyć na mnie i masz mieszkanie gratis.

Zawsze wdzięczna, Sabine

Drugi pojawił się dwa dni później. Był od Mariana.

Salut!

Dziękuję ci, Aguś, za cudowne lato. Dzięki Tobie i Twojej przyjaciółce odzyskałem sens życia. I żonę! Zawsze możecie liczyć na moją pomoc w Paryżu. Kiedy znowu was zobaczę?

Salutations, Marian

Następny był od Nicole.

Agnieszka i Ewka!

Jestem w Mediolanie. Jest super! Chyba jednak będę projektować modę. To fascynujące. Poznałam fajnego chłopaka. Ma na imię Mario i jest modelem. Rany! Jego tors jest boski! Jak w rzeźbach Fidiasza! Tęsknię za Wami, merde, tak bym chciała iść teraz z Wami do knajpki i pogadać...
Wiecie, o czym!

Brakuje mi was ogromnie, ale mam nadzieję, że u Was wszystko w porządku?

PS Kiedy przyjedziecie?

Całuski, Nicole

Cała Nicole.

I parę dni po tym pojawił się kolejny list, którego nigdy bym się nie spodziewała.

Droga Pani Agnieszko!

Nie powiem, jak zdobyłem Pani adres. Ale musiałem do Pani napisać. Jestem cały czas pod wrażeniem naszego spotkania. I dziękuję, że zgodziła się Pani na ten kompromis, jeśli chodzi o kaszkiet. W tej chwili pół Paryża chodzi w takich kaszkietach. Moja propozycja współpracy projektowej jest nadal aktualna. Może da się Pani namówić?

Mam nadzieję, że nie żywi Pani do mnie urazy.

Szczerze oddany, Carl Legrand

Szczerze oddany? Po tym liście omal nie wpadłam pod stół. Taki list mogę w przyszłości pokazywać dzieciom i wnukom. Nie do wiary! Carl Legrand był mi szczerze oddany!

Przyszedł też list od Emila. Byłam powoli zaniepokojona tą liczbą listów z Francji. Czy to jakiś spisek?

Emil napisał:

Droga Agnieszko!

Wspominam cudowne chwile spędzone z Tobą i Twoją przyjaciółką. Było bardzo miło! Zawsze tęskniłem za Polską i jeśli to możliwe, chciałbym z wami utrzymać kontakt. Napiszcie, czy wszystko u Was w porządku, a jeśli znowu zawitacie Paryżu, chętnie się z Wami spotkam.

A bientot! Wasz Emil

Przyszedł też list od Alaina.

Bonjour, Aga!

Piszę, bo zapewne chcesz wiedzieć, co się stało z Napoleonem. Otóż, już niemal na pewno wiemy, że popełnił samobójstwo. Przykro mi. Ale jest jedna ciekawa dla Ciebie wiadomość. I tak dostałabyś ją w drodze urzędowej, ale mogę ją uprzedzić. Te klucze, które przy nim znaleziono, okazały się kluczami do jego mieszkania. Nikt nie miał pojęcia, że ten

kloszard posiadał mieszkanie! Policja je oczywiście przeszukała i znalazła... jego testament! Nie było łatwo się o tym dowiedzieć, ale mam swoje kontakty. Dowiedziałem się, że zapisał wszystkie swoje dobra... Tobie i Twojej przyjaciółce. W sumie chyba nic nie posiadał poza tym skromnym poddaszem, ale ten zapis znaczy, że zapamiętał was jako przyjaciółki. Być może nikogo takiego nie miał, zanim Was poznał. Nie mam pojęcia, jak będą wyglądały sprawy spadkowe, ale obiecuję mieć na to oko. Jak dowiem się czegoś więcej, napiszę.

Salutations, Alain

Napoleon! Znowu wróciły wspomnienia. Przeczytałam wszystkie listy Ewce. Ona dostała podobne w treści. Francja stała się naszym drugim domem. Ale wciąż jeszcze nie otrzymałam listu od Marca.

Zaczął się ostatni rok studiów. Praca dyplomowa nie mogła czekać. Pochłonęły mnie zajęcia, rozmowy z promotorem, zaliczanie przedmiotów. Paryż musiał odejść na drugi plan. Ewka promieniała, bo dostała już drugi list od Vincenta. Ja nadal nie miałam żadnych wiadomości od Marca.

Październik, nawet w naszym smutnym kraju, był tego roku piękny. Chodziłam na zajęcia, stąpając po kolorowym dywanie z liści. Codziennie przemierzałam tę samą trasę. I już nie czekałam na list od Marca.

Wmówiłam nawet sobie, że był on tylko moim paryskim snem, zjawą, nocnym marzeniem... Mój chłopak (wciąż aktualny) zaprosił mnie na randkę. Z lekkim wahaniem, ale poszłam. Wypytywał o Paryż, o nasze przygody. Opowiadałam mu nasze przeżycia, omijając skrzętnie temat Marca.

I dostałam bukiet białych tulipanów, choć były nieosiągalne o tej porze roku!

I w końcu nadszedł ten dzień, kiedy obudziłam się rano, nie myśląc już o Marcu. Wstałam i zjadłam śniadanie. Ubrałam się w najlepsze ciuchy i wybiegłam z domu na uczelnię, gdzie miałam tego dnia zaprezentować swój pomysł na pracę dyplomową. Byłam pełna weny i chęci do działania. Wszystko, nawet nierówne chodniki, było znowu na miejscu, takie jak trzeba, nasze polskie, koślawe i dobrze znane.

Przedstawiłam mój projekt promotorowi. Był zachwycony. Po wyjściu poszłam z Ewką na kawę ze szklanki bez ucha i obowiązkową wuzetkę w pobliskim barze. Pogadałyśmy o pracach dyplomowych, Ewka też miała niezły pomysł. Nic o Paryżu. Jakby nagle przestał istnieć. Wieczorem miałam się spotkać z moim chłopakiem.

I właśnie tego dnia znalazłam w skrzynce długo wyczekiwany list. Pojawił się, aby zburzyć mój spokój, abym nie poszła na randkę, wymawiając się złym samopoczuciem.

Otwierałam kopertę pełna obaw.

Moja kochana Agnieszko!

Wybacz, że dopiero teraz piszę do Ciebie. Spędziłem prawie miesiąc w szpitalu. Dopiero teraz mogę cokolwiek napisać, bo miałem rękę ze skomplikowanym złamaniem w gipsie.

Jechałem do Ciebie na dworzec na motocyklu. Spieszyłem się, żeby zdążyć na czas. I wtedy nagle pojawiła się ta ciężarówka! Zajechała mi drogę i wpadłem pod nią. Miałem złamaną nogę i rękę. I wstrząs mózgu, ale to najprędzej mi przeszło. Zapewne pomyślałaś, że zapomniałem o Tobie...

Mon Dieu! Jak mógłbym zapomnieć? Jesteś moją kotką na dachu, moją kochaną Agnieszką, dziewczyną, o której myślałem każdego dnia podczas pobytu w szpitalu.

Aguś, wybacz! Bardzo za Tobą tęsknię i chciałbym przyjechać do Ciebie, jak tylko skończy się u Was ta komuna, która nie daje mi szansy na powrót.

Napisz, proszę, co u Ciebie? Ja już jestem jako tako na chodzie. Smutno na placu bez Ciebie. Dałbym wiele, aby móc zdjąć z Twojej blond główki ten śliczny kaszkiecik... Czekam niecierpliwie na twój list,

całuję, Marco

Z koperty wypadł jeszcze mały rysunek. Był to portret roześmianej dziewczyny w kaszkiecie, wykonany czarnym piórkiem i doskonałą kreską Marca. Mój portret.

Wszystkie postacie i sytuacje opisane w mojej książce są jedynie częściowo wzorowane na osobach i wydarzeniach autentycznych. Wszelkie podobieństwa do konkretnych osób są przypadkowe, a opisy zdarzeń niekoniecznie zgodne z rzeczywistością.